STUDYA
NAD
PRAWEM POLSKIEM

NAPISAŁ

Oswald Balzer.

POZNAŃ.
Nakładem Księgarni J. K. Żupańskiego.
Czcionkami Drukarni Kuryera Poznańskiego.
1889.

Studya nad prawem polskiem.

STUDYA

NAD

PRAWEM POLSKIEM

NAPISAŁ

OSWALD BALZER.

POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI J. K. ŻUPAŃSKIEGO.

CZCIONKAMI DRUKARNI KURYERA POZNAŃSKIEGO.

1889.

SPIS RZECZY.

Słowo wstępne.

Szereg pomniejszych prac, w przeważnéj części już poprzednio ogłoszonych drukiem z osobna, zebrany w jednę całość, wychodzi w kształcie osobnéj książki na widok publiczny.

Nową jest tylko rzecz o Henryku z Góry i jego Traktacie przeciw Krzyżakom. Przed kilku laty, ogłaszając po raz pierwszy tekst tego traktatu w czwartym tomie *Monumentów Poloniae*, poprzedziłem go wprawdzie wstępem, w którym opisane zostały rękopisy, zebrane wiadomości z życia autora, ustalona data powstania pisma; bez szczegółowego wyjaśnienia pozostały jednak najważniejsze pytania: treść i dążność traktatu, stosunek jego do współczesnych wypadków historycznych, znaczenie jego jako źródła dziejowego i utworu literackiego, wszystko tutaj po raz pierwszy dokładnie rozebrane i wytłómaczone.

Nie bez zmiany przedrukowano także i dawniejsze prace. Prócz licznych poprawek stylistycznych znajdzie czytelnik dodatki, sprostowania i uzupełnienia rzeczowe, oparte bądź to na dokładniejszém zbadaniu kwestyi — bądź téż na świeżo ogłoszonych lub odnalezionych źródłach.

Węzłem, łączącym te prace w jednę całość, jest tożsamość przedmiotu, do którego się odnoszą. Prócz jednego szkicu, dotyczącego dziejów literatury politycznéj w Polsce, wszystkie inne poruszają kwestye z zakresu nauki prawa polskiego. W szczegółach jest jednak wielka rozmaitość. Są prace, dotyczące metody naukowego badania tego prawa, inne odnoszą się do historyi źródeł, stosunku Kościoła do Państwa, dziejów sądownictwa, urządzeń kancelaryjnych w Polsce. W sposobie opracowania tematów nie ma również jednolitości; pisane w rozmaitych czasach i wśród różnych okoliczności, niekiedy z pewnym wytkniętym celem szczególnym, noszą te pisma na sobie cechy bądź to ogólniejszych poglądów, bądź wywodów ściśle krytycznych, bądź wreszcie mają charakter przeważnie instruktywny.

Mam nadzieję, że zbiór ten stanie się użytecznym, jeżeli kilka rozwiązanych pytań naukowych świeżo przywiedzie na pamięć, lub téż innym da pochop do lepszego ich rozwiązania.

AUTOR.

I.

W SPRAWIE
SŁOWNIKA WYRAZÓW PRAWA POLSKIEGO.

Referat na I. Zjazd prawników i ekonomistów polskich w Krakowie.

Kwestya słownictwa naukowego stoi u nas od niejakiego czasu na porządku dziennym. Ktokolwiek śledził nieco dokładniéj rozwój nauki polskiéj w ostatnich czasach, ten niezawodnie dostrzegł owę żywą dążność, jaka się w poszczególnych jéj dziedzinach tak wybitnie objawiła i ciągle jeszcze objawia: dążność do stworzenia i ustalenia terminologii na umiejętnych zasadach opartéj, a w dalszym ciągu do ułożenia słowników, któreby terminologią tę w sposób wyczerpujący zawarły i przedstawiły. Ten objaw, który oczywiście nie jest tylko przypadkowym, daje już sam przez się miarę ważności sprawy. Nie pominięto jéj i w dzisiejszéj naszéj nauce prawa. Wielokrotnie już z najpoważniejszych stron podnoszono potrzebę ułożenia słownika prawniczego polskiego, zastanawiano się nad tem, w jaki sposób myśl ta najłatwiéj dałaby się urzeczywistnić, a nawet wykonano kilka prób, mniéj lub więcéj udatnych, które służyć miały za punkt wyjścia, albo przynajmniéj jako materyał do dalszéj na tem polu pracy. Jeżeli ostatecznego celu nie osiągnięto dotąd w zupełności, to przyczyny tego szukać należy w znacznych trudnościach, jakie sam przedmiot nastręcza. Ale obecnie rzecz cała wstąpiła na drogę najlepszą, od czasu,

kiedy Komisya prawnicza Akademii Umiejętności podjęła myśl ułożenia takiego słownika. Z tego względu można było nawet mieć wątpliwości, czy należy tutaj poruszać myśl, która, że tak powiem, stała się już własnością cudzą, i przesądzać opinii mężów tyle w sprawie téj biegłych i doświadczonych; atoli wzgląd, że komisya prawnicza rezultatu swych narad dotychczas nie ogłosiła, jak niemniéj i okoliczność, że obecnie po raz pierwszy nadarza się sposobność w tak szerokiém kole znawców przeprowadzić w tym kierunku dyskusyą, która zawsze jest pożądaną, skłoniły mnie do tego, że kwestyą podnoszę raz jeszcze, i dalsze moje uwagi jako przedmiot do téjże dyskusyi przedłożyć sobie pozwalam.

Jeżeli się mówi o słowniku prawniczym polskim, to potrzeba koniecznie dwie rzeczy mieć na uwadze: słownik terminologii polskiéj, któréj używamy w dzisiejszéj nauce i praktyce, i słownik terminologii dawniejszego prawa polskiego. Sądzę, iż dwie te rzeczy należałoby oddzielić od siebie i osobną nad niemi przeprowadzić pracę. Od czasu, kiedy dawne prawo polskie straciło moc obowiązującą, a miejsce jego w ziemiach polskich zajęły prawa inne, wiele dawniejszych pojęć prawnych straciło racyą bytu, powstało wiele nowych, które poprzednio nie istniały, inne znowu, lubo się ostały, uległy przecież co do istoty i treści ważnym zmianom i przeobrażeniom. To wszystko, jak łatwo zrozumieć, wywołało równorzędne zmiany i w terminologii saméj; zatraciły się tedy liczne wyrazy dawniejsze, powstały nowe, a wiele z tych, które z dawna zatrzymano, zmieniło pierwotne swoje znaczenie. Przytem cały kierunek rozwoju dawniejszego prawa polskiego szedł w wielu względach odmiennymi torami, aniżeli rozwój praw dzisiaj obowiązujących, a i nauki prawne w byłéj Rzpltéj miały pewne swoje odrębne właściwości, po części obce nauce dzisiejszéj. Słowem, obracano się dawniéj w świecie pojęć prawnych, oczywiście nie zgoła innym, ale przecież po części odmiennym od tego, w jakim my dzisiaj się obracamy; to też na wyrażenie tych pojęć musiano używać terminologii, która nie zupełnie przystaje do dzisiejszéj. Otóż nie

potrzeba dowodzić, że połączenie dwu elementów w tylu względach różnorodnych, nie może być rzeczą pożądaną; konieczność odrębnego ułożenia obu słowników wypływa tedy już z saméj istoty rzeczy. Wypływa ona nadto i ze względów technicznych, albowiem każdy z nich wymaga odmiennego urządzenia i odmiennéj metody w układzie.

Przechodząc po téj uwadze wprost już do kwestyi słownika wyrazów dawnego prawa polskiego, pragnąłbym na wstępie zastanowić się po krótce nad jego celem i przeznaczeniem, stąd bowiem okaże się nie tylko jego potrzeba i użyteczność, ale zarazem dadzą się wyprowadzić pewne wnioski, w jaki sposób i w jakim kierunku należałoby przeprowadzić pracę nad jego ułożeniem.

W ogóle biorąc, słownik taki miałby dwojakie znaczenie: naprzód dla sprawy dzisiejszéj terminologii prawniczéj, a powtóre, i to przedewszystkiem, dla nauki dawnego prawa polskiego. Cokolwiekbądź da się powiedzieć o odmiennych kierunkach rozwoju dzisiejszego prawa i jego nauki w porównaniu z dawniejszym ich rozwojem w Polsce, tego oczywiście zapoznawać nie wolno, że pozostało wiele pojęć wspólnych czasom dawniejszym i nowszym, że zatem na oznaczenie ich i dzisiaj jeszcze niejednokrotnie dadzą się używać takie wyrażenia, jakie wytworzyła przeszłość. Bezwzględne zerwanie z tradycyą, jak wszędzie tak i tutaj nie może przynieść dobrych owoców. Czy dzisiejsza nasza terminologia prawnicza zaczerpnęła z téj tradycyi tyle, ile zaczerpnąć było można, czy z dawnego słownictwa polskiego wzięła wszystko to, co było jeszcze żywotném i użyteczném, o tém można być rozmaitego zdania, ale zdaje mi się, że nie stało się to w téj mierze, jakby sobie tego życzyć należało. Ten objaw nie trudno nawet wytłómaczyć. Od czasu, kiedy prawo polskie straciło zastosowalność, zwrócono się przedewszystkiém do rzeczy praktyczniejszych, do dzisiejszych praw pozytywnych, a zarazem także do nauki prawa zachodniéj, zwłaszcza niemieckiéj. Zamiast czerpać z pierwiastków rodzimych, brano terminologiczne formy niejednokrotnie z wzorów obcych i na-

ginano je do nich; stąd też powstało słownictwo prawne, które pod względem językowym nie jest zapewne w zupełności wolném od krytyki. Restytucya dawnego słownictwa polskiego mogłaby zaradzić temu w części, nie w tém oczywiście znaczeniu, iżbyśmy każdemu wyrazowi dawnemu mieli dać pierwszeństwo przed odpowiednim nowszym, bo język ulega prawom postępu, które należy szanować, a zbytnie zamiłowanie w archaizmach jest niewczesną przesadą; ale w tém, że przynajmniéj to, co w téj nowszéj terminologii jeszcze razi i czego niewłaściwość sami czujemy, co może sprzeczném jest z duchem języka, moglibyśmy zastąpić nazwami dawniejszemi, o ile one dzisiaj jeszcze dałyby się utrzymać. Ta uwaga wskazuje na to, który słownik — zasadniczo rzecz biorąc — w bieżącéj chwili jest rzeczą pilniejszą i potrzebniejszą; mniemam, że słownik wyrazów dawnego prawa polskiego; albowiem dopiero z jego pomocą możnaby przystąpić do emendacyi dzisiejszego słownictwa i do usunięcia wszystkich jego niepotrzebnych naleciałości.

O wiele większą wagę przedstawia on dla saméj nauki prawa polskiego, i to w rozlicznych względach. I tak przedewszystkiem zgodzimy się zapewne na to, że przedstawiając stan lub rozwój prawa w pewnéj epoce, trzeba wyrażać jego pojęcia takiemi nazwami, jakich podówczas właśnie używano. O téj zasadzie dzisiejsza nauka prawa polskiego ma niewątpliwie najzupełniejszą świadomość, ale nie może jéj przeprowadzić w całości, właśnie dla tego, że terminologia dawnego prawa polskiego nie jest jeszcze dostatecznie zbadaną i odtworzoną. Musi ona tedy niejednokrotnie posługiwać się neologizmami, które wytworzyło dzisiejsze słownictwo; że zaś w tych neologizmach nie zawsze tkwi to właśnie pojęcie, o którego oddanie nam chodzi, przeto jasna, że cierpi na tem dokładność i ścisłość przedstawienia, i zaciera się to, co nazywamy wiérnością historyczną. W ogóle powiedzieć można, że prawo polskie w dzisiejszéj nauce zanadto jeszcze występuje w szacie nowożytnéj, która doń bynajmniéj nie przystaje. Słownik, o którym mówimy, zwróciłby uwagę na

wszystkie tego rodzaju usterki i wskazałby właściwą drogę do ich usunięcia.

O ile znowu, przywracając całkowitą dawniejszą terminologią, słownik taki mógłby się przyczynić do rozszerzenia wiedzy naszéj o samem prawie polskiem, o tém również przepomnieć nie wolno. Już sam rozbiór znaczenia każdéj nazwy, każdego słowa, mógłby pod tym względem oddać niezaprzeczone usługi. W tych nazwach tkwi przecież treść rzeczy saméj, bo język nie tworzy swych form dowolnie, ale według prawideł logicznych, i szuka w nich wyrazu na oddanie tych właśnie pojęć, dla których je przeznacza. Takie szczegółowe i umiejętne wyzyskanie materyału językowego rzuciłoby niewątpliwie wiele światła na istotę poszczególnych instytucyj prawnych. To, czego nam inne pomniki historyczne, do naszych czasów przechowane, nie mogą już dostatecznie wyświecić, da się niejednokrotnie odgadnąć z tych pomników językowych. Nie potrzebuję, zdaje mi się, przypominać tutaj szczegółowo, jak wielkie pod tym względem usługi w nauce historyi prawa u innych narodów oddały badania nad znaczeniem dawnéj terminologii prawnéj; te same niewątpliwie korzyści przyniosłyby one i dla nas. Niestety, aż dotąd mało stąd odnieśliśmy pożytku. Był wprawdzie czas, kiedy na stronę językową zwracaliśmy pilną uwagę, ale wtedy zabieraliśmy się do téj sprawy bez należytego przygotowania i odpowiedniéj metody, a grzeszyliśmy wielką dowolnością konjektur; stąd też i rezultaty, do których doszliśmy, nie mogły ani zadowolić, ani wystarczyć. Dzisiejsza nauka prawa polskiego, jak gdyby zrażona tymi nieudałemi doświadczeniami, porzuciła prawie zupełnie dalsze w tym kierunku badania. Ale to niesłuszna; bo choć metoda dawna była złą, kwestya sama jest żywotną, i rozwiązanie jéj, bądź co bądź, oczekuje nas w przyszłości.

Jeżeli następnie uwzględnimy sprawę historycznego rozwoju poszczególnych instytucyj i pojęć w dawném prawie polskiém, to i tutaj słownictwo oddać nam może niezaprzeczone usługi, i to w rozlicznych względach. Przedewszystkiem w tym,

że przyczyni się do wyjaśnienia najpierwotniejszych stosunków prawnych z tych czasów, z których właściwe dokumenta historyczne albo nie dochowały się wcale, albo w bardzo tylko niedostatecznéj ilości; muszą je nam tu zastąpić same wyrazy, które początkiem swoim sięgają zazwyczaj w odleglejszą przeszłość, i jako takie stają się same ważnymi dokumentami historycznymi, upoważniającymi do stawiania wniosków naukowych. Jeżeli zaś zwrócimy uwagę na dalszy rozwój prawa, to należy znowu uwzględnić zmiany i fluktuacye słownictwa, jakie z biegiem czasu następują; zazwyczaj łączą się one ze zmianami w samych pojęciach i stosunkach prawnych, podają tedy wskazówki do zrozumienia ich przekształceń kolejnych i dziejowego postępu. Wreszcie zasługuje na uwagę i partykularyzm, który w naszéj terminologii prawnéj istnieje tak dobrze, jak w samym rozwoju prawa. Jest dzisiaj rzeczą już dostatecznie znaną, że w prawach poszczególnych prowincyj albo nawet i ziem znajdują się wyrazy, które w innych odszukać się nie dadzą; te wyrazy wskazują niejednokrotnie na odrębne urządzenia prawne. Innym razem pojęcia na pozór identyczne noszą w poszczególnych prowincyach i ziemiach odmienne nazwy, co oczywiście nie zawsze jest tylko rzeczą przypadku; ta różność nazw wskaże w licznych razach na to, jakie znamiona i cechy charakterystyczne występują na pierwszy plan w konstrukcyi pojęć prawnych w poszczególnych ziemiach, a tém samém wyjaśni dokładnie owe partykularne właściwości naszego prawa. W ogóle, po słowniku, któryby nam podał historyą wyrazów prawnych z całego czasu istnienia Polski, a zarazem ich, — że tak powiem, — geograficzne rozmieszczenie, możnaby się spodziewać jaknajlepszych dla nauki owoców.

W końcu jedno jeszcze spostrzeżenie. Wiadomo, że obszar prawa nie jest zawsze i wszędzie ilością stałą, że granice jego zmieniają się w miarę różnic czasu i miejsca. To, co u pewnego narodu w danéj chwili należy do zakresu religii itp., może gdzieindziéj lub kiedyindziéj przejść w sferę prawa i na odwrót. Nauka musi o tych granicach pamiętać

dobrze, nie powinna ich ani ścieśniać ani rozszerzać, jeżeli nie chce popełniać anachronizmów i rozminąć się z prawdą historyczną. Słownik nasz, oczywiście pod warunkiem, że zostałby opracowany w sposób umiejętny a zarazem wyczerpujący, sam przez się podałby bardzo cenne wskazówki o granicach dawnego prawa polskiego, które dzisiaj już może w sferę prawa nie wchodzą, z drugiéj zaś strony, wykazując brak pewnych nazw lub terminów, pouczyłby, czego dawniéj w sferę tę nie wciągano.

Tak pojmując cel i zadanie tego słownika, możemy już z łatwością odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób należałoby urządzić pracę nad jego ułożeniem. Oczywiście poruszam tu tylko punkta ważniejsze, nie wchodząc w szczegóły podrzędne. Pod tym względem nasuwają się następujące uwagi:

1. Przedmiotem słownika należałoby uczynić ściśle tylko terminologią prawną. Uwzględnianie innych wyrazów, które nie mają znaczenia ze stanowiska prawa, nie wydaje się rzeczą stosowną. Uwaga ta dotyczy zwłaszcza t. z. starożytności, których zazwyczaj nie pomija się w dykcyonarzach, mających skądinąd charakter przeważnie prawny. O ile te starożytności są prawnemi, o tyle oczywiście znajdą tutaj pomieszczenie; o ile znowu wchodzą w inne dziedziny dawnéj kultury polskiéj, należy je pominąć. W przeciwnym razie ucierpi na tém jednolitość dzieła, a zarazem przekroczonym zostanie jego zakres i przeznaczenie. Rzecz oczywista, że o tém, co jest pojęciem prawném a co niém nie jest, rozstrzygać będziemy według zapatrywań dawnego prawa polskiego, nie według naszych dzisiejszych.

2. Ponieważ zadaniem słownika jest odtworzenie dawnéj terminologii prawnéj, nie zaś jéj tworzenie lub uzupełnienie, przeto za podstawę w jego układzie nie mogą służyć nasze własne domysły, ale wyłącznie tylko źródła współczesne. Można te źródła podzielić na dwie w ogóle grupy: na źródła prawne i nieprawne. Do pierwszych zaliczyć należy: traktaty międzynarodowe i konkordaty, pacta conventa, przywileje ziemskie, statuta i konstytucye sejmowe i konfederacyjne,

lauda wiecowe i sejmikowe, uniwersały, mandaty i wszelkiego rodzaju rozporządzenia królów, władz i urzędów, statuta synodalne i kapitulne, ortyle, wilkirze i statuta miejskie, dyplomata, zbiory formuł, zapiski i pisma sądowe, księgi prawa zwyczajowego, pisma prawników, współczesne słowniki wyrazów prawnych, przysłowia prawne itp. Ze źródeł do drugiéj grupy należących wszystko to, cokolwiek nas tylko o wyrazach prawnych pouczyć może, powinno być zużytkowaném. Przytém podnieść należy, że wartość obu tych grup źródeł dla ułożenia słownika zostaje do siebie w stosunku odwrotnym. Dla czasów, z których źródła prawne w stosunkowo niewielkiéj dochowały się nam ilości, źródła nieprawne mogą nam oddać znaczne usługi, i na odwrót, w miarę, jak się mnożą źródła prawne, znaczenie innych cofa się coraz bardziéj wstecz. Ażeby z wielu podać chociażby jeden przykład, przytaczam, że średniowieczne tłómaczenie Pisma św. będzie o wiele pożyteczniejszém przy ułożeniu słownika, aniżeli tłómaczenie pochodzące z czasów nowszych. Już z tych uwag, a oczywiście także z saméj natury rzeczy płynie, że znaczenie źródeł nieprawnych dla słownika jest tylko względném, że natomiast pierwszorzędną przedstawiają dlań wagę źródła prawne. Te ostatnie należałoby wyzyskać o ile możności najskrupulatniéj, a więc w zasadzie w ten sposób, ażeby każdy tego rodzaju zabytek szczegółowo przejść i wszystkie zachodzące w nim wyrazy prawne uwzględnić. Wszakże i tutaj poczynić trzeba pewne zastrzeżenia, mianowicie co do zabytków praktyki sądowéj polskiéj. Począwszy od wieku XVI pisma, w szczególności zaś księgi sądowe, wzrastają u nas do takiéj ilości, że wyczerpanie ich, przy układzie słownika, staje się wprost niemożliwém. Z uwagi na to wypadałoby postępować tutaj sposobem eklektycznym, uwzględniając tylko niektóre z tych pism, oczywiście nie przypadkowo tylko, ale według pewnych z góry obmyślanych zasad. W obec znanego formularyzmu, którego w układaniu aktów prawnych w Polsce przestrzegano, zasada ta nasuwa się sama z siebie: należałoby wybrać typowe formułki z tych aktów, pomijając inne podobne pisma,

uwzględniając w nich co najwięcéj zmiany słownictwa, jakie w miarę postępu czasu i różnicy miejsca zachodziły. Natomiast zapiski sądowe średniowieczne, które odznaczają się większą różnolitością i formuł nie zawsze trzymają się ślepo, uwzględnić wypada w całości, zadanie, które tem łatwiéj da się osiągnąć, że materyał, jaki się nam z tych czasów dochował, nie jest tak wielkim, iżby nie mógł być ogarniętym i wyczerpanym. Że oczywiście nie możnaby się ograniczyć na tém tylko, co z zapisek tych ogłoszono dotąd drukiem, ale sięgnąć zarazem do archiwaliów, rozumie się samo przez się.

3. W układzie słownika następujący porządek wydawałby się właściwym:

Na pierwszém miejscu należałoby podać brzmienie polskie odnośnego wyrazu, i to w pisowni zmodernizowanéj, ile że zatrzymanie pisowni współczesnéj, która, jak wiadomo, jest bardzo chwiejną i nieustaloną, — zwłaszcza w wiekach średnich, — zaciemniłoby tylko przejrzystość układu słownika, a nie przyniosłoby żadnych dla jego celów korzyści, gdyż słownik ten w pierwszéj linii służyć ma za podstawę lub źródło informacyi w badaniach nad historyą prawa polskiego, nie zaś w studyach lingwistycznych. Inaczéj przedstawia się rzecz tam, gdzie wyraz jakiś w czasach dawniejszych zachodzi w formie odmiennéj od téj, jakiéj dzisiaj używamy. Tę formę dawniejszą należałoby w słowniku zatrzymać. Prócz tego wypadałoby przeprowadzić etymologiczny wywód znaczenia poszczególnych wyrazów, który rzucić może nie mało światła na istotę odnośnego pojęcia prawnego.

Na drugiém miejscu należałoby położyć znaczenie łacińskie tegoż samego wyrazu polskiego, — jeżeli tych znaczeń jest więcéj, uwzględnić je wszystkie. Ze względu, że język łaciński w pomnikach ustawodawstwa polskiego jest urzędowym aż do połowy wieku XVI, w praktyce zaś sądowéj aż do końca istnienia Rzpltéj, terminologia łacińska żadną miarą pominiętą być nie powinna. Co do wyrazów, wziętych ze źródeł prawa miejskiego, które najczęściéj w niemieckim pisane były języku, należałoby uwzględnić także terminologią

niemiecką, — co do wyrazów pochodzących ze źródeł prawa litewskiego, terminologią ruską. Wyszukując odpowiednie dla terminów polskich znaczenia w tych obcych językach, należałoby podawać tylko te, jakich współcześnie używano; konjektury własne i tutaj powinny być wykluczone.

Na trzeciém miejscu należałoby wreszcie podać znaczenie i treść istotną wyrazu przez stosowne opisanie. Sam termin łaciński, albo niemiecki lub ruski nie zawsze jeszcze wyjaśni istotę odnośnego pojęcia, gdyż z reguły jest on tylko tłómaczeniem wyrazu polskiego na obcy język, i jak sam wyraz polski, potrzebuje jeszcze wyjaśnienia. Te uwagi, określające pojęcie, należałoby jednak układać w ten sposób, aby podawały tylko istotne jego znamiona, które do zrozumienia rzeczy są niezbędnie potrzebne; po za te granice wysuwać się nie byłoby rzeczą stosowną, gdyż w ten sposób słownik wyrazów prawa polskiego zmieniłby się w alfabetyczną encyklopedyą prawa polskiego, która ma inne zadanie do spełnienia i według odmiennych zasad układaną być winna. Te objaśnienia należałoby redagować w języku łacińskim, ażeby dzieło uprzystępnić dla całego świata naukowego.

4. Pilną uwagę zwrócić należy na historyą terminologii prawnéj, a więc wskazać, jak poszczególne wyrazy z biegiem czasu pojawiają się i znikają, a następnie, jakie w używaniu ich zachodzą różnice w poszczególnych ziemiach i prowincyach. Wyobrażam sobie, iż pierwsze z tych zadań dałoby się najłatwiéj osiągnąć w ten sposób, że przy każdym wyrazie podanoby najwcześniejszą i najpóźniejszą datę, pod którą wyraz ten w źródłach występuje. Zapewne, nie będą to daty w całem tego słowa znaczeniu ścisłe, gdyż wyraz wytworzyć się może wcześniéj, zanim po raz pierwszy użyty zostanie w źródłach, i utrzymać się dłużéj ponad ostatnią w nich wzmiankę, ale będą to przynajmniéj daty przybliżone, jedyne, o jakich teraz jeszcze myśleć możemy; w każdym razie podadzą one ważny materyał do wniosków o dziejowych przemianach w słownictwie prawném polskiém, a niejednokrotnie i w samych pojęciach i urządzeniach prawnych. Partykula-

ryzm terminologiczny da się znowu najlepiéj zaznaczyć w ten sposób, że przy wyrazach, które były używane w pewnych tylko ziemiach lub prowincyach, umieści się odpowiednią o tém wskazówkę.

5. Jeżeli jeden i ten sam wyraz ma kilkorakie znaczenie, natenczas każde z nich należy ściśle wyróżnić i odgraniczyć od siebie i dla każdego podać odpowiednie terminy obce, tudzież stosowne wyjaśnienia.

6. Obok samych wyrazów podawać należy także charykterystyczne zwroty, w których te wyrazy zachodzą, a które, jak słusznie powiedział jeden z najlepszych znawców téj rzeczy, Du Cange, niejednokrotnie lepiéj oddadzą myśl, aniżeli najobszerniejsze opisy i wyjaśnienia.

7. Wypada też uwzględnić synonimikę, a zatém przy odnośnych wyrazach wskazywać na inne, które oznaczają też same pojęcia, co nie mało mogłoby się przyczynić do zoryentowania się w rozrzuconym materyale słownika.

8. W końcu, ponieważ słownik nasz nie jest indeksem, przeto cytaty miejsc źródłowych, z których wyrazy zaczerpnięte zostały, mogą być z reguły pominięte. Tam jednak, gdzie sam wyraz jest zgoła niezwykłym, lub znaczenie jego wyjątkowém, należałoby dla umożliwienia i ułatwienia kontroli, podać miejsce, na którém znaleść go można.

Oto najważniejsze zasady, do których, jak sądzę, należałoby się zastosować, układając słownik dawnéj terminologii prawnéj polskiéj. Po za tą kwestyą jest jednak jeszcze inna, wielce praktyczna, która na bliższy zasługuje rozbiór, a mianowicie kwestya, w jaki sposób należałoby się zabrać do pracy nad tym słownikiem, ażeby stosunkowo jak najprędzéj dojść do zamierzonego celu, albo przynajmniéj spełnić to, co w danéj chwili jest najpilniejszą potrzebą.

Otóż nie ulega wątpliwości, że ostatecznym celem pracy téj winien być słownik, któryby objął całość terminologii prawnéj polskiéj, począwszy od czasów najdawniejszych aż do upadku Rzpltéj. Ale z drugiéj strony jasną jest rzeczą, że ta praca wobec ogromu materyału, jaki do zwalczenia pozo-

staje, mogłaby się przeciągnąć w czas bardzo daleki, że zatém długo jeszcze przyszłoby nam czekać na rzecz tyle ważną a zarazem tak pilną. Nasuwa się tedy pytanie, czy praca ta nie dałaby się podzielić na pewne części, które osobno, a zatém także i prędzéj mogłyby być opracowane. Na to pytanie odpowiedzieć można twierdząco, w tym mianowicie kierunku, że z całości téj dałby się wydzielić jako osobna część słownik terminologii średniowiecznéj polskiéj, aż do początków wieku XVI, i że przedewszystkiém należałoby przystąpić do ułożenia takiego właśnie słdwnika. Nie będzie to rozgraniczenie na wskroś mechaniczne tylko, ale uzasadnione po części samą istotą rzeczy. Bo cokolwiek bądź powiemy o ciągłości i jednolitości w rozwoju prawa polskiego, tyle pewna, że z nastaniem czasów nowszych (t. j. od wieku XVI) prawo to w wielu względach obrało nowe kierunki rozwoju, poprzednio nieznane, a wiele dawniejszych porzuciło, w ślad za czém musiały też nastąpić odpowiednie zmiany w terminologii prawnéj. Nadto nie należy zapominać i o tém, że począwszy od wieku XVI sama zewnętrzna strona słownictwa uległa ważnéj zmianie o tyle, że nastąpiła na szeroką skalę łatynizacya wyrazów, czego poprzednio nie było. Przytém wchodzi tu w grę także techniczna strona pracy nad słownikiem, która, jak już wspomniałem poprzednio, w odmienny po części sposób musiałaby zużytkować źródła prawa średniowiecznego, a w odmienny znowu źródła prawa nowszego. A wreszcie wzgląd praktyczny. Nie zapoznając w niczem doniosłości naukowéj słownika, któryby objął całkowitą terminologią prawną, przyznamy przecież, że słownik terminologii średniowiecznéj jest rzeczą pilniejszą, tutaj bowiem znajdziemy mnóstwo archaizmów językowych, które już dzisiaj nie zawsze są zrozumiałe, podczas gdy słownictwo nowsze, właśnie dla tego że nowsze, jest dla nas więcéj dostępném, a zatem i potrzeba jego restytucyi mniéj na razie piekącą. Wszystkie te okoliczności przemawiają za tém, ażeby, jak na teraz, podzielić rzecz całą na dwie części, z których pierwsza objęłaby słownictwo średniowieczne, druga nowsze, i ażeby rozpocząć pracę od sło-

wnictwa średniowiecznego. W tych szczuplejszych granicach możnaby zadanie spełnić stosunkowo prędko i łatwo, zwłaszcza, gdyby się znaleźli chętni współpracownicy, którzy mając dostęp do nieogłoszonych dotąd źródeł archiwalnych, w rozmaitych częściach Polski przychowywanych, zechcieliby wykonać pracę przygotowawczą, a więc zająć się zbieraniem materyałów do słownika. Te prace przygotowawcze należałoby prowadzić w ten sposób, ażeby przy ostatecznéj redakcyi słownika znaleść w nich można wskazówki co do wszystkich owych punktów, które poprzednio jako zasadnicze wskazałem. Tyle zresztą pewna, że trzeba raz zgodzić się na jakieś ściśle określone zasady i do tych zasad owe prace przygotowawcze zastosować, bo tylko w takim razie doprowadzimy do jednolitego, według pewnéj myśli przewodniéj ułożonego słownika.

II.

O OBECNYM STANIE NAUKI
PRYWATNEGO PRAWA POLSKIEGO
I JÉJ POTRZEBACH.

I.

Wyszliśmy już szczęśliwie, i zdaje się bezpowrotnie z ciasnéj sfery jałowych sporów około pytania: czy nauce prawa polskiego, dzisiaj nie obowiązującego, przyznać mamy racyą bytu, czy też jéj odmówić. Przestaliśmy spoglądać na nią wyłącznie tylko ze stanowiska praktycznego; uprawiamy ją jako umiejętność, i to z większym może zapałem i lepszym skutkiem, niż kiedykolwiek dawniéj.

Patrząc nieuprzedzoném okiem na rezultaty, jakie w ostatnich czasach wydały usiłowania naukowe około zbadania urządzeń i rozwoju dawnego prawa polskiego, niepodobna zaprzeczyć istotnego i stosunkowo wcale szybkiego w tym kierunku postępu. Liczne, starannie opracowane i krytycznie wydane publikacye źródeł uprzystępniły dla badaczów mnóstwo ważnego materyału, niekiedy pierwszorzędnéj doniosłości; zwiększył się zastęp pracowników nad dziejami prawa polskiego, pomnożyła się liczba prac naukowych, pogłębiła ich wartość wewnętrzna, wzrosło nawet zainteresowanie się ogółu dla naszego przedmiotu. Jest to objaw zarówno żywotności nauki saméj, jak i zrozumienia jéj doniosłości ze strony społeczeń-

stwa, objaw, który dozwala nam spoglądać w przyszłość z otuchą i spokojem o dalsze jéj losy.

Stwierdzając ten widoczny postęp w dziedzinie badań nad prawem polskiém, nie można jednak przemilczeć o pewnéj stronie ujemnéj, jaka się tu spostrzec daje; nie można pominąć owéj jednostronności pracy, która uderza na pierwszy rzut oka. Rzuciliśmy się z całą gorliwością do śledzenia urządzeń prawa politycznego i organizacyi społecznéj dawnéj Polski, i doszliśmy na tem polu, w ostatnich zwłaszcza czasach, do zdumiewających rezultatów; ale pozostawiliśmy prawie zupełnie na uboczu inne jeszcze gałęzie prawa polskiego, poświęciliśmy zanadto mało uwagi prawu prywatnemu i karnemu, pojętym w znaczeniu materyalném zarówno, jak i formalném. Nie tutaj miejsce wchodzić w rozbiór przyczyn téj jednostronności; wykazujemy tylko sam fakt, jak się rzeczywiście przedstawia, a zarazem korzystamy ze sposobności, ażeby podnieść głos w sprawie tych niesłusznie pominiętych kierunków naszéj nauki. Nauka ta nie spełni należycie swojego zadania, jeżeli wszystkich objawów w rozwoju prawa polskiego nie wciągnie w zakres badania, jako pytań równéj wagi i doniosłości, jako kwestyj równorzędnych; nauka ta nie wyświeci zresztą w sposób odpowiedni żadnego z poszczególnych kierunków tegoż rozwoju, jeżeli inne pominie lub na uboczu zostawi, bo wszystkie one w ścisłym ze sobą zostają związku i nawzajem na siebie oddziaływają. Nadszedł już czas, w którym rozszerzyć należy horyzont badania, objąć niém wszystkie gałęzie dawnego prawa polskiego, strzegąc się przedewszystkiem téj jednostronności, która tak tu, jak w ogóle wszędzie indziéj, jednostronne tylko, niezupełne przynieść może rezultaty.

W zgoła odmiennych warunkach przyjdzie nam dzisiaj przystąpić do téj pracy, niżbyśmy do niéj przystępowali niedawno jeszcze temu. Rozporządzamy innym zasobem źródeł, świadomi jesteśmy potrzeby lepszéj, doskonalszéj metody badania, zakreśliliśmy badaniu temu dalsze od poprzedników

naszych cele, stawiamy doń większe wymogi, i większych też po niém oczekujemy wyników. A wobec tego nasuwa się nam już samo z siebie pytanie: co też w każdym z kierunków nauki naszéj dotychczas zrobiono, a co jeszcze pozostaje do zrobienia; czy i o ile dotychczasowe prace celowi swemu odpowiedziały, a jeżeli nie, w czém leżą ich wady i niedostatki, w czém domagają się sprostowania i uzupełnienia; w końcu, jaką jest najwłaściwsza droga, którą postępując, możnaby najpewniéj dotrzeć do zamierzonego celu i spełnić swoje zadanie odpowiednio do wymagań dzisiejszéj nauki. Szereg tych pytań, metodycznéj przeważnie natury, wymaga koniecznie jasnéj i stanowczéj odpowiedzi, bo od wyboru właściwéj metody zawisła sama wartość prac naukowych; właściwa metoda uchroni od niepotrzebnych zboczeń i częstokroć bezowocnéj pracy; ona jedna doprowadzić nas zdoła do wyników, które nazwać będziemy mogli prawdziwemi zdobyczami umiejętności.

Niestety, kwestyi téj zanadto mało dotąd poświęcaliśmy uwagi. Osobnych prac, rozbierających zadanie nauki prawa polskiego i wskazujących drogę jego badania umiejętnego, jest dotąd bardzo niewiele: pomijając przestarzałą rozprawkę Jana Wincentego Bandtkiego: „De studio iuris Polonici“ [1]), możemy ich wykazać nie więcéj nad dwie: jednę, Aleksandra Kraushara p. t.: „Uwagi nad historyą prawa“ [2]), uniwersytecką pracę konkursową, zestawiającą rezultaty badań zagranicznych nad metodologią prawa, zawierającą nadto osobny rozdział o rozwoju nauki naszéj z ostatnich czasów; drugą Michała Bobrzyńskiego: „O dawném prawie polskiém, jego nauce i umiejętném badaniu“ [3]), rzucającą szereg samodzielnych i przeważnie trafnych pomysłów, rzecz w kierunku tym dotąd najlepszą, ale trzymaną w tonie

---

[1]) **Wrocław, 1806.**
[2]) **Warszawa, 1868.**
[3]) **Warszawa, 1874, odbitka z „Niwy.“**

więcéj ogólnym, bez wniknięcia w szczegóły. Szczupła ilość prac tego rodzaju, niedokładne wyjaśnienie pojedyńczych pytań, i, co za tem w ślad idzie, brak zgodnie uznanych i przyjętych zasad dla badań nad prawem polskiém, dają się uczuć powszechnie, nie bez pewnych nawet następstw szkodliwych dla nauki saméj. Umysły głębsze, talenta większe, wysnuwają wprawdzie same z siebie pewne zasady, które w pracy naukowéj prowadzą je drogą właściwą; ale szereg mniéj uzdolnionych pracowników rozbija się niejednokrotnie w usiłowaniach swoich o trudności, wynikające z braku ustalonych zasad badania; tworzą rzeczy małéj albo żadnéj wartości, marnują częstokroć pracę, która na właściwe skierowana tory, mogłaby przecież przynieść skromne może, ale istotne wzbogacenie naszéj umiejętności. Znajomość ogólnéj metodologii prawa nie ze wszystkiém tu jeszcze wystarczy, podaje ona bowiem te tylko zasady, których w badaniu prawa w ogóle przestrzegać należy, lecz, jak z natury rzeczy wynika, nie może rozbierać tych szczegółowych względów, na jakie zwrócić należy uwagę, badając pewne, szczególne prawo, z jego właściwościami i odrębnościami, z charakterem jego indywidualnym, przejawiającym się na zewnątrz w urządzeniach jego zarówno jak i rozwoju.

Szereg wyjaśnień okazuje się nadto koniecznym ze względów praktycznych. Każda nauka znajduje się w danéj chwili w pewnym stanie, wykazać może większe lub mniejsze stadyum rozwoju, natrafia na większe lub mniejsze przeciwności z zewnątrz. Nauka prawa polskiego znajduje się pod tym względem w stosunkach wyjątkowych. Do niedawna jeszcze walczyć musiała z płytkiemi uprzedzeniami, które niejednokrotnie odbiły się na niéj szkodliwie; nie stanęła dotąd — z przyczyn, które wyjaśniać byłoby rzeczą zbyteczną — na téj wyżynie, do któréj wzniosły się analogiczne dyscypliny za granicą, nie rozporządza tak obszernymi i zasobnymi środkami naukowymi i materyalnymi, jakie gdzieindziéj stoją uczonym do dyspozycyi. Jak w obec tych wszystkich czynników uorganizować pracę naukową, jak ją zastosować do tych warun-

ków zewnętrznych, które na nią wpływają, oto pytania, zasługujące również na uwzględnienie, bo jest to rzeczą po wszystkie czasy stwierdzoną, że każda praca wtedy tylko spodziewać się może pomyślnych rezultatów, jeżeli zamiary mierzy według sił i środków, którymi rozporządza, nie zaś dobrych chęci, które same nigdy wystarczyć nie zdołają.

Nie mamy zamiaru wszystkich poruszonych tu pytań rozwiązywać ze względu na naukę prawa polskiego w ogóle; zamierzamy na razie bliższą poświęcić uwagę nauce prywatnego prawa polskiego; przedstawiwszy jéj stan obecny, wykazać braki, jakie się tu dają odczuwać, zastanowić się bliżéj nad rzeczywistemi potrzebami téj nauki, w końcu zaś rozebrać te kwestye metodyczne, które ze względu na szczególne właściwości i stanowisko prywatnego prawa polskiego osobnego domagają się wyjaśnienia. Sądzimy, że zakreślając sobie ściślejsze dla naszych uwag granice, zdołamy z tém większą dokładnością wyjaśnić rzecz samę. Oczywiście, gdzieniegdzie przyjdzie nam potrącić o takie pytania, których rozbiór przedstawia ważność dla nauki prawa polskiego w ogóle; w przeważnéj jednak części kwestya pracy naukowéj nad innemi gałęziami prawa polskiego wymaga odmiennego traktowania, już to ze względu na samę istotę rzeczy, już też ze względu na odmienny stan dotychczasowych w téj mierze badań. Na teraz przynajmniéj, nie chcąc gmatwać przedmiotu, woleliśmy sobie obrać zadanie skromniejsze. Kreśląc zaś poniższe uwagi, nie oddajemy się bynajmniéj złudzeniu, iżbyśmy zadanie nasze w zupełności rozwiązać zdołali, ani też nie mamy do tego pretensyi; kwestye takiéj wagi i takiego znaczenia, jak te, o których tutaj mowa, kwestye, mające rozstrzygnąć o kierunku i metodzie nauki, załatwić się dadzą siłami jednostki zawsze tylko niedostatecznie; wszechstronnie wyświecić je zdoła poważna dyskusya naukowa, przeprowadzona w jak najszerszém kole ludzi zawodowych. Będzie to też największą dla téj pracy nagrodą, jeżeli uwagi jéj, poruszając na nowo tyle ważną, a jednak niedostatecznie dotąd wyjaśnioną sprawę, dyskusyą taką wywołać zdołają.

II.

Na dziełach, które założyły sobie za cel przedstawić całokształt prywatnego prawa polskiego, nie zbywa nam bynajmniéj. Już pod koniec zeszłego wieku pojawia się pierwszy we właściwém tego słowa znaczeniu systematyczny podręcznik tegoż prawa, ułożony przez X. Teodora Ostrowskiego p. t.: „Prawo cywilne albo szczególne narodu polskiego, z statutów i konstytucyj koronnych i litewskich zebrane, rezolucyami Rady Nieustającéj objaśnione, dodatkami z praw kanonicznego, magdeburskiego i chełmińskiego pomnożone, a porządkiem praw rzymskich ułożone“[1]). Drugiém co do czasu powstania jest Jana Wincentego Bandtkiego: „Prawo prywatne polskie, napisane i wykładane przed rokiem 1830 w b. warszawskim alexandryjskim uniwersytecie“[2]); dalej idą: Antoniego Zygmunta Helcla: „Dawne prawo prywatne polskie, napisane w latach 1849—1853“[3]), rzecz fragmentaryczna, obejmująca tylko wstęp, zasady ogólne i prawo rzeczowe, w poszczególnych ustępach niekiedy wcale nie opracowana; Walentego Dutkiewicza: „Prawa cywilne, jakie w Polsce od roku 1347 do wprowadzenia kodeksu Napoleona obowiązywały;“ dzieło, które wyszło także pod drugim, zmienionym tytułem: „Program do examinu z historyi praw, które w Polsce przed wprowadzeniem kodexu Napoleona obowiązywały“[4]); w końcu Piotra Burzyńskiego: „Prawo polskie prywatne“[5]). Nadto możnaby tutaj jeszcze zaliczyć: Tadeusza Czackiego

---

[1]) Dwa tomy, Warszawa, 1784; wydanie drugie, tamże 1787; przekład niemiecki, dokonany przez Bröckera p. t.: „Civilrecht der polnischen Nation,“ 2 tomy, Berlin i Lipsk, 1797—1802.

[2]) Dzieło pogrobowe, wydane w Warszawie r. 1851.

[3]) Wydanie pośmiertne, uskutecznione przez Bobrzyńskiego w Krakowie roku 1874 w pierwszym (jedynym dotąd) tomie Pism pozostałych Helcla.

[4]) Warszawa, 1869.

[5]) Dwa tomy, Kraków, 1867—1871.

dzieło: „O litewskich i polskich prawach, ich duchu, źródłach i związku i o rzeczach zawartych w pierwszym statucie dla Litwy 1529 roku wydanym“[1]), gdzie autor w uwagach swych do poszczególnych postanowień statutów litewskich rozbiera także urządzenia prywatnego prawa polskiego; i Wacława Aleksandra Maciejowskiego: „Historya prawodawstw słowiańskich“[2]), zawierającą osobne działy o prawie prywatném słowiańskiém, oczywiście więc i o polskiém.

Rozporządzamy tedy wcale pokaźną liczbą podręczników prywatnego prawa polskiego, i gdybyśmy z liczby saméj wyprowadzać chcieli pewne wnioski, moglibyśmy postawić twierdzenie o kwitnącym stanie nauki. Inna rzecz, jeżeli wglądniemy w treść i wartość wewnętrzną tych dzieł: sąd zmienia się na niekorzyść, stajemy w obec smutnéj konieczności przyznania faktu, że nie posiadamy ani jednego dobrego podręcznika prywatnego prawa polskiego. Mimowoli tedy nasuwa się pytanie, gdzie leży przyczyna tego, że tylokrotnie ponawiane, w rozmaitych czasach przedsiębrane próby skreślenia całkowitego systemu naszego prawa nie doprowadziły do istotnie dodatnich rezultatów? Zagadka ta wyjaśni się nam częściowo, jeżeli uwzględnimy stosunek prac monograficznych do istniejących podręczników. Zdaje się, że nie popełnimy zbyt rażącéj przesady, jeżeli powiemy, że liczba monografij z zakresu prywatnego prawa polskiego nie o wiele przewyższa liczbę zajmujących się niém podręczników[3]). W tem leży pierwsza ujemna strona dzisiejszego stanu naszéj nauki. O dobrych podręcznikach myśleć niepodobna, jeżeli ich nie wyprzedzą liczne, szczegółowemu zbadaniu poszczególnych kwestyj poświęcone opracowania monograficzne, jak nie można też myśleć

---

[1]) Warszawa 1800; wydanie drugie w Dziełach Czackiego, Poznań, 1844; wydanie trzecie w Bibliotece Turowskiego, Kraków, 1861.

[2]) Wydanie pierwsze w 4 tomach. Warszawa, 1832—1835; wydanie drugie w 6 tomach, tamże 1856—1868.

[3]) Według obliczenia naszego liczba tych monografij, wydanych w wieku XIX bądź to osobno, bądź też rozrzuconych po czasopismach, nie przenosi okrągłéj cyfry czterdziestu.

o ujęciu i zrozumieniu systemu danego prawa, jeżeli się nie rozumie jego szczegółów.

Mamy tedy do zaznaczenia fakt na pozór dziwny, że u nas dzieła treści ogólnéj wyprzedziły literaturę monograficzną, że w badaniach naszych obraliśmy drogę wprost przeciwną téj, jakąby się zdawało wskazywać istotne zrozumienie rzeczy; zamiast bowiem przejść od szczegółów do ogółu, woleliśmy uchwycić od razu, choć niedokładnie i niedostatecznie, ogół, pomijając szczegóły. Postąpilibyśmy jednak niesprawiedliwie, robiąc z tego powodu zarzuty tym mężom uczonym, którzy pracy swéj zakreślili to ogólne zadanie. W każdéj nauce, tworzącéj się dopiero, znajdującéj się jeszcze w stadyum dzieciństwa, objawia się zazwyczaj z początku taki prąd do uogólniania, dążność do uchwycenia jéj całokształtu, choćby z uchybieniem dla szczegółów, jednem słowem, tendencya do zarysowania jéj konturów, zanim szczegółowo wycieniowane zostaną. Jest to objaw, któremu podobnych i w innych działach nauki i u innych narodów nie mało można by wykazać. Kierunek taki ma nawet pewne strony dodatnie: rzuca on niejako pogląd na umiejętność całą, umożliwia i ułatwia pracę tym, którzy później zabiorą się do wyjaśnienia szczegółów, kierunek taki stawia poniekąd program całéj dalszéj konstrukcyi umiejętności. Mają więc z tego względu autorowie podręczników nie małą zasługę, że przebijając się własną pracą przez rolę tak mało obrobioną, przeorali ją bodaj z grubsza; mają ich dzieła wartość w historyi literatury, jako pierwsze próby naukowych w tym kierunku usiłowań, zakreślonych na większe rozmiary. Co większa, autorom tym zawdzięczamy niejednę prawdziwą zdobycz naukową, która utrzyma się na zawsze; zdani bowiem niemal wyłącznie na własne siły, przedsiębrali częstokroć żmudną pracę wyświecania szczegółów, i z zadania tego niejednokrotnie wywiązali się z powodzeniem. Możemy też powiedzieć bez przesady, że dla wyświecenia szczegółów zrobiono w podręcznikach więcéj, niż w literaturze monograficznéj. Stąd też spotykamy się tu niejednokrotnie z obszernymi wywodami, poświęconymi szcze-

gółowemu rozbiorowi poszczególnych kwestyj wątpliwych. Przypominamy tylko Bandtkiego wywód co do pytania, czy w Polsce istniały lenności, Helcla rozbiór kwestyi, czy dawność polska wymaga dobréj wiary i słusznego tytułu, Burzyńskiego wyjaśnienie konstytucyi sejmowéj z r. 1768 o zdolności małoletnich do działań prawnych i t. d. Jest to rzecz, która mąci wprawdzie przejrzystość i symetryą układu, ale bądź co bądź posuwa naukę naprzód. Oczywiście jednak, tego rodzaju obszerniejsze wywody w podręcznikach nie wyczerpują wszystkich pytań, zasługujących na bliższe uwzględnienie; spełniają one tylko małą cząstkę zadania, jakie przed nami stoi jeszcze otworem.

Brak dostatecznéj ilości dobrych prac przygotowawczych odbił się nadto jeszcze i w innych kierunkach w sposób ujemny na podręcznikach. Podręcznik może być mniéj lub więcéj szczegółowym; w każdym razie jednak zadaniem jego jest uchwycić i przedstawić przewodnią myśl badanych instytucyj prawnych, scharakteryzować ich istotę i treść zasadniczą. Jest to rzecz, która się da osiągnąć i w takim razie, jeżeli się autor zapuszcza w wyświecanie drobnych nawet szczegółów, wymaga jednak w tym wypadku zupełnego opanowania przedmiotu, w przeciwnym razie zbytnia szczegółowość wpłynąć może ujemnie na przejrzystość i precyzyą w poglądach ogólnych. W ogóle lepiéj jest, jeżeli istnieją opracowania monograficzne, których właściwém zadaniem jest zbadanie kwestyi aż do najdrobniejszych punktów; one mogą dać właśnie podstawę do wyciągnięcia pewnych ogólnych spostrzeżeń i wniosków celem zużycia ich w podręczniku. Opracowań tych w znacznéj części nie dostaje; stąd okazała się konieczność wyjaśniania sobie szczegółów własném badaniem; że zaś dla ogromu materyału badanego trudno było nad nim zapanować, przeto też podręczniki przedstawiają w przeważnéj części raczéj wiązankę szczegółów zszeregowanych według pewnego rzeczowego porządku, aniżeli pewne zasadnicze pojęcia o poszczególnych instytucyach prawa prywatnego. Jest to brak, który baczniejszego czytelnika uderza na pierwszy

rzut oka. Można przestudyować dokładnie szereg podręczników, można wynieść ze studyum tego obfite wiadomości o poszczególnych postanowieniach prawa polskiego w materyach prywatno-prawnych, ale pogląd zasadniczy o instytucyach prawnych trzeba będzie najczęściéj wyrobić sobie samemu, bo go w podręczniku albo wcale nie znajdziemy, albo w bardzo lekkich tylko i niedostatecznych zarysach. Objaw ten świadczy o pewnym rodzaju powierzchowności w obecnym stanie naszéj nauki, a zarazem wskazuje na potrzebę jéj pogłębienia. Stosunkowo jeszcze najwięcéj około wydobycia przewodnich, zasadniczych myśli w umiejętności naszéj zasłużyli się Burzyński i Helcel; należy tylko pracę przez nich rozpoczętą prowadzić daléj, a o wyniku dodatnim wątpić nie można.

Dalszą stroną ujemną, wypływającą z niedostatku prac przygotowawczych i z owego właśnie co dopiero podniesionego braku jasno określonych pojęć zasadniczych, jest nienależyte grupowanie i stosunkowanie poszczególnych instytucyj prawnych między sobą. Każde prawo, lubo się składa z całego szeregu urządzeń, jest organizmem; urządzenia te, jako cząstki organizmu, nie łączą się zatem ze sobą luźnie tylko; owszem, zachodzi pomiędzy niemi ścisły, wewnętrzny, przyczynowy związek, wzajemna łączność i wzajemne oddziaływanie. Nie można nigdy zrozumieć i pojąć dobrze jednéj instytucyi, jeżeli się nie umie zdać sobie dokładnéj sprawy z innych. Że o takiém organiczném łączeniu całego szeregu urządzeń, wykazaniu wzajemnego ich do siebie stosunku, nie może być mowy tak długo, dopókąd każdego z nich nie wyświecimy dokładnie, to rzecz oczywista; bo tylko wtedy, jeżeli każde pojęcie prawne potrafimy ściśle określić i odgraniczyć od innych, będziemy mogli zarazem, i to już z łatwością, wynaleść styczne pomiędzy niemi punkta. W pracach poświęconych prywatnemu prawu polskiemu braki te odczuwać się dają niejednokrotnie; powodują one z jednéj strony zawiłość i gmatwaninę przedmiotu, z drugiéj nie dozwalają rozwinąć wszechstronnego na całość poglądu.

W końcu — i to rzecz niemniéj ważna — niedosta-

teczne opracowanie szczegółów z zakresu naszéj umiejętności odbiło się na podręcznikach całym szeregiem rażących niekiedy błędów rzeczowych. Autorowie, mając przed sobą tak obszerne do spełnienia zadanie, jakiém jest ujęcie całkowitego systemu prywatnego prawa polskiego, a nie znalazłszy w pracach przygotowawczych zadowalniającéj odpowiedzi na przeważną większość nasuwających się im pytań, starali się wprawdzie sami odpowiedź tę zdobyć, a poświęciwszy niektórym kwestyom szczególną swoję uwagę, wyświecili je nawet wszechstronnie i dokładnie; rzecz jasna jednak, że nie mogli każdego szczegółu traktować z równą ścisłością, że musieli w znacznéj części poprzestać na ogólnikowém tylko zbadaniu i wyzyskaniu źródeł. Stąd wynikła przedewszystkiém pewna powierzchowność w ekspozycyi, stąd wynikło zarazem mnóstwo błędnych twierdzeń, bo nie zawsze udało się wyczerpnąć materyał, nie zawsze przetrawić go należycie, nie zawsze wyrozumieć dokładnie treść postanowień prawnych i wzajemny ich do siebie stosunek, ażeby przedstawić wszędzie rezultaty zadowalniające. Poddając też ściślejszéj analizie poszczególne ustępy naszych podręczników, zmuszeni jesteśmy, używając chociażby tylko tego materyału źródłowego, którym rozporządzali ich autorowie, przedsiębrać co chwila uzupełnienia, zmiany i poprawki. Nie naszą rzeczą jest wykazywać szereg tych błędów jeden za drugim; zaznaczamy tylko sam fakt, a na poparcie twierdzeń naszych odsyłamy czytelnika do dwóch prac W a l e n t e g o D u t k i e w i c z a: „Spostrzeżenia nad historyą prawodawstw słowiańskich Wacława Aleksandra Maciejowskiego“[1]), i „Uwagi nad dziełem: Prawo polskie prywatne Piotra Burzyńskiego“[2]). Uczony znawca prawa naszego wykazuje tu szczegół za szczegółem błędne twierdzenia obu rozbieranych pism, a szereg spostrzeżeń, jakie uważał za potrzebne wypowiedzieć, złożył się na dwa stosunkowo obszerne i pokaźne dziełka. Możnaby, badając rzecz

1) Warszawa, 1870.
2) Warszawa, 1873.

ściśle, pomnożyć jeszcze znacznie szereg sprostowań Dutkiewicza o pracach Maciejowskiego i Burzyńskiego, a stosując tę samę metodę do innych podręczników, choćby nawet i samego Dutkiewicza, napisać o każdym z nich znowu obszerną książkę, zawierającą wykaz błędów rzeczowych. To też ktokolwiek dzisiaj sumiennie zdać sobie zechce sprawę z danéj instytucyi prawnéj, znajduje się najczęściéj w tém położeniu, że musi sam przerobić odnośny materyał źródłowy; podręcznik służyć mu tu może co najwięcéj za przewodnika, na którym jednak mimo to nie zawsze polegać można w zupełności.

Tłómaczymy sobie częściowo usterki rzeczowe dzieł tych samą naturą pracy, która dążąc do ujęcia całości, nie zawsze należytą zwrócić mogła uwagę na wszystkie szczegóły; tłómaczymy sobie tém bardziéj, że dla wyjaśnienia tych szczegółów tak mało dotąd zrobiono u nas w literaturze; choć zarazem z naciskiem zaznaczyć musimy, że ilość tych usterek jest rażąco wielką, okoliczność, która nakazuje z największą tylko ostrożnością korzystać z podręczników, ażeby przejmując z nich rzeczy dobre, nie dać się uwieść twierdzeniom błędnym i nieprawdziwym. Co już jednak usprawiedliwić trudno, to owo dosłowne przejmowanie całych ustępów z podręczników dawniejszych, z jakimi w późniejszych dość często się spotykamy, przyczem odpisujący nie uważają sobie czasem nawet za obowiązek zacytować w takim razie swojego źródła. Dla illustracyi podamy kilka tylko przykładów. Spis terminów dawności, ułożony przez Ostrowskiego (I 139 sq.) przeszedł z kilku nieznacznemi zmianami, zresztą zaś w dosłownem brzmieniu do dzieł Bandtkiego (244 sq.) i Helcla (136 sq.), i to mimo okoliczność, że Ostrowski w spisie tym pomieścił niektóre zasady co do przedawnienia w sprawach karnych, które przecież w wykładzie prawa prywatnego opuścić należało. Początkowe uwagi zamieszczone przez Helcla w ustępie o wywodzie szlachectwa (str. 70) są tylko parafrazą uwag wypowiedzianych w tym samym przedmiocie przez Bandtkiego (str. 83). Spis wypadków, w których według prawa polskiego następowała infamia, powtarza Burzyński (I, 450 sq.)

bez najmniejszéj zmiany z Bandtkiego (9 sq.), nie uzupełniając go ani jednym szczegółem, pomimo że najpobieżniejsze przeglądnięcie konstytucyj polskich powinno go było przekonać, jak niedokładném jest zestawienie Bandtkiego. Te i tym podobne przykłady, świadcząc, że badacze nasi nie wahali się w niektórych razach przyjąć bez żadnéj krytyki wywodów swoich poprzedników, rzucają na ich samodzielność pewne światło ujemne. Zaznaczyć przytém należy, że korzystając w ten sposób, nie zawsze dokonywali szczęśliwego wyboru, reprodukują bowiem niejednokrotnie ustępy i twierdzenia małéj albo żadnéj wartości, i powagą swego imienia nadają sankcyą błędom popełnionym przez innych. Możnaby wykazać cały szereg nieprawdziwych twierdzeń, z któremi spotykamy się w wszystkich pracach o prawie polskiém prywatném, dla tego tylko, że je wypowiedział jeden z dawniejszych autorów, a wszyscy inni z zupełną wiarą za nim powtórzyli. I tak n. p. Ostrowski (I 126) stwierdził przez pomyłkę, że szlachcie przyznaną została własność rzeczy kopalnych na gruntach jéj znalezionych dopiero za Stefana Batorego w r. 1576: wszystkie inne podręczniki zawierają toż samo twierdzenie, pomimo że już sam cytat Ostrowskiego (Vol. leg. II 900) powinien był spowodować sprostowanie wiadomości w tym kierunku, że prawo to wyraźnie uznaném zostało już w t. z. artykułach Henrykowskich z roku 1573 (§ 10). Postępowanie takie pociąga za sobą wręcz szkodliwe następstwa: przez częste powtarzanie błędu wywalcza mu się w nauce poniekąd prawo obywatelstwa, a wiadomo, ile to późniéj kosztuje trudu oczyścić umiejętność z takich zastarzałych, powszechnie uznanych, choć nieprawdziwych doktryn.

Gdybyśmy pominęli wszystkie inne metodyczne braki podręczników, nad którymi jeszcze poniżéj będziemy mieli sposobność rozwieść się szczegółowo, to już sam szereg skreślonych poprzednio uwag wystarczy do przekonania, że podręczniki te, o ile mają wartość literacką jako pierwsze ważniejsze próby umiejętnéj konstrukcyi naszéj umiejętności, o tyle nie są w stanie zadowolnić stosunkowo nawet skro-

mnych wymagań, jakie dzisiaj w nauce prywatnego prawa polskiego stawić jesteśmy uprawnieni a nawet zobowiązani. Praca przedsięwzięta w podręcznikach, wymaga jeszcze koniecznie uzupełnienia i sprostowania, wymaga zgłębienia przedmiotu, rozszerzenia poglądu na istotę i ducha zarówno poszczególnych instytucyj prawa prywatnego, jako też i całego ich związku organicznego. Zadanie to spełnić się da jedynie przez dokładne i wszechstronne wyświecenie każdego szczegółowego pytania z zakresu naszéj nauki; po spełnieniu téj pracy, dadzą się wyciągnąć wnioski ogólniejsze, twierdzenia zasadnicze. O dobrym podręczniku myśleć nam dziś jeszcze nie wolno; możemy wprawdzie pokusić się o dzieło obejmujące całkowity system prywatnego prawa polskiego, ale musiałoby to być dzieło na wskroś samoistne, oparte na gruntownóm i wszechstronném zbadaniu rzeczy, jednem słowem, dzieło źródłowe, nie podręcznik. Dzieła tego rodzaju, jak wiadomo, należą do rzadkości, i nie ma, wśród obecnych zwłaszcza stosunków, nadziei, iżbyśmy się go prędko doczekać zdołali; powinniśmy tedy główny położyć nacisk na badania monograficzne, przeprowadzić w ten sposób racyonalny podział pracy naukowéj, ułatwić ją sobie i rozdzielić na szersze koła pracowników. Nie uchwycimy od razu całego systemu, to prawda, wyjaśnimy tylko pojedyńcze z zakresu jego pytania; lepiéj jednak zadowolnić się na razie rezultatami skromniejszymi, ale istotnymi, niż tworzyć rzeczy wielkie a nieudałe.

W dziedzinie tych badań monograficznych widzimy jednak niestety dziwny zastój i zaniedbanie. Wspomniana poprzednio liczba monografij z zakresu prawa prywatnego rzuca już sama jaskrawe światło na sprawę, a dzisiaj pojawienie się rozprawy w przedmiocie prywatnego prawa polskiego należy do prawdziwych „wypadków“ w literaturze. Dodajmy do tego, że znaczna część istniejących monografij jest już przestarzałą, zarówno co do metody jak i dat źródłowych, które przez szereg nowych publikacyj w ostatnich dopiero czasach wzrosły znakomicie, a zrozumiemy całe ubóstwo literatury monograficznéj o polskiém prawie prywatném.

Rzeczy w całém tego słowa znaczeniu dobrych wyliczyć możnaby bardzo nie wiele. Nawet nowsze prace, jakie się w tym kierunku pojawiły, nie ze wszystkiém zdolne są uczynić zadość wymaganiom nauki; brak w nich częstokroć gruntowności, która jest pierwszym wymogiem każdéj pracy monograficznéj, a już zgoła uderza nas okoliczność, że niektórzy autorowie, zamiast sięgnąć do źródeł i z nich przysporzyć dla nauki jakąś nową zdobycz, wysnuwają swe wnioski z podręczników i podręcznikami uzasadniają swe twierdzenia! Zachodzi tu oczywiście grube nieporozumienie. Zamiast uważać podręczniki za to, czém są w istocie, za pierwszy wyraz naszéj nauki, uważają je oni najniesłuszniéj za wyraz ostatni, przyjmują twierdzenia tamże zawarte za prawdy ewangeliczne, nie chcąc czy nie mogąc zrozumieć, że nic tak nie szkodzi nauce, jak niesamodzielność badania i brak krytycznego zmysłu. Przy takiém postępowaniu, przeżuwającém do znudzenia niedostateczne wyniki dawniejszych badań, wprowadzimy w naukę to, czego się najbardziéj obawiać powinna: stagnacyą; rzeczywisty postęp wymaga skupionéj, samoistnéj pracy, któraby przynosiła nowe, coraz to doskonalsze rezultaty.

O dobrych rezultatach nie może być zresztą mowy, jeżeli w badaniu nie zastosujemy właściwéj metody, a i przeciw metodzie wykraczano u nas niejednokrotnie. Rozbierzmy tedy kwestyą tę, w ważniejszych przynajmniéj punktach, po szczególe, ażeby zdać sobie sprawę, na jakie tory badanie to skierować należy.

III.

Nie ma podobno prostszéj zasady w metodologii jakiéjkolwiek nauki nad tę, że nauka ta zachować się winna w swoich granicach, a zatém nie uronić niczego, co do jéj zakresu należy, z drugiéj zaś strony nie wciągnąć w system nic takiego, co przechodzi już w sferę innéj umiejętności. Lekceważenie téj reguły zaciemnia i gmatwa pogląd na rzecz, albo też nie daje wszechstronnego o niéj pojęcia, w każdym

zaś razie przedstawia ją w błędném świetle. W dotychczasowych pracach nad prawem polskiem nie zawsze przestrzegano ściśle téj zasady.

Nauka nasza przedstawić ma przedewszystkiem polskie prawo prywatne, a więc nie publiczne, ze wszystkimi jego odcieniami. Tymczasem już Ostrowski poświęca cały tom drugi swojego „Prawa cywilnego“ szczegółowemu skreśleniu organizacyi sądownictwa i procedury polskiéj, w tomie pierwszym obok zasad prawa prywatnego przedstawia całe ówczesne prawo karne. Dutkiewicz przy końcu swego podręcznika daje „Najogólniejszy rys postępowania sądowego cywilnego,“ a Burzyński prócz nader obszernéj i szczegółowéj historyi źródeł i literatury prawa polskiego w ogóle, zajmującéj niemal cały tom pierwszy jego podręcznika, kreśli jeszcze ogólnikowy zarys organizacyi sądownictwa polskiego. Nadto Dutkiewicz i Burzyński podają jeszcze w toku dzieła „Słowniczek wyrazów prawnych polskich“, który, sam w sobie oceniony, byłby wcale użytecznym, gdyby nie był bezprzykładnie defektownym, złożonym z wyrazów pozbieranych na chybił trafił, przytém w znacznéj części nie mających związku z prawem prywatném, bo odnoszących się do rozmaitych instytucyj publiczno-prawnych. Dają nam tedy autorowie więcéj, niż zapowiadają w tytułach; rzecz, z powodu któréj trudno im oczywiście robić wyrzuty, którą nawet wytłómaczyć można względami praktycznymi; miano tu bowiem widocznie na oku przedewszystkiem cel dydaktyczny książki, chciano początkującym adeptom nauki dać nietylko wiadomości z zakresu właściwego prawa prywatnego, ale i z tych działów prawa, które z niém w ściślejszym stoją związku. A jednak nasuwasię tu uwaga, że lepiéj przecież byłoby rzeczy te uczynić przedmiotem osobnych prac naukowych, nie zaś dawać nam zamiast wykładu prawa prywatnego istną „silva rerum“ z zakresu prawa polskiego w ogóle.

Wszakże nawet i w tych działach, które zdają się być poświęcone wyłącznie prawu prywatnemu, spotykamy nie mało ustępów, które treścią swoją należą gdzieindziéj, przedewszystkiem zaś do wykładu o prawie publicznéin. Są autorowie,

którzy (jak n. p. Bandtkie) mówiąc o wpływie różnicy stanów na zdolność prawną w sferze prawa prywatnego, podają obszerne wywody o rozwoju historycznym szlachty, mieszczaństwa, włościan, o organizacyi wewnętrznéj miast, o stanowisku publiczno-prawnem duchowieństwa, i t. p. Nie zaprzeczamy bynajmniéj związku, jaki w rozlicznych względach zachodzi między instytucyami prawa prywatnego i publicznego, rozumiemy, że chcąc zbadać pierwsze, trzeba niejednokrotnie wyjaśnić drugie, zaznaczamy jednak, że w takim razie te ostatnie uwzględniać należy tylko o tyle, o ile tego wymaga konieczna potrzeba zrozumienia urządzeń prywatno-prawnych; co ponad to wchodzi w wykład naszéj umiejętności, jest zbyteczną naleciałością, niepotrzebnym balastem. Cóż daléj sądzić, jeżeli n. p. Helcel pomiędzy uprawnieniami prawa p r y w a t n e g o, przysługującemi szlachcie, wylicza takie, jak: „neminem captivabimus, nisi iure victum,“ wolność od ceł skarbowych, przyznanie prawa azylu dworom i rezydencyom szlacheckim; cóż, jeżeli szereg podręczników podaje szczegółowe przepisy, kiedy następowało przedawnienie kary za rozmaite występki; cóż, jeżeli Bandtkie i przepisujący go tu niemal dosłownie Burzyński, mówiąc o cudzoziemcach, podają, że nie mogli dostępować dygnitarstw, ani urzędów, ani godności kapitulnych, że nie mogli być używani przez króla do rady, ani wysyłani w legacyach Rzpltéj do obcych mocarstw, że nie wolno im było zjeżdżać na elekcyą, ani służyć w przybocznéj straży króla; cóż wreszcie, jeżeli Ostrowski wyraźnie taką stawia teoryą, że prawo prywatne (cywilne) z trojakiego względu rozważyć i przedstawić ma stosunki wojskowości: 1) jak się żołnierz na stanowiskach i w marszu z obywatelmi zachować powinien; 2) jakie są prawa o werbunkach i dezerterach; 3) gdzie i jaką drogą na żołnierzu wykraczającym sprawiedliwości dochodzić należy (str. 110). Poprzestajemy na tych kilku oderwanych przykładach, ale zdaje nam się, że już one same wystarczą do przekonania, jak niedbale zakreślano granice naszéj nauce, wciągając w nią co chwila, bez uzasadnionych przyczyn, wiadomości z prawa politycznego,

karnego i t. p. Stosunkowo jeszcze najmniéj błędów w tym kierunku popełniają Dutkiewicz i Maciejowski.

Z drugiéj strony pomijają nasze podręczniki niejednokrotnie takie kwestye, których rozwiązanie do nich właśnie należy. Przejęci duchem uznanych dziś powszechnie teoryj prawnych, na nich przeważnie wykształceni, zwykliśmy każdéj gałęzi w nauce prawa takie zakreślać granice, jakie jéj zakreśla teorya dzisiejsza; co po za te granice wychodzi, odrzucamy jako nienależące do przedmiotu. Jest to postępowanie błędne. Odtwarzając system danego prawa, powinniśmy go pojmować w takich rozmiarach, w jakich go pojmowano współcześnie, kiedy prawo to było żywotném i obowiązującém. Mając tedy kreślić wykład polskiego prawa prywatnego, nie możemy z góry powiedzieć sobie, że w jego rozumieniu to tylko uważać można za instytucyą prywatno-prawną, co w dzisiejszéj teoryi za takową uchodzi; musimy raczéj postawić pytanie, czy granica pomiędzy prawem prywatnem a publiczném w rozumieniu czasów dawniejszych nie leżała gdzieindziéj, niż dzisiaj. Nie potrzebujemy wywodzić szeroko, że różnica taka istniała, tak dobrze w Polsce, jak zresztą i gdzieindziéj; wiadomo przecież, że dawniéj nadawano charakter prywatno-prawny wielu urządzeniom, które dzisiaj leżą już w sferze prawa publicznego. Nie mamy zamiaru wchodzić w dokładny rozbiór kwestyi téj ze stanowiska dawnego prawa polskiego; jest to jedno z ważniejszych, ale zarazem wielce trudnych pytań, które rozwiążą dopiero szczegółowe badania. Dla wyjaśnienia podamy tylko dwa przykłady. Dzisiaj stosunek pomiędzy panem a chłopem, o ile nie polega na jakimś osobnym fakcie, rodzącym prawo prywatne, jest stosunkiem prawa publicznego; dawniéj, w Polsce, był on niemal wyłącznie stosunkiem prywatno-prawnym. Brak praw obywatelskich, których poddanym przyznać nie chciano, nie dozwolił upatrywać w uregulowaniu tego stosunku interesu ogółu; przedstawia się on prawie tylko ze strony swéj prywatnéj, ze strony interesu pana. Stąd też pan postępował dowolnie z poddanymi, dochodził ich w razie ucieczki lub przesiedle-

nia się w inne strony tak dobrze, jak dochodzić mógł innych straconych lub zabranych sobie rzeczy; stosunek poddańczy stał się podstawą wytworzenia tak ciekawéj instytucyi prywatno-prawnéj, jak rękojemstwo kmieci, rozwiniętéj zwłaszcza bardzo szczegółowo w prawie mazowieckiém. Już stąd widać, że zakres dawniejszego prywatnego prawa polskiego wchodził niejednokrotnie w sferę, która dzisiaj niewątpliwie już należy do prawa politycznego. Najwybitniéj jednak objawia się ta chwiejność granic pomiędzy prawem prywatném a karném. W czasach dawniejszych w przestępstwie upatrywano w pierwszéj linii naruszenie interesu osobistego, prywatnego, w niektórych tylko razach naruszenie interesu ogółu, interesu państwa. Były wprawdzie zbrodnie, jak zdrada kraju, obraza Majestatu itp., które uważano zawsze jako zbrodnie publiczne, ale nie wszystko to było zbrodnią publiczną, co dzisiaj za takową uchodzi. Tam n. p. gdzie obecnie dopatrujemy się oszustwa, przeniewierzenia itp., widziano dawniéj tylko naruszenie cudzych praw majątkowych i nic więcéj, skutkiem czego też stosowano w takich razach zasady prawa prywatnego o odszkodowaniu, nie zaś jakiekolwiek przepisy karne. Te i tym podobne stosunki prawne wciągnąć należy koniecznie do wykładu o prawie prywatném; przedstawiając bowiem rzecz wyłącznie ze stanowiska dzisiejszéj teoryi, zacieramy charakter właściwy instytucyom dawniejszym, a zatém rozmijamy się z prawdą historyczną.

Zapominamy daléj niejednokrotnie, iż przedstawić mamy polskie prawo prywatne, a więc to tylko prawo, które jest samoistnym, rodzimym wytworem narodu polskiego, w którém naród ten złożył szereg właściwych sobie zapatrywań na stosunki prawne, na którém, krótko mówiąc, wycisnął pewne piętno indywidualizmu narodowego. Wiadomo zaś powszechnie, że w czasach dawniejszych, równie w Polsce jak i gdzieindziéj, nie zawsze samo tylko prawo rodzime miało zastosowanie; nieprzetarta jeszcze idea jedności prawa dozwalała, pod pewnymi warunkami, stosować także i prawa obce, skądinąd przejęte. To też prawo polskie, a prawo w Polsce obowiązujące nie są pojęciami identycznemi, bo

stosunki prawne urządzano u nas nie wyłącznie według prawa polskiego, ale częstokroć także i obcych. Działo się to zaś z dwojakiego powodu: bądź to ze względu na odrębne stanowisko poszczególnych stanów, bądź też ze względu na istotę danego stosunku prawnego. Ze względu na różnice stanowe przyznawano moc obowiązującą prawu kanonicznemu w stosunkach duchowieństwa, o ile nie chodziło o t. z. sprawy prawa ziemskiego; prawu niemieckiemu, w rozmaitych jego odcieniach, zwłaszcza zaś magdeburskiemu lub chełmińskiemu, w sprawach mieszczan; ze względu znowu na istotę danego stosunku stosowano prawo kanoniczne w sprawach małżeńskiego prawa osobowego (nie zaś majątkowego), i to bez żadnego wyjątku do wszystkich stanów wyznania katolickiego, do innych zaś wyznań odnośne prawo kościelne. Fakta te wystarczy zaznaczyć tylko w wykładzie, ale nie ma potrzeby przechodzić w nim szczegółowo odnośnych przepisów praw obcych. Niektóre podręczniki trzymają się też w istocie téj zasady, ale są i takie, które jéj nie uwzględniają. I tak Ostrowski, (jak zresztą w samym tytule swego dzieła zapowiada), rozbiera przy sposobności przepisy prawa kanonicznego, magdeburskiego i chełmińskiego; Bandtkie wywodzi bardzo szczegółowo zasady znanego sobie dokładnie prawa chełmińskiego, przyczem jest o tyle niekonsekwentnym, że wciągnąwszy w zakres swych badań jeden odłam obowiązującego u nas prawa niemieckiego, pomija milczeniem drugi, t. j. prawo magdeburskie. Burzyński, omawiając prawo małżeńskie, cytuje dosłownie kanony soboru trydenckiego, a przy téj sposobności w ekskursie, blisko 40 stron zajmującym, przeprowadza dowód, że uchwały soboru trydenckiego przyjęte zostały w Polsce, zastanawia się w ciągu tego ekskursu nad kompetencyą i nieomylnością soborów powszechnych, popierając twierdzenia swe całym szeregiem cytatów, zaczerpniętych z Pisma świętego! Takie zboczenia nie mają oczywiście żadnego celu racyonalnego. Jeżeli w Polsce w tym lub owym wypadku stosowano prawo obce, to dla zapoznania czytelnika z jego przepisami wystarczy odesłać go do dzieł przedstawiających takowe; ale

powtarzać rzeczy skądinąd znane, mącić czystość systemu właściwego prawa polskiego przytaczaniem obcych naleciałości, najmniejszéj nie ma potrzeby. Instytucye praw obcych wtedy, i jedynie tylko wtedy możnaby tu poddać bliższéj rozwadze, jeśli albo same, oddziaływając na prawo polskie, wywołały w niém jakąś zmianę lub przekształcenie, lub też uległszy wpływowi prawa polskiego, przybrały pod jego właśnie działaniem pewien odrębny kształt lub kierunek rozwoju.

Sprzeciwiając się niepotrzebnemu wciąganiu pierwiastków obcych do naszéj nauki, nie przemawiamy jednak bynajmniéj za tém, ażeby pomijać w niéj zupełnem milczeniem takie stosunki, w których wprawdzie z reguły rozstrzygały prawa obce, jeżeli wyjątkowo znalazły w nich zastosowanie przepisy prawne czysto polskie. Można się spotkać ze zdaniem, że prawo polskie obowiązywało wyłącznie tylko szlachtę polską, zdaniem, opartem zapewne na tém przypuszczeniu, że duchowieństwo miało swoje prawo kanoniczne, a mieszczaństwo niemieckie. Jest to zapatrywanie, które w całéj swojéj rozciągłości jest nieprawdziwém. Jeżeli prawo polskie obowiązywało tylko szlachtę, to przedewszystkiém pytamy: jakiemże prawem rządził się stan włościański? W osadach na prawie niemieckiém lokowanych obowiązywało wprawdzie niemieckie prawo; ale wiadomo, że przez pewien czas o kolonizacyi na tém prawie nie ma jeszcze mowy, jak również i to, że późniéj, z upadkiem autonomii wiejskiéj niemieckie prawo straciło zastosowalność. W pomnikach prawodawstwa naszego mamy cały szereg postanowień o stosunkach prawnych kmieci, jak n. p. o poszukiwaniu zbiegłych poddanych, o t. z. rękojemstwie kmieci, o zdolności ich do zaciągania zobowiązań, o dziedziczeniu po zmarłych kmieciach i t. p.; gdzież o tych przepisach mówić będziemy, jeżeli nie w polskiém prawie prywatném? Ale prawo to nie stosuje się nawet wyłącznie do szlachty i włościan tylko, owszem, częściowo także do duchowieństwa i mieszczaństwa. Konstytucye sejmowe przepełnione są licznymi przepisami o ograniczeniu zdolności osób duchownych co do posiadania i nabywania dóbr nieruchomych,

co do spadkobrania zarówno testamentowego jak i beztestamentowego, co do zarządu dóbr, będących własnością osób, które wstąpiły do zakonu; o mieszczanach znajdujemy już pod koniec wieku XV przepis téj treści, iż nie mają posiadać dóbr ziemskich ani na własność ani tytułem zastawu i t. d. Wszystkie te przepisy, zawierające w sobie pierwiastek prywatno-prawny, nie są przecież wzięte ani z prawa kanonicznego ani niemieckiego, choć się odnoszą do duchowieństwa i mieszczaństwa; wytworzyło je samo prawo polskie, czyniąc zadość stosunkom i potrzebom, jakie się w danéj chwili w narodzie naszym objawiły. Takie samoistne, rodzime objawy życia narodowego w sferze prawa wciągnąć należy koniecznie do systemu, jeżeli się go nie chce pozostawić niezupełnym, niewykończonym; zarazem zaś zerwać trzeba na zawsze z przekonaniem, jakoby różnica stanu rozstrzygała bezwzględnie i bez wyjątku o zastosowalności praw swojskich lub obcych.

Do tych dwóch zasad szczegółowo dotąd rozebranych, dodać należy jeszcze i trzecią: że teoryą prywatnego prawa polskiego tworzyć należy z norm i przepisów samegoż prawa polskiego, nie wprowadzając w nią samowolnie a bezpodstawnie doktryn skądinąd zaczerpniętych. I przeciw téj zasadzie wykraczano u nas niejednokrotnie. Ostrowski, hołdujący błędnemu wyobrażeniu, jakoby prawo rzymskie tchnęło ducha w instytucye prawa polskiego, jakoby nawet miało w Polsce znaczenie prawa posiłkowego, poświęca w każdym ustępie swego dzieła osobny wywód dla wyjaśnienia istoty prawnéj danéj instytucyi ze stanowiska prawa rzymskiego, potem zaś dopiero przechodzi zasady, jakie w téj mierze stworzyło prawo polskie. Jest to oczywiście tylko niepotrzebne rozszerzenie zakresu książki, które nauce naszéj żadnéj nie przynosi korzyści, ale przynajmniéj nieszkodliwe, bo sam autor, w zewnętrznéj nawet formie przedstawienia, odróżnia dokładnie oba pierwiastki, rzymski i polski. Trudniéj jednak usprawiedliwić go tam, gdzie zapatrzony w prawo rzymskie, rozwiązuje z ducha jego postanowień niektóre zagadnienia prawa polskiego, o ile nie znalazł co do nich odpowiedzi w naszych

statutach i konstytucyach. Tutaj oczywiście rzecz schodzi już na grunt zasadniczy: wprowadzenie zasad, obcych naszemu prawu i nie mających w niém rzeczywistego zastosowania, daje błędne o niém wyobrażenie. W inny sposób przedostały się zasady prawa rzymskiego do dzieła Helcla. Helcel — zgodnie zresztą z prawdą — nie przyznaje prawu temu znaczenia w Polsce, nie wciąga jego postanowień w zakres swojego badania, ale użytkując z pism dawniejszych prawników polskich, jak Przyłuskiego, Dreznera i innych, którzy wykształceni na wzorach rzymskich, czerpali z nich niejednokrotnie obfitą dłonią, przenosi zapatrywania ich do wykładu o prawie polskiem, nie przeprowadzając bynajmniéj analizy, co w zapatrywaniach tych jest elementem swojskim, a co obcym. Z szczególném znowu zamiłowaniem propaguje Bandtkie w umiejętności naszéj idee prawa niemieckiego. Zaznaczywszy, że w Polsce istniały lenności, podaje zasadnicze prawidła niemieckiego prawa lennego; podobnież omawiając prawo bliższości, wywodzi szczegółowo zasady niemieckiego retraktu, w obu zaś wypadkach zestawia dodatkowo odnośne przepisy prawa polskiego, jak gdyby to były normy uzupełniające tylko teoryą, żywcem z prawa niemieckiego przyjętą. Jest to postępowanie błędne. Stwierdziwszy bowiem, że w Polsce istniała pewna instytucya prawna, któréj podobną spotkać można w prawie obcem, nie wolno stąd jeszcze wyciągać wniosku, że to prawo obce dało nam odnośne przepisy; trzeba się raczéj zapytać, jak prawo nasze daną instytucyą ukształtowało i z przepisów jego wysnuć wnioski naukowe. Wciąganie zasad prawa obcego dałoby się tylko wtedy usprawiedliwić, gdyby można wykazać, że zasady te przyjęte zostały w Polsce, co w obu przywiedzionych poprzednio wypadkach nie nastąpiło; owszem, co do lenności, jakkolwiek niewątpliwie wzięte one zostały z wzorów zachodnich, istniało jednak postanowienie, nakazujące do nich stosować wyłącznie przepisy prawa krajowego (1573). Byłby się też Bandtkie zasłużył niewątpliwie lepiéj około naszéj nauki, gdyby był te przepisy szczegółowo rozebrał i wyjaśnił, niż to mógł uczy-

nić, streszczając bezmyślnie podręczniki prawa niemieckiego. Te same mniéj więcéj uwagi zastosować się dadzą do niektórych ustępów dzieła Burzyńskiego. Burzyński jest wielkim lubownikiem ekskursów, nie należących do przedmiotu. Co chwila spotykamy się u niego z wywodami, i to wcale obszernymi, z dziedziny filozofii prawa, ogólnéj teoryi prawa politycznego i t. p. I tak n. p. w nauce o prawie małżeńskiém rozwodzi się szeroko o istocie i znaczeniu małżeństwa i o jego sakramentalnym charakterze; kwestya, jakie prawo regulować ma stosunki małżeńskie, świeckie, czy kościelne, podaje mu sposobność do nie mniéj obszernego wywodu o stosunku Kościoła do państwa i o granicach władzy obojga, przyczém autor, oświadczywszy się za koniecznością poddania spraw małżeńskich pod jurysdykcyą duchowną, nie może ochłonąć z podziwu nad mądrością prawodawstwa polskiego, że kwestyą tę w taki sam sposób rozstrzygnęło. Mniejsza jednak o takie ustępy; jakkolwiek bowiem nie posuwają naprzód ani nauki prawa polskiego, dla tego, że do niéj nie należą, ani innych nauk, z których wzięte zostały, dla tego, że im żadnéj nowéj nie przysparzają myśli, to przynajmniéj są nieszkodliwe, bo każdy czytający potrafi je z łatwością wydzielić jako rzecz nie należącą do przedmiotu. O wiele niebezpieczniejsze są te ustępy, w których autor, sięgając do zasad dzisiejszéj cywilistyki, wtłacza je w system i przedstawia jako normy prawa polskiego. Wystarczy tu jeden tylko, ale dosadny przykład. Rozbierając kwestyą t. z. międzynarodowego prawa prywatnego, zaznacza Burzyński, iż pod tym względem prawo polskie, prócz kilku luźnych postanowień, (których nawet nie zadaje sobie pracy streścić) nie postawiło żadnéj ogólnéj teoryi; że zatem pytania, nasuwające się w tym kierunku, rozstrzygnąć należy według prawideł, które szczegółowo rozprowadza, a które nie są niczém inném, jak tylko reprodukcyą znanéj teoryi Savignyego. Zdanie to czyni wrażenie, jakoby w Polsce intuicyjnym duchem odgadnięto i zrealizowano dawno już przedtem myśli wielkiego prawnika. Rzecz miała się jednak wcale inaczéj. Prawo polskie rozstrzygnęło całą

sprawę międzynarodowego prawa prywatnego jednėm ogólnėm postanowieniem, które wielce się różni od teoryi Savignyego, postanowieniem, że cudzoziemcy mają się sprawować... „iuxta leges et consuetudines Regni[1]),“ co w obec ogólnikowéj stylizacyi téj ustawy nie znaczy nic innego, jak tylko, że do cudzoziemców prawo krajowe bezwzględnie i we wszystkich razach ma być stosowaném. Pewnych modyfikacyj doznała ta zasada skutkiem kilku innych szczegółowych postanowień, zwłaszcza tych, które zawarły traktaty międzynarodowe z ostatnich czasów istnienia Rzpltéj; ale i w tych postanowieniach szukalibyśmy napróżno bezwzględnego urzeczywistnienia teoryi Savignyego. W ogóle Burzyński wprowadza zanadto wiele pojęć nowoczesnych w wykład naszego prawa; co chwila spotkać się można u niego z wywodami zaczerpniętymi z dzisiejszéj cywilistyki; niekiedy wystarczają mu one tak dalece, że podawszy je, nie uważa nawet za stosowne (jak n. p. w dziale o osobach prawnych) wyjaśnić przynajmniéj dodatkowo odnośnych postanowień prawa polskiego. Postępowanie takie jest niezawodnie bardzo wygodne, dozwala bowiem łatwą pracą zaokrąglić system w tych kierunkach, w których rozwinięcie zasad prawa polskiego wymagałoby może bardziéj skupionego badania; z drugiéj jednak strony mąci ono właściwy pogląd na stosunki prawne, a zarazem zbytnio je, a niezgodnie z prawdą, modernizuje.

IV.

Mówiąc o zakresie i granicach naszéj nauki, niepodobna nam tu pominąć jednego jeszcze nader ważnego pytania: czy i o ile, a następnie w jakim zakresie uzasadnionym jest w wykładzie prawa polskiego bliższy rozbiór praw partykularnych, dawniéj w Polsce istniejących. Gdyby jedynym argumentem, mającym przemawiać za koniecznością tego rozbioru, była tylko okoliczność, że prowincye podległe prawom partykularnym należały do składu Rzpltéj; gdyby natomiast insty-

[1]) Konstytucya z roku 1638, Vol. leg. III, 810.

tucye prawa tamże obowiązującego różniły się zasadniczo od instytucyj czysto-polskich, natenczas oświadczylibyśmy się stanowczo przeciw temu; wychodzimy bowiem z zapatrywania, raz już zaznaczonego, że wykład prawa polskiego powinien objąć tylko to, co naród polski w sferze prawa samoistnie z siebie wytworzył, czy też, przejąwszy skądinąd, w duchu własnych zapatrywań wykształcił i rozwinął. Z tego punktu widzenia rzecz oceniając, rozumiemy dobrze, że w wykładzie tym nie ma miejsca dla norm obowiązujących n. p. w Inflantach, które tamże konstytucyą z roku 1589[1]) wprowadzone zostały, pomimo, że prowincya ta wchodziła w skład państwa polskiego; rzeczona konstytucya stanowi bowiem wyraźnie, że w Inflantach obowiązywać ma prawo magdeburskie albo saskie (w procedurze i organizacyi sądownictwa prawo pruskie). O ile jednak chodzi o inne prawa partykularne, jako to: mazowieckie, litewskie i t. z. korrekturę pruską, to wiadomo, że wszystkie one tchną jednym i tym samym duchem, co polskie prawo powszechne; różnice, jakie obustronnie zachodzą, dotyczą tylko szczegółowéj konstrukcyi pojedyńczych urządzeń, nie wchodząc w sferę idei zasadniczych. Bliżéj rzecz rozpatrując, nie potrzebujemy nawet szczegółowo wywodzić przyczyn istotnych, które wpłynęły na analogią między prawem mazowieckiém a polskiém; wynikła ona już z saméj jedności etnograficznéj, jaka pomiędzy plemieniem Mazowszan a innemi plemionami polskiemi zachodziła; różnice w szczegółach pomiędzy obu prawami utrzymały się tylko skutkiem odrębnego politycznego rozwoju Mazowsza aż do pierwszéj połowy wieku XVI, a pochodziły częściowo zapewne jeszcze z zamierzchłych czasów przedhistorycznych, w których poszczególne plemiona lechickie stanowiły odrębne dla siebie całości, zorganizowane może nawet w odrębne polityczne ciała. Co do ziem pruskich, wiadomo, że w chwili przejścia pod rządy krzyżackie używały one prawa polskiego, a nawet późniéj, już pod obcem berłem, zastrzeżono dla nich począt-

[1]) Vol. leg. II, 1265.

kowo używanie tegoż prawa (r. 1249). Siła stosunków faktycznych i wpływ rządów zakonnych wywołały tu jednak w czasie stosunkowo krótkim ważne zmiany; zaczęła się rozszerzać moc obowiązująca rozmaitych gałęzi prawa niemieckiego, wypierając coraz to bardziéj znaczenie prawa polskiego, tak, że kiedy w roku 1454 przyszło do ponownéj inkorporacyi Prus do Polski, Kazimierz Jagiellończyk, zatwierdzając w akcie inkorporacyjnym prawa tamże istniejące, wyszczególnia pomiędzy niemi obok polskiego, nadto jeszcze chełmińskie, magdeburskie i „pruskie.“ Reakcya na korzyść prawa polskiego, choć teraz łatwą była do przewidzenia, nie nastąpiła jednak natychmiast; owszem, kiedy w r. 1476 przyszło do ujednostajnienia prawa w ziemiach pruskich, przyznano moc obowiązującą prawu chełmińskiemu (z wyjątkiem trzech miast, które zastrzegły sobie prawo lubeckie). Dopiero w r. 1598 uzyskała szlachta pruska nowy kodeks pod tytułem: „Ius terrestre nobilitatis Prussiae,“ znany powszechnie pod nazwą Korrektury pruskiéj, oparty przeważnie na zasadach prawa polskiego. Jak dalece korrektura odpowiadała duchowi tegoż prawa, niech udowodni fakt, że gdy późniéj spostrzeżono się, iż w konstytucyach koronnych nie dostaje szczegółowych przepisów o prawie spadkowém, nie wahano się odnośnych postanowień korrektury uznać za normę obowiązującą w całéj Koronie. W końcu co do Litwy przyznać wprawdzie trzeba, że kraj ten przed unią z Polską rozwijał się odrębnie i samodzielnie, że prawo jego z tych czasów nie dałoby się związać w jakąś ściślejszą organiczną całość z prawem polskiém; od czasu jednak dokonanéj unii wyższość cywilizacyi polskiéj oddziaływa tak skutecznie na Litwę, że, podobnie jak w innych kierunkach życia narodowego, tak też i w zakresie prawa, sprowadza tam w przeciągu stosunkowo krótkiego czasu istny przewrót, urządzając i upodabniając wszystkie ważniejsze stosunki na wzór i modłę polską. Nigdzie może bardziéj nie widać tego stopniowego wpływu Polski na Litwę, jak przedewszystkiém w całym szeregu t. zw. przywilejów ziemskich, wydawanych dla Litwy przez ciąg wieku XV

i w początku XVI, następnie zaś w trzech statutach litewskich, z których każdy coraz to więcéj przejmuje myśli przewodnich z prawa polskiego.

Gdy tedy we wszystkich trzech wspomnianych tutaj prowincyach częścią od samego początku, częścią skutkiem późniejszych zmian dziejowych, istniało i obowiązywało prawo polskie, zabarwione tylko z lekka pewnym odcieniem partykularyzmu, przeto bliższy jego rozbiór w wykładzie prawa polskiego w zupełności da się uzasadnić i usprawiedliwić. Jeżeli też w pracach dotyczących naszego przedmiotu spotykamy wywody o prawie mazowieckiém, litewskiém i korrekturze pruskiéj, to jest to rzecz, na którą godzimy się najzupełniéj; nie możemy tylko zgodzić się na sposób naukowego praw tych badania, jaki tamże przeprowadzonym został. Analizując jakiekolwiek prawo partykularne, o dwie rzeczy chodzić nam powinno głównie i przedewszystkiém: o zaznaczenie stosunku jego do prawa powszechnego i o wyświecenie tych zasad, któremi się ono różni od niego, czyli o wyśledzenie pierwiastku indywidualnego w prawie partykularném. Świadomość tego zadania mieli niezawodnie wszyscy piszący, tylko nie przeprowadzili go ściśle; podnoszą wprawdzie szczegółowe właściwości każdego z tych praw partykularnych, ale nie wyczerpują ich wcale, co większa, nie wybierają przynajmniéj najważniejszych, najbardziéj charakterystycznych; szczegóły przez nich zaznaczone czynią wrażenie, jak gdyby autorowie pozbierali je tylko przypadkowo, na chybił trafił, bez bliższego wglądnięcia w odnośny materyał źródłowy, bez należytego przetrawienia go. Przytém rzadko kiedy zadają sobie pracę, ażeby wyjaśnić zasadniczo stosunek postanowień prawa partykularnego do powszechnego; wiadomości, podane przez nich w téj mierze, zdają się być tylko luźnym przyczepkiem, dodanym do wykładu o prawie polskiém. Nie jest to oczywiście sposób, w który obie kategorye praw, powszechne i partykularne, dałyby się przedstawić w organicznym ze sobą związku, jaki w rzeczywistości między niemi zachodził. Owa powierzchowność, którą już poprzednio mieliśmy sposobność wytknąć

w pracach poświęconych naszemu przedmiotowi, daje się tu znowu odczuwać, i to w sposób bardziéj może dotkliwy, niż gdzieindziéj. Ale zarazem usprawiedliwia ją ta sama co i poprzednio okoliczność: brak odpowiednich prac przygotowawczych. Jak w innych kierunkach, tak też i tutaj, piszący ograniczeni byli niemal zupełnie na własne siły; jak gdzieindziéj, tak i tutaj musieli sobie sami torować drogę w badaniu. Wyjaśnić stosunek praw partykularnych do powszechnego trudno będzie tak długo, dopokąd o każdém z nich nie będziemy posiadali szczegółowych, wyczerpujących monografij, których właśnie brakło u nas prawie w zupełności. Rozprawka Czackiego: „O prawach mazowieckich“ nie mogła oczywiście wystarczyć ani na chwilę, zwłaszcza, o ile chodziło o prawo prywatne; bardzo nielicznych pytań z zakresu prawa litewskiego i korrektury pruskiéj dotknęło kilka, nie zawsze udatnych monografij. Trudno było w istocie z tego niewystarczającego materyału przygotowawczego użytkować z powodzeniem. W najnowszych dopiero czasach objawił się zwrot ku lepszemu; posiadamy już systematyczne i szczegółowe opracowanie prawa mazowieckiego, dokonane przez Karola Dunina w dziele: „Dawne prawo mazowieckie“[1], które obszerny dział poświęca także prawu prywatnemu. W dalszéj pracy nad prawem polskiém prywatném dzieło to, lubo nie jest jeszcze ze wszech miar wyczerpującém i brakuje mu gdzieniegdzie tego, co nazywamy dokładnością monograficzną, odda niezawodnie znakomite usługi; życzyćby sobie należało, iżbyśmy się doczekali jak najprędzéj podobnych opracowań prawa litewskiego i korrektury pruskiéj.

Uwagi powyższe nie wyczerpują jednak całéj poruszonéj tu kwestyi właściwości partykularnych prawa polskiego.

Jak gdzieindziéj, tak też i u nas pojawia się w historycznym rozwoju prawa tendencya do pewnego ujednostajnienia jego zasad, do usunięcia odrębności partykularnych, jedném słowem, do przeprowadzenia w obrębie całego państwa idei

[1]) Warszawa, 1881.

jedności prawa. Tendencya ta nie została wprawdzie przez cały ciąg istnienia Rzpltéj urzeczywistnioną w zupełności; aż do samego końca zachowały moc obowiązującą statut litewski trzeci i korrektura pruska wraz z szeregiem późniejszych konstytucyj sejmowych, wydanych osobno dla Litwy i ziem pruskich, jako samoistne prawo partykularne; w każdym razie jednak tendencya ta przyniosła ze sobą pewne, lubo połowiczne rezultaty. Dość przypomnieć losy prawa mazowieckiego, które w początkach rządów Stefana Batorego w zupełności usuniętém zostało, a na jego miejsce wprowadzoném na Mazowszu polskie prawo powszechne, z zachowaniem nielicznych tylko przepisów, wziętych z dawnego prawa mazowieckiego, a zebranych w t. zw. Exceptach mazowieckich. Zresztą sam nawet fakt pojawienia się statutów litewskich i korrektury pruskiéj jest również dowodem rzeczonéj dążności do ujednostajnienia prawa; ustawy te bowiem, jakkolwiek zachowały jeszcze pewne odrębności, stwarzały w każdym razie normy więcéj zbliżone do zasad prawa polskiego powszechnego, niż te, jakie obowiązywały poprzednio w odnośnych prowincyach. Stąd zaś nasuwa się nam już samo z siebie pytanie, czy kierunek ten, zmierzający do unifikacyi prawa, jest wyłącznie tylko owocem kilku ostatnich stuleci istnienia państwa, czy też może objawił się on jeszcze wcześniéj, nie bez pewnych rzeczywistych skutków? Jeśli zaś na pytanie to odpowiemy twierdząco, to zaraz nasunie się nam inne: czy też dawniéj nie istniało więcéj jeszcze odcieni partykularnych w obrębie naszego prawa, które skutkiem dążności do jego zjednoczenia dopiero z czasem usunięte zostały?

Rozważmy bliżéj jeszcze kilka innych względów, a rzecz ta wyjaśni się nam w zupełności. Każdy naród, już w najodleglejszéj dobie swojego bytu, wytwarza pewien zasób norm, pewien systemat prawny, który dalszym pokoleniom i wiekom do odpowiedniego przekazuje kształcenia i rozwoju. Badając urządzenia prawne tegoż narodu, musimy tedy zawsze pamiętać o tém, że mamy do czynienia z rozlicznemi instytucyami, sięgającemi zarodkiem swym w prastare, przedhistoryczne

czasy. Instytucye te będą w całym narodzie jednolite, jeżeli w pierwotnéj dobie swojego istnienia tworzył on także ścisłą, jednolitą całość; jeżeli natomiast rozpadał się na pomniejsze odłamy, rozwijające się do pewnego stopnia samoistnie, natenczas wprawdzie myśl przewodnia jego urządzeń prawnych może być ta sama, ale w szczegółowém ich ukształtowaniu zachodzić będą różnice. Myśl przewodnia jednolitą będzie dla tego, że w całym narodzie, choćby nawet podzielonym na odrębne części, działa zgodnie pewna suma jednakowych czynników tworzących prawo; różnica w szczegółowém ukształtowaniu pojedyńczych instytucyj prawnych wynika znowu stąd, że każdy odłam narodu rozwija się wśród pewnych odrębnych warunków, wpływających na to ukształtowanie. Stosując tę zasadę do naszéj nauki, a zarazem uwzględniając wyniki najnowszych badań, które wykazały, iż przed powstaniem państwa polskiego poszczególne plemiona polskie zachowały pewną dla siebie odrębność, niektóre nawet stanowiły osobne polityczne całości, możemy przypuścić, że u każdego z tych odrębnych plemion wyrobić się musiały już w dobie pierwotnéj pewne właściwości partykularne w zakresie prawa. Trudno nam twierdzenie to poprzeć przekonywującymi dowodami źródłowymi, dla tego, że ich nie ma; w każdym razie jest to hipoteza, uzasadniona samą naturą rzeczy. Po dokonanéj konsolidacyi państwa, właściwości te partykularne, jeżeli nie ze wszystkiém, to w każdym razie częściowo przez jakiś czas utrzymać się jeszcze mogły, następnie zaś po przeprowadzonym w pierwszéj połowie wieku XII podziale, który wytworzył znowu liczne, samodzielne państewka polskie, znalazły one w odrębności politycznéj tychże państewek nowy żywioł do odrębnego rozwoju. Tutaj już przechodzimy na grunt, gdzie nam nie zabraknie wyraźnych świadectw na stwierdzenie tego zapatrywania. Przeprowadzone w ostatnich czasach badania nad prawem polskiém XIII wieku zaznaczają w rozlicznych kierunkach pewne różnice szczegółowe w kształtowaniu instytucyj prawnych w Małopolsce, Szląsku, Wielkopolsce i Mazowszu. Różnice te nie zatarły się ze wszystkiém nawet

po dokonaném powtórnie zjednoczeniu państwa polskiego. Czemże jest statut wielkopolski Kazimierza Wielkiego, jeżeli nie sankcyą partykularyzmu prawa w Wielkopolsce? Cóż ma znaczyć fakt, że niektóre przywileje, jak n. p. statut nieszawski, wychodzą w kilku odrębnych, w szczegółach odmiennych redakcyach, z których każda obowiązywać ma pewne tylko terytoryum? Czémże są znane „Consuetudines Cracovienses“ z roku 1505, jeżeli nie zbiorem pewnych właściwości partykularnych, obowiązujących w Małopolsce, zwłaszcza zaś w województwie krakowskiém? Przeglądnijmy średniowieczne zapiski sądowe wielkopolskie, choćby w tak niedostatecznéj ilości, w jakiéj nam dotąd są znane, i porównajmy je z treścią zapisek, zawartych w księgach małopolskich z tych czasów, a zrozumiemy, w ilu to kierunkach rozbiega się między sobą praktyka sądowa obojga prowincyj! Z postępem czasu różnice te po części się zacierają; wytwarza się, w ogóle biorąc, pewien wspólny systemat prawny, przybierający charakter prawa powszechnego, wobec którego utrzymują się już tylko jako prawa partykularne: litewskie, pruskie, wreszcie mazowieckie, o ile jeszcze utrzymało się w eksceptach. Ale rozbiór tych praw nie przedstawi nam jeszcze wszystkiego, co w ciągu dziejów stanowiło element partykularny w prawie polskiém; nauka nasza musi w tym kierunku rozszerzyć zakres swych badań i ująć także te jego odrębności, które istniały poprzednio, lubo wcześniéj zatarte zostały. Szczególniejszą uwagę należałoby zwłaszcza poświęcić prawu wielkopolskiemu, o którém podręczniki nasze niemal zupełnie milczą, podając co najwięcéj rozbiór statutu wielkopolskiego Kazimierza Wielkiego.

V.

Był czas, kiedy w nauce naszéj wcale popularném było zdanie, że prawo polskie początek swój wzięło z jakichś pierwiastków obcych, że w zasadniczém kształtowaniu instytucyj prawnych oparło się na systematach skądinąd zaczerpniętych.

Przypadkowe podobieństwa między prawem polskiém a innemi prawami dały pochop do tych przedwczesnych twierdzeń, a że podobieństwa te dały się odszukać w rozmaitych prawach, przeto też z różnych stron wyprowadzano jego początki Jedni wywieść chcieli prawo polskie z normańskiego, inni z rzymskiego, lub przynajmniéj przyznawali rzymskiemu znaczenie prawa posiłkowego w Polsce; pomiędzy obu obozami powstał nawet z tego powodu spór naukowy, w którym każda ze stron walczących o tyle miała najzupełniejszą słuszność, o ile zaprzeczała zdaniu przeciwników, ale żadna nie dotknęła prawdy, o ile stawiła pozytywne w téj mierze twierdzenia od siebie.

Nie mamy bynajmniéj zamiaru wznawiać tu rzecz dawno już załatwioną i zapomnianą; pragnęlibyśmy tylko do wzmianki o téj sprawie nawiązać kilka uwag zasadniczych. Prawo danego narodu nie jest nigdy stosunkiem na wskróś oderwanym, niezależnym i niezwiązanym z innymi objawami życia narodowego, owszem, jest ono tylko prostym ich wynikiem. Charakter i usposobienie narodu, warunki miejscowe, wśród których naród ten się rozwija, pojęcia religijne i obyczajowe, stopień i kierunek cywilizacyi, stosunki ekonomiczne i tym podobne czynniki wpływają rozstrzygająco na treść i rozwój prawa, bo prawo nie jest przecież celem samo w sobie, ale środkiem do urządzania pewnych stosunków w życiu narodu, do których też zastosować się musi. Ponieważ czynniki tworzące prawo są u poszczególnych narodów rozmaite, ponieważ grupują się wzajemnie w różnoraki sposób i z rozmaitém działają natężeniem, przeto rzecz jasna, że treść i rozwój rozmaitych praw muszą być także rozmaite, że każde z nich nosić musi na sobie pewne piętno indywidualizmu. W pojęciu i urządzeniu stosunków prywatno-prawnych więcéj może — jak to poniżéj wykażemy — zbliżają się do siebie prawa rozmaitych narodów, w każdym razie jednak zachodzą i tutaj ważne w szczegółach różnice, wytworzone pewną odrębnością warunków, wśród których każde prawo się rozwija, wyciskających na niém również wspomniane znamię indywidualizmu.

Twierdzenie, że jedno prawo oparło się w zupełności na innem, jest tedy wielce niebezpiecznem; bo w takim razie pozostają do przypuszczenia dwie tylko możliwości: albo naród przyjmuje obce prawo, pomimo że ono nie odpowiada jego stosunkom, co byłoby niedorzecznem, i — przynajmniéj trwale — nie dałoby się urzeczywistnić; albo przyjmuje obce prawo dla tego, że ono stosunkom tym odpowiada, co znowu jest niemożliwém dla tego, że niepodobna znaleść dwa narody, któreby się rozwijały wśród warunków zupełnie tych samych. Recepcya prawa obcego, jak n. p. rzymskiego w Niemczech, jest faktem wyjątkowym i da się uzasadnić wyjątkowymi stosunkami, które fakt ten przygotowały; w Polsce istotnych przyczyn takiéj recepcyi historya nie wykazuje. Możliwém byłoby tu chyba przypuszczenie, że obce prawo narzuconem zostało gwałtem narodowi polskiemu; z tego punktu widzenia dałby się mianowicie przeprowadzić wywód prawa polskiego z normańskiego, bo wiadomo, że istnieją hipotezy naukowe, które genezę naszego państwa tłómaczą najazdem ludów normańskich albo wprawdzie słowiańskich, ale przesiąkłych kulturą normańską. Hipotezy te nie mogą tu jednak rozstrzygać, albowiem nie zostały dostatecznie poparte i uzasadnione, a nadto wiele względów przemawia stanowczo przeciwko ich przyjęciu. Przypadkowe analogie, jakie pomiędzy prawem polskiém a innemi zachodzą, nie upoważniają jeszcze do wywodu jego z pierwiastków obcych, analogie takie znajdziemy bowiem wszędzie, pomiędzy najrozmaitszemi prawami, które rozwijać się mogły na wskroś samoistnie, niezależnie od wpływów zewnętrznych.

Poczytujemy to za prawdziwą zaletę większości naszych prac naukowych, że zerwały stanowczo z tém niewczesném wyszukiwaniem obcych systematów jako podstawy naszego prawa, że badają je jako rodzimy, samoistny wytwór życia narodowego, którym też prawo to, w ogóle biorąc, było w rzeczywistości. Nie idzie jednak za tém, jakobyśmy z téj zasady ogólnéj wyprowadzać chcieli wnioski, dające się zastosować do wszystkich bez wyjątku szczegółów. Odrzucając teoryą,

jakoby prawo polskie oparło się w całości na jakiémś obcém, nie przesądzamy jeszcze kwestyi, czy i o ile pewne poszczególne jego instytucye nie zostały skądinąd zaczerpnięte. Możliwość taka, jak gdzieindziéj, tak też i w Polsce zaprzeczyć się nie da. Narody i państwa nie żyją przecież w zupełném od siebie odosobnieniu; zostając we wzajemnych stosunkach, oddziaływają też nawzajem na siebie, i to równie dobrze w dziedzinie prawa, jak i w jakimkolwiek innym kierunku. Im ściśléj zwiążą się te stosunki, im dłużéj i trwaléj istnieją, tem silniejszém i skuteczniejszém będzie oddziaływanie. W wypadkach takich przejęcie jakiéjś instytucyi z prawa obcego nie jest wykluczoném, zwłaszcza jeżeli instytucya ta odpowiada potrzebom i warunkom bytu narodu przejmującego, lub przynajmniéj nie stoi z niemi w sprzeczności. Zapożyczona z obcego świata, zachowuje ona w prawie nowém bądź to dawniejszy swój kształt niezmieniony, bądź też ulega pewnym zmianom, ażeby się zastosować do nowego organizmu prawnego, w którego skład weszła. Takie instytucye obce znaleść można także i u nas. Ażeby dotknąć bliżéj tylko sfery prawa prywatnego, o które nam tu przedewszystkiém chodzi, dość wspomnieć o zakazie pobierania procentów od zawierzonego kapitału, jako niedozwolonéj lichwy, który się u nas przez jakiś czas utrzymywał, a przeszedł niezawodnie z teoryi prawa kanonicznego; dość wspomnieć o stosunkach lennych, które przeszły z Niemiec, lubo w konstrukcyi prawnéj doznały u nas pewnych modyfikacyj; prawdopodobném jest też, że instytucya widerkaufów przejętą została także z prawa niemieckiego, na co zdawałaby się wskazywać sama jéj nazwa; być może wreszcie, iż hipoteka jako forma zastawu na nieruchomościach pochodzi również z obczyzny, pierwotnie bowiem prawo polskie znało tylko zastaw użytkowy na nieruchomościach. Są to tylko oderwane przykłady, którymi nie myślimy wyczerpnąć przedmiotu; wystarczą one jednak do stwierdzenia prawdziwości postawionéj poprzednio tezy. Stosunek instytucyj rodzimych do obcych, z jakiemi się u nas spotykamy, jest wprawdzie tak przeważającym, że

nie ma powodu rozpaczać o samodzielności prawa polskiego; zawsze jednak szereg urządzeń, zaczerpniętych skądinąd, nadaje prawu temu pewne właściwe zabarwienie, którego bliższy rozbiór rzucić może wiele ciekawego na umiejętność naszę światła. Rozbiór ten wykaże, w jakim kierunku wpływ praw obcych najskuteczniéj na nas oddziaływał, wyjaśni tyle ważną kwestyą, które z praw tych najwięcéj się na urządzeniach naszych odbiło, umożliwi wreszcie właściwy pogląd na każdą instytucyą z osobna, bo oczywiście rozmaicie ją będziemy oceniali i wyjaśniali, w miarę tego, jak wypadnie odpowiedź na pytanie przedwstępne: czy instytucya ta jest z gruntu swojską, czy też przejętą z prawa obcego.

Otóż zaznaczyć należy, że w kierunku tym nauka nasza bardzo mało dotąd zdziałała. Pomijano kwestyą albo w zupełności, albo omawiano ją dorywczo, powierzchownie, nie starając się ogarnąć ani całości pytania, ani też zgłębić go należycie; przyszłe badanie naukowe ma tu więc do spełnienia ważne jeszcze zadanie. Badanie to będzie nadto musiało sprostować błędy, jakie w tym względzie popełniono u nas dotychczas, i to w dwojakim kierunku. Zdarzało się przedewszystkiém, że autorowie, stwierdziwszy obce pochodzenie danéj instytucyi prawnéj, zastosowywali do niéj te zasady, jakie w prawie obcém obowiązywały, nie pytając się, czy i o ile doznały one przeobrażenia w prawie polskiém. Jest to postępowanie, na które żadną miarą zgodzić się niepodobna, ile że fakt obcego pochodzenia instytucyi nie rozstrzyga jeszcze sam przez się o jéj konstrukcyi w przejmującem ją prawie; prawo to, stosując ją do własnych potrzeb i własnych urządzeń, może ją odpowiednio zmienić i przekształcić. Te zmiany i przekształcenia uwydatnić ma z naciskiem nauka prawa polskiego. Zdarzało się daléj, że wywodzono niektóre instytucye z praw obcych, pomimo że w rzeczywistości były to rzeczy rodzime, a to, opierając się na podobieństwie, jakie zachodziło pomiędzy niemi a urządzeniami obcemi. I tutaj popełniano błąd zasadniczy, bo podobieństwo to nie rozstrzyga jeszcze samo przez się o genezie danéj instytucyi. Pomiędzy

prawami poszczególnych narodów zachodzą wielorakie analogie, wszakże nie dla tego, iżby jedno wywodziło początek od drugiego, tylko dla tego, że jeden lub kilka czynników, wpływających na treść prawa, działa u nich niejednokrotnie w jednym i tym samym kierunku, w jeden i ten sam sposób; skutkiem czego też wywołać muszą analogiczne rezultaty w zawisłéj od siebie dziedzinie prawa. Opierać na tem wywody genetyczne nie jest tedy rzeczą ze wszech miar bezpieczną. Czasami wprawdzie analogia wystarczy sama przez się do stwierdzenia, że instytucya pochodzi z prawa obcego, wtedy zwłaszcza, jeżeli się da wykazać, że w formie, w jakiéj ją spotykamy, nie dałaby się wyprowadzić ze stosunków bytu danego narodu, że więc nie może być samoistnym jego wytworem; jest to jednak kryteryum, które rzadko z bezwzględną pewnością da się zastosować; z reguły trzeba tu wciągnąć w rachubę inne jeszcze motywa przemawiające za pochodzeniem obcém, i dopiero po wszechstronném zbadaniu wszystkich okoliczności, przemawiających za hipotezą i przeciw niéj, wydać ostateczny sąd naukowy. Tylko w ten sposób da się w nauce naszéj uzyskać owa pożądana ścisłość, bez któréj o prawdziwym jéj postępie mowy być nie może.

Jeżeli ważném jest wyjaśnienie pytania, o ile pierwiastki obce przeszły do naszego prawa, to ważniejszym jeszcze jest rozbiór kwestyi, o ile przejawiają się w niém na zewnątrz żywioły wspólne z innemi prawami słowiańskiemi. Narody, należące do tego samego szczepu, żywiołów takich wykazać mogą najwięcéj, bo jeżeli gdzie, to właśnie u nich stosunkowo największą jest suma jednolitych czynników, wpływających na ukształcenie instytucyj prawnych. Nauka nie może wprawdzie marzyć o stworzeniu jednolitego systemu wszechsłowiańskiego prawa, bo prawo takie dałoby się pomyśleć tylko w takim razie, gdyby w dziejach Słowiańszczyzny istniał przynajmniéj jakiś krótki okres, w którym wszystkie odłamy tego szczepu stanowiły na wskróś jednolitą całość; gdy jednak stadyum takiego, jak daleko tylko sięgniemy wzrokiem wstecz, wykazać nie potrafimy, gdy owszem, w najodleglejszych czasach,

z których się nam dochowały niezawodne wiadomości historyczne, widzimy Słowian rozszczepionych już na pomniejsze części, z których każda rozwijała się wśród pewnych, mniéj lub więcéj odmiennych warunków, gdy wreszcie warunki te wpływać musiały do pewnego stopnia odmiennie na konstrukcyą urządzeń prawnych, przeto widoczna, że można mówić o poszczególnych prawach słowiańskich, ale nie o jedném prawie słowiańskiém. Te prawa poszczególne są oczywiście więcéj ze sobą spokrewnione, niż z jakiémkolwiek prawem obcém, bo w obrębie tego samego szczepu indywidualizm jego części składowych nie może tak ostro zarysować się przeciw sobie, jak wobec innych szczepów; w każdym razie jednak zaprzeczyć się on nie da. Możemy tedy mówić o historyi poszczególnych praw słowiańskich z osobna, możemy nawet pokusić się o porównawczą historyą praw słowiańskich, ale nie możemy napisać historyi wspólnego prawa słowiańskiego, po prostu dla tego, że go nie było. Nie zwracalibyśmy uwagi na rzecz, która się rozumie sama przez się, gdyby nie okoliczność, że uważamy za potrzebne wykazać błąd metodyczny, jakiego się w tym kierunku dopuścił Maciejowski. O ile w innych działach swojéj „Historyi prawodawstw słowiańskich,“ mianowicie zaś w części o prawie polityczném, autor ten ściśléj jeszcze rozróżnia pomiędzy żywiołami rozmaitych praw słowiańskich, o tyle w dziale o prawie prywatném pozwala tym żywiołom spłynąć w przeważnéj części ze sobą, tworzy jeden system ogólny, który w rzeczywistości nigdy nie istniał, a który znów nie daje pojęcia o całości żadnego z poszczególnych praw słowiańskich.

Z uwag tych nie chcemy jednak bynajmniéj wyprowadzać wniosku, jakoby w badaniach naukowych pomijać należało kwestyą, o ile w prawie naszém odzwierciedla się duch urządzeń, przyjętych w ogóle w prawach słowiańskich. Owszem, sądzimy, że rozbiór tego pytania przyczyni się znakomicie do bliższego zrozumienia istoty prawa polskiego, wyjaśni, co w tém prawie przejętém zostało z wspólnych pojęć słowiańskich, a co było ściśle indywidualnym wytworem narodu pol-

skiego, a zarazem wykaże, w jakim kierunku ten indywidualizm narodowy w dziedzinie prawa kształtował się i rozwijał. Zadania tego nie może oczywiście spełnić sama nauka prawa polskiego, bo ażeby wyjaśnić, co we wszystkich prawach słowiańskich jest żywiołem wspólnym, a co indywidualnym, trzeba przedewszystkiém zbadać dokładnie te poszczególne prawa i dopiero z porównania ich wysnuwać wnioski ogólniejsze. Celu tego nie osiagniemy zapewne tak prędko ze względu na rozmaite braki w nauce tych praw; w każdym razie nie wolno go nam spuszczać z oka, jako ostatniego wyrazu, który wypowiedzieć ma historya porównawcza praw słowiańskich. Tymczasem potrzebném może bardziéj byłoby specyalizowanie w poszczególnych prawach, jako właściwa droga, która do celu tego prowadzi. W każdym razie obiecuje ona pewniejsze i pomyślniejsze wyniki, niż przedwczesna chęć ogarnięcia całości praw słowiańskich, która wydać musi owoce tak wątpliwéj wartości naukowéj, jak je przedstawia dzieło Maciejowskiego.

VI.

W przeważnéj części prac, poświęconych prywatnemu prawu polskiemu, jak zresztą i w innych, mówiących o prawie polskiém w ogóle, zwłaszcza dawniejszych, uderza rzecz osobliwsza: wszystkie one opierają swe wnioski niemal wyłącznie na zabytkach ustawodawstwa polskiego. Zabytki te uważano w nauce naszéj przez długi czas za początek i koniec wszystkich wiadomości źródłowych; użytkowano niemal wyłącznie z „Voluminów legum,“ wciągając co najwięcéj dodatkowo jeszcze do badań „Ius Polonicum“ Bandtkiego. Jesteśmy oczywiście za najdokładniejszém wyzyskaniem materyału zawartego w pomnikach ustawodawstwa polskiego, ale nie potrzebujemy dowodzić, że nie jest to materyał jedyny, że poza nim leży inny jeszcze zasób źródeł, i to o wiele bogatszy, który nauka uwzględnić winna. Mamy tu na myśli źródła prawa zwyczajowego.

Dwie są formy, w których prawo danego narodu na zewnątrz objawiać się może: w ustawie i zwyczaju. Jeżeli jednak w stosunkach dzisiejszych ustawa pochłania niemal zupełnie — choć jeszcze nie wyłącznie — całe prawo w sobie, to w czasach dawniejszych rzecz miała się inaczéj: prawo zwyczajowe cieszyło się niepospolitém znaczeniem, a w dziejach każdego narodu, zwłaszcza pierwotnych, da się nawet wyszukać okres, w którym zwyczaj pochłania w sobie całe prawo. Podobnież miała się rzecz także i w Polsce. Zwyczajowém było pierwotne prawo polskie, a nie wyszło ono z użycia nawet i w tym czasie, kiedy się zaczęły pojawiać ustawy, bo ustawy te dotykały tylko pojedyńczych szczegółów, nie ogarnęły nigdy całości prawa; w punktach, których nie dotknęły, musiało tedy zachować moc obowiązującą prawo zwyczajowe, jak zresztą same ustawy nie były częstokroć niczém inném, jak tylko stwierdzeniem istniejącego poprzednio zwyczaju w dziedzinie prawa. Zwłaszcza zaś prawo prywatne rządziło się w znacznéj części normami zwyczajowemi, bo nawet tak płodne ustawodawstwo, z jakiém w Polsce spotykamy się począwszy od wieku XVI, zawiera nader mały procent postanowień tutaj należących, już zaś bezwarunkowo nie zdoła nam ono dać dokładnego wyobrażenia o całym systemie prawa prywatnego. Stosunkowo jeszcze najwięcéj zajmuje się niém ustawodawstwo nasze średniowieczne, choć i ono bynajmniéj go nie wyczerpuje. Słusznie tedy same ustawy odwołują się częstokroć do zasad prawa zwyczajowego, a statut z roku 1532 wyraźnie nawet zaznacza: „In regno nostro non solum scriptae constitutiones, sed et consuetudines inveteratae pro lege in pluribus locis observantur.“ Jeżeli zaś w prawach naszych, zwłaszcza zaś z wieków średnich, spotykamy się kilkakrotnie z nakazem, ażeby sądy stosowały się do ustaw pisanych, to nakaz ten nie ma bynajmniéj znaczenia, jakoby sądy wyrokować miały jedynie tylko według ustaw, bo te nigdyby im nie wystarczyły; poleca on tylko przestrzegać ich o tyle, o ile istnieją, nie wykluczając bynajmniéj zastosowania prawa zwyczajowego poza ich obrębem. To prawo zwyczajowe, rządzące szerokim za-

kresem stosunków prawnych przez cały ciąg istnienia Rzpltéj, należy zatém wciągnąć koniecznie do badań, inaczéj nie zdołamy nigdy skreślic wiernego obrazu naszego prawa.

O konieczności téj mamy już dzisiaj, dzięki usiłowaniom najnowszéj nauki, zupełną świadomość. Przebrzmiały bez echa ostatnie przeciw znaczeniu prawa zwyczajowego skierowane wycieczki Dutkiewicza w polemice jego z prof. Bobrzyńskim[1]), polemice, o któréj tyle tylko powiedzieć można, że Dutkiewicz z większą sławą byłby zakończył pracowity swój żywot naukowy, gdyby jéj wcale nie był rozpoczynał. Musimy zaś przyznać sobie tę zasługę, że nie poprzestaliśmy na samém postawieniu teoryi, że owszem postaraliśmy się o środki, ażeby umożliwić praktyczne jéj przeprowadzenie. Jeżeli w pracach dawniejszych prawo zwyczajowe nie doznawało należytego uwzględnienia, to wynikło to głównie stąd, że źródeł tegoż prawa ogłoszonych było bardzo mało, a i te, które dostępne były podówczas dla badań naukowych, nie były w przeważnéj części wydane krytycznie. W szczupłéj swéj liczbie, w formie, budzącéj niekiedy uzasadnione wątpliwości, nie mogły one zachęcić badaczów do skrzętnych poszukiwań, raz dlatego, że nie obiecywały bogatych rezultatów, powtóre dlatego, że kazały czasami wątpić w ich prawdziwość. Dzisiaj rzecz przedstawia się już całkiém inaczéj; materyał, dawniéj ogłoszony, poddano po największéj części ponownemu krytycznemu zbadaniu, i wydano go w tekstach o ile możności najpoprawniejszych, wciągnięto do wydawnictw mnóstwo rzeczy dawniéj nieznanych, wzmagając zakres źródeł do niebywałych poprzednio rozmiarów, w końcu rozszerzono wydawnictwa te na takie zabytki prawa zwyczajowego, które poprzednio zupełnie pomijano.

---

[1]) Por. Bobrzyńskiego: „O dawném prawie polskiém"; Dutkiewicza „O mniemaném prawie zwyczajowém w Polsce" (Warszawa 1876); recenzyą téj pracy przez Bobrzyńskiego w Przeglądzie krytycznym z roku 1876, i Dutkiewicza „Słowo o stosunkach majątkowych między małżonkami i o prawie zwyczajowém polskiém" (Warszawa, 1877).

W dwóch przedewszystkiém kierunkach rozwija się praca około wydawnictwa tych źródeł: częścią obejmuje ona dyplomata, częścią zapiski dawnych ksiąg sądowych polskich. Do niedawna jeszcze zbiory dyplomatów średniowiecznych nie były liczne, a co gorsza, przeważnie niekrytyczne. Przytém ogłaszano materyał zebrany na chybił trafił, nie starając się go bynajmniéj wyczerpnąć. Dopiero w ostatnich czasach zabrano się do systematycznego przeszukania archiwów, wydobyto z nich wszystko, co tylko w wydawnictwie zużytkować się dało, i ogłoszono szereg dyplomataryuszów, które w znacznéj części zastąpiły i usunęły z użycia dawniejsze. Mamy dziś osobne kodeksy dyplomatyczne: małopolskie, szląskie, ziem ruskich, wielkopolskie, pomorskie, mazowieckie: mamy nawet takie, które zbierają w jednę całość dyplomata, odnoszące się do pewnych kościołów, klasztorów, miast, jak: krakowski, katedry krakowskiéj, tyniecki, mogilski, itp. — rzeczy, pod względem krytyki i metody wydawniczéj mogące w przeważnéj części śmiało iść w zawody z najlepszemi tego rodzaju publikacyami zagranicznemi. Wierna i trafna lekcya oryginału lub restytucya właściwego tekstu z błędnych częstokroć kopii, wykazanie autentyczności lub sfałszowania wątpliwych dokumentów, szereg uwag wyjaśniających, dodanych do tekstu, cenne indeksy, pośród których jednak niestety zazwyczaj napróżno szukamy za indeksami rzeczowymi, oto zalety, które nowsze te wydawnictwa cechują. Prawda, że dzisiaj jeszcze wydawnictwa te nie zrobiły wszystkiego, co na tem polu do zdziałania pozostało; mimo licznych, zazwyczaj bardzo trafnych wywodów o autentyczności dokumentów, pozostaje jeszcze w zawieszeniu kwestya autentyczności wielu innych, zwłaszcza zaś najdawniejszych; jest to jednak rzecz, która nie ze wszystkiém leżała w siłach wydawców, bo do spełnienia tego zadania potrzeba rozwiniętéj nauki dyplomatyki polskiéj, która niestety spoczywa dotąd w powiciu.

Praca nad wydawnictwem średniowiecznych dyplomatów polskich, jeśli nie jest już na ukończeniu, to w każdym razie postąpiła znakomicie naprzód; więcéj w tyle po za nią stoi

praca nad ogłoszeniem zapisek sądowych polskich, rzecz, w któréj nie zgodzono się dotąd nawet na pewną powszechnie przyjętą metodę wydawniczą. Właściwe uznanie dla téj kategoryi źródeł prawa zwyczajowego wywalczył w nauce naszéj dopiero Helcel publikacyą drugiego (i częściowo jeszcze pierwszego) tomu „Starodawnych prawa polskiego pomników", zawierającą olbrzymi wybór zapisek sądowych krakowskich z wieków średnich. Kierunek wydawniczy, jaki zbiór ten zakreślił, jest tedy wcale młodym, lubo przyznać trzeba, że i tutaj w ostatnich czasach zrobiono u nas bardzo wiele. Pomijając liczne pomniejsze zbiorki, zawierające wybrane zapiski, ogłaszane częstokroć raczéj w celach filologicznych niż prawniczych, (uwaga ta dotyczy zwłaszcza t. z. rot przysiąg), jak niemniéj zbiory, odnoszące się tylko do poszczególnych instytucyj prawnych, jak n. p. kwestyi herbowych, podnieść musimy rzeczy większe i ogólniejsze, jak: prof. Ulanowskiego wydawnictwo najdawniejszych ksiąg sądowych krakowskich z wieku XIV, stanowiące znakomite uzupełnienie dzieła Helcla, Lubomirskiego księgi sądowe ziemi czerskiéj z lat 1404—1425, prof. Liskiego najdawniejsze zapiski sądów sanockich z lat 1423—1462, halickich z lat 1435—1475 i przemyskich z lat 1436—1468, a już z ostatnich czasów zaznaczyć jeszcze możemy dwa wydawnictwa zapisek sądowych wielkopolskich, mianowicie zaś poznańskich z lat 1386—1399 dra Lekszyckiego, tudzież kaliskich z lat 1409—1416 prof. Ulanowskiego. Przegląd ten daje nam wyobrażenie o kierunku, jaki praca ta wydawnicza obrała, jak niemniéj o niedostatkach, jakie się tu jeszcze odczuwać dają. Przeważna część ogłoszonych dotąd zapisek pochodzi z Małopolski, a nie obejmuje nawet wszystkich jéj części, ograniczając się na województwo krakowskie; z ziem ruskich posiadamy zapiski ogłoszone już prawie w zupełności (brakuje tylko jeszcze lwowskich); najwięcéj niedostaje ich jeszcze z Mazowsza i Wielkopolski. Widzimy stąd, że ruch wydawniczy nie objął jeszcze dostatecznie wszystkich dzielnic dawnéj Polski, że zatém, tak jak rzecz dotychczas stoi, nie możemy sobie zdać jeszcze dokładnéj

sprawy o partykularnych właściwościach prawa w każdéj z tych dzielnic, do czego właśnie zapiski sądowe, jak z saméj istoty rzeczy wynika, dostarczyć mogą najważniejszego materyału. Materyał ten dopóty nie da się wyzyskać należycie, dopóki go nie uzupełnimy w kierunku wskazanym, dopóki nie będziemy rozporządzali szeregiem wydawnictw zapisek sądowych z wszystkich części Polski; bo tylko wtedy uzyskamy właściwy pogląd na całość prawa polskiego, a zarazem zrozumiemy należycie to, co w poszczególnych dzielnicach stanowiło odrębne, indywidualne cechy prawa tamże obowiązującego. Materyał ten wymaga nadto uzupełnienia z innego jeszcze względu. Wydane dotąd zbiory zapisek dotyczą niemal wyłącznie wieków średnich, nie sięgają w czasy nowsze; jedyną publikacyą, odnoszącą się do tych czasów, są ogłoszone niedawno przez prof. Bobrzyńskiego wyroki sądów królewskich z pierwszéj połowy rządów Zygmunta I (1507—1531). I tutaj więc jeszcze daje się uczuwać niedostatek, uniemożliwiający badanie prawa w dalszym jego historycznym rozwoju, ktorego same pomniki ustawodawstwa polskiego nie są w stanie wykazać należycie; brak ten staje się zaś tém dotkliwszym, ile że wydawnictwa innéj, wspomnianéj poprzednio kategoryi źródeł prawa zwyczajowego, dyplomatów, z reguły w czasy nowsze nie sięgają. Oczywiście zapiski średniowieczne inaczéj muszą być wydawane, niż nowsze. Pierwsze dałyby się ogłosić w całości, bez opuszczeń, ze względu, że ich stosunkowo nie wiele przechowało się do naszych czasów, a przemawiałby za tém już sam ich wiek starożytny, daléj ta okoliczność, że pochodzą z czasów, w których prawo polskie znajdowało się w stadyum żywego i pełnego rozwoju, w końcu zaś wzgląd, że zapiski te przedstawiają o wiele więcéj różnolitości między sobą, aniżeli późniejsze. O zupełném wydaniu zapisek nowszych oczywiście marzyć nie można wobec olbrzymiego materyału, jaki nam z tych czasów pozostawiła praktyka sądowa; metoda eklektyczna jest tu więc z natury rzeczy wskazaną. Zresztą zupełne wyczerpnięcie tego materyału byłoby nawet zbytecznném: mnóstwo bowiem zapisek powtarza się w jednéj i téj saméj

formie, ze zmianą tylko osób, przedmiotów i t. p.; wystarczy tu więc ogłosić tylko pewne typowe formułki zapisek, pomijając inne podobne. Zawsze jednak należy baczyć na to, czy w formułkach tych, choćby dotyczących jednego i tego samego stosunku prawnego, nie zachodzą jakie zmiany zasadnicze w miarę postępu czasu lub różnic terytoryalnych, w którym to razie należy je w wydawnictwie uwzględnić.

Oto są dwie główne kategorye źródeł prawa zwyczajowego, którym w ostatnich czasach większą poświęcono uwagę. Obok nich ogłoszono i inne jeszcze zabytki tegoż prawa, które, lubo grup większych nie tworzą, nie ustępują im jednak treścią i wartością swoją wewnętrzną, że tu wspomniemy np. Stenzla historyą założenia klasztoru henrykowskiego, nieocenioną skarbnicę do rozświecenia stosunków prawnych w pierwotnéj Polsce, rzucającą nie mało światła także i na prawo prywatne, zwłaszcza spadkowe; albo wydaną przez Helcla i Volkmanna księgę prawa zwyczajowego z w. XIII i t. p. Ten ostatni zabytek zostaje w pewném powinowactwie z inną jeszcze grupą zabytków prawa zwyczajowego, t. j. z pismami praktyków, których sporo dostarczyła nam literatura nasza z trzech ostatnich stuleci istnienia Rzpltéj. O ile praktycy ci wypowiadają tylko swoje osobiste przekonania o pewnych stosunkach prawnych, o tyle oczywiście dzieła ich nie mogą służyć za podstawę do tworzenia jakichkolwiek wniosków naukowych o prawie obowiązującém w Polsce; o ile jednak przedstawiają zasady, przyjęte podówczas powszechnie w praktyce sądowéj, o tyle do wniosków takich upoważnić nas mogą. Musimy przytém zaznaczyć, że pisma te do niedawnych czasów stanowiły w nauce naszéj jedyne niemal źródło, z którego użytkowano celem wyjaśnienia zasad prawa zwyczajowego; szereg podręczników o polskiém prawie prywatném przepełniony jest cytatami z dzieł ich wyjętymi. Możemy sobie wytłómaczyć powody, dla których uciekano się z takiém do nich zamiłowaniem; zmuszał do tego dający się jeszcze niedawno odczuwać tak dotkliwie brak innych zabytków prawa zwyczajowego. Popełniano przy tém tylko ten błąd, że nie-

rozróżniano ściśle pomiędzy tém, co w dziełach tych jest wyrazem istniejącego zwyczaju, co zaś tylko prywatném zdaniem autorów; mięszając zaś oba żywioły ze sobą, przenoszono czasem bez świadomości w wykład prawa polskiego zasady, które nie były niczém więcéj, jak tylko doktryną prawniczą, i które nie powinny były znaleść tamże miejsca. Ponieważ zaś zdarzało się, że ci dawniejsi prawnicy wciągali w swe dzieła niejednokrotnie zasady praw obcych, przedewszystkiem zaś rzymskiego i kanonicznego, przeto wynikło stąd, że podręczniki nasze zostały z lekka zabarwione naleciałościami obcemi, które w prawo polskie w rzeczywistości nigdy nie weszły. Błąd ten popełnia mianowicie Helcel, który z pism prawników użytkuje w swém dziele więcéj, niż jakikolwiek inny autor. Nie przemawiamy bynajmniéj za zupełném usunięciem tych zabytków z zakresu badań nad prawem polskiém, ile że podają nam cenne wskazówki o zasadach współczesnego prawa zwyczajowego i o interpretacyi ustaw, jaką im nadawała praktyka sądowa; musimy jednak postawić żądanie, ażeby pism tych nie uważano tak długo za niezawodne o treści prawa polskiego wskazówki, dopóki przedwstępne prace nie wykażą ściśle i dokładnie, co w nich jest wziętego z prawa polskiego, a co tylko z własnych przekonań autorów lub teoryi praw obcych. Sądzimy zresztą, że ta grupa źródeł wobec innych, o których poprzednio mówiliśmy, ma tylko drugorzędne znaczenie, i że na ważności swéj tracić będzie coraz bardziéj, w miarę postępu wydawnictw zapisek sądowych.

Tak przedstawia się obecnie kwestya źródeł prawa zwyczajowego; o wiele gorzéj stoi sprawa zabytków ustawodawstwa polskiego. Nie ma podobno mniéj krytycznego wydawnictwa nad to, z którego pospolicie czerpiemy nasze wiadomości o polskiém prawie ustawniczém: Volumina legum. Chcąc zrozumieć i wytłómaczyć sobie ujemne strony téj publikacyi, podjętéj zresztą w najlepszéj chęci służenia dobru publicznemu, uwzględnić musimy okoliczności, wśród których przyszła do skutku. Ogłaszano Volumina w czasie, kiedy Polska miała jeszcze samodzielny byt polityczny, a prawo jéj moc obowią-

zującą. Stąd okazała się przedewszystkiém potrzeba wciągnięcia do wydawnictwa tego jedynego, powagą władzy urzędowéj stwierdzonego zbioru praw polskich, statutu Łaskiego, i to bez żadnych zmian, dodatków lub opuszczeń, w téj saméj formie, w jakiéj w roku 1505 zatwierdzony został. Jest też większa część pierwszego tomu Voluminów, obejmująca ustawy aż do roku 1505, niczém więcéj, jak dosłownym przedrukiem pierwszéj połowy statutu Łaskiego, ze wszystkimi jego błędami i niedostatkami. O ile chodziło o ustawy późniejsze, nie znalazło się wydawnictwo Voluminów w tém położeniu, iżby zawsze korzystać mogło z tekstów autentycznych konstytucyj; przeważnie uciekało się ono do większych zbiorów prywatnych, które ogłaszano w Polsce w ciągu wieku XVI i XVII; dopiero szereg późniejszych konstytucyj ogłoszono z pierwodruków. Tak zaś opierając się w znacznéj części na innych zbiorach, przyjęło z nich wszystkie wady, podobnie jak ze statutu Łaskiego, choć tutaj można je było łatwiéj i bez skrupułów usunąć, skoro zbiory te nie otrzymały sankcyi władzy ustawodawczéj. Pamiętając o takiéj genezie Voluminów, możemy wprawdzie okolicznościami towarzyszącemi wydawnictwu usprawiedliwić pewne braki, ale przy tém musimy się przecież zapytać, czy i o ile dzisiejszemu swemu przeznaczeniu odpowiadają. Z tego zaś stanowiska rzecz oceniając, musimy zaznaczyć, że wydawnictwo to nie może zadowolnić nawet bardzo skromnych wymogów, jakie do tego rodzaju zbiorów obecne badanie naukowe postawić może.

Wydawnictwo takie musi być przedewszystkiém ułożone w pewnym porządku; jaki on jest, systematyczny czy chronologiczny, to już zależy w części od wyboru wydawców, głównie zaś i przedewszystkiém od saméj istoty materyału ogłosić się mającego. Dla wydawnictwa ustaw polskich porządek systematyczny byłby zgoła nieodpowiednim, dla tego, że poszczególne ustawy obejmowały postanowienia o najrozmaitszych materyach prawnych, tak, że chcąc przeprowadzić porządek systematyczny, wypadłoby je chyba rozczłonkować na drobne cząstki, i cząstki te rozmieścić w rozmaitych miejscach. Układ

chronologiczny nasuwał się tedy sam z siebie, i było to tylko właściwém zrozumieniem rzeczy, jeżeli wydawnictwo Voluminów układ ten wzięło za zasadę; cóż jednak sądzić, jeżeli mimo to przywilej żydowski Bolesława Kaliskiego z r. 1264 znajdujemy w potwierdzeniu Aleksandra pod rokiem 1505, przywilej założenia najwyższego sądu prawa magdeburskiego na zamku krakowskim z roku 1365 (lub 1361) w potwierdzeniu Władysława Warneńczyka pod rokiem 1444; statuta nieszawskie z roku 1454 w potwierdzeniu Jana Olbrachta pod rokiem 1496, statuta kurlandzkie z lat 1561—1617 i korrekturę pruską z roku 1598, umieszczone dopiero po konstytucyach sejmowych z roku 1726?

Są to jednak usterki stosunkowo mniejszéj wagi. Bardziéj zasadniczą jest kwestya zakresu wydawnictwa. Według zamiaru wydawców objąć ono miało „prawa, konstytucye i przywileje królestwa polskiego, W. Ks. litewskiego i wszystkich prowincyj należących," a zatém zabytki ustawodawstwa polskiego powszechnego i partykularnego. Tymczasem z praw partykularnych znajdujemy tu tylko wspomniane powyżéj statuta kurlandzkie i korrekturę pruską; statuta mazowieckie (dla tego, że podówczas już nie obowiązywały), pominięto w zupełności, z wyjątkiem ekscептów; podobnież zabytki dawniejszego ustawodawstwa litewskiego, i to nietylko te, które straciły już zastosowanie, ale nawet i statut litewski trzeci, który obowiązywał przecież do końca istnienia Rzpltéj. Z drugiéj strony nie przeprowadzono ścisłego rozgraniczenia materyału od takich zabytków, które w zakres wydawnictwa wejść nie były powinny. Nie było przecież zamiarem wydawców dawać nam zbioru laudów wojewódzkich, a jednak kilka takich laudów mamy tu ogłoszonych, ilość, która wobec całéj powodzi uchwał sejmikowych, jakiemi w trzech ostatnich stuleciach istnienia państwa każde województwo wykazać się może, w zupełności niknie i blednieje. Nie leżało w celach wydawnictwa ogłaszać ustaw prawa kanonicznego, tém mniéj zaś traktatów naukowych z zakresu tegoż prawa, a jednak spotykamy tutaj kilka bul papieskich i obszerny traktat o interdyktach kościelnych.

Nie leżało w jego celu zbierać zabytków partykularnego ustawodawstwa kościoła polskiego, a jednak mamy tu ogłoszony zabytek tego rodzaju, statut Lutkona, biskupa krakowskiego, i t. p. A cóż powiedzieć, jeżeli w zbiorze naszym pomieszczono pod rokiem 1673 rzecz zatytułowaną: „Kaptur nowy na interregnum królestwu polskiemu zrobiony, prawem koronném wolności prawdziwéj i wolnéj na zawsze elekcyi podszyty,“ rzecz, która nie jest bynajmniéj ustawą, ale zwykłą mową sejmową czy sejmikową, lub broszurą polityczną z rodzaju tych, w jakie owe czasy obfitowały, wypowiedzianą czy też napisaną przez jakiegoś szlachcica, który w téj drodze szukał wyrazu dla swoich szerokich o złotéj wolności poglądów? Tu oczywiście trudno już usprawiedliwić nie tylko metodę, ale nawet staranność i uwagę wydawców.

Nad to wszystko — i to jeden z najważniejszych zarzutów — nie są Volumina wyczerpującym zbiorem ustaw polskich, choćbyśmy żądania nasze ograniczyli tylko do zabytków ustawodawstwa powszechnego. Ta ujemna strona Voluminów, o ile chodzi o ustawy średniowieczne, jest już dziś powszechnie znaną, i nie potrzebuje bliższych dowodów szczegółowych; sam zresztą Konarski, zabierając się do wydawnictwa, miał o tém najzupełniejszą świadomość; nie chcąc jednak zmieniać układu Łaskiego, obejmującego właśnie ustawodawstwo średniowieczne, zamierzał w osobnym dodatku do wydawnictwa podać ważne uzupełnienia; pomysł piękny, który niestety nie został urzeczywistnionym. O ile chodzi o ustawy nowsze, począwszy od wieku XVI, dosyć rozpowszechnioném jest zdanie, że Volumina są zbiorem wyczerpującym; ale zdanie to jest błędném. Mniejsza o to, że wydawnictwo sięga tylko do roku 1780; wynikło to tylko stąd, że je na konstytucyach z tegoż roku przerwano; wszakże i z tego okresu, który Volumina objęły, wykazać się da braków poddostatkiem. Nie myśląc rzeczy wyczerpnąć, przytoczymy tu kilka przykładów. Brakuje w Voluminach ustawy z roku 1553, rozszerzającéj na Wielkopolskę moc obowiązującą t. z. Formulae processus, wydanéj w roku 1523 dla Małopolski, brakuje ordy-

nacyi sądowéj z r. 1553, brakuje ordynacyi kanclerskiéj z r. 1574, którą Heidenstein tak obszernie streszcza, a którą w dosłowném brzmieniu znaleść można dziś w bibliotece XX. Czartoryskich, brakuje suffragiów elekcyjnych z lat 1632 i 1669. Te i inne podobne braki wykazują dosadnie, że Volumina nie są zupełnym zbiorem zabytków ustawodawstwa polskiego, że raczéj wymagają ważnych jeszcze uzupełnień.

Nie na tém koniec. Pozostaje jedna jeszcze strona ujemna publikacyi, ze wszystkich najważniejsza, a jest nią powtarzająca się stosunkowo często korrupcya i błędność tekstu. Powszechném i słuszném jest już dziś przekonanie, że co do zabytków ustawodawstwa średniowiecznego, Volumina nie są prawie do użycia, podają bowiem najczęściéj (za przewodem Łaskiego) teksty pod każdym względem zepsute; należałoby tylko życzyć sobie, ażeby i z tekstów późniejszych ustaw, w Voluminach pomieszczonych, nie korzystano zawsze z całą wiarą i zaufaniem. Porównując pierwodruki konstytucyj sejmowych z Voluminami, możemy niejednokrotnie wykazać opuszczone lub zmienione wyrazy, błędną interpunkcyą zmieniającą treść rzeczy, i t. p. błędy, które naprowadzić mogą badacza na manowce, bo oczywiście trudno o dobre wnioski naukowe, jeżeli je oprzemy na błędnych tekstach[1]).

Ubliżylibyśmy zasłudze wielkiego inicyatora tego zbioru, gdybyśmy przyznać nie chcieli, że w swoim czasie wydawnictwo Voluminów znakomite oddać mogło usługi społeczeństwu polskiemu, że stworzyło zbiór bądź co bądź lepszy i zupełniejszy od wszystkich dawniejszych publikacyj; ale ubliżylibyśmy naszéj nauce, gdybyśmy powiedzieli, że zbiór ten przed całym z górą wiekiem ogłoszony, więcéj na zaspokojenie potrzeb praktycznych niż naukowych obliczony, szeregiem wskazanych poprzednio błędów skażony, potrzebom téj nauki dzisiaj wystarczyć zdoła. Jak na teraz, powszechnie odczuwać się daje potrzeba zastąpienia zbioru pijarskiego nowym, uzupełnionym zbiorem ustaw

[1]) Przykład takiéj korrupcyi właściwego tekstu ustawy podaje konstytucya z r. 1578, jak to wykazałem w mojéj „Genezie trybunału koronnego" str. 320.

polskich, krytycznie opracowanym i wydanym. Ostateczne spełnienie tego celu leży może w dalszéj przyszłości; dzisiaj wykazać się możemy tylko szeregiem prac przygotowawczych, które wprawdzie cel ten poniekąd ułatwiają, ale całego zadania, jakie przed nami leży, bynajmniéj jeszcze nie wyczerpują. Gdy zaś w Voluminach największe niedostatki uczuwać się dają w dziale obejmującym ustawy średniowieczne, przeto też słusznie zwrócono się przedewszystkiém do restytucyi właściwego tekstu statutów tamże zamieszczonych, jak niemniéj do uzupełnienia ich zabytkami pominiętymi. Dążności téj zawdzięcza początek swój „Ius Polonicum“ Bandtkiego, obejmujące szereg ustaw polskich średniowiecznych, w części dotąd nieznanych, w części zaś poprzednio już ogłoszonych, ale wydanych tamże w formie poprawniejszéj, dzieło, które ma wprawdzie rozliczne braki, ale nie zasługuje na tak ostre zarzuty, z jakimi się spotkało w ostatnich czasach. Z dążności téj wyszło także pomnikowe wydawnictwo Helcla, obejmujące ustawodawstwo Kazimierza Wielkiego i Władysława Jagiełły, jak niemniéj zabytki partykularnego prawa mazowieckiego, tudzież najdawniejsze ustawodawstwo kościoła polskiego. Nowe krytyczne wydanie statutów Kazimierzowskich zawdzięczamy sen. Hubemu, statutów nieszawskich prof. Bobrzyńskiemu; nieznane uchwały zjazdu radomskiego z r. 1384 tudzież piotrkowskiego z r. 1444 wydał Szujski, inny statut z r. 1444 w wersyi polskiéj ogłosił piszący te słowa; statuta dwóch zjazdów piotrkowskich z r. 1406 i 1407 prof. Bobrzyński, statut z r. 1501 p. Bostel. Oto szereg ważniejszych prac, jakie w ostatnich czasach przedsięwzięto około wydawnictwa polskich źródeł ustawniczych. Nie wyczerpują one nawet całego zakresu ustawodawstwa średniowiecznego, pozostawiają luki, które uzupełniać jeszcze musimy z Łaskiego lub Voluminów. Gorzéj jeszcze stoi sprawa ustaw nowszych, o które nikt się nie troszczy, tak, że co do nich jesteśmy już wyłącznie ograniczeni na Volumina lub dawniejsze częściowe zbiory prywatne, jakie wydawano w poprzednich wiekach, albo wreszcie na pierwodruki konstytucyj sejmowych, do których też najwła-

ściwiéj uciekać się, zwłaszcza tam, gdzie tekst Voluminów nastręcza jakiekolwiek wątpliwości. Zamierzony ogólny zbiór ustaw polskich musiałby oczywiście zawrzeć teksty ze wszech miar poprawne; same nawet pierwodruki konstytucyj sejmowych należałoby poddać ścisłéj, choć wielce oględnéj krytyce, ażeby odtworzyć właściwą myśl ustawy, zaciemnioną niekiedy błędami drukarskimi. W zbiorze tym należałoby nadto dążyć do tego, ażeby w miarę możności uzupełnić dotychczasowe luki, zwłaszcza w zabytkach ustaw średniowiecznych, przez dokładne przeszukanie bibliotek i archiwów, zwłaszcza zaś metryki koronnéj. Zabytki praw partykularnych stosowniéj byłoby, zdaniem naszém, w wydawnictwie tem wyłączyć w osobne działy, albo też uczynić je przedmiotem osobnych publikacyj, ażeby nie wprowadzać zbytniego zamięszania; w każdym razie należałoby i tutaj dążyć do ogarnięcia całości materyału, do stworzenia zbiorów zupełnych. Wielce pożądaną byłaby n. p. osobna publikacya wszystkich ustaw mazowieckich, które obecnie porozrzucane są w rozmaitych książkach; podobnież należałoby przystąpić do ponownego ogłoszenia praw litewskich w nowém, krytyczném i uzupełnioném wydaniu, gdyż zbiór Działyńskiego nie ze wszystkiém już wystarczyć nam może.

VII.

Krótki ten rzut oka na obecny i niedawny stan wydawnictw, obejmujących źródła prawa polskiego, tłómaczy nie tylko podniesioną poprzednio ujemną stronę w opracowaniu prawa prywatnego, t. j. pominięcie zabytków prawa zwyczajowego, ale i drugą jeszcze, na którą teraz bliższą chcemy zwrócić uwagę, niedostateczne uwzględnienie historyi rozwoju prawa.

Niektórzy autorowie, jak Burzyński, mając przedewszystkiém praktyczne cele na oku, mianowicie zaś zastosowalność prawa polskiego w tych — nielicznych zresztą — wypadkach, w których zdarzy się dzisiaj jeszcze rozstrzygać spory według jego przepisów, dążą do wyświecenia tych zasad, które się

wyrobiły i obowiązywały pod koniec istnienia Rzpltéj, nie troszcząc się bynajmniéj o instytucye przestarzałe, które jeszcze poprzednio straciły swoje znaczenie. Stąd też nie zwracają na nie dostatecznéj uwagi, albo nawet zgoła je pomijają, kładąc główny nacisk na szereg postanowień ustawniczych, jakie wyszły w kilku ostatnich stuleciach politycznego bytu Polski. Inni pisarze, lubo zamiaru tego nie wypowiedzieli otwarcie, przeprowadzili go mimo to mniéj więcéj w rzeczywistości; i całkiem naturalnie, bo któż n. p. mógł się pokusić o skreślenie rozwoju prawa prywatnego, jakie obowiązywało w Polsce aż do połowy wieku XIV, jeżeli pierwszém co do czasu źródłem, jakie wciągał w zakres swego badania, było ustawodawstwo Kazimierza Wielkiego? Jeden Maciejowski, kreśląc pierwszy swój, do połowy wieku XIV sięgający okres w rozwoju praw słowiańskich, musiał przedstawić osobno stosunki prawne z czasów przed ustawodawstwem Kazimierzowskiém; szkoda tylko, że jak gdzieindziéj, tak i tutaj dał nam tylko sztuczny zlepek rozmaitych praw słowiańskich, ściągniętych w jeden, rzeczywiście nie istniejący system, w którego odtworzeniu posługiwał się nadto bardzo niedostatecznie źródłami prawa polskiego. O ile chodzi o czasy późniejsze, z których dochowały się już zabytki ustawodawstwa polskiego, a więc od połowy wieku XIV, szukamy w dziełach przedmiotowi naszemu poświęconych, również napróżno prawdziwéj historyi prywatnego prawa polskiego. Samo tylko uwzględnienie polskich przepisów ustawniczych, z jakiém się tu najczęściéj spotykamy, historyi téj nigdy nam dać nie może; szczupłość dat, zawartych w ustawach, nie dozwala częstokroć zdać sobie dokładnéj sprawy, kiedy w konstrukcyi prawnéj danego urządzenia zaszła rzeczywiście zmiana, bo zmiana ta dokonać się mogła nie tylko przez samę ustawę, ale także drogą zwyczaju. Pokąd zabytki prawa zwyczajowego nie zostaną należycie zużytkowane w nauce, potąd też nie możemy marzyć o właściwéj historyi prywatnego prawa polskiego. Ileż to razy zdarzyło się naszym badaczom, że spotkawszy pierwszą wzmiankę w źródłach ustawniczych o pewnym kształcie

danéj instytucyi, która w dawniejszych ustawach przedstawiała się mniéj lub więcéj odmiennie, datowali nowy zwrot w dziejach téj instytucyi dopiero od téjże wzmianki; a jednak bliższe zbadanie źródeł prawa zwyczajowego wykazać zdoła niejednokrotnie, że zwrot ten nastąpił jeszcze dawniéj, w czasie między jedną a drugą ustawą, i że ta ostatnia była tylko sankcyą dodatkową rzeczy poprzednio już dokonanéj. Ileż znowu zmian, przeprowadzonych drogą zwyczaju, nie stwierdzonych ustawą, ujdzie zupełnie oka badacza, jeżeli się na samych tylko źródłach ustawniczych opierać zechce! Wspomnieć musimy tu jeszcze, że nawet i tego materyału, który wciągnięto do badań, a więc źródeł ustawniczych, nie wyzyskano częstokroć dla historyi w sposób należyty. Szereg statutów i konstytucyj, wydanych od czasów Kazimierza Wielkiego aż do upadku państwa, owoc blisko pięciowiekowéj działalności ustawodawczéj Polski, mógł przecież sam z siebie podać pewne — choć nie ze wszystkiém dokładne — wskazówki do zaznaczenia pewnych zwrotów dziejowych w rozwoju poszczególnych urządzeń prawa polskiego. O wyszukanie i zaznaczenie tych zwrotów troszczono się jednak bardzo rzadko; zestawiano ze sobą ustawy z najrozmaitszych wieków, nie pytając się bynajmniéj o wzajemny ich, dziejowy stosunek; obok konstytucyj z końca XVIII stulecia umieszczano przepisy Kazimierza Wielkiego i starano się je zgodzić ze sobą, co czasami było rzeczą niemożliwą, dla tego, że ustawa późniejsza była już wyrazem innego, odmiennego pojmowania rzeczy, niż wcześniejsza; niejednokrotnie zachodziła między niemi nawet istotna sprzeczność. W ogóle przedstawienie rzeczy w pracach naszych naukowych robi częstokroć wrażenie, jak gdyby pojmowano wszystkie ustawy polskie jako wydane współcześnie; okoliczność, która dała podstawę do niejednego błędnego wniosku.

Ten sam brak historycznéj konstrukcyi rzeczy daje się odczuwać także w rozbiorze urządzeń polskich praw partykularnych. Zasady prawa mazowieckiego, uwzględniane z reguły, jak już wspomnieliśmy, bardzo tylko dorywczo, niewyczer-

pująco, nie mogą oczywiście wystąpić na zewnątrz w należytym, pragmatycznym związku dziejowym; zdarza się czasami, że podręczniki nasze nie uwzględniają niczego więcéj, jak tylko przepisy zawarte w exceptach. Podobnież rzecz się ma także i z prawem litewskiém, z którego tylko statut trzeci wchodzi w zakres badań; dawniejsze przywileje ziemskie, a nawet oba pierwsze statuty, pomijane są systematycznie. Cel takiego postępowania jest tu widoczny; uwzględniając tylko excepta mazowieckie albo też statut litewski trzeci, zamierzano przedstawić te tylko zasady praw partykularnych, które pod koniec istnienia państwa miały zastosowanie; źródła nie obowiązujące podówczas, mające już tylko historyczne znaczenie, pozostawiano zupełnie albo prawie zupełnie na uboczu.

Dziś, kiedy o przedmiocie naszym nie rozstrzygają już wyłącznie względy praktyczne, kiedy przeciwnie występuje tu na pierwszy plan cel i zadanie naukowe, byłoby rzeczą na wskróś niewłaściwą zastosowywać taką metodę do badań nad prawem polskiém. Chodzi przecież o to, ażebyśmy potrafili zdać sobie sprawę z kolejnego rozwoju poszczególnych jego instytucyj. Gdybyśmy zresztą nawet do niczego więcéj nie zdążali, jak tylko do ujęcia i przedstawienia jego systemu, tak jak się nam on przedstawia pod koniec istnienia państwa, to zawsze jeszcze historyczne śledzenie rozwoju prawa byłoby nie tylko pożądaném, ale koniecznem. Każdy stan w dziedzinie prawa jest bowiem wynikiem jego poprzedniego rozwoju; któż zrozumie i wytłómaczy należycie ten stan późniejszy, nie mogąc zdać sobie sprawy o czynnikach, które działając poprzednio, na wytworzenie jego wpłynęły? Musimy przyznać, że zrozumienie tego celu istnieje w nauce naszéj nie dopiero od czasów najnowszych. Pomijając podręcznik Helcla, który przedstawia widoczny zakrój historyczny, i dzieło Maciejowskiego, które założyło sobie za cel przedstawić h i s t o r y ą praw słowiańskich, wskazać możemy jeszcze z czasów dawniejszych kilka prób, których zamiarem było położyć podwaliny do historycznego ujęcia i przedstawienia przedmiotu, przedewszystkiem zaś dzieło Lelewela: „Początkowe prawo-

dawstwo polskie cywilne i kryminalne"[1]). Lelewel pokusił się tu o skreślenie zasad prywatnego prawa polskiego (podobnie jak i karnego) z czasów najdawniejszych; lubo zaś celu swego nie ze wszystkiém dopiął, głównie dla niedostatecznéj ilości źródeł, jakiemi mógł rozporządzać, to jednak przyznać mu trzeba tę zasługę, że pierwszy on sprowadził kwestyą badań nad historyą prawa polskiego prywatnego na tory właściwe, a zarazem pracą swoją wykazał, że badania takie przeprowadzić się dadzą. Przedewszystkiém zaś zasłużył się, już w czasach najnowszych, około historyi prawa prywatnego sen. Romuald Hube w dziele swém: „Prawo polskie w wieku XIII"[2]), którego osobna część kreśli szczegółowo system ówczesnego prawa prywatnego. Jest to pierwszy wyczerpujący obraz stanu tegoż prawa w czasach tak odległych jak wiek XIII, pomijanych z zasady w dawniejszych opracowaniach. Zasób źródeł, któremi rozporządza sen. Hube, jest oczywiście olbrzymio większy od tego, na jakim się oparł Lelewel, okoliczność, która wespół ze znaną ścisłością i sumiennością tego badacza doprowadziła go do znakomitych rezultatów naukowych. Praca sen. Hubego potrzebuje wprawdzie jeszcze pewnych uzupełnień, przedewszystkiem ze względu na nowe źródła, jakie od czasu jéj pojawienia się ogłoszone zostały, powtóre ze względu na wstrzemięźliwość sądów naukowych autora, który ograniczając się przeważnie na zaznaczeniu faktów, bezpośrednio w źródłach stwierdzonych, nie zawsze wyprowadza z nich wszystkie wnioski, jakie na pewno wywieść się dadzą, w końcu ze względu na okoliczność, że omawiając rozwój prawa w sztucznych ramach jednego stulecia, pomija niejednokrotnie związek, jaki zachodzi pomiędzy rozwojem instytucyj prawnych z tegoż czasu, a rozwojem ich w czasie bezpośrednio najbliższym. Nie jest tedy jeszcze praca sen. Hubego ostatnim wyrazem nauki o prawie polskiém w wieku XIII; ma ona jednak tę niewątpliwą zasługę, że pole leżące dotąd

---

[1]) **Polska wieków średnich, tom III.**

[2]) **Warszawa, 1874.**

niemal zupełnie odłogiem, pierwsza przeorała głęboko, i to w sposób, który nie wielu już tylko potrzebować będzie uzupełnień. Zdaje się, że sam autor, prowadząc badania swoje w okresach jednowiekowych, nadać im chciał tylko charakter prac przygotowawczych; z tego zaś punktu widzenia rzecz oceniając, przyznać mu trzeba, że wywiązał się z zadania swego znakomicie. Téj saméj metody trzyma się sen. Hube także w pierwszéj części swojego „Prawa polskiego w wieku XIV“ [1]), która w odnośnych działach przedstawia również system prywatnego prawa polskiego, zestawiony z statutów Kazimierza Wielkiego, jak nie mniéj w drugiéj części tegoż samego dzieła, zatytułowanéj: „Sądy, ich praktyka i stosunki prawne społeczeństwa polskiego ku schyłkowi wieku XIV“ [2]), opartéj na wyczerpującém zbadaniu wszystkich niemal najdawniejszych ksiąg sądowych polskich, bądź to drukiem ogłoszonych, bądź też w rękopisach dotąd przechowywanych. Podnieść należy jeszcze i tę zasługę sen. Hubego, że pierwszy poruszył i częściowo urzeczywistnił myśl opracowania prawa polskiego w działach odgrodzonych od siebie pewnemi chronologicznemi granicami. Taki podział pracy ma niewątpliwe zalety; gdy bowiem ogrom materyału źródłowego, jaki do zbadania pozostaje, nie pozwala się spodziewać, iżby mu siły jednostki w zupełności podołały, przeto lepiéj niezawodnie opracować go mniejszemi częściami, które posłużą późniéj do skreślenia całokształtu prawa w historycznym jego rozwoju. Tyle pewna, że o dobréj historyi tegoż prawa myśleć nie można, dopóki tego rodzaju prace przygotowawcze przeprowadzone nie będą.

Przemawiamy za takiém postępowaniem oczywiście tylko ze względów praktycznych, bynajmniéj zaś nie dla tego, iżbyśmy w ostatecznym kształcie nauki prywatnego prawa polskiego widzieć i rozróżniać pragnęli jakieś chronologicznie odgrodzone od siebie okresy. Kwestya ta wymaga bliższego wyjaśnienia. Każde prawo z dwojakiego należy badać sta-

---

[1]) Warszawa, 1881.

[2]) Warszawa, 1886.

nowiska: należy dążyć do ujęcia i przedstawienia jego całości, która wyraz swój znajdzie w systemie; ale że prawo to przechodzi zarazem pewien proces dziejowego rozwoju, przeto okazuje się potrzeba wyjaśnić także jego stronę historyczną. Że oba żywioły w przedstawieniu naukowém, systematyczny i historyczny, muszą być uwzględnione, nie podlega wątpliwości; zachodzi tylko pytanie, który z nich ma otrzymać pierwszeństwo, a więc, czy mamy przedstawić prawo prywatne w jednym ogólnym systemie, a dopiero w ramach jego zwrócić uwagę na rozwój historyczny poszczególnych instytucyj prawnych, czy też na odwrót: podzielić cały rozwój tegoż prawa na pewne okresy, a dopiero w ramach tych okresów omawiać rzecz systematycznie? W nauce naszéj nie rozstrzygnięto jeszcze sprawy téj ostatecznie. Większość podręczników daje wprawdzie pierwszeństwo metodzie systematycznéj, natomiast dzieło Maciejowskiego przedstawia rzecz okresami, z których pierwszy sięga do połowy wieku XIV, jako okres wyłącznego panowania prawa zwyczajowego, drugi odtąd do końca istnienia państwa, jako okres prawa ustawniczego. Nie potrzebujemy wywodzić szczegółowo, jak błędną jest tu sama zasada podziałowa Maciejowskiego. Zwyczaj i ustawa, to tylko dwie formy, w których się na zewnątrz przejawia toż samo prawo, a przy podziale na okresy nie mogą przecież rozstrzygać względy zewnętrzne, formalne, ale istotna treść prawa, które niekoniecznie zmienić się potrzebuje, przechodząc ze zwyczajowego w ustawnicze, i które też w rzeczywistości nie zmieniło się w Polsce w połowie wieku XIV tak istotnie, iżby odtąd datować można nowy okres; zresztą, jak już poprzednio wykazaliśmy, prawo zwyczajowe nie zostało bynajmniéj podówczas usuniętem, i obowiązywało, obok ustawniczego, aż do końca istnienia państwa. Chodzi nam tu raczéj o rzecz bardziéj zasadniczą: czy w ogóle podział na okresy, jakiekolwiek zaznaczylibyśmy im granice chronologiczne, da się uzasadnić w nauce prywatnego prawa polskiego? Dawno już zwrócono na to uwagę w metodologii prawa, że omawiając rzecz o prawie publiczném, zwłaszcza zaś politycznéem danego narodu,

właściwiéj jest przedstawić rozwój jego w pewnych okresach, bo stosunki prawa tego, zawisłe więcéj od danych prądów dziejowych, ulegają z natury rzeczy częstszym, zasadniczym zmianom; że przeciwnie w prawie prywatném pierwszeństwo dać należy metodzie systematycznéj, bo prawo to urządza stosunki człowieka jako człowieka, który, w ogóle biorąc, zawsze pozostaje jednakowym, to też i prawo stosunków tych dotyczące nie może przechodzić zmian zasadniczych. W istocie też, badając rozmaite prawa prywatne, jak je wytworzyły poszczególne narody, widzimy wprawdzie, że nie są one czémś na wskróś skrystalizowaném, raz na zawsze niezmienném, widzimy w nich, w ciągu dziejów, pewien postęp i rozwój lub wsteczne cofanie się, ale zarazem spostrzegamy, że ta dążność do zmian zarysowuje się tu mniéj wybitnie, niż gdziekolwiek indziéj, że prawo prywatne jest bardziéj zachowawczém, niż inne gałęzie prawa. Na uwagę zasługuje też okoliczność, że zmiany, z jakiemi się tutaj spotykamy, nie objawiają się prawie nigdy w całym systemie równocześnie, że przeciwnie dotykają jednéj instytucyi prędzéj, innéj późniéj, u jednéj sięgają więcéj w treść jéj, inną przekształcają raczéj tylko powierzchownie i t. p. Widać stąd, jak trudną a zarazem niepraktyczną jest rzeczą tworzyć tutaj okresy. Okres musi się zaznaczyć zasadniczą zmianą w całkowitym rozwoju danego prawa; otóż pomijając już okoliczność, że prawo prywatne z saméj natury rzeczy mniéj jest skłonnem do zmian zasadniczych, nasuwa się tu jeszcze ta trudność, że w danéj chwili zmiany te nie obejmują prawie nigdy jego całości, że dotyczą tylko szczegółów.

Z tych ogólnych uwag niepodobna wprawdzie jeszcze wyprowadzać szczegółowego wniosku o prawie prywatném polskiém; są to tylko teoretyczne spostrzeżenia, stanowiące wprawdzie regułę, ale dopuszczające przecież wyjątki. Są wypadki, gdzie i prawo prywatne da się przedstawić okresami, a to wtedy, jeżeli wyjątkowo w rozwoju jego dziejowym objawią się pewne zasadnicze, całego systemu dotyczące zmiany. Jeżeli n. p. w państwie jakiémś wydaną zostanie

obszerna, szczegółowa kodyfikacya prywatno-prawna, zrywająca stanowczo z zasadami dawniejszego prawa, tam kodyfikacyą taką uważać można za fakt epokowy, i trzeba będzie przedstawić dawniejszy rozwój prawa osobno, a osobno znowu stan jego, stworzony nowym kodeksem. Albo n. p. gdzie, jak w Niemczech, następuje recepcya prawa obcego, opartego na innych zasadach, niż dawniejsze prawo rodzime, w tym wypadku niemieckie, tam recepcyą tę w dziejach prawa obowiązującego w tymże kraju uważać można za fakt epokowy i rozdzielić nim od siebie dwa odrębne okresy. Inaczéj ma się rzecz w Polsce. O recepcyi nie ma tu mowy; o wielkiéj jakiejś kodyfikacyi, zmieniającéj zasadniczo dawniejszy system prawa, tém mniéj; prawo polskie prywatne rozwija się powoli, stopniowo, bez żadnych gwałtownych zmian, bez żadnych nagłych przejść; wytycznym myślom, przejętym jeszcze z czasów pierwotnych, pozostaje ono wiernem w ciągu całego dziejowego rozwoju, kształci je tylko i rozwija w pewnym ograniczonym zakresie, raz w jednym, raz w drugim kierunku; ale w całéj jego historyi nie ma żadnéj takiéj chwili, którаby się zaznaczyła zasadniczą zmianą w całym jego systemie. Reguła, którą stwierdziła metodologia prawa, nie doznaje więc tutaj wyjątku; przedstawienie prywatnego prawa polskiego w okresach nie da się uzasadnić, dla tego, że okresów takich w rzeczywistości nie było. W nauce naszej przyznać tedy musimy pierwszeństwo metodzie systematycznéj; w ramach jéj znajdzie się jeszcze dość miejsca do uwydatnienia strony historycznéj[1]).

VIII.

Jakiż tedy ma być ów system, w który ująć należy zasady prywatnego prawa polskiego?

Na pytanie to odpowiadano w podręcznikach bardzo rozmaicie. Ostrowski i Bandtkie omawiają rzecz w trzech

[1]) Szereg trafnych myśli w téj kwestyi wypowiedział już (za Puchtą) Helcel: Dawne prawo prywatne polskie, str. 4.

częściach, z których pierwsza obejmuje naukę o osobach, druga o rzeczach i prawach rzeczowych, trzecia o umowach czyli kontraktach. Jest to, jak widzimy, system, którego trzymano się w ogóle w cywilistyce dawniejszéj, system, jak wiadomo, błędny i teoretycznie uzasadnić się nie dający. W granicach każdéj z tych części przeprowadzają wspomniani autorowie dalsze podziały, różniąc się pomiędzy sobą niejednokrotnie szczegółami, w których bliższy rozbiór nie wchodzimy. Zaznaczamy tylko niektóre błędy zasadnicze. Tak n. p. Ostrowski w prawie rzeczowém przedstawia rzecz o donacyach i zapisach, o prawie spadkowém testamentowém i beztestamentowém, o prawie małżeńskiém majątkowém, w dziale o kontraktach rzecz o prawie zastawu. Niektóre z tych błędów powtarza Bandtkie, zaliczając do prawa rzeczowego spadkowe, a nadto prawo bliższości. System ten ma prócz tego w szczegółach rozmaite luki, do czego dodać jeszcze należy, że cały dział trzeci przedstawia tylko jednę część nauki o zobowiązaniach, mówiąc o umowach, a pomijając zobowiązania z występków. U Ostrowskiego znajdujemy uzupełnienie tego braku w następnym dziale, obejmującym prawo karne, wszakże w pomięszaniu z zasadami właściwego prawa karnego; Bandtkie braku tego wcale nie uzupełnia. Nieco odmiennie przedstawia się system Maciejowskiego, obejmujący cztery działy, z których pierwszy jest rodzajem t. z. części ogólnéj, i mówi o osobach i rzeczach jako podmiotach i przedmiotach stosunków prawnych, drugi o prawie rodowém (familijném), trzeci o prawie rzeczowém, czwarty o zobowiązaniach. I Maciejowski prawo spadkowe omawia w nauce o prawie rzeczowém, natomiast w dziale ostatnim przedstawia nietylko rzecz o zobowiązaniach z umowy, ale także z „nibywystępku.“ W podręczniku Dutkiewicza trudno właściwie mówić o jakimś systemie, dlatego że go sam autor nie przeprowadził, podzieliwszy pracę swą na szereg drobniejszych ustępów, które nie wiedzieć do jakiego działu chciał mieć zaliczone. Z porządku, w jakim te ustępy po sobie następują, dałby się odtworzyć system mniéj więcéj podobny do

tego, jaki znajdujemy u Maciejowskiego, choć w szczegółowém jego przeprowadzeniu panuje niesłychany chaos i bałamuctwo; rzeczy najściślej do siebie należące są poprzeplatane innemi, które w najmniejszym związku z niemi nie zostają; zasady prawa familijnego, rzeczowego, obowiązkowego, mięszają się co chwila ze sobą, wprowadzając czytelnika na manowce, z których mu wydostać się trudno. Więcéj ścisłym w podziale systematycznym jest Burzyński, który nadto, bardziéj niż jego poprzednicy, zbliża się do zasad nowszéj systematyki prawnéj. Nie uznaje on wprawdzie potrzeby tworzenia t. z. części ogólnéj, dla tego, że wszystko, co się w niéj da pomieścić, należy do filozofii prawa albo tegoż encyklopedyi (!); zamiast niéj podaje szereg „wiadomości wstępnych,“ które bądź to należą do nauki prawa politycznego, bądź też nie są niczém innén, jak tylko właśnie ową odrzuconą przez niego „częścią ogólną“ lubo znacznie okrojoną. W pozostałych działach przedstawia naukę o prawie familijném, rzeczowém i zobowiązaniach; prawo spadkowe zalicza do działu o prawie familijném. W dalszym, szczegółowym rozkładzie przedmiotu przedstawia się system Burzyńskiego wcale poprawnie; jedyny ważniejszy zarzut, jaki mielibyśmy tu do uczynienia, jest ten, że naukę o ciężarach rzeczowych spotykamy w wykładzie prawa rzeczowego, nie zaś w dziale o zobowiązaniach. Jedynym, który system nowszéj cywilistyki zastosował w zupełności do wykładu o polskiém prawie prywatném, jest Helcel, o ile o tém przynajmniéj z pozostałéj części jego dzieła wnioskować możemy; po krótkim wstępie kreśli on zasady ogólne, następnie zaś przechodzi prawo rzeczowe, na którém się też wykład urywa.

Myśl przewodnia, jaką we wszystkich tych układach przeprowadzono, widnieje w zupełności: zostosowywano się w zasadzie do wyników każdoczesnéj najnowszéj systematyki prawa, przyjmowano taki rozkład, jaki współczesna cywilistyka uważała za najodpowiedniejszy, wprowadzając chyba czasami pewne szczegółowe zmiany. Postępowanie to z dwojakiego stanowiska można oceniać i krytykować. Można,

godząc się na samę myśl zasadniczą, zaczepiać przeprowadzenie jéj w szczegółach, wytykać w tym kierunku błędy i niedokładności. Zarzutów takich da się niewątpliwie podnieść wiele, i to słusznie; w części odpowiedzą za to sami autorowie podręczników, w części ustalona za ich czasów systematyka prawna. Ale można jeszcze sprawę systemu pojąć ze stanowiska więcéj zasadniczego; można postawić pytanie, czy w ogóle w ramach systemów, dzisiaj przyjętych, przedstawić się da w sposób właściwy całość prywatnego prawa polskiego; czy raczéj nie należy postarać się o jakiś system inny, któryby wypływał z ducha tegoż prawa, i w należyty sposób odsłonił zarówno jego właściwości, jak i związek zachodzący pomiędzy poszczególnemi instytucyami.

Na to ostatnie pole sprowadził rzecz całą prof. Bobrzyński w czasach najnowszych[1]). Zdaniem jego wtłaczanie prawa polskiego w system dzisiaj przyjęty, głównie dla wykładów prawa rzymskiego używany, ściera właściwe prawu polskiemu piętno indywidualizmu, rozłącza od siebie rzeczy pokrewne, a łączy znów takie, pomiędzy któremi żaden istotny nie zachodzi związek. Należy tedy postarać się o inny system, i to taki, który prawo polskie stworzyło samo dla siebie, w chwili, kiedy było jeszcze żywotném, kiedy znajdowało się w stadyum pełnego rozwoju. System taki znajduje prof. Bobrzyński w układzie t. z. Korrektury Taszyckiego, projektu do kodyfikacyi prawa polskiego, wypracowanego w pierwszéj połowie wieku XVI. System ten przeprowadzić należy w wykładzie naszego prawa we wszystkich jego szczegółach, że zaś korrektura mówi nie tylko o tém, co dziś nazywamy prawem prywatném, ale podaje zarazem przepisy o organizacyi sądownictwa, o prawie karném i procesowém, co wszystko razem nosi u niéj nazwę p r a w a s ą d o w e g o (ius iudiciarium), przeto należy połączyć wszystkie te działy w jednę, ściśle ze sobą

---

[1]) O dawném prawie polskiém, jego nauce i umiejętném badaniu, str. 23 sq. Por. też jego wstęp do trzeciego tomu Starodawnych prawa polskiego pomników.

związaną całość, przedstawić jedno wspólne prawo sądowe polskie, w przeciwstawieniu do drugiego działu prawa, który dawniéj w Polsce uznawano, t.j. prawa politycznego. Związek, jaki istnieje pomiędzy poszczególnymi, dzisiaj odróżnić się dającymi działami prawa sądowego, jest w Polsce tak istotnym, że bez wyjaśnienia jednego zrozumienie innych jest niemożliwém. Okoliczność ta przemawiać ma, zdaniem prof. Bobrzyńskiego, za koniecznością wspólnego przedstawienia całego prawa sądowego; okoliczność ta stawia wysoko system Ostrowskiego, który w książce swojéj dał nam zarys nie tylko prawa prywatnego, ale zarazem karnego, procedury i organizacyi sądownictwa: jest to jedyny podręcznik, który pojął i zrozumiał sprawę systemu w prawie polskiém, dla tego właśnie, że w jednym wspólnym obrazie przedstawił całość prawa sądowego.

Myśl, poruszona przez prof. Bobrzyńskiego, jak łatwo zrozumieć, nieobliczoną przedstawia doniosłość; przeprowadzona w praktyce mogłaby ona nie tylko sprawę systemu, ale nawet i zakresu poszczególnych gałęzi prawa polskiego oprzeć na podstawach zgoła odmiennych od tych, na jakich przywykliśmy je dotychczas opierać. Zobaczmy jednak, czy myśl ta przyjąć się da w zupełności. Godząc się w ogóle na pojęcie t. z. prawa sądowego, mamy przed sobą dwie tylko możliwości do przypuszczenia: albo poszczególne jego działy, jak prawo prywatne, karne i t. p., składając się na wspólną całość prawa sądowego, tworzą przecież dla siebie pewne odosobnione całości, i jako takie stać się mogą przedmiotem kilku odosobnionych wykładów; w tym wypadku nie zaprzeczalibyśmy jeszcze prawu prywatnemu znaczenia samoistnéj dyscypliny naukowéj, uważalibyśmy je tylko za pojęcie niższego rzędu, zawarte w pojęciu wyższorzędném, t.j. prawie sądowém. Przypuszczenie takie usuwa jednak stanowczo teorya prof. Bobrzyńskiego; według niéj możliwą jest tylko alternatywa druga, téj treści, że w Polsce nie przyznawano prawu prywatnemu, karnemu itd. znaczenia samoistnych gałęzi prawa; wszystkie one zlewały się wspólnie w jednę całość prawa sądowego, w obrębie którego nie ma już żadnych kategoryj niższego rzędu. Wyni-

kłaby stąd bardzo ważna konsekwencya: że w nauce prawa polskiego nie ma miejsca dla samoistnego wykładu prawa prywatnego, karnego i t. p., że można przedstawić tylko system prawa sądowego. Zdaje nam się, że takiéj konkluzyi przyjąć nie podobna. Gdyby nawet prawo polskie nie było teoretycznie zaznaczyło różnicy, jaka zachodzi pomiędzy poszczególnemi gałęziami prawa sądowego, to jednak już sama jego treść różnicę taką wskazać mogłaby niewątpliwie. Jak gdzieindziéj, tak i tutaj, w zasadniczéj konstrukcyi urządzeń prawa prywatnego, karnego, procesowego, organizacyi sądownictwa, zachodzą tak istotne różnice, że o bezwzględnéj jednolitości wszystkich tych odłamów mowy być nie może. Przyznajemy chętnie rzecz poprzednio już zaznaczoną, że granica i zakres prawa prywatnego nie były dawniéj te same co dzisiaj, że mianowicie prawo prywatne sięgało niejednokrotnie w sferę, która dzisiaj jest już pod rządami prawa karnego (jak sięgało czasem także w sferę stosunków prawnopolitycznych, których jednak prof. Bobrzyński nie liczy już do prawa sądowego); ale z téj różnicy zakresu nie można jeszcze wnioskować o spływie całych gałęzi prawa w jednę zamkniętą w sobie całość, w któréj nie wolno już nawet odróżniać poszczególnych części składowych. O zbrodniach tego rodzaju, jak zdrada kraju, obraza majestatu, kradzież skarbu publicznego (crimen peculatus) i t. d., które i w prawie polskiém noszą na sobie charakter ściśle kryminalny, możemy przecież mówić osobno, niekoniecznie w związku z prawem prywatném; teoryą opieki, spadkobrania i t. p. zrozumiemy doskonale, choć nie przedstawimy zasad organizacyi sądownictwa polskiego. Nie potrzebujemy jednak uciekać się do tych wywodów rozumowych; możemy stwierdzić źródłami, że w Polsce, i to jeszcze przed ułożeniem korrektury Taszyckiego, jak również i późniéj, umiano rozróżniać i rozróżniano teoretycznie pojęcia prawa prywatnego, karnego itd. Wszakże tysiące dyplomatów średniowiecznych, a i liczne statuta i konstytucye późniejsze rozróżniają dokładnie sprawy karne i prawnoprywatne (causae criminales et civiles), i wskazują wyraźnie

na to, że oba te działy prawa oddzielano ściśle od siebie. Zapytajmy daléj, dlaczego to w pomnikach naszego prawa z pierwszéj połowy wieku XVI spotkać można dwa krótkie kodeksy postępowania sądowego, jeden ułożony przez Łaskiego, drugi znany pod nazwą Formula processus? Jeżeli w pojęciach ówczesnych tylko prawo sądowe stanowiło jednostkę dla siebie, to przecież nie można było kodyfikować prawa procesowego jako osobnéj całości, a jednak całość taką, odrębną, samoistną, nie łączącą się z przepisami o organizacyi sądownictwa, o materyalném prawie prywatném i karném, dali nam ludzie, którzy przecież działali współcześnie z pojawieniem się korrektury, w czasie żywotności prawa polskiego, kiedy je rozumiano i odczuwano. Nie czyńmy układu korrektury czémś więcéj nad to, czém jest w rzeczywistości: połączeniem kilku gałęzi prawa, które miały samoistny byt dla siebie. Nie dla tego złączono owe cztery działy ze sobą, iżby żaden z nich nie dał się przedstawić osobno, ale dla tego, że zachodził pomiędzy nimi wieloraki związek, — którego bynajmniéj zaprzeczać nie myślimy, — jak niemniéj dla tego, że chodziło o stworzenie kodeksu, któryby na wszystkie pytania, złączone z wykonywaniem funkcyi sądowniczéj, dostateczną mógł dać odpowiedź. Ale związek pomiędzy poszczególnymi działami prawa, który zachodzi wszędzie i zawsze, i to nie tylko w saméj dziedzinie prawa sądowego, choćby nawet uwydatnił się podówczas w Polsce z większą siłą, niż gdziekolwiek indziéj lub kiedykolwiek późniéj, nie upoważnia jeszcze do tego, ażeby każdemu z nich odmówić racyi bytu, a wzgląd praktyczny, jaki w układzie korrektury miano na oku, nie może rozstrzygać o kwestyi naukowéj.

Nie można tedy powiedzieć, żeby zachodziła istotna potrzeba, lub nawet konieczność, łączenia wszystkich działów prawa sądowego w jednę całość, iżby tylko one, razem wzięte, stanowiły dopiero zaokrąglony dla siebie system; przeciwnie, każdy z tych działów, jak je dzisiaj rozróżniamy, rozróżniano także dawniéj; każdy z nich stanowił dla siebie osobną całość, która tworzyła pewien system; możemy tedy śmiało mówić

o osobnych systemach prawa polskiego prywatnego, karnego, procesowego i t. p. Zachodzi tylko pytanie, jak odtworzyć te systemy, w szczególności zaś system prawa prywatnego? Zobaczmy, jaką nam da odpowiedź na to pytanie układ korrektury.

Według trafnych uwag prof. Bobrzyńskiego rozmieszcza ona przedmiot w pięciu księgach w następującym porządku:

I. Ustrój polityczny państwa, w szczególności zaś sądownictwo i jego rodzaje;

II. Postępowanie sądowe;

III. Prawo osobowe:

a) w rodzinie;

b) w społeczeństwie i państwie;

IV. Prawo o zobowiązaniach:

a) z umów;

b) z występków;

V. Formuły czynności prawnych, osobliwie prawo rzeczowe obejmujących.

Pamiętając teraz o tém, że w dawném prawie polskiém można równie dobrze jak dzisiaj mówić o osobném prawie prywatném, karném, procesowém, że zatem w korrekturze, która zawiera całe prawo sądowe, połączone być muszą systemy poszczególnych jego rozgałęzień, starajmy się z układu jéj wyprowadzić system dla tego działu, który nas tu szczegółowo zajmuje, a więc system prawa prywatnego. Oczywiście, będziemy musieli odrzucić wszystko to, co w zakres tego prawa nie wchodzi; po dokonanéj zaś eliminacyi pozostaną następujące części:

III. Prawo osobowe:

a) w rodzinie, (gdzie mowa o prawie rodzicielsko-dziecinném, o opiekach, prawie spadkowém i małżeńskiém majątkowém);

b) w społeczeństwie i państwie, (gdzie podane mamy niektóre zasady prawa rzeczowego, tudzież zasady o wpły-

wie stosunków stanu na zdolność prawną i zdolność działania w zakresie prawa prywatnego; z przepisami tymi mięsza się tu wiele norm prawa publicznego, których oczywiście w rachubę nie wciągamy).

IV. Prawo o zobowiązaniach:

a) z umów;

b) z występków (gdzie przedstawione mamy także prawo karne ówczesne);

V. Formuły czynności prawnych, zawierające w przeważnéj części prawo rzeczowe.

Nie zechcemy oczywiście twierdzić, iżby do zalet tego systemu należało rozstrzelenie zasad o prawie rzeczowém, które częściowo umieszczono w dziale III b, częściowo w dziale V; rozstrzelenie to wynikło zresztą, jak łatwo zrozumieć, ze względów praktycznych, gdyż dział V poświęcony został formułkom czynności prawnych, których w poprzednich księgach umieszczać nie było można. Jeżeli jednak zgodzimy się na połączenie obu tych części ze sobą, to otrzymamy w rezultacie schemat następujący:

1) Prawo familijne (III a);

2) Prawo spadkowe (III a);

3) Prawo rzeczowe (III b, V);

4) Prawo o zobowiązaniach (IV a, b);

a w niektórych artykułach działu III b. znajdziemy nawet pewne zawiązki t. z. części ogólnéj.

Aż dotąd nie ma powodu odrzucać układu korrektury; ale zarazem przypominać chyba nie potrzeba, że podział prawa prywatnego na główne jego działy jest tu ten sam, jaki stawia dzisiejsza systematyka prawna; tylko porządek, w jakim działy te po sobie następują, jest cokolwiek odmienny. Ta zgodność układu korrektury z systemem przyjętym dziś powszechnie dla prawa prywatnego nie jest oczywiście przypadkową; tkwi w niéj głębsza, istotna przyczyna, wynikająca z celu i przeznaczenia tegoż prawa. Prawo prywatne zmierza do tego, ażeby urządzić stosunki prawne osób ze względu na ich

cele osobiste, prywatne. Te cele są, w ogóle rzecz biorąc, zawsze i wszędzie jednakowe, bo człowiek, gdziekolwiek i kiedykolwiek żyje, jest zawsze człowiekiem; zawsze tedy cele te będą dotyczyły bądź to stosunków rodzinnych, bądź też majątkowych, a w sferze tych ostatnich znajdą wyraz bądź to w stosunku osoby do rzeczy, bądź osoby do osoby, bądź spadkobrania. Podział prawa prywatnego na części o prawie rzeczowém, obowiązkowém, rodzinném i spadkowém, wynika tedy z saméj jego natury, nie jest zaś tylko systemem prawa rzymskiego lub jakiegokolwiek innego szczególnego; usprawiedliwiony on jest zasadniczém pojęciem prawa prywatnego w ogóle, jego istotą i treścią, która więcéj ma w sobie pierwiastku powszechnoludzkiego, kosmopolitycznego, niż jakakolwiek inna gałąź prawa. Potrafimy, dajmy na to, stworzyć osobny system dla prawa karnego w każdym niemal narodzie; dla tego, że pogląd na istotę winy i kary, na stosunek przestępstwa do idei porządku publicznego, może być rozmaity w miarę różnic czasu i miejsca; pogląd ten bowiem nie tyle już zawisł od człowieka jako człowieka, ale od jego pojęć religijnych i obyczajowych, stopnia oświaty i cywilizacyi, wyobrażenia o istocie i zadaniu państwa, i tym podobnych okoliczności, które są wcale zmienne; w prawie prywatném — o ile chodzi o zasadniczy jego podział — wszystkie te czynniki, więcéj rozmaite w przestrzeni czasu i miejsca, głębiéj wstecz się cofają, z mniejszą działają siłą na jego treść i ukształtowanie. Porównując n. p. średniowieczne prawa prywatne z rzymskiém, widzimy, że wytworzyły one wiele instytucyj, których to ostatnie nie znało, jak lenności, ciężary rzeczowe, prawo bliższości i t. p., a jednak mimo to potrafimy wszystkie te instytucye rozmieścić wygodnie w ogólnych ramach systemu, o którym co dopiero wspomnieliśmy, i tak: lenności w dziale o prawie rzeczowém, ciężary rzeczowe i retrakt w dziale o zobowiązaniach. Nie ma tedy powodu obawiać się, iżbyśmy przyjmując ten podział ogólny także i dla polskiego prawa prywatnego, zamącili w czémkolwiek czystość jego systemu.

Atoli na tém nie kończy się jeszcze cała sprawa. Ponieważ system jest zewnętrznym wyrazem organizmu danego prawa, przeto rozchodzić się musi nie tylko o to, ażeby odtworzyć ów podział zasadniczy, o którym poprzednio mówiliśmy, ale zarazem o to, ażeby wszystkie, chociażby najdrobniejsze cząstki tegoż organizmu rozmieścić w systemie na miejscu właściwém, czyli innemi słowy, ażeby instytucye danego prawa tak obok siebie ugrupować, jak się istotnie łączyły ze sobą w témże prawie, w czasie jego rozwoju i żywotności. Tutaj wzgląd na powszechno-ludzki charakter stosunków prawa prywatnego, który poprzednio rozstrzygał, wystarczyć już nie może. Bo prawo prywatne, choć w pierwszéj linii uwzględnia człowieka jako człowieka, musi przecież liczyć się z nim także jako jednostką przynależącą do pewnego narodu, do pewnego państwa, rozwijającą się wśród pewnych konkretnych, nie zawsze i nie wszędzie jednakowych warunków. Czynniki te powodują pewne różnice w konstrukcyi poszczególnych urządzeń prywatno-prawnych, to znowu tworzą instytucye, za któremi gdzieindziéj szukalibyśmy napróżno, słowem, nadają poszczególnym prawom prywatnym pewne, im tylko właściwe zabarwienie, wyciskają na nich pewne piętno indywidualizmu. Stąd też i ugrupowanie instytucyj prawnych nie może być w każdém prawie jednakowém; musi ono być mniéj lub więcéj odmiennėm. Z tego punktu widzenia trudno oczywiście o jakiś wspólny, na wskróś jednolity system dla wszystkich praw prywatnych w ogóle; owszem, nauka każdego z tych praw musi się postarać o system właściwy tylko dla niego, wyprowadzony z jego istoty i ducha. Jest to wzgląd, na który w dotychczasowych opracowaniach prywatnego prawa polskiego aż nadto mało zwracano uwagi; wtłaczano je w ramy systematów nowszych, nie zważając bynajmniéj na to, że w ramach tych gubi się jego charakter, zacierają do niepoznania właściwości. To też przeczytawszy jakikolwiek podręcznik, nie podobna nie dostrzec, jak obcą dla naszego prawa jest szata, w którą je przyobleczono. I w tém spoczywa głęboka wartość spostrzeżenia prof. Bobrzyńskiego, a zarazem prawdziwa

wobec nauki zasługa, że pierwszy zwrócił uwagę na błędność przyjmowanych dotąd układów, a zarazem wskazał na konieczność wyprowadzenia systemu prywatnego prawa polskiego z niego samego, a nie z jakiegokolwiek innego prawa.

Nie zdaje nam się jednak, iżby wzoru do tego systemu — o ile chodzi o ugrupowanie poszczególnych instytucyj — dostarczyć nam miała korrektura Taszyckiego, bo układ jéj jest częścią bałamutny, częścią niezupełny. Zaprowadziłoby nas to za daleko, gdybyśmy rzecz tę rozebrać chcieli w szczegółach; tyle jednak pewna, że nie zechcemy przecież za jéj przewodem wyłączyć nauki o dawności z wykładu prawa prywatnego i omawiać ją w prawie procesowém; nie zechcemy hipoteki lub antrichrezy polskiéj przedstawić w jednym dziale z zasadami o kontrakcie kupna, zamiany, dzierżawy i t. p., bo cokolwiekbądź sądzić będziemy o właściwościach prawa polskiego, tego zaprzeczyć nie możemy, że hipoteka i antichreza, to prawa rzeczowe, których nie wolno wtłaczać w dział o zobowiązaniach; nie zechcemy prawa rzeczowego bez żadnych powodów dzielić na dwie części, omawiając pierwszą przed nauką o zobowiązaniach, drugą zaś po niéj i t. d. i t. d. Przypuśćmy zresztą, że układ korrektury jest najlepszym, na jaki systematyka prawa polskiego z wieku XVI zdobyć się mogła, to zawsze jeszcze pozostanie otwartém pytanie, czy układ ten, z tego jedynie powodu, przyjąć mamy bez zastrzeżeń do dzisiejszéj nauki. Wiadomo, że prawo rzymskie w czasie swojéj żywotności stworzyło sobie samoistny system, przeprowadzony w dziele Gaiusa i Instytucyach Justyniana, rozdzielający cały wykład prawa prywatnego na trzy działy o osobach, rzeczach i skargach; wiadomo, że prawo kanoniczne miało także swój system osobny, który powstał w czasie jego najświetniejszego rozwoju, rozdzielający przedmiot na pięć części o władzach duchownych, sądownictwie, duchowieństwie, małżeństwie i zbrodniach. Pytamy jednak, czy dzisiaj rzymskie prawo prywatne lub prawo kanoniczne przedstawiamy w ramach takich systemów? Owszem, nauka poczytuje to sobie za prawdziwą zasługę i rzeczywisty

postęp, że porzuciła systemy dawniejsze i postawiła inne, które więcéj odpowiadają jéj istocie i treści, a już nie ma podobno nikogo, ktoby z tego biadał powodu, że prawo rzymskie lub kanoniczne, wtłoczone w inne formy, wygląda w nich niewłaściwie lub błędnie się przedstawia, choć zmiana nastąpiła tutaj nie tylko w ugrupowaniu pomniejszych szczegółów, ale dotknęła nawet głównych działów systemu. System prawa nie jest wyłącznie kwestyą doktryny, ramką stworzoną dla ujęcia i przedstawienia umiejętności w pewném zaokrągleniu; system płynie z saméj istoty i treści prawa, jest zewnętrznym wyrazem, kształtem, w którym się to prawo przejawia. Ażeby jednak system ten w nauce w właściwy sformułować sposób, trzeba prawo to we wzajemnym związku poszczególnych jego instytucyj dokładnie zbadać i zrozumieć, a czyż wyłączny do tego przywilej służyć ma tylko tym, którzy patrzą na jego żywotność lub w czasie téj żywotności układają zbiory i kodyfikacye prawne? Czy raczéj nauka, postępując z biegiem czasu, badając instytucye prawne coraz ściśléj, coraz wszechstronniéj, wyświecając ich wzajemne między sobą stosunki, nie ma prawa pokusić się o stworzenie, a raczéj odtworzenie systemu lepszego, choćby jéj przyszło działać w czasach, kiedy żywotność badanego prawa ustała? Stawiając system nowy, nie stwarza ona nic takiego, coby się nie dało zastosować do epoki, którą bada; owszem, daje nam taki właśnie system, jaki w rzeczywistości istniał podówczas, tylko że go wtedy jeszcze nie umiano ująć w należyte formy i granice. Czyż tedy, przyznając choćby największe zalety układowi korrektury, mielibyśmy prawo uważać go za ostatni wyraz systematyki prawa polskiego, nad którym wszelka dyskusya jest wykluczoną? Zdaje nam się, że znaczyłoby to przeceniać znaczenie korrektury, która mogła być wcale dobrym, jak na wiek XVI, projektem kodyfikacyjnym, ale nie zawarła jeszcze wszystkiego, co nauka wypowiedzieć może o systemie prawa polskiego. Do nauki téj należy też ostateczne sformułowanie systemu w jego najdrobniejszych szczegółach i najdelikatniejszych odcieniach. Dzisiaj zadania tego

niepodobna jéj może spełnić z całą dokładnością, dla tego że się jeszcze nie wzniosła do pożądanego stopnia doskonałości; ale zadanie to rozwiąże ona z czasem niewątpliwie, a drogą, która ją do tego celu poprowadzi, jest ścisłe zbadanie istoty prawnéj każdéj instytucyi z osobna i wyjaśnienie wzajemnego związku, jaki pomiędzy niemi zachodzi.

III.

UWAGI
O PRAWIE ZWYCZAJOWÉM I USTAWNICZÉM
W POLSCE.

Wykład inauguracyjny w Uniwersytecie lwowskim.

Dawniejsza szkoła w nauce prawa polskiego, wykształcona na pojęciach i zapatrywaniach wieku XVIII, u nas panująca dłużéj niż gdzieindziéj, dopatrywała się w ustawodawstwie polskiém jedynego niemal źródła obowiązującego prawa, i z pomników tegoż ustawodawstwa wyjaśnić się starała wszystkie zagadnienia, dotyczące historyi prawa polskiego. Ile z tém błędném zapatrywaniem i tą niewłaściwą metodą przyniosła szkody naszéj nauce, jak jednostronnie i niedostatecznie, a częstokroć nawet fałszywie tłómaczyła zjawiska życia prawnego w narodzie polskim, o tém dzisiaj szeroko już mówić nie potrzeba. W nowszych czasach porzucono ten jednostronny kierunek naukowy, zdobyto uznanie dla zasady, że w Polsce prawo zwyczajowe miało zastosowanie, i to bardzo szerokie, nawet w tych czasach, kiedy ustawodawcza działalność państwa żywo się już rozwinęła; wskazano na potrzebę oparcia badań nad historyą prawa polskiego także i na źródłach prawa zwyczajowego, tém samém zaś zdobyto punkt widzenia, który nauce naszéj nowe otworzył horyzonty. Wraz z tym zwrotem naukowym stanęło przed nami do rozwiązania mnóstwo nowych pytań, których dawniéj nawet nie poruszano, a pośród nich jedno z najważniejszych, pytanie o wzajemnéj relacyi obu tych form prawa, pytanie o stosunku prawa

zwyczajowego do ustawniczego w Polsce, ważne z tego względu, że dotyka wielu zjawisk, rzucających jasne światło na charakter i kierunek rozwoju prawa polskiego.

Oto przedmiot, któremu zamierzam poświęcić niniejsze moje uwagi.

W chwili, w któréj Polska występuje na widownię dziejową, zna ona, jak wszystkie narody w początkach swego cywilizacyjnego rozwoju, jedno tylko prawo, prawo zwyczajowe. Proste, nieskomplikowane stosunki pierwotne, zarówno w dziedzinie obyczajów, jako też pojęć i urządzeń prawnych, i ta żywa świadomość obowiązującego prawa, jaka się utrzymywała pośród ogółu narodu, czynią zbytecznem rozwinięcie jakiéjkolwiek akcyi ustawodawczéj. Jak się to prawo tworzyło i jak się wytworzyło, próżno dociekać w szczegółach; w ogóle biorąc, powstało tak, jak powstaje każde prawo zwyczajowe: stałém przestrzeganiem pewnych zasad w narodzie, stałem ich zastosowywaniem w sądach. Oczywiście jednak, to prawo zwyczajowe, przybrawszy raz już pewne kształty, nie mogło pozostać odtąd niezmienioném. Gdy z biegiem czasu zmieniały się warunki dziejowego rozwoju narodu i jego potrzeby, musiało też i prawo, które je urządzało, odpowiednim ulegać przekształceniom. I otóż zachodzi pytanie, jakie czynniki wpływały na ten dalszy jego rozwój? Niewątpliwie przedewszystkiém ten, który je sam powołał do życia, a więc zwyczaj w narodzie przestrzegany, który, częściowo przynajmniéj, w miarę zmienionych potrzeb tworzył nowe prawidła prawne. Ale on sam okazał się już niewystarczającym; powstaje tedy obok niego inny jeszcze czynnik, który to prawo zwyczajowe odpowiednio przekształca, a mianowicie działalność książąt, panujących, i to w dwojakim kierunku.

Książę w pierwotnéj monarchii piastowskiéj skupiając na zasadzie żywotnego podówczas prawa książęcego, t. z. „ius ducale,“ szeroką, nieograniczoną władzę w swém ręku, stał ponad prawém zwyczajowém, nie był obowiązany stosować się do prawideł, jakie ono postawiło. W tém stanowisku księcia leżała możność wprowadzenia w dotychczasowy system

prawa nowych zasad, nowych prawideł prawnych. Niekoniecznie zaś musiało się to dziać sposobem jakichś aktów ustawodawczych we właściwém tego słowa znaczeniu, do czego stosunki ówczesne jeszcze nie dojrzały; równie dobrze dał się ten cel osiągnąć drogą orzecznictwa sądowego i zarządzeń administracyjnych, wydawanych bądź przez księcia samego, bądź przez podwładnych mu i z ramienia jego działających urzędników. Te wyroki i zarządzenia, o ile odbiegały od prawa dotąd obowiązującego, nie znosiły go wprost, same przez się; w zasadzie dawniejsze prawo istniało daléj, a wyrok lub zarządzenie przedstawiały się tylko jako wyjątek, który książę uczynił na zasadzie przysługującéj mu władzy. Ale przez częste powtarzanie tego rodzaju wyroków lub zarządzeń mogło dawniejsze prawo przestarzeć się, wyjść z użycia, a miejsce jego zajmowała w takim razie nowa zasada. Tak więc ten kierunek działalności książęcéj tworzył właściwie znowu tylko prawo zwyczajowe, tylko że źródłem jego nie było już przeświadczenie ogółu narodu, lecz praktyka z woli księcia w sądownictwie i administracyi przestrzegana, która z tém przeświadczeniem może niejednokrotnie stała w sprzeczności.

Drugim czynnikiem, który wpływał na rozwój i przeobrażenie dawnych zasad prawnych, chronologicznie późniejszym, bo zaczynającym działać dopiero w wieku XII i XIII, w chwili, kiedy władza książęca znacznie się już osłabiła, były przywileje książąt, instytucya wspólna Polsce z całą współczesną Europą. Przywilej nie tworzył oczywiście prawa obowiązującego ogólnie, tworzył tylko prawo szczególne, a zarazem uprawnienie dla pewnéj osoby, czy to fizycznéj czy prawnéj, stawiał ją w zasadzie w pewném wyjątkowém wobec innych członków społeczeństwa położeniu, był sam wyjątkiem w stosunku do obowiązującego prawa. W praktyce jednak rzecz miała się częstokroć inaczéj. Działo się zazwyczaj w ten sposób, że skoro pewien stosunek prawny uznano za odpowiedni do urządzenia przez przywilej, urządzano go podobnymiż przywilejami dla innych osób tego samego

zawodu lub stanu, wchodzących w tenże sam stosunek prawny, tak, że właściwie wyjątkiem było, jeżeli przywileju takiego w pewnym poszczególnym przypadku nie wydano. Cały Kościół polski uzyskał w wiekach średnich immunitety na podstawie licznych przywilejów, udzielanych poszczególnym biskupstwom, opactwom i t. p.; nie mniéj miasta polskie nabyły autonomią i prawo niemieckie, znowu nie na zasadzie jakiegoś ogólnego przepisu ustawniczego, lecz drogą przywilejów, udzielanych każdemu miastu z osobna. Choć tedy w naturze przywileju leżało normować jakiś stosunek wyjątkowy, to jednak przez to regularne wydawanie ich we wszystkich przypadkach podobnych, zasada, którą one wyrażały, podnosiła się do znaczenia reguły; cały szereg przywilejów jednéj i téj saméj treści zastępował tedy ustawę ogólną.

Tak przedstawiają się czynniki, z których prawo nasze czerpało początkowo zasoby rozwoju i postępu. Co do zakresu oddziaływały one wszechstronnie: praktyka sądowa działała na rozwój prawa sądowego (prywatnego, karnego i procesowego), praktyka administracyjna i przywileje na rozwój prawa politycznego. Co do siły, oddziaływanie to nie było zapewne jednostajném; w dziedzinie prawa sądowego potrzeba zmian była mniejszą, niż w dziedzinie prawa politycznego; to też pierwsze nie rozwija się tak przyspieszoném tętnem, jak drugie, w którém przywileje sprowadzają istny przewrót, usuwając całą pierwotną organizacyą państwową, opartą na zasadach prawa książęcego (ius ducale). Cożkolwiekbądź, o tém zapominać nie należy, że aż dotąd prawo w Polsce obowiązujące było bądź to zwyczajowém, i to przeważnie zwyczajowém, bądź też prawem opartém na przywilejach. Właściwego prawa ustawniczego, ogólnie obowiązującego, Polska dotąd nie wytworzyła. Słabe zaczątki ustawodawcze, jakie się przed statutami Kazimierza Wielkiego wyjątkowo i sporadycznie pojawiają, nie wychodzą po za sferę pierwszych nieznacznych prób, które rozwoju prawa na nowe nie zdołały pchnąć tory i same przeszły niepostrzeżone. Akcya ustawodawcza spoczywała niejako w uśpieniu, choć w tych

czasach pierwotnych, kiedy książęta skupiali w swém ręku tak obszerną i silną władzę (zwłaszcza w okresie prawa książęcego), istniały właśnie warunki po temu, pomyślniejsze niż kiedykolwiek późniéj, ażeby ustawodawstwu zapewnić należne w narodzie poszanowanie.

Taki stan rzeczy mógł wystarczyć przez czas niejakiś, ale nie mógł wystarczyć na długo; nie mógł wystarczyć z chwilą, w któréj zatraciła się pierwotna prostota obyczajów, w któréj stosunki w narodzie przybrały większą rozmaitość i zawiłość, kiedy naród ten znalazł się na dalszym szczeblu cywilizacyjnego rozwoju, a proste formy prawa zwyczajowego okazały się już niedostatecznemi. Czy w istocie ta chwila nastała dopiero w połowie XIV wieku, kiedy się pojawia pierwsza kodyfikacya prawa polskiego, statuty Kazimierza Wielkiego? Pytanie to może dać temat do szerokiéj dyskusyi naukowéj; ale odpowiedź, zdaje się, wypaść powinna przecząco; powinna stwierdzić, że w téj kodyfikacyi Kazimierzowskiéj leży już pewne spóźnienie. Jeżeli rzucimy okiem na początkowy rozwój prawa w jakimkolwiek narodzie, spotykamy się zazwyczaj ze zjawiskiem, nie przypadkowém oczywiście, ale w saméj istocie rzeczy ugruntowaném, że każde państwo, skoro się tylko skonsoliduje, nie poprzestaje na prawie zwyczajowém, żyjącém w tradycyi ludu, lecz dąży, jeżeli już nie do wprowadzenia w niém odpowiednich zmian i uzupełnień przez władzę ustawodawczą, to przynajmniéj do spisania go pod powagą tejże władzy, przez co prawo to nabiera znamion prawa ustawniczego. Polska przez całe cztery wieki, licząc nie daléj wstecz, jak do pierwszego jéj historycznego wystąpienia, obywała się bez ustaw, choć w czasie tym dawno już wyszła z początkowego stadyum dziejowego rozwoju. Ten objaw mógłby zadziwić, gdyby nie okoliczność, która go do pewnego stopnia tłómaczy. Gdyby Polska pozostała była w tém zjednoczeniu, w jakiém się znajdowała za czasów Chrobrego lub Krzywoustego, gdyby rozciągając swą władzę na szerokie dziedziny wszystkich niemal ludów wschodnio-lechickich, w tém swojém silném mocarstwowém stanowisku zna-

7*

lazła była skuteczny punkt oparcia do zażegnània niebezpieczeństw grożących z zewnątrz, a tém samém trwałą podstawę do rozwinięcia wielkiéj pracy organizacyjnéj na wewnątrz, natenczas niewątpliwie sama siła stosunków faktycznych byłaby wywołała wcześniejszą, a zapewne też i szerszą, pełniejszą akcyą legislacyjną. Ale nastąpiły podziały; państwo rozpadło się na cały szereg drobniejszych dzielnic, których siły trawiły się i zużywały w walce czy to z potężnymi sąsiadami, czy to pomiędzy sobą, czy też z niespokojnymi żywiołami na wewnątrz. Te czasy ustawicznych walk i ciągłéj niepewności nie sprzyjały bynajmniéj podjęciu owéj pracy organizacyjnéj, opóźniły działalność władzy ustawodawczéj. Ale skoro tylko przeszkody ustały, pojawia się zaraz potrzeba rozwinięcia szerszéj akcyi legislacyjnéj. W dwadzieścia kilka lat po koronacyi Łokietka, która ponownemu zjednoczeniu Polski dała wyraz zewnętrzny, w kilka zaledwie lat po stanowczém załatwieniu sporu z Zakonem, który od dłuższego czasu zużywał siły państwa, otrzymuje Polska pierwsze statuty. Jest w tym fakcie pojawienia się ustawodawstwa Kazimierzowskiego więcéj może konsekwencyi dziejowéj, niż się to zazwyczaj przypuszcza.

Badając dzieje ustawodawstwa polskiego, począwszy od Kazimierza i czasów jemu najbliższych, przez dalszy ciąg wieków średnich, widzimy, że to ustawodawstwo w dwojakim rozwija się kierunku i dwojaką na zewnątrz przybiera formę: formę przywileju ziemskiego czyli ogólnego, tudzież formę statutu. Pierwsze dwa przywileje ziemskie (budziński z r. 1355 i koszycki z r. 1374) pojawiają się niemal równocześnie ze statutami Kazimierzowskimi. Przywilej ziemski tém się różni od wspomnianych poprzednio przywilejów szczególnych, które zresztą i teraz jeszcze daléj wydawano, że zawiera nadanie pewnych praw i prerogatyw na rzecz jednéj lub więcéj klas ludności, a więc nie na rzecz jakiéjś szczegółowo oznaczonéj osoby, nadto zaś ma zastosowanie w jakiémś większém terytoryum, a więc w całéj ziemi, w całéj prowincyi, albo nawet w całém państwie. Przywilej taki jest tedy niewątpliwie ustawą we właściwém tego słowa znaczeniu, czem przywilej

dawniejszy nie był. Ale w tém znowu zbliża się on do przywileju szczególnego, a zarazem zajmuje pewne odrębne stanowisko w ustawodawstwie polskiém, że co do treści ma zakres ograniczony: zawiera on tylko ustępstwa ze strony panującego na rzecz społeczeństwa, zwalnia od rozmaitych obowiązków, jakie ciążyły na społeczeństwie w obec panującego i państwa odnosi się więc głównie tylko do stosunków prawa politycznego, innych stosunków prawnych, przedewszystkiem zaś sfery prawa sądowego prawie nie dotyka. Inaczéj statut: statut urządzać może w zasadzie wszystkie stosunki prawne w ogóle, a więc nie tylko prawo polityczne, którego zresztą przywileje nie wyczerpywały, lecz także prawo sądowe; głównie jednak i przedewszystkiém statut dotyczy stosunków prawa sądowego, z wyjątkiem chyba statutów z końca wieków średnich, które już większą zwracają uwagę na prawo polityczne. Zresztą tych ścisłych granic pomiędzy przywilejem ziemskim a statutem nie zawsze przestrzegano dokładnie, mięszając częstokroć jedne z drugiemi; i tak, wykazać można przywileje, które zawierają niektóre postanowienia statutowe, i statuty, w których znajdują się niektóre postanowienia przywilejowe. Cożkolwiekbądź jednak, są to dwa odrębne typy w rozwoju ustawodawstwa polskiego średniowiecznego, które osobno trzeba rozważyć, ażeby określić stosunek ich do prawa zwyczajowego.

Otóż co do przywilejów przedewszystkiem podnieść należy, że były one dla społeczeństwa rzeczą wielce pożądaną, bo wszystkie stwierdzały lub rozszerzały jego prawa i prerogatywy, o które z taką wytrwałością walczyło przeciw rządowi i panującemu. Nowe zasady prawne, wypowiedziane w przywilejach ziemskich, przyjmowaly się tedy w narodzie z wielką łatwością i szybkością; cokolwiekbądź przyniósł ze sobą w téj mierze zwyczaj dawniejszy, o tém chętnie zapominano, dla tego, że ten zwyczaj nie dawał tylu korzyści, ile ich dawało nowe ustępstwo przywilejowe. Nie było więc obawy, iżby przy tém starciu prawa przywilejowego ze zwyczajowém, społeczeństwo stanęło po stronie dawniejszego prawa zwyczajowego; jeżeli

kto, to chyba panujący miał w tém interes, ażeby się za niém ująć, bo każdy nowy przywilej był uszczupleniem jego władzy. Ale ten panujący nie miał już podówczas dosyć po temu siły; owszem, on sam pod naciskiem okoliczności ustępował, sam te przywileje wydawał, sam uznawał to uszczuplenie praw swoich. Były więc wszelkie warunki po temu, że w tym kierunku nowe prawo ustawnicze odniesie zwycięstwo nad dawném zwyczajowém; co też w rzeczywistości nastąpiło.

Inaczéj miała się rzecz z prawem statutowém. To prawo statutowe, tak jak się nam przedstawia w ustawodawstwie Kazimierza W. i późniejszych średniowiecznych ustawach, nie było oczywiście w każdém swojém postanowieniu innowacyą, owszem, niejednokrotnie stwierdzało tylko te zasady, które poprzednio jako prawo zwyczajowe zdobyły sobie uznanie; nie zawsze więc zrywało z dawnemi przekonaniami narodu, i słusznie: bo każda nowa ustawa musi się liczyć ze stosunkami, które zastaje, i z dawniejszym historycznym rozwojem prawa. Czasem było ono innowacyą, ale w tém tylko znaczeniu, że zasady, z dawniejszych czasów przekazane, w miarę potrzeby uzupełniało i rozwijało; i tutaj więc nie zrywało z dawniejszą tradycyą, owszem, opierało się na niéj, szukało w niéj podstawy dla swojego rozwoju. Ale było niejednokrotnie i reformą dawniejszego zwyczaju, stawało doń w sprzeczności, znosiło prawidła, jakie się poprzednio przyjęły. W tym ostatnim kierunku ustawodawstwo statutowe miało najważniejsze do spełnienia zadanie; tutaj było pole, na którém rozwój prawa dał się pchnąć na nowe tory, jakie wśród zmieniających się warunków narodowego życia były wskazane. Tutaj przedewszystkiém rozegrać się miała walka między dawném prawem zwyczajowém a nowém ustawniczém.

Niestety, do téj walki przyszło już za późno, ażeby prawu ustawniczemu można było rokować wielkie nadzieje powodzenia.

To zbytnie opóźnienie działalności ustawodawczéj, aż do połowy XIV wieku, o którém wspomnieliśmy poprzednio, pociągnęło za sobą doniosłe skutki: prawo zwyczajowe, przez

tak długi czas niekrępowane ustawą, wybujało zanadto, wkorzeniło się w przekonania narodu z większą siłą i trwałością, niż gdzieindziéj, przeszło w tego narodu krew i kości. W tém niezwykłém znaczeniu zwyczajowego prawa leżało pierwsze wielkie dla ustawodawstwa statutowego niebezpieczeństwo: przychodziło mu się mierzyć z siłą aż nazbyt potężną, wobec któréj łatwo mogło ulec.

Były nadto i inne jeszcze niebezpieczeństwa. Prawo statutowe, zmieniając i reformując dawniejsze zasady prawa zwyczajowego, przynosiło oczywiście ze sobą, bezwzględnie rzecz biorąc, nie małe dla narodu korzyści: stwarzało postępowe normy i instytucye prawne, wprowadzało ład i porządek w sądownictwie, usuwało jego nadużycia. Ale te korzyści nie były tak widoczne, tak bezpośrednio uchwytne i dotykalne, jak n. p. w przywilejach ziemskich, które przyznawały społeczeństwu coraz to nowsze uprawnienia; owszem, te innowacye były niekiedy rzeczą niepożądaną, wstrętną dla tegoż społeczeństwa, dla tego właśnie, że zrywały z uświęconemi tradycyą przekonaniami. Więc w téj recepcyi prawa statutowego nie widziało ono tak ważnéj dla siebie sprawy, jak w recepcyi prawa przywilejowego; w walce, jaką prawo statutowe rozpoczęło przeciw dawniejszemu zwyczajowemu, musiało się tedy społeczeństwo zachowywać albo obojętnie, albo nawet nieprzyjaźnie.

Oczywiście, te wszystkie szkopuły byłyby się dały usunąć skutecznie, gdyby rząd sam od siebie na wykonanie statutów mógł był położyć stanowczy nacisk. Wszelako nie miał on już podówczas dosyć po temu siły. W czasie, kiedy się pojawiają statuta, dokonaną już była ważna zmiana w politycznym ustroju Polski; silne prawo książęce upadło, a wraz z niém i ta bezpośrednia zawisłość wszystkich urzędników w państwie od panującego; poszczególne stany zdobyły sobie szeroki samorząd, a zarazem samoistne sądownictwo, z wyjątkiem chyba sądownictwa najwyższego, które spoczywało jeszcze w ręku króla, tudzież sądownictwa starościńskiego, które pozostawało w zawisłości od niego, ale ograniczało się głównie do spraw policyjno-karnych. Stosunek przeważnéj części są-

dów do rządu był tedy tak luźnym, iż ten ostatni nie mógł w nich znaleść organu, któryby się dał postawić bezpiecznie na straży prawa statutowego.

I to była okoliczność, która ostatecznie rozstrzygnęła całą sprawę. Samo w sobie zanadto słabe, ażeby o własnych siłach przeprowadzić walkę z odwieczném prawem zwyczajowém, prawo statutowe, nie znalazłszy należytéj podpory z zewnątrz, ani u społeczeństwa, ani u rządu, musiało ulec. Jest to twierdzenie, które dzisiaj już poprzeć możemy niezawodnymi dowodami: i tak, przeprowadzone niedawno badania nad prawem polskiém z końca XIV wieku (Hube) wykazały w sposób nie pozostawiający żadnéj wątpliwości, że praktyka sądowa przestrzegała statutów Kazimierzowskich tylko tam, gdzie się oparły na starodawnym zwyczaju i zwyczaj ten wyraźnie uprawniły; tam natomiast, gdzie wprowadzając zmiany, prawo dawniejsze reformowały, nie potrafiły zapewnić sobie powagi i poszły w zapomnienie. Ten wynik walki rozstrzygnął o losach prawa sądowego. Reforma jego nie udała się, upadła, jak same statuty, które ją przeprowadzić chciały; główném źródłem, z którego prawo sądowe czerpać miało zasoby dalszego rozwoju, stało się znowu prawo zwyczajowe, przedewszystkiém zaś praktyka sądowa. Cóżkolwiekbądź, tyle przyznać trzeba, że średniowieczne nasze ustawodawstwo statutowe miało jasne poczucie swojego zadania, że starało się, nie usuwając jeszcze w zupełności prawa zwyczajowego, postawić naprzeciw niemu prawo ustawnicze przynajmniéj jako czynnik równorzędny, a zarazem utorować mu drogę do uzyskania z czasem stanowczéj przewagi.

Inaczéj przedstawiają się stosunki w czasach nowszych, w wieku XVI, XVII i XVIII. Jak wiadomo, są to czasy, w których ustawodawcza akcya sejmów doszła do największego natężenia. Zdawałoby się, że ta powódź konstytucyj, jakie podówczas wydano, nie pozostawiła żadnego stosunku prawnego bez ustawniczego określenia, że to, czego nie udało się dokonać w wiekach średnich, przeprowadzono teraz, że usunięto prawo zwyczajowe, a w miejsce jego postawiono

ustawę. Ale po bliższém wglądnięciu w rzecz zdanie to trzeba zmienić. Trzeba pamiętać o tém, że to, co w tych konstytucyach nosi na sobie znamię ustaw rzeczywistych — jest bowiem pośród nich wiele rozporządzeń czysto administracyjnéj natury — to przedewszystkiem dotyczy jednéj tylko sfery prawa, — prawa politycznego. Ustawodawstwo polskie z tego czasu nie byłoby wiernêm odbiciem ówczesnych dziejów Polski, gdyby nie było głównie ustawodawstwem prawno-politycznêm. Dążność do pozbawienia rządu jego atrybucyj, jednéj po drugiéj, dążność do przysporzenia szlachcie coraz nowszych praw i przywilejów, a zarazem do wyniesienia jéj ponad inne klasy społeczne i ponad sam rząd, oto główne hasła, pod któremi sejmy rozwijały swoję działalność legislacyjną. Nie dziw też, że ustawy, które wśród takich warunków przychodziły do skutku, zajmowały się przedewszystkiém urządzeniem stosunków prawno politycznych. Nie wyczerpnęły ich wprawdzie w zupełności; i tutaj niejeden stosunek zostawał jeszcze pod rządem prawa zwyczajowego, zwłaszcza wtedy, jeżeli ustawnicze jego określenie nie przedstawiało bezpośredniego interesu dla tych dążności szlachty; bądź co bądź jednak, konstytucye nasze dotykały przedewszystkiém tych stosunków prawno-politycznych.

Tém mniéj natomiast zwrócono uwagi na prawo sądowe. Może widziano trudności, które reformie jego w drodze ustawodawczéj stały na zawadzie; te same przeszkody, które istniały w wiekach średnich, pozostały i nadal, owszem, zwiększyły się nawet od czasu, kiedy wielka część najwyższego sądownictwa w państwie z wprowadzeniem trybunałów zagarniętą została przez szlachtę, i przerwany wszelki jego związek z centralną władzą rządową; może też odczuto i zrozumiano ten niepomyślny wynik walki, jaka w wiekach średnich pomiędzy prawem ustawniczém a zwyczajowém rozegrała się o prawo sądowe, i nie chciano podnosić na nowo sprawy, która już poprzednio załatwioną została, — dość, że ustawodawstwo polskie nowożytne bardzo z lekka tylko dotknęło prawa sądowego. Z wyjątkiem pewnéj części konstytucyj

z wieku XVI, w których prawo to stanowi jeszcze przedmiot nieco żywszego zajęcia, z których przebija jeszcze dobra tradycya ustawodawstwa średniowiecznego, zresztą, postanowienia prawa sądowego dotyczące, są tu czémś wyjątkowém i dadzą się z łatwością policzyć, a nawet te, które są, dotyczą tylko drobniejszych szczegółów, nie wyczerpują przedmiotu, poruszają się więcéj na jego powierzchni. Były wprawdzie próby systematycznéj kodyfikacyi prawa sądowego: dwie przedewszystkiém, jedna z pierwszéj połowy wieku XVI, t. z. korrektura Taszyckiego, inna z drugiéj połowy XVIII, projekt Zamoyskiego, obie, mimo pewnych usterek, odznaczające się, jak na swój czas, niepospolitemi zaletami; ale obie upadły, nie doprowadziwszy do żadnego dodatniego rezultatu. Dla czego? o tém po dziś dzień nie mamy jeszcze całkiem dokładnéj wiadomości; ale może przez analogią potrafimy sobie znaleść odpowiedź. W prowincyi, w któréj silna, dziedziczna władza panującego utrzymała się dłużéj, a w chwili ostatecznéj kodyfikacyi żywo jeszcze tkwiła w pamięci, na Litwie, kodyfikacya taka udaje się; przychodzi do skutku statut litewski; w prowincyi, w któréj zmysł porządku prawnego więcéj był w społeczeństwie wykształcony, udaje się ona także, choć już na mniejszą skalę: Prusy otrzymują korrekturę pruską. Niechaj to zestawienie pouczy, gdzie leżała przyczyna, że w Polsce właściwéj do takiéj kodyfikacyi przyjść nie mogło.

Ten brak ustawniczego określenia wielkiéj części stosunków prawa sądowego wywołał skutek całkiem naturalny: prawo to musiało się rządzić zasadami prawa zwyczajowego, co większa, musiało w niém szukać punktu oparcia do dalszego rozwoju. W tém leżało właśnie niebezpieczeństwo; leżało mianowicie w tém wygórowanem znaczeniu praktyki sądowéj, któréj przypadła główna rola tworzenia nowych zasad dla nowo powstających stosunków i potrzeb. Rozumiano je dobrze i starano mu się zapobiec: stanowiono w konstytucyach, że sądy nie mają wydawać wyroków, quae vim legis sapiunt. Zasadniczo rzecz biorąc było to bardzo słusznie, bardzo rozumnie; chciano, zgodnie z pojęciami nowszemi, skierować

działalność sądów głównie do stosowania prawa, nie zaś do jego tworzenia. Ale nie chciano pamiętać o tém, że tego prawa, które sądy miały stosować, nie ma jeszcze jasno określonego. Ten przepis trzeba było poprzeć koniecznie żywą akcyą legislacyjną, inaczéj musiał pozostać tylko połowicznym, i co gorsza, niewykonalnym. Jakoż nie inaczéj stało się w rzeczywistości. Sądy mimo zakazu tego tworzyły — bo też tworzyć musiały — drogą wyrokowania nowe zasady prawne, nowe prawo zwyczajowe.

I otóż reżultat całego rozwoju: w dziedzinie prawa politycznego ustawodawstwo polskie rozwija się stosunkowo bogato, i w zasadniczych przynajmniéj postanowieniach przyjmuje się w społeczeństwie; w dziedzinie prawa sądowego, mimo usiłowań, jakie czyniono w wiekach średnich i na początku nowszych, nie może przełamać prawa zwyczajowego i ulega mu ostatecznie.

Stąd tłómaczy się wiele zjawisk, z jakiemi spotykamy się w dziejach prawa polskiego. A naprzód tłómaczy się rzecz jedna: dla czego w ustroju politycznym Polski następują z biegiem czasu zmiany stosunkowo częstsze i o wiele głębiéj sięgające, aniżeli w jéj prawie sądowém. Zapewne, wpłynęła na to po części sama istota odnośnych stosunków, z których, jak wiadomo, stosunki prawno-polityczne skłaniają się i do zmian częstszych i do przeobrażeń więcéj zasadniczych; bądź co bądź jednak odegrał tu rolę także i ten kierunek działalności ustawodawczéj, która w jednym względzie reformowała wiele i często, w drugim tylko reformować próbowała, albo i próby saméj nie podjęła. Inna rzecz, czy te reformy polityczne były dobrze obmyślane, szczęśliwie przeprowadzone. W dziejach ustroju Polski zaczęło się od tego, że idea państwa przeważała nad ideą społeczeństwa, — to był okres prawa książęcego: potem przyszło do równowagi obu tych żywiołów, do harmonijnego ułożenia się ich obok siebie, — tak było aż do końca wieków średnich; skończyło się wreszcie na tém, że społeczeństwo, a mianowicie jedna jego klasa uprzywilejowana, szlachta, wzięła przewagę i nad państwem

samém i nad innemi klasami spolecznemi, stworzyła Rzeczpospolitą szlachecką. Cała historya ustroju Polski jest jedną ciągłą, wielką walką dwu tych zasad: jednéj reprezentującéj państwo, drugiéj reprezentującéj społeczeństwo, walką, w któréj wynikach widnieje żelazna konsekwencya, gdyż społeczeństwo zyskuje z postępem czasu coraz więcéj przewagi nad państwem, i dochodzi ostatecznie do zupełnego zwycięstwa, niemal do negacyi państwa, do stworzenia jedynéj w swoim rodzaju formy politycznéj, jaką była polska Rzeczpospolita szlachecka. Dzisiaj próżnoby już było tracić słowa na potępienie tego dostatecznie już potępionego wytworu politycznego; ale z naszego punktu widzenia trzeba zaznaczyć, że ustawodawstwo polskie formę tę skwapliwie uświęciło, że więc i ono na błędne weszło tory. A zarazem trzeba dodać, że działo się to w czasie, kiedy w zachodnich państwach Europy objawił się prąd wręcz przeciwny, kiedy ponad wygórowany indywidualizm społeczny, jaki tamże wytworzyły wieki średnie, a zwłaszcza feudalizm, starano się właśnie postawić ideę państwa, i postawiono ją w rzeczywistości, niekiedy nawet w formie aż nazbyt ostréj, jak absolutyzm monarchii Ludwika XIV, państwo policyjne, despotyzm oświecony. Więc ta żywa akcya legislacyjna, jaka się w Polsce w dziedzinie prawa politycznego objawiła, mimo że tak żywa, nie poszła przecież za rozwojem Zachodu, pozostała za nim w tyle; stworzyła rzecz na wskróś oryginalną, ale też i zgoła niefortunną. Może ubolewać nad tém należy, że właśnie w tym kierunku daném jéj było rozwinąć się tak szeroko, wybujać ponad wszystko inne, mianowicie ponad legislacyą w dziedzinie prawa sądowego; bo w możności przeprowadzania reform politycznych leży największa pokusa do nazbyt śmiałych doświadczeń, leży niebezpieczeństwo zboczenia, zwłaszcza jeżeli się je przeprowadza wśród takich warunków, jakie istniały w Polsce. W zakresie prawa sądowego możność reformowania nie przynosi ze sobą takich niebezpieczeństw; praca da się tu prowadzić z większym spokojem, z większém skupieniem ducha, nie da się tak łatwo zaślepić ani uwieść chwilowymi prądami.

Ale właśnie w tym kierunku zrobiono u nas za mało. W czasie, kiedy gdzieindziéj objawiła się żywa dążność do ustawniczego określenia zasad tegoż prawa, kiedy zabierano się nawet do systematycznego kodyfikowania poszczególnych jego gałęzi, jak prawa prywatnego, karnego i procesowego, i kodyfikacye takie częściowo nawet do skutku doprowadzano, u nas sprawę albo pomijano, albo, jak z projektem Taszyckiego i Zamoyskiego, przedsiębrano tylko próby bezskuteczne. Dano zanadto wiele pola zwyczajowemu prawu.

I to była znowu okoliczność, która na ukształtowanie stosunków prawnych wpłynęła wielce niekorzystnie. Pokąd społeczeństwo znajduje się w pierwiastkowym okresie rozwoju, potąd wyłączne lub przeważne panowanie prawa zwyczajowego nie przynosi ze sobą jeszcze niebezpieczeństwa; prawo to jest jakby stworzone dla tych stosunków, władza ustawodawcza z reguły spoczywa bezczynnie. Ale z dalszym rozwojem rzeczy powstaje stąd niebezpieczeństwo; samo prawo zwyczajowe wystarczyć już nie może; akcya legislacyjna, coraz szersza, coraz pełniejsza, staje się pożądaną, konieczną. Bo przedewszystkiém w prawie zwyczajowém leży wielka nieuchwytność, niepewność, która przedstawia słabe tylko gwarancye bezstronnego wymiaru sprawiedliwości. Sędzia, który nie ma przed sobą pisanéj ustawy, który z własnéj swojéj informacyi ma być tłómaczem przekonania narodu w rzeczach prawnych, może, czy to przez nieświadomość, czy też przez złą wolę prawo to źle wytłómaczyć, błędnie zastosować, jednóm słowem, mimowolnie czy rozmyślnie naruszyć. Gdzieindziéj, jak n. p. w ustroju sądownictwa niemieckiego, znalazła się przeciwko tym nadużyciom skuteczna tama w instytucyi ławników, którzy w sądzie reprezentowali przekonanie narodu w rzeczach prawnych, i mogli mu dać wyraz odpowiedni; w Polsce, gdzie każdy sędzia rozstrzygał tylko według własnego uznania, niezwiązany zdaniem otoczenia, możliwość nadużycia była łatwiejszą, a niebezpieczeństwo groźniejszém. Jaką rolę odegrała u nas korrupcya sądownictwa, zwłaszcza w czasach nowszych, tego przypominać nie potrzeba; wy-

wołały ją okoliczności najróżnorodniejszéj natury, które nie tutaj miejsce szczegółowo przechodzić; tyle pewna, że brak dostatecznych ustaw i to zdanie sędziego na zwyczajowe prawo stały się najwygodniejszą furtą, którędy korrupcya ta do sądownictwa wkroczyła.

Jest jeszcze inna strona téj sprawy, któréj pominąć nie należy. Prawo, jak każda rzecz żywotna, powinno postępować, rozwijać się, w miarę postępu i rozwoju stosunków życia narodowego. Ale właśnie w prawie zwyczajowém leży jak najmniéj zdolności do szybkiego rozwoju; to, co przez odwieczną tradycyą weszło w przekonania narodu, przestrzeganém bywa zazwyczaj, choćby tylko formalnie, z wielką ścisłością, częstokroć nawet wtedy, kiedy już nie odpowiada zmienionym stosunkom. Z tą zachowawczością, leżącą w saméj naturze prawa zwyczajowego, pozostaje ono zazwyczaj w tyle poza rozwojem stosunków, jeżeli go naprzód nie popchnie jakiś czynnik poza nim stojący, czy to — jak w Rzymie — edykta pretorskie, które, choć nie w teoryi, to przecież w praktyce reformowały starożytne ius civile, czy to — jak w monarchii frankońskiéj — kapitularze królewskie, które w ten sam sposób zmieniały zasady dawniejszych praw szczepowych. W Polsce ustawodawstwo missyą tę spełniało bardzo tylko niedostatecznie, pozostawiło prawo zwyczajowe przedewszystkiém samemu sobie; w niém samém tkwiło jednak za mało siły, ażeby z zadania tego wywiązać się mogło z całém powodzeniem. Zapewne, nie było tu stagnacyi zupełnéj, był pewien rozwój, było tworzenie nowych zasad i norm. Ale już w tém leżała ujemna strona sprawy, że to tworzenie przekazaném było głównie praktyce sądowéj, a więc sędziom, którzy w przeważnéj części nie mieli sami teoretycznego wykształcenia prawniczego, i jako tacy stanowili żywioł mało odpowiedni do dalszego kształtowania prawa. A daléj leżała i w tém, że ta praktyka sądowa, nie mając żadnego jednolitego kierownictwa, zanadto się rozstrzeliła, że tworzyła częstokroć partykularyzmy prawne, niekoniecznie uzasadnione naturą odmiennych stosunków miejscowych, tém samém zaś przeszka-

działa tyle pożądanemu w każdém państwie zjednoczeniu prawa. W końcu zaś — i to najważniejsza — ujemna strona leżała w tém, że to prawo zwyczajowe, choć się rozwijało, właśnie dla tego, że się rozwijało głównie samo z siebie, nie zdołało, zwłaszcza w czasach nowszych, postąpić tak raźnie naprzód, jak tego istotna była potrzeba. Przykładów dostarczyć mogą: czy to wielki brak zasadniczych norm prawa karnego, czy to zasady prawa spadkowego, które aż do ostatniéj chwili na korzyść sukcesyi legalnéj tamowało w wysokim stopniu możność testamentowego rozrządzania majątkiem, czy wreszcie przewaga czysto formalnych środków dowodowych w procesie — i inne tym podobne zjawiska. Oczywiście pozostaje otwartą kwestya, czy to prawo ustawnicze, gdyby się nawet było znaczniéj rozwinęło, byłoby zdołało odpowiednio zreformować prawo sądowe, bo i ustawodawstwo może przybrać błędny kierunek albo niedostatecznie uwzględniać potrzeby zmienionych stosunków; ale w tém prawie ustawniczém leży przynajmniéj możność szybszego rozwoju, podczas gdy wybujałe znaczenie prawa zwyczajowego przesądzało z góry o jego niemożliwości. Począwszy od czasów nowszych, polskie prawo sądowe po części zaskrzepło, zaumarło, przypominało niekiedy jeszcze instytucye średniowieczne, które gdzieindziéj dawno już usunięto. Jak w prawie politycznem przez błędnie skierowaną legislacyą, tak w prawie sądowém dla braku należycie zorganizowanéj legislacyi, nie zdołano pójść równym krokiem naprzód z resztą Europy.

Ten objaw tłómaczy nam jeszcze inny. Wiadomo, że większa część państw zachodnich, od czasu odrodzenia nauki prawa rzymskiego, przyjęła jego zasady do swoich urządzeń i pojęć prawnych, czy to w większéj, czy mniejszéj ilości, czy to w formie tak stanowczéj, jak w Niemczech, czy też więcéj łagodnéj, jak n. p. we Francyi. W Polsce o takiéj romanizacyi prawa bynajmniéj nie słychać. Gdziekolwiek ją przeprowadzono, tam działo się to zazwyczaj w ten sposób, że ją popierała nauka, a przyjmowała praktyka sądowa i ustawodawstwo. U nas czynniki te nie mogły działać skutecznie

w kierunku takiéj romanizacyi, co większa, były okoliczności, które jéj stały na przeszkodzie. Przeszkodą były względy polityczne, owa tak wybitnie w prawie rzymskiém zaznaczona zasada silnéj władzy panującego, owo „princeps legibus solutus est“, czyli, wyrażając się sposobem polskim, to „absolutum dominium“, którego się nadewszystko obawiano. Nauka nasza nie czerpała nigdy dostatecznie z prawa rzymskiego; takie osobistości, jak Przyłuski, Drezner i kilka innych, które nieco głębiéj sięgnęły w prawo rzymskie, były wyjątkami, i nie zdołały zetknąć ściśléj prawa polskiego z rzymskiém. Już zaś najmniéj można sobie było obiecywać takiego zetknięcia za pośrednictwem praktyki sądowéj, gdyż od sędziego polskiego nie żądano nigdy wykazania ścisłéj znajomości jakiegokolwiek prawa, tém mniéj zaś prawa rzymskiego. Jedyną drogą, którą prawo to oddziałać mogło na nasze pojęcia i urządzenia, było chyba ustawodawstwo; ale ustawodawstwo to, jak w ogóle nie zdołało popchnąć należycie rozwoju naszego prawa sądowego, tak też nie umiało zaszczepić w niém idei prawa rzymskiego. Trudno tu wchodzić w szczegółową krytykę tego faktu, ale przypomnieć trzeba, że te prawa, które chociażby częściowo oparły się o prawo rzymskie, odniosły stąd niemałe korzyści. Nie chodziło oczywiście o tak niewolniczą recepcyą, jak jéj dokonano w Niemczech, recepcyą, która rozwój wielu zdrowych i żywotnych instytucyj rodzimych przytłumiła lub wypaczyła, i wielki w życiu prawném sprowadziła zamęt, ale o recepcyą tego, co w prawie rzymskiém było powszechnoludzkiego, co się doskonale zastosować dało do jakiegokolwiek prawa; chodziło o przejęcie się tą niezrównaną logiką i konsekwencyą, która wynosi prawo rzymskie ponad wszystkie inne, a chociażby tylko o tę wyrobioną technikę prawną, któréj nam tak bardzo brakowało.

W ogóle, prawo polskie sądowe, właśnie dla tego, że się rozwinęło głównie drogą zwyczaju, że je kształtował sam naród, według własnych pojęć i zapatrywań, nie okazuje na sobie znacznych śladów obcego wpływu. Zapewne, nie można wpływu tego zaprzeczyć w zupełności, ile że Polska całym

kierunkiem swojéj cywilizacyi zespolona ze światem zachodnim musiała do pewnego stopnia przyswoić sobie jego pojęcia i zapatrywania; ale w ogóle biorąc, wpływ ten odbił się na jéj prawie nieznacznie, a i tam, gdzie działał, umiano wiele rzeczy przekształcić na własną, narodową modłę. Tak zaś to prawo polskie przedstawia się jako wytwór na wskróś samorodny, jest ono, jak rzadko które inne, rodzimém, jest dokładném i wierném odbiciem narodowości saméj w świetle jéj pojęć i urządzeń prawnych. Jak na tle dziejów Europy dzieje Polski rysują się silnie znaczonym indywidualizmem historycznym, tak też na mniejsze rozmiary na tle dziejów prawa występują w tym samym charakterze dzieje prawa polskiego; i jak z tych dziejów Polski z rzadką dokładnością oznaczyć się da psychiczna strona rozwoju narodu, tak też i w prawie jego jasno widnieje duch, który ten naród ożywiał, i te wady, które mu były właściwe, a i te, które posiadał, zalety.

IV.

LAUDUM CRACOVIENSE.

I.

W „Ius Polonicum“ ogłosił Bandtkie po raz pierwszy[1]) pod nazwą „Lauda Cracoviensia“ ważny zabytek prawny z wieku XV, zawierający kompromis pomiędzy duchowieństwem dyecezyi krakowskiéj a szlachtą małopolską w sprawie urządzenia wzajemnego stosunku pomiędzy stanem duchownym a świeckim.

„Lauda Cracoviensia“ zawierają oprócz wstępu i zakończenia 25 artykułów, które dotyczą następujących przedmiotów: I. mówi o zakresie jurysdykcyi duchownéj, II. o testamentach, zdziałanych na rzecz duchownych, III—X. o dziesięcinach, XI. o komisyach papieskich, ubliżających zwyczajnéj jurysdykcyi duchownéj, XII. i XIII. o prawie patronatu, XIV. o karach osób duchownych, XV. o monicyach i pozwach, wydawanych przez sądy duchowne przeciw osobom świeckim, XVI. o ciężarach wojennych, którym podlegają duchowni, XVII. o egzekucyi przeciw wyklętym, XVIII. o łupieżcach dóbr duchownych, XIX. o gwałtach popełnionych w kościele, XX. o zabójstwie kleryka przez świeckiego i na odwrót,

---

[1]) Str. 240—245.

XXI. o subsydyach duchowieństwa na wyprawę wojenną, XXII—XXV. o dziesięcinach. Widzimy, że są tu poruszone najrozmaitsze strony wzajemnego stosunku pomiędzy Kościołem a społeczeństwem i państwem; głównie i przedewszystkiém dotyczą jednak Lauda sprawy dziesięcin, któréj na 25 artykułów poświęcono prawie połowę, bo aż 12 artykułów. Słusznie też możemy Lauda nazwać kompromisem głównie w sprawie dziesięcin zawartym.

W wydaniu swojém Bandtkie nadał Laudom datę roku 1447, opierając się na zapisce, umieszczonéj przy końcu tego zabytku, następującéj treści:

Scripta per manum haec laudatio et edictum cuiusdam dominorum spiritualium et saecularium in conventione generali in Wartha. Firmati, laudati atque diffiniti in universo et per infra episcopatum Cracoviensem articuli observandi perpetualiter. Sub anno Domini MCCCCXLVII.

Zabytkowi temu poświęcił w ostatnich czasach obszerną pracę uczony badacz przeszłości naszéj, prof. Bolesław Ulanowski, p. t.: „Laudum Vartense“ [1]). Cenna ta książka przyniosła wiele nowych i trafnych spostrzeżeń zarówno do historyi powstania niniejszego kompromisu, jako też do dziejów średniowiecznego ustawodawstwa polskiego w sprawie dziesięcin. Mimo to jednak mamy przekonanie, że wyniki téj pracy co do genezy Laudum nie dadzą się w całéj rozciągłości utrzymać, że należy je w wielu względach sprostować i uzupełnić. Zanim to zdanie nasze bliżéj uzasadnimy, musimy przedewszystkiem zapoznać się dokładniéj z treścią rozprawy prof. Ulanowskiego.

W aktach konsystorza krakowskiego znalazł autor pod datą 4 sierpnia 1438 roku nader ważną zapiskę[2]), w któréj sąd duchowny, pod przewodnictwem ówczesnego oficyała kra-

---

[1]) Dr. Bolesław Ulanowski: Laudum Vartense, osobne odbicie z Rozpraw i Sprawozdań Wydziału histor.-filoz. Akademii Umiejętności, tom XXI. Kraków, 1887, str. 141.

[2]) Laudum Vartense, str. 14.

kowskiego, Jana Elgota, rozstrzygając pewien spór o dziesięciny, zastosowuje przepisy artykułów VI, VII, VIII i XXIV Laudum, powołując się wyraźnie na okoliczność, iż postępuje w myśl postanowień kompromisu, zawartego poprzednio pomiędzy stanem duchownym a świeckim: quemadmodum alias inter Ecclesiam et Clerum ac Nobiles et Regnicolas conclusum extitit. Z tego wynika, że Laudum powstać musiało przed 4 sierpnia 1438 roku, że data 1447 jest albo błędną, albo datą sporządzenia odpisu.

W ślad za tém stawia sobie autor pytanie, do jakiego czasu odnieść należy ten zabytek, jaką go opatrzyć nową datą? Ponieważ we wstępie do Laudum podano, że przyszło ono do skutku za wolą i zgodą biskupa Zbigniewa Oleśnickiego, przeto wynika, że mogło powstać w czasie pomiędzy 12 lipca 1423 (data konfirmacyi Zbigniewa na biskupa krakowskiego), a 4 sierpnia 1438 r. (data przytoczonéj poprzednio zapiski konsystoryalnéj). Daléj należy uwzględnić słowa, zawarte w ustępie końcowym Laudum: Scripta... in conventione generali in Wartha. Z tych danych wyprowadza autor wniosek, że Laudum spisane zostało na jakimś zjeździe w Warcie pomiędzy rokiem 1423 a 1438. Odbyły się w tym czasie dwa zjazdy w Warcie, jeden w roku 1423 (28 października), na którym przyszedł do skutku znany powszechnie statut warcki, i drugi, w roku 1434 (6 grudnia). Na pierwszym z nich, jak wnioskować można z zupełnego milczenia Długosza, nie poruszano wcale kwestyi stosunku kleru do stanu świeckiego; trudno tedy Laudum niniejsze, dotyczące wyłącznie téj sprawy, odnieść do zjazdu warckiego z roku 1423; zresztą, jak słusznie uważa prof. Ulanowski, Zbigniew, świeżo dopiero konfirmowany biskupem, nie mógł przeprowadzić jeszcze podówczas tak ważnego układu. Nie pozostaje zatém nic innego, jak tylko przypuścić, że owa wzmianka o zjeździe warckim odnosi się do zjazdu odprawionego tamże w roku 1434. Przypuszczenie to stwierdza relacya Długosza[1]), który opo-

---

[1]) Hist. Pol. IV, 549.

wiada, że niebawem po koronacyi Władysława Warneńczyka (1434) rozpoczęły się pomiędzy duchowieństwem a stanem świeckim rozliczne spory, zwłaszcza o dziesięciny i klątwy (praesertim circa exactionem decimarum et fulminationes censurarum), i dodaje, że sprawami temi zajmowano się głównie w tymże roku (1434) na zjeździe w Warcie, a w następnych latach na kilku zjazdach powszechnych i partykularnych w Piotrkowie i innych miejscach. Z tego wywodzi autor, że Laudum rzeczone spisane zostało na zjeździe warckim z roku 1434, i nadaje mu z tego powodu nazwę uchwały warckiéj, „Laudum Vartense."

Wszelako na zjeździe warckim Laudum nie zostało jeszcze formalnie przyjęte przez oba układające się stany, nie nabrało jeszcze znaczenia obowiązującéj ustawy; był to dopiero projekt do ugody, nie zaś ugoda sama. Okoliczność tę stwierdza wyraźnie znana nam już zapiska końcowa Laudum, w któréj zaznaczono, że ugoda wprawdzie spisaną została w Warcie, ale późniéj dopiero uzyskała zatwierdzenie dla dyecezyi krakowskiéj.

Nasuwa się tedy nowe pytanie, kiedy to zatwierdzenie nastąpiło?

Dla wyjaśnienia téj kwestyi autor wciąga w zakres badania inny przechowany do naszych czasów zabytek p. t.: „Concordata dominorum laicorum cum praelatis ecclesiae" [1]). Tytuł ten, wzięty z współczesnego rękopisu, nie odpowiada

---

[1]) Starod. prawa polskiego pomniki, t. IV, 93—100; wydanie Heyzmanna na podstawie Kod. Puł. II, opisanego u Lelewela, Bibliograficznych ksiąg dwoje I, 236—238 i Helcla, Starod. prawa pol. pomn. tom I str. XXIV—XXVIII. Drugi tekst Konkordatów, w wydaniu Heyzmanna nie zużytkowany, znajduje się w rękopisie Archiwum miejskiego przemyskiego, nr. 284. Por. Hauser Leopold: Monografia miasta Przemyśla, str. 50. Rękopis przemyski zawiera kopią bardziéj jeszcze lichą, aniżeli Kod. Puł. II; wiadomość, tę jak również wszystkie inne o niniejszym rękopisie, zawdzięczamy Wmu Prof. drowi Władysławowi Abrahamowi, który na prośbę naszę zajął się uprzejmie, podczas bytności swojéj w Przemyślu, porównaniem tekstu w IV tomie Starod. prawa pol. pomn. ogłoszonego z tekstem rękopisu przemyskiego. Za co niniejszém wyrażamy mu serdeczne podziękowanie.

treści samego zabytku. Nie jest to, jakby się zdawać mogło, jakiś układ, konkordat pomiędzy stanem duchownym a świeckim; jest to tylko polemiczna odpowiedź duchowieństwa na żądania i zażalenia, przedstawione przez szlachtę. Punkt za punktem (z kilku wyjątkami) przechodzi duchowieństwo w téj odpowiedzi grawamina szlacheckie, zaznacza co do każdego swoje stanowisko, oświadcza, w czém jest gotowe zrobić ustępstwa, w czém znowu żądaniom szlachty poddać się nie może. Odpowiedź ta odnosi się tedy widocznie do jakichś układów pomiędzy duchowieństwem a szlachtą celem wyrównania zachodzących nieporozumień. Tekst grawaminów szlacheckich dotychczas nie jest nam znany, ale treść ich da się w znacznéj części odtworzyć z Konkordatów, w których poszczególne żądania szlachty zawsze naprzód zostają streszczone, zanim duchowieństwo ze swojéj strony przedstawi na nie odpowiedź. Tak więc z samych Konkordatów można powziąć wcale dokładne wyobrażenie o przedmiocie układów pomiędzy duchowieństwem a szlachtą, wśród których te Konkordata powstały. Mimo to jednak nie dają one ścisłéj informacyi co do wszystkich bez wyjątku punktów spornych, gdyż duchowieństwo w odpowiedzi, jakkolwiek uwzględnia przeważną część grawaminów szlacheckich, to jednak niektóre pomija milczeniem, jako to mianowicie: punkt XV, XVII, XX, XXI i XXII grawaminów. Jakie tedy żądania zawarte były w punktach w odpowiedzi duchowieństwa pominiętych, na to nie mamy żadnéj wskazówki[1]).

[1]) Pokąd znany był jeden tylko rękopis Konkordatów, t. j. Kod. Puł. II, można było mieć wątpliwość, czy pewne punkta w Konkordatach opuszczone nie znajdowały się już w oryginalnym tekscie Konkordatów, czy też pominięte zostały dopiero przez kopistę, od którego pochodzi Kod. Puł. II. Rękopis przemyski wątpliwość tę w zupełności usuwa. Nie ma najmniejszéj podstawy do przypuszczenia, iżby rękopis ten zostawał w jakiéjkolwiek zależności od Kod. Puł. II; mimo to jednak tekst Konkordatów nie jest w nim bogatszy ani o jedno zdanie od tekstu zawartego w Kod. Puł. II. Z tego wynika, że pominięcie niektórych punktów grawaminów szlacheckich nastąpiło już w oryginalnéj redakcyi Konkordatów, skoro oba, niezależnie sporządzone rękopisy niczém się pod tym względem od siebie

W rękopisach, w których się nam przechowały Konkordata, noszą one datę roku 1440 (scripta 1440 in Iunio). Wszelako i téj daty, jak autor słusznie wywodzi, nie można uważać za czas powstania Konkordatów. Szczegółowe porównanie tekstu Konkordatów z tekstem Laudum przekonało autora, że oba pomniki dotyczą w wielkiéj części tego samego przedmiotu, a nawet tych samych punktów spornych pomiędzy duchowieństwem a szlachtą. I tak odpowiadają:

art.	I.			Konk.	=	art.	XXIV.	ust. 1.	Laudum
„	II.	ust.	2.	„	=	„	XXIV.	„ 2.	„
„	II.	„	3.	„	=	„	XXV.		„
„	III.			„	=	„	V.		„
„	IV.			„	=	„	XI.		„
„	VI.			„	=	„	VI.	„ 1.	„
„	VIII.			„	=	„	VI.	„ 2.	„
„	IX.			„	=	„	XV.		„
„	XI.			„	=	„	XIII.		„

Są wprawdzie w Laudum dotknięte punkta, których nie ma w Konkordatach, i na odwrót; okoliczność ta jednak nie zachwiewa postawionego poprzednio przypuszczenia, albowiem w Laudum obok wspólnych z Konkordatami kwestyj można było załatwić także inne, tamże nie dotknięte, a w Konkordatach można było rozprawiać nad pytaniami, które w Laudum nie znalazły ustawniczego określenia. Kilkanaście wspólnych artykułów, dotyczących tych samych punktów, wystarcza

nie różnią. Różnica pomiędzy Kod. Puł. II a Kod. Przem. polega na tém, że pierwszy w liczbowaniu artykułów odnosi się widocznie do liczbowania, przeprowadzonego w grawaminach szlacheckich, tak że cyfry tych artykułów grawaminowych, na które duchowieństwo nie odpowiedziało, brakują w Konkordatach; przeciwnie Kod. Przem. przeprowadza samoistne dla siebie liczbowanie artykułów bez względu na porządek artykułów w grawaminach, tak, że nie ma tu żadnych przerw w liczbowaniu. Świadczy to, że pisarz Kod. Puł. II miał jaśniejsze wyobrażenie o znaczeniu Konkordatów, aniżeli pisarz Kod. Przem., który nie umiał już sobie zdać sprawy, do jakiego odnoszą się aktu. W istocie też data powstania Kod. Przem. zdaje się być późniejszą od daty powstania Kod. Puł. II; według domysłu Hausera (o którym nie umiem powiedzieć, na jakiéj opiera się podstawie), Kod. Przem. spisany został około r. 1474 (str. 50).

do stwierdzenia zachodzącego pomiędzy obu zabytkami pokrewieństwa. Ponieważ zaś Konkordata dotyczą znowu sprawy urządzenia wzajemnego stosunku pomiędzy duchowieństwem a szlachtą, przeto mogły one powstać tylko w tym czasie, kiedy sprawa ta stanowiła przedmiot rokowań, kiedy stała na porządku dziennym obrad publicznych. Długosz, opowiadający tak szczegółowo dzieje owych czasów, nie wspomina ani słowem o jakichś układach w tym względzie pod rokiem 1440. Snać tedy nie prowadzono ich podówczas, nie mogły więc powstać w tym czasie żadne w téj sprawie pisma sporne w rodzaju Konkordatów. Data 1440 roku, umieszczona przy końcu niniejszego zabytku, nie może być tedy datą jego powstania, jest ona znowu tylko datą skopiowania, umieszczoną zapewne przez któregokolwiek z poprzednich kopistów. Należy zatém Konkordata odnieść do tego czasu, kiedy w istocie w Polsce toczyła się walka pomiędzy duchowieństwem a szlachtą o urządzenie wzajemnego stosunku, t. j. według relacyi Długosza do lat 1434 lub 1435.

Dla dalszego wyjaśnienia rzeczy bada autor z kolei znaczenie wstępnych słów Konkordatów:

Ad videndum et considerandum, quod dominus Episcopus et ecclesia Cracoviensis ad omnem se exponit aequitatem, etiam cum sui iuris aliquali laesione, prout inferius apparebit, licet et alias in Siradia inventa fuit, quoad omnes dominorum articulos, talis aequitas inter ecclesiam Cracoviensem et terras Cracoviensem et Sandomiriensem, quod (sic) ab omnibus diversarum terrarum nobilibus et terrigenis tunc fuit per omnia nulla cum responsione repulsa, gratiarum actionibus concorditer, nullo reclamante, tamquam aequa et dulcedinis utriusque status nutritiva.

Ustęp ten, w związku z innemi wskazówkami źródłowemi, tłómaczy prof. Ulanowski w sposób następujący:

Konkordata mają dowodzić, iż w chwili, w któréj je układano, istniał już kompromis, zawarty pomiędzy duchowieństwem dyecezyi krakowskiéj a szlachtą małopolską, t. j. „Laudum Vartense.“ Kompromis ten przyszedł do skutku na ja-

kimś zjeździe w Sieradziu; ponieważ zaś Długosz opowiada, że w istocie zjazd taki odbył się tamże 8 maja 1435 roku, i że na nim zajmowano się głównie sprawą dziesięcin, przeto wnioskować należy, że projekt warcki z r. 1434 uzyskał sankcyą w Sieradziu r. 1435. Zjazd sieradzki załatwił tylko spór Małopolan z duchowieństwem krakowskiém; co do innych dyecezyj i ziem nie przyszło do żadnéj ugody; dla tego też kwestya kompromisu dla całéj Polski obowiązującego przyszła jeszcze raz na porządek obrad zjazdu piotrkowskiego z 15 sierpnia 1435 roku, o którym Długosz wspomina, że był poświęcony wyłącznie sprawie kompozycyi pomiędzy obu stanami. Tym dalszym rokowaniom zawdzięczać mają swój początek Konkordata. Ponieważ jest w nich już wzmianka o zjeździe odbytym w Sieradziu, przeto mogły one powstać dopiero późniéj; ułożyło je duchowieństwo na synodzie łęczyckim, który się odbył już po zjeździe sieradzkim, a na krótko przed zjazdem piotrkowskim. Gdy zaś w Sieradziu załatwiono się już z kompromisem małopolskim, przeto Konkordata z Laudum nie stoją w związku genetycznym, to znaczy: nie były one podstawą układów, których wynikiem było Laudum. Konkordata przedstawione zostały dopiero na zjeździe piotrkowskim z 15 sierpnia 1435, kiedy się układano o kompromis pomiędzy wszystkiém duchowieństwem polskiém a całą szlachtą; są one odpowiedzią całego duchowieństwa na grawamina szlacheckie.

Wreszcie sądzi autor, że kompromis małopolski zawarty był właściwie tylko warunkowo, t. j. aż do chwili, w któréj przyjdzie do skutku ugoda powszechna; ponieważ jednak do takiéj ugody nie doprowadził ani wspomniany zjazd piotrkowski z roku 1435, ani jakikolwiek inny, przeto Laudum zatrzymało nadal moc obowiązującą w dyecezyi krakowskiéj. Autor dowodzi wyciągami z aktów sądowych, że jeszcze w drugiéj połowie wieku XV częstokroć je stosowano.

Takie jest zapatrywanie autora na genezę Laudum i stosunek jego do Konkordatów. Mniemam jednak, iż zapatrywanie to w wielu względach należy sprostować i uzupełnić,

tudzież sprawę powstania obu zabytków w odmienném przedstawić świetle. Sprawa ta stanowić będzie przedmiot dalszych moich wywodów i uwag.

II.

W hypotezie prof. Ulanowskiego uderza przedewszystkiém okoliczność, że ustawa dzielnicowa, jaką był kompromis małopolski, przychodzi do skutku na zjeździe powszechnym, którego zadaniem było przecież ułożyć kompromis powszechny, w całém państwie obowiązujący. Uderza daléj rzecz druga, ważniejsza, na którą już sam autor zwrócił uwagę[1]), że ten małopolski układ (Laudum) zawartym zostaje w Sieradziu, na ziemi wielkopolskiéj. Nie wchodzimy w szczegółowy rozbiór strony prawnéj całéj kwestyi, a mianowicie, o ile taki układ dzielnicowy, zawarty poza obrębem odnośnéj dzielnicy, uchodzić może ze stanowiska ówczesnego prawa za ważny; choć zaznaczamy zaraz tutaj, że w takim razie Laudum nasze byłoby pod tym względem jedynym pośród wielu innych tego rodzaju zabytków przykładem, gdzie obie strony kontraktujące, należące do jednéj dzielnicy, zawierają ugodę na terytoryum innéj dzielnicy, a to nawet, choćbyśmy przypuścili razem z autorem, że ugoda przyszła do skutku za pośrednictwem komisyi, z góry do takich rokowań na obcéj ziemi upoważnionéj. Zwracamy jednak uwagę na rzecz praktyczniejszą. Kiedy na zjeździe piotrkowskim, odbytym zaledwie w kilka miesięcy po zjeździe sieradzkim, wytoczyła się sprawa obowiązującéj mocy przywileju arcybiskupa Jarosława z roku 1360, zarzuciło duchowieństwo, że przywilej ten nie jest ważnym, dla tego, że wystawiony został w Poznaniu, nie w Gnieźnie[2]). Z tego wynika, że na zawisłość ważności aktu od miejsca, w którym ten akt powstaje, kładziono wówczas wielki nacisk, a szczególna rzecz, że spór

---

[1]) Laudum Vartense, str. 60.
[2]) Długosz, Hist. Pol. IV, 561.

o tę kwestyą wytacza się właśnie w czasie, kiedy według mniemania autora miał przyjść do skutku kompromis małopolski, ubliżający w wysokim stopniu powyższéj zasadzie. Wyznając podobną zasadę, uczestnicy zjazdu nie mogli zawierać układu partykularnego na obcém terytoryum; a jeśli go zawarli, to zapewne nie byliby w kilka miesięcy późniéj podnosili sprawy tak analogicznéj, któréj konsekwentne przeprowadzenie byłoby musiało doprowadzić do uznania nieważności poprzedniego kompromisu. Czyż duchowieństwo nie mogło się obawiać, kwestyonując na zjeździe piotrkowskim ważność przywileju Jarosławowego, że mu szlachta odpowie z tych samych powodów zakwestyonowaniem zawartego (rzekomo) na zjeździe sieradzkim kompromisu, którego duchowieństwo tyle pożądało? Inaczéj rzecz się przedstawi, jeżeli przypuścimy, że w Sieradziu kompromis taki nie przyszedł do skutku; wtedy zrozumiemy łatwo, że duchowieństwo mogło się chwycić broni, o któréj wiedziało z góry, że się przeciw niemu zwrócić nie da.

Rozważmy daléj opowiadanie Długosza o tymże zjeździe sieradzkim.

Opowiedziawszy sprawę wojewody mołdawskiego Eliasza, którą się tamże zajmowano, dodaje Długosz [1]: „Gravis insuper quaestio in eadem conventione inter ecclesiasticos ab una et saeculares ab altera super decimis et perceptione earum et quibusdam oneribus exorta est; dispar tamen erat Maioris Poloniae et Cracoviensis terrarum causa, nam Cracovienses super straminibus et spontanea redditione decimae ex agro, quo amovetur kmetho, agebant; Maioris Poloniae decimas in nova radice consurgentes manipulo non debere reddi allegabant... Cum autem res nulla discussione certa decidi posset, singularis alia conventio pro die Assumptionis S. Mariae in Pyotrkow, ubi nulli alteri, quam huic rei vacaretur, instituta.

---

[1]) Hist. Pol. IV, 559.

Długosz rozróżnia tedy dokładnie główne punkta sporu, o które z jednéj strony szlachta małopolska, z drugiéj wielkopolska walczyła z duchowieństwem; kiedy mu zaś przychodzi mówić o rezultacie zjazdu sieradzkiego, zaznacza, iż rokowania nie doprowadziły do żadnéj ugody, a mówi to tak ogólnie, że chcąc ten ustęp tłomaczyć ściśle, niepodobna go wytłómaczyć inaczéj, jak tylko, że ani Wielkopolanie, ani Małopolanie nie zawarli żadnego kompromisu z duchowieństwem. Jeżeli zechcemy razem z prof. Ulanowskim przyjąć, że już w Sieradziu ugoda małopolska przyszła ostatecznie do skutku, to naprzód zadziwi nas okoliczność, że Długosz, który umiał tak dokładnie odróżnić stanowisko obu prowincyj w toku rokowań, nie wspomina ani słowem o różném dla obojga zakończeniu tych rokowań, a powtóre, mając tę okoliczność na względzie, będziemy musieli uczynić Długoszowi zarzut wielce obciążający, że o fakcie, o którym niewątpliwie wiedział, nie tylko zamilczał, ale wprost mu zaprzeczył.

Ten zarzut, dla utrzymania swéj hypotezy, podnosi też autor przeciw Długoszowi, nazywając opowiadanie jego niejasném i niewiarogodném. Długosz — zdaniem jego — miał nie pochwalać stanowiska zajętego w Laudum przez Oleśnickiego, nie był ani za zbyt daleko idącemi dla szlachty ustępstwami, ani za oddzielném przez każdego biskupa układaniem się ze szlachtą w poszczególnych z osobna dyecezyach[1]). Są to jednak tylko przypuszczenia, którym brakuje rzeczywistéj podstawy. Nie ma najmniejszéj na to wskazówki, któraby nas upoważniała do twierdzenia, że Długosz był przeciwnikiem układów dyecezyalnych, albo uważał kompromis za zbyt korzystne dla szlachty ustępstwo. Cokolwiekbądź zresztą sądzić będziemy o treści i tendencyi postanowień kompromisu, o tém zapominać nie powinniśmy, że przyszedł on do skutku za rządów Zbigniewa, który bardziéj niż ktokolwiek inny podówczas w Polsce pojmował sprawę kościoła na seryo, i wielokrotnie dowiódł, że umie stać na straży jego interesów;

[1]) Laudum Vartense, str. 47.

jeżeli zaś w kompromisie tym zawarto niektóre ustępstwa na rzecz szlachty, to dla tego tylko, że domagały się ich zmienione stosunki i nowy prąd czasu, jak niemniéj dla tego, że nie ma w ogóle kompromisu bez obustronnych ustępstw. Z wyłącznie kościelnego punktu widzenia niepodobna już było podówczas oceniać całéj sprawy nawet samemu duchowieństwu. Zresztą kompromis był bądź co bądź lepszym, niż dotychczasowa niepewność w zakresie stosunków kościelno-politycznych; do takiego kompromisu zdążał właśnie Zbigniew, zdążało całe duchowieństwo polskie, okazując w całym niniejszym okresie walki niezwykle pojednawcze usposobienie; gdzież więc podstawa do przypuszczenia, że Długosz uważał za złe to, co sam Zbigniew uważał za dobre, czego pragnęło inne duchowieństwo? Na tak wątłéj podstawie, nie zdaje nam się, iżby wolno było odstąpić od ścisłéj interpretacyi opowiadania Długosza, tém mniéj zaś kierować tak ostre przeciw niemu zarzuty, jak to uczynił autor. Długosz bywa czasem tendencyjny, jeżeli ma ku temu powody, ale tutaj podobno trudno się ich dopatrzeć.

Relacya Długosza o zjeździe sieradzkim stanowi tedy dalszy szkopuł, o który uderza hypoteza autora. Są prócz tego jeszcze inne, które co do sprawy nie pozostawiają już żadnéj wątpliwości — a mianowicie sama treść Konkordatów.

W artykule ostatnim tychże Konkordatów, na zażalenie szlachty co do występnych kleryków, odpowiada duchowieństwo: Respondetur, q u o d c u m d o m i n o e p i s c o p o v o l u m u s d i l i g e n t i a m a d h i b e r e, ut clerici adulteri, falsarii et alii scelerati acriter puniantur, ipseque d o m i n u s e p i s c o p u s taliter puniat tales, quod caeteri ad peccandum faciles terreantur. Ten ustęp poucza nas przedewszystkiém, k t o prowadzi rokowania, wśród których powstały Konkordata. Oto niewątpliwie jacyś pełnomocnicy jakiegoś biskupa; oni to przyrzekają wpłynąć na niego, ażeby występni klerycy w przyzwoity sposób zostali ukarani. Zarazem zaś już z tego ustępu wypływa, że rokowania prowadzą

się w imieniu jednego tylko biskupa, że jeden tylko biskup jest mocodawcą owych pełnomocników.

To ostatnie twierdzenie znajduje nadto jeszcze poparcie w innych ustępach Konkordatów. I tak czytamy:

W art. IIgim: Memoriam inter benefactores illorum.... universis beneficiatis in proxima Synodo sacra dominus episcopus facere demandabit.

W art. IXtym: In aliis autem, ubi dubium est aliquale, prohibere vult dominus episcopus omnibus suis iudicibus, ne tales dentur monitiones.

W art. XIIItym: Respondetur, quod pro talibus dominus episcopus se minime interponet.

Jeżeli zechcemy wszystkie przytoczone ustępy tłómaczyć ściśle — a nie ma powodu tłómaczyć ich inaczéj — to możemy z nich wysnuć ten tylko wniosek, że Konkordata ułożone zostały przez pełnomocników jednego tylko biskupa (nie wchodzimy na razie w kwestyą, którego). Owe wzmianki o biskupie w liczbie pojedyńczéj będą naówczas całkiem jasne; pełnomocnicy przyrzekają rozmaite ustępstwa w imieniu ich mocodawcy, i dla tego używają stale wyrażenia: dominus episcopus. Inaczéj zapatruje się na tę sprawę prof. Ulanowski. Zdaniem jego rokowania prowadzi jakiś biskup, i to w imieniu całego episkopatu polskiego, jako jego pełnomocnik, dla tego też, mówiąc zawsze o sobie, używa stale liczby pojedyńczéj: dominus episcopus[1]). Zdaje się, że powód do tego mniemania leży w nieuwzględnieniu przytoczonego poprzednio artykułu ostatniego Konkordatów, z którego wynika niewątpliwie, że nie biskup, ale jacyś inni delegaci prowadzą układy. Mając zaś tę okoliczność na uwadze, nie możemy już żadną miarą przypuścić, iżby ci delegaci rokowali w imieniu całego episkopatu polskiego, albowiem w takim razie mogliby czynić przyrzeczenia tylko bądź to od siebie, jako pełnomocnicy, bądź też w imieniu wszystkich biskupów, jako mocodawców, ale nigdy w imieniu jednego tylko biskupa, który nie był

[1]) Laudum Vartense, str. 31.

ani pełnomocnikiem, ani wyłącznym mocodawcą. Tylokrotnie powtarzany zwrot: dominus episcopus pozostałby zatém bez wytłómaczenia. Zresztą, gdybyśmy nawet pominęli wszystkie aż dotąd przytoczone argumenta, godząc się na hypotezę autora, to zawsze jeszcze musielibyśmy zapytać, dla czego to ów biskup, rzekomo prowadzący rokowania, wyraża się: cum domino episcopo volumus diligentiam adhibere; jakiego to innego (znowu tylko jednego) ma on biskupa na myśli, i dla czego raczéj nie czyni przyrzeczeń w imieniu wszystkich biskupów, co byłoby naturalném, skoro jest ich pełnomocnikiem?

Rozważmy dalszą treść Konkordatów. Szlachta w art. XIII swoich grawaminów przedstawia zarzut co do sposobu pobierania dziesięciny małdratowéj, na co pełnomocnicy kleru dają stosowną odpowiedź, z tym dodatkiem: Unde tamen non tangit nostram dyocesim. Nie wiadomo, dla jakich powodów autor w tym zwrocie dopatruje się potwierdzenia swojéj hypotezy[1]); nam się zdaje, że właśnie przemawia on przeciw niéj stanowczo. Gdyby delegaci układali się w imieniu całego duchowieństwa polskiego, to oczywiście pośród nich znajdowaćby się musieli pełnomocnicy wszystkich katedr polskich; odmienne — przynajmniéj po części — stosunki każdéj dyecezyi wymagałyby, ażeby w skład téj komisyi ugodowéj weszli reprezentanci wszystkich dyecezyj, z których każdy przynosiłby ze sobą znajomość stosunków miejscowych, a zarazem potrafił w razie potrzeby stanąć na straży interesów swojego biskupa. Komisya ugodowa, złożona wyłącznie z duchownych jednéj tylko dyecezyi, mająca jednak rokować w imieniu całego kleru polskiego, byłaby prawdziwą anomalią; nie dawałaby żadnéj pewności, że stosunki innych dyecezyj należycie uwzględni, że w obronie praw innych biskupów z odpowiednią wystąpi energią. Niepodobna tedy przypuścić, iżby w takiéj sprawie jak dziesięciny, która tyle miała miejscowych właściwości, wszyscy biskupi polscy zgodzili się na delegatów z jednéj tylko dyecezyi. A jednak ci delegaci

[1]) Laudum Vartense, str. 31.

wyraźnie przecież w Konkordatach zaznaczają, iż pewna sprawa nie dotyczy ich dyecezyi (nostram dyocesim); tak nie mogliby się wyrażać pełnomocnicy całego kościoła polskiego, tylko pełnomocnicy jednéj dyecezyi, z czego wynika, że Konkordata są odpowiedzią daną również w imieniu jednéj dyecezyi.

Gdybyśmy zaś pominęli wszystkie poprzednie argumenta, przypuszczając, że Konkordata są odpowiedzią całego duchowieństwa polskiego, to znowu pozostałaby do wytłómaczenia zagadka, dla czego w téj odpowiedzi uwzględniono stosunki jakiéjś poszczególnéj dyecezyi, nie wymieniając jéj nawet z nazwiska?

Do podobnych wniosków doprowadzi nas także rozbiór XVI artykułu Konkordatów. Zaznaczywszy swoje stanowisko wobec odnośnego grawaminu szlacheckiego, dodają delegaci uwagę: Nec videtur, quod de hoc in terra Cracoviensi aut Sandomiriensi sit aliqua difficultas. I tu więc delegaci biorą wzgląd na stosunki jednéj tylko dyecezyi, zaznaczając, że odnośna kwestya nie będzie w niéj przedstawiała trudności; prowadzą oni widocznie rokowania z uwagą skierowaną głównie na potrzeby tejże dyecezyi.

Jest to zaś, jak wynika ze słów co dopiero przytoczonych, d y e c e z y a k r a k o w s k a.

Wszystkie te wnioski znajdują potwierdzenie w innéj jeszcze okoliczności, która, zdaje się, wszelką usunąć powinna wątpliwość. Na czele Konkordatów czytamy zdanie: Ad videndum et considerandum, quod d o m i n u s e p i s c o p u s e t e c c l e s i a C r a c o v i e n s i s ad omnem se exponit aequitatem, etiam cum sui iuris aliquali laesione, p r o u t i n f e r i u s a p p a r e b i t. Kładziemy nacisk na to, że słowa te znajdują się na c z e l e Konkordatów, że zatém niewątpliwie umieszczone zostały tamże, ażeby wykazać cel, przeznaczenie, w jakiém pismo to ułożoném i zredagowaném zostało. Zwrot zaś: prout inferius apparebit, wskazuje na to, że cała dalsza treść Konkordatów ma być stwierdzeniem tego, co w tych wstępnych słowach zapowiedziano. Jakiż tedy jest

cel Konkordatów, i czego one całą swoją treścią dowodzą? Oto chcą one „wykazać, że biskup i kościół krakowski gotów jest do wszelkich słusznych ustępstw, nawet z pewnym uszczerbkiem praw swoich.“ Taki cel mogła mieć tylko odpowiedź zredagowana w imieniu biskupa krakowskiego, nie zaś odpowiedź przedstawiona w imieniu całego episkopatu polskiego. Z przyjęciem hypotezy autora nie wytłómaczymy tedy żadną miarą znaczenia słów zamieszczonych na wstępie Konkordatów.

Zanim z tych spostrzeżeń wyciągniemy dalsze wnioski, zwracamy jeszcze uwagę na inną okoliczność, która z uzyskanymi dotąd wynikami w ścisłym zostaje związku. Należy mianowicie bliżéj określić charakter owych grawaminów szlacheckich, które duchowieństwo wzięło za podstawę, formułując odpowiedź z swojéj strony. W braku najlepszego źródła do rozwiązania téj kwestyi, t. j. samego tekstu grawaminów, musimy się uciec do argumentacyi. Skoro Konkordata są odpowiedzią duchowieństwa krakowskiego, przeto wydawałoby się najprostszém przypuszczenie, że to, co posłużyło za podstawę do odpowiedzi, a więc grawamina, przedłożoném zostało w imieniu szlachty zamieszkującéj dyecezyą krakowską, a więc przez Małopolan. Wszelako po bliższém rozpatrzeniu rzeczy wniosek ten żadną miarą utrzymać się nie da. Musimy przypomnieć, że w dwu poprzednio przytoczonych wypadkach delegaci katedry krakowskiéj, odpowiadając na XVI i XVIII punkt zażaleń szlacheckich, zaznaczają wyraźnie, iż sprawy w tychże punktach poruszone nie mają dla dyecezyi krakowskiéj żadnego, albo małe tylko znaczenie praktyczne. Trudno oczywiście przypuścić, iżby sami Małopolanie przedstawiali takie żądania, które dla ich właśnie dzielnicy były bezprzedmiotowe. Inaczéj przedstawi się nam rzecz, jeżeli przyjmiemy, że owe grawamina przedstawione były w imieniu całéj szlachty polskiéj, nie tylko małopolskiéj; naówczas zrozumiemy, że pośród nich znaleść się mogły punkta, które miały znaczenie — może nawet wielkie — dla innych dyecezyj i dzielnic, ale dla dyecezyi krakowskiéj i dzielnicy małopolskiéj nie

miały go albo wcale, albo w bardzo tylko podrzędnéj mierze. Z tego też powodu odpowiedź w Konkordatach zawarta, dotknąwszy takiego punktu, zaznacza skwapliwie, że nie przedstawia on rzeczywistego interesu dla dyecezyi, w któréj imieniu pełnomocnicy rokują.

Z tego stanowiska da się też najłatwiéj wytłómaczyć, dla czego Konkordata, jak już poprzednio wspomnieliśmy, nie dają odpowiedzi na wszystkie bez wyjątku punkta grawaminów szlacheckich, dla czego niektóre z nich pomijają zupełném milczeniem. Zawierały się zapewne w odnośnych miejscach żądania, które miały więcéj charakter miejscowy, które były dla innych tylko dyecezyj praktyczne; dla tego też w odpowiedzi duchownych krakowskich nie poruszono ich wcale, jako zgoła bezprzedmiotowe.

Do podobnych wniosków doprowadzi nas nadto jeszcze następujące rozpatrzenie. Porównując Laudum z Konkordatami, dostrzeżemy rzecz osobliwszą, że niemal wszystkie te kwestye, które poruszone są w pierwszéj połowie Konkordatów aż do artykułu XI włącznie, znalazły ustawnicze określenie w Laudum, z wyjątkiem tylko spraw dotkniętych w art. V i X Konkordatów; natomiast w drugiéj połowie Konkordatów, począwszy od artykułu XII aż do końca, prowadzi się dyskusya nad takiemi kwestyami, z których żadna bez wyjątku nie została załatwioną w Laudum. Ponieważ zaś w Konkordatach mamy odtworzony ten sam porządek, w jakim następowały po sobie poszczególne artykuły grawaminów szlacheckich (z kilku tylko opuszczeniami), przeto możemy powiedzieć, że to, czego dotknięto w pierwszéj połowie grawaminów, znalazło się w Laudum; nie znalazło się to, czego się domagała szlachta w dalszym tychże grawaminów ciągu. Jak to zjawisko wytłómaczyć? Rozumiemy dobrze, iż w toku rokowań, mających doprowadzić do ugody, mogą być poruszane rozmaite sprawy, które w ugodzie saméj nie zostaną rozstrzygnięte, czy to dla tego, że strony nie mogą się co do nich porozumieć, czy też z jakichkolwiekbądź innych powodów. Ale przecież byłby to wielce dziwny, a prawie niepodobny do

wytłómaczenia przypadek, iżby to porozumienie osiągnięto właśnie co do wszystkich niemal punktów, zawartych w pierwszéj połowie grawaminów, a co do żadnego z tych, które zawierały się w połowie drugiéj. Należy tedy okoliczność tę tłómaczyć inaczéj, a mianowicie w ten sposób, że grawamina zawierały w sobie połączone żądania szlachty obu dzielnic, zarówno Małopolski, jak i Wielkopolski. W każdéj z tych dzielnic stosunki miejscowe wytworzyły pewną ilość spraw, które domagały się załatwienia przed wszystkiemi innemi; szlachta każdéj dzielnicy mogła je sobie nawet osobno spisać, ale kiedy przyszło do rokowań, kiedy (jak zobaczymy późniéj jeszcze dokładnie) okazała się potrzeba przedstawienia grawaminów w imieniu całéj szlachty polskiéj, wtedy te żądania dzielnicowe połączono w jednę całość, któréj części składowe dadzą się jednak w przybliżeniu przynajmniéj oznaczyć. Mianowicie zaś przedstawia się nam rzecz w ten sposób, że pierwsza połowa grawaminów oparła się na petytach małopolskich, druga na petytach wielkopolskich. Dowodzi tego przedewszystkiém ta okoliczność, że Laudum, które jest kompromisem małopolskim, porusza niemal wszystkie te punkta, które zawarte są w części pierwszéj grawaminów; dowodzi daléj ten wzgląd, że duchowieństwo krakowskie, odpowiadając w Konkordatach na XVI i XVIII artykuł grawaminów, które zawarte są już w drugiéj tychże części, podnosi, iż poruszone tamże sprawy nie mają znaczenia dla dyecezyi krakowskiéj, z czego wynika, że miały znaczenie dla innych dyecezyj, a więc wielkopolskich; wreszcie zdaje się za tém przemawiać i ta okoliczność, że Konkordata nie pomijają milczeniem żadnego artykułu z części pierwszéj, natomiast opuszczają kilka z części drugiéj (XV, XVII, XX, XXI i XXII), jak przypuściliśmy, dla tego, że również były bezprzedmiotowe w dyecezyi krakowskiéj, z czego wynika, że musiała je postawić szlachta wielkopolska.

Jaką w tych grawaminach, przedstawionych w imieniu całéj szlachty, należy pociągnąć ścisłą granicę pomiędzy składnikami małopolskimi a wielkopolskimi, nie chcemy rozstrzygać;

jakkolwiek bowiem począwszy od artykułu XII grawaminów, nie ma już poruszonéj żadnéj sprawy, któraby w Laudum rozstrzygniętą została, to jednak żądania małopolskie mogły przecież ciągnąć się jeszcze daléj, tylko że w kompromisie nie zostały uwzględnione. Wystarczy tedy zaznaczyć tylko w ogóle, że grawamina powstały z petytów obu dzielnic. Nie należy sobie również wyobrażać, jakoby połączenie tych petytów było czysto mechaniczne, t. j. jakoby szlachta każdéj dzielnicy zdążała wyłącznie tylko do załatwienia tych punktów, które sama przedstawiła; w szeregu ich znaleść się mogły takie żądania, które miały wagę dla całéj Polski, które zatém przyjąć musiała także druga dzielnica, albo takie, które wprawdzie nie przedstawiały wielkiéj doniosłości dla innych ziem, ale które podjęły te ziemie dla solidarnego wystąpienia. To też grawamina, jakkolwiek złożone z petytów dzielnicowych, nie tracą przecież charakteru grawaminów ogólno-szlacheckich, i dla tego też Konkordata, choć zawierają odpowiedź duchowieństwa krakowskiego, nie ograniczają się przecież na wyłącznem uwzględnieniu ściśle małopolskich, ale przechodzą także niemal wszystkie dalsze punkta grawaminów, pomijając chyba te, które miały już tak wyłącznie wielkopolski charakter, że o zastosowaniu ich w dyecezyi krakowskiéj mowy być nie mogło.

Z dotychczasowego rozbioru przekonaliśmy się tedy przedewszystkiém, że Konkordata są odpowiedzią, daną w imieniu duchowieństwa dyecezyi krakowskiéj przez delegatów upoważnionych do zastępstwa jego interesów; powtóre, że grawamina szlacheckie, stanowiące substrat do tejże odpowiedzi, podane były w imieniu całéj szlachty polskiéj i składały się z połączonych petytów małopolskich i wielkopolskich. Dodajmy do tego okoliczność dalszą, którą wywiódł już sam autor, i która w słowach Konkordatów znajduje najwyraźniejsze potwierdzenie (licet et a l i a s i n S i r a d i a etc.), a mianowicie: że Konkordata powstały już po zjeździe sieradzkim z 8 maja 1435 roku, a będziemy mogli przystąpić do dalszéj argumentacyi.

Zwracaliśmy już kilkakrotnie uwagę na okoliczność, która w pracy prof. Ulanowskiego wykazaną została przez szczegółowe zestawienie brzmienia poszczególnych artykułów Konkordatów i Laudum, że oba te zabytki mają w pewnéj części wspólne zasady, że oba dotykają całego szeregu jednakowych spraw, i to w sposób prawie zupełnie zgodny. I tak w art. I i w drugiéj części art. II Konkordatów domaga się duchowieństwo, ażeby szlachcic po usunięciu kmiecia z gruntu płacił tęż samę dziesięcinę, jaka była uiszczana poprzednio, kiedy kmieć siedział na gruncie, czyni zaś ustępstwo tylko w tym kierunku, że w takim razie nie szlachcic, ale beneficyat ma obowiązek zwozić dziesięcinę, że beneficyatowi nie wolno wybierać pomiędzy snopami, ale powinien brać każdy dziesiąty po kolei, i wreszcie, że t. z. decimae vagae mają być przez biskupa przyznawane na rzecz jakiegoś beneficyum. Téj saméj treści postanowienia zawiera Laudum w art. XXIV, zmieniając tylko ostatnie ustępstwo w tym kierunku, że szlachta wolną jest od płacenia dziesięciny konopnéj. Podobnież w art. III Konkordatów oświadcza duchowieństwo gotowość ustąpienia szlachcie połowy słomy ze snopów dziesięcinnych pochodzącéj, zastrzegając drugą połowę dla siebie. Toż samo orzeka Laudum w art. V. W art. XI Konkordatów oświadcza duchowieństwo, że jeśli patron jakiegoś beneficyum w stosownym czasie prezenty nie poda, władza kościelna obsadzi je z mocy prawa dewolucyi. Toż samo postanawia art. XIII Laudum, z tą tylko różnicą, że oznacza szczegółowo czas, w przeciągu którego prawo dewolucyi nabiera skuteczności. Wyliczywszy już poprzednio według liczby artykułów wszystkie miejsca zgodne między Konkordatami a Laudum, poprzestajemy na tych kilku przykładach. Widoczna z nich, że Konkordata pragnęłyby mieć wiele kwestyj załatwionych w ten sam sposób, w jaki je załatwiło Laudum; zmiany, jakie pomiędzy niemi zachodzą, są drobne i nieistotne. Przypomnijmy rzecz drugą, że Laudum jest kompromisem dyecezyi krakowskiéj z szlachtą małopolską, a Konkordata odpowiedzią duchowieństwa dyecezyi krakowskiéj, a zrozu-

miemy, co należy sądzić o następstwie chronologiczném obu zabytków. Przypuśćmy wraz z autorem, że Laudum przyszło do skutku wcześniéj, t. j. na zjeździe sieradzkim z maja 1435 r., a Konkordata ułożone zostały dopiero późniéj, w takim razie staniemy wobec niczém wytłómaczyć się nie dającéj zagadki, dla czego to samo duchowieństwo krakowskie, które raz już zawarło stanowczą ugodę ze szlachtą małopolską, wkrótce potem rokuje z nią na nowo co do wielu spraw, które poprzednio już załatwione zostały, i dla czego te sprawy pragnęłoby mieć załatwione w ten sam sposób, jak one już poprzednio rozstrzygnięte zostały. Nie jest to przecież rzeczą możliwą, iżby rzecz raz już ukończoną w tak krótkim przeciągu czasu wznawiano na nowo, i to w tym celu, aby ją ukończyć tak samo, jak poprzednio. Gdyby Konkordata dotykały wyłącznie takich punktów spornych, których Laudum nie załatwiło, nie mielibyśmy nic do zarzucenia przeciw hypotezie autora; powiedzielibyśmy, że Małopolanie zawarli z swoim biskupem na zjeździe sieradzkim ugodę w przedmiocie pewnych spraw, późniéj zaś ciż sami Małopolanie rokują z tymże samym biskupem o drugą ugodę w przedmiocie innych spraw. Moglibyśmy zresztą nawet utrzymać hypotezę autora, mimo tożsamość przedmiotową Konkordatów i Laudum; tylko musielibyśmy widzieć, że w toku rokowań, wśród których Konkordata powstały, chodzi o ustępstwa daléj sięgające, niż w Laudum; powiedzielibyśmy wtedy, że Małopolanie, którzy w Sieradziu zawarli ugodę ze swoim biskupem co do pewnych spraw, niezadowoleni jéj postanowieniami, już wkrótce potém podnoszą rzecz całą na nowo i domagają się dalszych ustępstw. Wszelako duchowieństwo krakowskie miałoby wtedy tylko dwie drogi do wyboru: albo rokowań nie podjąć i zbyć szlachtę krótko, odsyłając ją do zawartego już kompromisu, albo podejmując rokowania, poczynić w rzeczywistości jakieś daléj sięgające ustępstwa; czynić te same ustępstwa, które zawierała poprzednio już zawarta ugoda, byłoby w takim razie bez celu. Tymczasem Konkordata ani nie odsyłają do żadnéj dawniejszéj ugody, ani nowych ustępstw nie czynią; zawierają tylko te,

które uświęca Laudum, co większa, gdzieniegdzie zawierają nawet ustępstwa mniejsze, aniżeli Laudum. I tak, na zażalenie (art. IV), że szlachta przez komisye papieskie wywoływaną bywa do odpowiedzialności po za granice państwa, odpowiadają duchowni w Konkordatach, że na to nie ma żadnéj rady, czyni to bowiem papież, którego władzy nie wolno się im sprzeciwiać; przeciwnie w Laudum postanowiono wyraźnie (art. XI), że duchowieństwo wespół ze szlachtą ma czynić starania u stolicy apostolskiéj, ażeby tego rodzaju wywoływaniom położyć koniec[1]). Z przyjęciem hypotezy autora nie potrafimy tedy w żaden sposób wytłómaczyć sobie celu powstania Konkordatów.

Inaczéj przedstawi się nam rzecz, jeżeli porządek następstwa chronologicznego obu zabytków odwrócimy. Jeżeli powiemy, że Konkordata powstały przed Laudum, to cała ich treść staje się nam od razu zrozumiałą: Pomiędzy szlachtą małopolską a duchowieństwem krakowskiém w chwili układania Konkordatów nie ma jeszcze żadnego kompromisu; spór wzajemny potrzebuje być załatwionym; w tym celu Małopolanie (wraz z resztą szlachty) przedstawiają swoje grawamina, na które delegaci biskupa krakowskiego, wyłącznie w jego imieniu, dają w Konkordatach odpowiedź. W téj odpowiedzi

[1]) Prof. Ulanowski twierdzi wprawdzie (Laudum Vartense, str. 42), że w Konkordatach ustępstwa posunięto daléj niż w Laudum; mimo jednak szczegółowego porównania artykułów wspólnych obu zabytkom, nie mogliśmy nigdzie dopatrzyć się śladu tych dalszych ustępstw. Jedyna ważniejsza różnica polega na tém, że w art. II-gim Konkordatów zgadza się duchowieństwo, aby t. z. decimae vagae przyznane zostały przez biskupa na rzecz pewnego ściśle określonego beneficyum, podczas gdy w odpowiedniém miejscu Laudum (art. XXIV) zamiast tego postanowienia znajduje się inne, że szlachta zwolnioną jest od obowiązku dziesięciny konopnéj, Oczywiście, pozostaje otwartą kwestya, które z tych ustępstw daléj sięgało (zdawałoby się nam, że to ostatnie): ale gdybyśmy nawet przypuścili, że w tym względzie Konkordata w ustępstwach idą daléj, to zawsze jeszcze trudno byłoby wytłómaczyć racyą bytu całego szeregu innych artykułów w Konkordatach, które nic więcéj nie przyrzekają nad to, co w Laudum postanowiono.

żądania szlachty bądź to odrzucają, bądź też stosowne czynią ustępstwa, które po części w późniejszém Laudum na podstawie zawartéj obopólnie ugody usankcyonowane zostały jako ustawa. Konkordata stoją tedy — wbrew twierdzeniu autora — w genetycznym z Laudum związku, w tém mianowicie rozumieniu, że powstały w okresie rokowań o kompozycyą pomiędzy obu stanami, których ostatecznym rezultatem dla dyecezyi krakowskiéj było Laudum; są one jedną z czynności przygotowawczych, które poprzedziły ugodę. Tém samém zaś dowodzą Konkordata niezbicie, jako zabytek, który powstał już po zjeździe sieradzkim, że Laudum na zjeździe sieradzkim w maju 1435 roku uchwaloném nie zostało, gdyż Laudum powstało jeszcze późniéj, aniżeli same Konkordata.

Długosz nie rozminął się tedy z prawdą, podając, że zjazd ten nie doprowadził do żadnéj w ogóle ugody.

III.

Przeciwko téj naszéj konkluzyi możnaby przytoczyć znany nam już ustęp początkowy z Konkordatów, na którym też autor oparł swoję hypotezę, a który raz jeszcze tutaj wypisujemy dla bliższego rozbioru. Ustęp ten brzmi:

Ad videndum et considerandum, quod dominus Episcopus et ecclesia Cracoviensis ad omnem se exponit aequitatem, etiam cum sui iuris aliquali laesione, prout inferius apparebit; licet et alias in Siradia inventa fuit, quoad omnes dominorum articulos, talis aequitas inter ecclesiam Cracoviensem et terras Cracoviensem et Sandomiriensem, quod ab omnibus diversarum terrarum nobilibus et terrigenis tunc fuit per omnia nulla cum responsione repulsa, gratiarum actionibus concorditer, nullo reclamante, tamquam aequa et dulcedinis utriusque status nutritiva.

W tych słowach dopatruje się autor niezawodnéj na to wskazówki, że w Sieradziu zawarty został układ (inventa fuit aequitas) pomiędzy duchowieństwem krakowskiém a szlachtą małopolską, przyjęty „z wdzięcznością, bez czyjegokolwiek oporu, jako słuszny i do zgodnego pożycia obu stanów tyle sposobny.“ Ponieważ zaś takim układem dla dyecezyi krakowskiéj z owych czasów jest właśnie omawiane przez nas Laudum, przeto wnioskuje autor, że Laudum uzyskało sankcyą w Sieradziu.

Wszelako ta interpretacya autora nie jest dostatecznie ścisłą.

Chcąc przytoczony ustęp należycie wyjaśnić, trzeba przedewszystkiém zbadać znaczenie wyrazu: aequitas. Skoro w Sieradziu inventa fuit aequitas pomiędzy duchowieństwem krakowskiém a Małopolanami, przeto rozchodzi się już tylko o to, co właśnie oznacza to słowo, a więc co na tym zjeździe wynalezioném zostało. Nie zdaje nam się, iżby do tego słowa można przywiązywać inne znaczenie nad jego właściwe; można je tedy tłómaczyć albo: wyrównanie, albo: słuszność, albo: sprawiedliwość. Z przytoczonego ustępu wynika więc tylko tyle, że w Sieradziu wynalezioném zostało wyrównanie, słuszność, sprawiedliwość pomiędzy duchowieństwem krakowskiém a szlachtą małopolską. Ale pozostaje zupełnie otwartą kwestya, czy to wynalezione wyrównanie, ta wynaleziona słuszność, została tamże przyjętą jako obowiązujące prawo, czy też nie; czyli, mówiąc sposobem dzisiejszym, czy to wyrównanie stało się tamże ustawą, czy też pozostało tylko projektem. Boć przecie zarówno projekt uchwalony (ustawę) jak i nieuchwalony (t. j. taki, który się nie stał jeszcze ustawą), nazwać można wyrównaniem, słusznością, skoro się ma to przekonanie, że postanowieniami swemi może się przyczynić do wyrównania sporu, że się opiera na słusznych i sprawiedliwych zasadach. Czy zaś to w Sieradziu wynalezione wyrównanie przyjętém zostało czy też nie, o tém wstępne słowa Konkordatów nie dają nam już najmniejszego wyjaśnienia; dla tego też wolno nam je tłómaczyć w sposób dwojaki: ustawa, uchwała, albo: projekt

do takiejże ustawy albo uchwały. Gdy zaś poprzedni rozbiór okazał, że pierwsza interpretacya jest niedopuszczalną, przeto nie pozostaje nic innego, jak tylko przyjąć drugą.

Pewne wątpliwości nastręczają tylko jeszcze dalsze słowa, z których dowiadujemy się, że ów projekt sieradzki przyjęty został przez Małopolan gratiarum actionibus concorditer, nullo reclamante, tamquam aequa et dulcedinis utriusque status nutritiva. Przyjmując hypotezę autora, nie mielibyśmy żadnéj trudności w wytłómaczeniu tych słów; znaczyłyby one tyle, że ugoda zawarta w Sieradziu zadowoliła obie strony, tak że żadna z nich nie podnosiła przeciw niéj zarzutów. Jeżeli zaś powiemy, że w Sieradziu ułożony został tylko projekt do ugody małopolskiéj, to musimy oczywiście zapytać, dla czego ten projekt, skoro nań była powszechna zgoda pomiędzy Małopolanami, nie uzyskał natychmiast sankcyi, nie stał się ustawą, i dla czego, skoro tamże już usunięto trudności, stojące kompromisowi na przeszkodzie, duchowieństwo krakowskie raz jeszcze na jakimś późniejszym zjeździe musiało w Konkordatach zwalczać na nowo żądania swoich dyecezyan, co do których już poprzednio znaleziono grunt do porozumienia? Na oba te pytania będziemy się starali odpowiedzieć w dalszém rozpatrzeniu.

Przedstawmy sobie przedewszyskiém nieco dokładniéj przebieg rokowań pomiędzy duchowieństwem a szlachtą w ciągu okresu walki w latach 1434 i 1435. A mianowicie zapytajmy naprzód, w jakiém stadyum téj walki i na jakim zjeździe powstały Konkordata? Autor mniema, że wypracowano je już na synodzie łęczyckim, który się odbył, jak wiadomo, na krótki czas przed zjazdem piotrkowskim; za podstawę zaś do sformułowania swojéj odpowiedzi wzięło duchowieństwo grawamina przedstawione przez szlachtę na bezpośrednio poprzednim zjeździe sieradzkim[1]).

Zaznaczamy z góry, że jest to tylko domysł autora, na

[1]) Laudum Vartense, str. 35.

którego poparcie nie przytoczył żadnego dowodu. Rozumiemy dobrze, że duchowieństwo zebrane w Łęczycy mogło i musiało się naradzać nad stanowiskiem, jakie mu wypada zająć wobec szlachty; mogło nawet spisać sobie zasady, według których ma dać odpowiedź na jéj żądania; ale Konkordata nie mogą być tą odpowiedzią spisaną już w téj saméj formie, jak ją znamy obecnie, w Łęczycy. Rozporządzając bowiem grawaminami sieradzkiemi, nie mogło duchowieństwo wiedzieć dokładnie, co obejmą w sobie grawamina przedstawione przez szlachtę na przyszłym zjeździe; wszak to rzecz jasna, że te grawamina mogły być zmienione lub rozszerzone. Duchowieństwo mogło tedy z góry przypuścić, że taka a priori ułożona odpowiedź, rozbierająca punkt za punktem, w liczbowym porządku, grawamina sieradzkie, nie całkiem będzie przystawała do tych grawaminów późniejszych. Podstawą obrad w Łęczycy mogły tedy być grawamina sieradzkie, ale same Konkordata można było ułożyć dopiero po przedstawieniu nowych grawaminów. Że zaś to nastąpiło na zjeździe piotrkowskim z sierpnia 1435 r., na to wystarczy dowód następujący: Ponieważ Konkordatom posłużyły za substrat grawamina całéj szlachty polskiéj, przeto jest rzeczą oczywistą, że grawamina takie mogły być przedstawione tylko na jakimś zjeździe powszechnym, nie naprzykład na zjeździe partykularnym jednéj tylko prowincyi, albowiem wówczas szlachta podnosiłaby tylko takie roszczenia, które dotyczą wyłącznie jéj dzielnicy. Jeżeli zaś grawamina, a więc i odpowiedź, którą na nie dano, odniesiemy do jakiegoś zjazdu powszechnego, to oczywiście możemy myśleć tylko o ostatnim z tych zjazdów t. j. piotrkowskim, gdyż o zjeździe sieradzkim Konkordata wspominają jako o ubiegłym[1].

---

[1]) Rzeczywiście też Długosz (Hist. Pol. IV, 561) wspomina wyraźnie, że na zjeździe piotrkowskim duchowieństwo przedstawiło odpowiedź na grawamina szlacheckie. Z odpowiedzi téj streszcza Długosz dwa punkta: jeden dotyczy ustępstw, jakie duchowieństwo przyznać chce szlachcie w sprawie dziesięciny z gruntów po usunięciu kmiecia,

To spostrzeżenie pozwala nam nieco głębiéj wejrzeć w naturę i proceder rokowań, jak je podówczas prowadzono. Punkta sporne pomiędzy duchowieństwem a szlachtą nie były i nie mogły być w całém państwie ze wszystkiém jednakowe, obok wspólnych były i takie, które odnosiły się do poszczególnych prowincyj, do poszczególnych ziem; istniejące stosunki miejscowe, dawniejszy ich rozwój historyczny, odmienne zasady prawne, które w rozmaitych częściach państwa wytworzyło w téj mierze dawniejsze ustawodawstwo, wszystko to zabarwiło ten powszechny spór całego duchowieństwa polskiego z całą szlachtą polską pewnymi partykularyzmami, których załatwienie przedstawiało szczególny interes dla pewnych tylko prowincyj lub ziem, raz małopolskich, raz wielkopolskich. Mimo tę częściową odrębność swoich roszczeń nie przedstawia jednak szlachta każdéj prowincyi formalnie od siebie oddzielonych petytów, nie traktuje na własną tylko rękę, bez udziału swych braci z innych ziem, ale układa je

---

pomiędzy temi ustępstwami wylicza Długosz także zwolnienie z dziesięciny konopnéj, podczas gdy w odpowiedniém miejscu Konkordatów (art. II) znajduje się uwaga, że decimae vagae mają być przyznane jakiemuś beneficyum. Jest to zapewne pomyłka, którą Długosz popełnił pod wpływem późniejszego Laudum, w którém umieszczono przepis o dziesięcinie konopnéj (art. XXIV). Drugi punkt — zaprzeczenie ważności przywileju Jarosława z roku 1360 — nie jest wcale dotknięty w Konkordatach; słusznie jednak uważa autor (Laudum Vartense, str. 45 uw. 1), że ta czysto zewnętrznéj natury sprawa nie potrzebowała być podnoszoną w piśmiennie redagowanéj odpowiedzi, że można ją było pozostawić ustnéj debacie. Zresztą można owe drobne niezgodności pomiędzy Długoszem a treścią Konkordatów wytłómaczyć jeszcze w inny sposób. Jest rzeczą możliwą — i bardzo prawdopodobną — że w Piotrkowie nie ograniczono się tylko na jednorazowéj wymianie pism spornych; a mianowicie, że obok odpowiedzi duchowieństwa krakowskiego (Konkordatów) przedstawioną była także odpowiedź całego duchowieństwa polskiego, któréj tekst nie dochował się do naszych czasów. Sam Długosz wspomina, że kościół (a więc cały, nie tylko krakowski), dał odpowiedź na grawamina szlacheckie (mansueta super omnibus ab Ecclesia responsio edita est); ta odpowiedź mogła być odmiennie cokolwiek zredagowaną, skąd i streszczenie Długosza wypadło odmiennie.

razem w jeden wielki rejestr grawaminów, przedstawionych przez całą w ogóle szlachtę. Cel tego postępowania jest jasny: chodziło widocznie o to, ażeby doprowadzić do skutku kompromis, którego moc obowiązująca rozciągałaby się na całe państwo, któryby był ustawą powszechną, państwową, nie dzielnicową; postanowienia odnoszące się do poszczególnych tylko ziem, mogły w niéj być jako takie zamieszczone, jak się to niejednokrotnie praktykowało w średniowieczném ustawodawstwie polskiém, ale ustawa sama miała mieć w ogóle biorąc charakter powszechny, przepisy partykularne miały być tylko wyraźnie zaznaczonym wyjątkiem. Takiemu celowi sprzyjała zresztą sama natura zjazdu piotrkowskiego, który był przecież zjazdem powszechnym całego duchoeństwa i całego rycerstwa polskiego, którego zadaniem było stworzyć ustawę powszechną; gdyby szlachta każdéj prowincyi zmierzała tylko do ułożenia kompromisów dzielnicowych, wystarczyłyby przecież zjazdy partykularne. Prawda, że kiedy przyszło do szczegółowéj dyskusyi nad pojedyńczymi punktami, trzeba było, nawet na zjeździe powszechnym, traktować rzecz więcéj partykularnie, bo to wynikało z saméj istoty rzeczy; szlachta małopolska musiała głównie bronić tych punktów, które ją najbardziéj interesowały, wielkopolska tych, które przedewszystkiém odnosiły się do Wielkopolski; a po drugiéj stronie duchowieństwo poszczególnych dyecezyj musiało także zwrócić najpilniejszą uwagę na załatwienie rzeczy w tychże właśnie dyecezyach aktualnych, praktycznych. Stąd to, według opowiadania Długosza, już na zjeździe sieradzkim na inny przedmiot w toku rokowań główny kładli nacisk Małopolanie, na inny Wielkopolanie; podobnież i na zjeździe piotrkowskim. według tegoż samego autora, Małopolanie spierali się o pewne odrębne punkta; stąd też i Konkordata same, na tymże zjeździe przedstawione, są odpowiedzią duchowieństwa krakowskiego, nie zaś polskiego w ogóle, jak z drugiéj strony duchowieństwo wielkopolskie mogło tamże podać od siebie — i najprawdopodobniéj podało — osobną odpowiedź, któréj nie znamy. Wszelako te układy partykularne nie służyły do

przygotowania kompromisów partykularnych, ale do ułatwienia kompromisu powszechnego. Dowodem tego Konkordata, które, choć są odpowiedzią partykularną, biorą przecież za podstawę wspólne petyta całéj szlachty.

Tak rozumiejąc przebieg rokowań piotrkowskich, możemy rzucić pewne światło na czynności ugodowe obu poprzednich zjazdów w Warcie i Sieradziu. Oczywiście, skoro jeszcze w Piotrkowie, po dwukrotnie już zrobioném doświadczeniu o trudnościach zawarcia kompromisu powszechnego, nie zarzucono przecież myśli takiego kompromisu, to tém bardziéj musiano zdążać do tego celu na owych zjazdach poprzednich, gdzie doświadczenia tego było mniéj, albo go nie było wcale. Zresztą i tutaj sama natura zjazdów odpowiadała takiemu przedsięwzięciu, boć przecie i do Warty i do Sieradzia zjeżdżało się rycerstwo i duchowieństwo z całéj Polski, nie na to, aby rokować o partykularne ugody, ale o ugodę powszechną, do któréj przeprowadzenia powołany był zjazd generalny. A w takim razie jasną już jest rzeczą, czém się to stać mogło, że choć w Sieradziu Małopolanie i duchowieństwo krakowskie zdołali się już porozumieć w zupełności, jak mówią Konkordata, to przecież ugoda sama dla dyecezyi krakowskié nie mogła być jeszcze formalnie zatwierdzoną, nie mogła się stać ustawą. Ugoda małopolska załatwiała tylko część całéj sprawy, którą chciano załatwić w całości; można ją było uważać za ważny krok naprzód w całéj akcyi ugodowéj, ale nie za formalne zakończenie walki, chociażby dla jednéj tylko dyecezyi. Brakowalo jeszcze ugody innych ziem, na którą czekano, ażeby spór załatwić kompromisem powszechnym, ale te inne ziemie nie mogły się żadną miarą porozumieć. Kiedy im przedłożono projekt małopolski jako podstawę do dalszéj dyskusyi, odrzuciły go bez żadnéj odpowiedzi (ab omnibus diversarum terrarum nobilibus et terrigenis tunc [in Siradia] fuit per omnia nulla cum responsione repulsa). Nie przyszedł tedy do skutku ani kompromis powszechny, ani ów partykularny małopolski, prawie już gotowy, dla tego że nie chciano sprawy załatwiać częściowo; odroczono rzecz, czekając lepszéj

chwili, a mianowicie wyznaczonego już podówczas zjazdu piotrkowskiego, który miał znowu zająć się — i, jak widzieliśmy, zajmował się w rzeczywistości — ułożeniem kompromisu powszechnego. To, względem czego porozumieli się już podówczas Małopolanie, — pozostało tedy tylko projektem. To była owa „słuszność wynaleziona w Sieradziu,“ o któréj później można było powiedzieć bez ubliżenia prawdzie, że się na nią zgodzili Małopolanie, na którą z pewnego rodzaju tęsknem wspomnieniem powołują się na zjeździe piotrkowskim duchowni krakowscy.

Zastanówmy się teraz bliżéj nad owymi projektami do ugody małopolskiéj. Wyróżniliśmy ich dwa: jeden warcki z roku 1434, na podstawie zapiski, umieszczonéj przy końcu Laudum, i drugi sieradzki w roku 1435, na podstawie interpretacyi początkowego ustępu Konkordatów. Oczywiście byłoby rzeczą wielce ważną wykazać, jaki zachodzi stosunek pomiędzy obu tymi projektami nawzajem, a następnie pomiędzy nimi z jednéj, a Laudum z drugiéj strony, tak jak się nam ono przedstawia w obecnéj swojéj postaci. Wyjaśnienie tego pytania rzuciłoby światło na cały przebieg rokowań ugodowych, pozwoliłoby wytłómaczyć, jakie były stopniowe żądania i stopniowe ustępstwa obu stron prowadzących układy. Niestety, na pytanie to trudno prawie w czémkolwiek dać stanowczą odpowiedź, dla tego, że teksty obu projektów nie dochowały się do naszych czasów, brakuje tedy podstawy do wszelkich porównań. Na kilka jednak okoliczności musimy zwrócić uwagę. Ze znanych nam już końcowych słów Laudum dowiadujemy się, że spisane ono zostało w Warcie, a późniéj zatwierdzone (jako ustawa obowiązująca) w dyecezyi krakowskiéj. Tłómacząc tę zapiskę ściśle, należałoby powiedzieć, że projekt warcki bez żadnych zmian, dodatków lub opuszczeń, przeszedł późniéj w ustawę, czyli inaczéj, że tekst projektu warckiego i tekst Laudum są identyczne. Przeciwko takiéj interpretacyi należy jednak podnieść następujące względy. Skoro — jak widzieliśmy — prócz projektu warckiego był jeszcze inny, późniejszy, projekt sieradzki, to wolno nam przy-

puszczać, że ułożono go dla tego, iż poprzedni, warcki, nie zupełnie jeszcze odpowiadał potrzebom stron kontraktujących, że zatém późniejsze Laudum, jeżeli się w ogóle zbliżało do jakiego projektu, zbliżało się zapewnie więcéj do sieradzkiego, aniżeli do warckiego. Daléj przypominamy, że jeszcze na zjeździe piotrkowskim z sierpnia 1435 r. szereg grawaminów przedstawionych przez szlachtę, a mianowicie tych, które pochodziły od Małopolan, jakkolwiek dotyka wielu punktów, rozstrzygniętych (późniéj) w Laudum, to jednak pomija wiele innych, które Laudum obok tamtych załatwiło; widocznie szlachta nie doszła jeszcze w Piotrkowie do tak wszechstronnego sformułowania swoich żądań, jak je sformułować potrafiła w chwili, kiedy ostatecznie przyszło do kompromisu; tém mniéj przypuścić można, iżby je sformułowała tak wszechstronnie więcéj niż o rok wcześniéj, w Warcie, kiedy się dopiero rozpoczęły rokowania o układ. Skoro zaś w Warcie nie przedstawiono jeszcze tak szczegółowo wszystkich swoich — jakie się jeszcze późniéj nasunęły — grawaminów, to oczywiście i projekt wypracowany tamże na ich podstawie nie mógł dotykać wszystkich tych przedmiotów, które późniéj w Laudum rozstrzygnięte zostały. Tak tedy końcowa zapiska Laudum nie dopuszcza tak ściśléj interpretacyi, jaką poprzednio przedstawiliśmy; możemy ją zaś tém śmieléj prostować, ile że nie należy ona do tekstu autentycznego Laudum, ale jest prywatnym dopiskiem kopisty[1]), który sam mógł mieć błędne informacye, lub też wyrazić się niedokładnie. Z zapiski téj wynika więc tylko tyle, że w Warcie wypracowany został j a k i ś projekt do ugody małopolskiéj, ale pozostaje zupełnie otwartą i nierozstrzygniętą kwestya, jakich dotykał punktów, jakie w nim poczynione były ustępstwa przez oba stany, a wreszcie nawet w jakiéj formie był stylizowany. Zresztą w charakterze wszelkich układów leży przecież to, że w miarę ich rozwoju i postępu, czynią się bądź to nowe ustępstwa z jednéj lub drugiéj strony, bądź też wyłaniają się

[1]) Por. Laudum Vartense, str. 7.

wśród dyskusyj nowe punkta sporne, na które poprzednio nie zwracano uwagi. Trudnoby nam tedy było wyobrazić sobie projekt, zredagowany jeszcze w roku 1434, który późniéj w téj saméj formie przyjęty zostaje za ustawę, mimo że w międzyczasie tyle w sprawie nawiązywano układów i tak wszechstronnie ją omówiono.

Z tego wywodu płynie, że tekst Laudum nie daje nam najmniejszéj informacyi o treści obu projektów, warckiego i sieradzkiego, a zarazem jest rzeczą w wysokim stopniu prawdopodobną, że oba te projekty całego stosunku pomiędzy duchowieństwem a stanem świeckim nie wyczerpnęły tak dokładnie, jak Laudum, i że, co ważniejsza, wzajemne, a przynamniéj jednostronne ustępstwa, jakie sobie w nich poczyniono, nie sięgały tak daleko, jak w późniejszym kompromisie.

Mając te okoliczności na uwadze, możemy przystąpić do bliższego określenia stanowiska, jakie na zjeździe piotrkowskim zajęli Małopolanie w sprawie ugody z duchowieństwem.

W dotychczasowym przebiegu walki pomiędzy duchowieństwem a szlachtą uderza niewątpliwie ta okoliczność, że szlachta małopolska w toku rokowań jest bardziéj umiarkowaną i bardziéj skłonną do zgody, aniżeli szlachta wielkopolska. Jeżeli już w Warcie pojawia się szczegółowo opracowany projekt kompromisu małopolskiego, to zapewne dla tego, że — przynajmniéj do pewnego stopnia — liczyć było można na porozumienie ze szlachtą; w Sieradziu, jak widzieliśmy, porozumienie takie osiągnięto w zupełności; ugoda sama nie przyszła do skutku tylko dla tego, że chodziło o zawarcie kompromisu powszechnego. A w końcu i sam kompromis małopolski, późniéj uchwalony (Laudum) dowodzi, że z Małopolanami nie była sprawa tak trudną, jak z inną szlachtą. Inaczéj miała się rzecz z szlachtą wielkopolską. Wszelkie rokowania, jakie z nią prowadzono, nie przyniosły żadnego dodatniego rezultatu, z całéj téj walki nie dochował się nam żaden projekt ugody wielkopolskiéj — co może nie jest rzeczą przypadku tylko, — wreszcie, jak wyraźnie świadczą Konkordata, szlachta wielkopolska, mając sobie w Sieradziu przed-

stawiony projekt małopolski, który przecież mógł posłużyć za punkt wyjścia do załatwienia sprawy, nie uznała nawet za stosowne wziąć go pod obrady. Próżno we wszystkich szczegółach dociekać przyczyn tego odmiennego stanowiska obu dzielnic w sprawie ugodowéj; mogły one być bardzo rozmaite i bardzo liczne: może duchowieństwo krakowskie było wyrozumialszém w ustępstwach, może pośród uczestników z Małopolski na zjeździe warckim i sieradzkim znaleźli się w przewadze tacy, na których Oleśnicki wywierał pewien wpływ, i którzy występując z pewnemi słusznemi roszczeniami do duchowieństwa, nie stawiali przecież sprawy na ostrzu miecza, a za cenę pewnych ustępstw skłonni byli także do ustępstw z swojéj strony i t. p. Dość, że cały dotychczasowy przebieg sprawy zdawał się wskazywać na to, że i na dalszym zjeździe piotrkowskim Małopolanie, tak samo jak i poprzednio, zajmą stanowisko więcéj umiarkowane.

Nadzieje, jakie sobie w tym kierunku czyniło zapewne duchowieństwo krakowskie, zostały jednak zawiedzione.

Czytając relacyą Długosza o zjeździe piotrkowskim[1]), trudno się oprzeć wrażeniu, że w przekonaniach ówczesnego społeczeństwa wynik tego zjazdu uważano z góry za rozstrzygający: tutaj miała się ostatecznie zakończyć owa bezskutecznie dotąd prowadzona walka parlamentarna. Przygotowywano się do niéj obustronnie, a przedewszystkiém przygotowywał się ów stan, który był zagrożony — duchowieństwo. Na krótko przedtém odbyło ono synod w Łęczycy, ażeby się porozumieć ze sobą i ułożyć program akcyi; na sam zjazd piotrkowski przybyli: „arcybiskup gnieźnieński i prawie wszyscy biskupi polscy, z kapitułami i opatami, doktorami i magistrami; toż samo uczynili i panowie świeccy... wszelako mniejszą była liczba panów świeckich, aniżeli duchownych; od wzięcia udziału w zjeździe odwiodły niektórych wojewodów bojaźń boża i religia chrześciańska, innych niesposobne zdrowie." Pośród świeckich brakowało więc przedewszystkiém żywiołów

[1]) Hist. Pol. IV, 560, 561.

umiarkowanych, tych, co mieli „bojaźń bożą i religią w sercu,“ którzy zatém skłonni byli do ustępstw na rzecz kościoła. Ale nie brakowało żadnego z przywódców opozycyi; przybyli z Wielkopolski Abraham Zbąski, z Małopolski Spytko z Melsztyna i Jan Strasz z Białaczowa. Przy takim składzie obradującego ciała, w którém znaleźli się najwybitniejsi i najbardziéj wpływowi reprezentanci dwóch skrajnych, a najbardziéj sobie przeciwnych kierunków, łatwo zrozumieć, że walka musiała się zaostrzyć, łatwo wytłómaczyć sobie, że partya umiarkowana pośród rycerstwa, o ile brała udział w zjeździe, musiała przycichnąć, albo może nawet dała się przeciągnąć na stronę tych, którzy zajęli stanowisko skrajne. Każdy parlament wśród zburzonych namiętności politycznych stanowi materyał łatwo zapalny, a cóż dopiero krewki parlament średniowieczny! Potrzeba tylko, aby sprawę ujęli w ręce zręczni agitatorowie, zwłaszcza, jeżeli ci agitatorowie cieszą się takim wpływem, jak Abraham lub Spytko. Na uwagę zasługuje, że Długosz, mówiąc o dwu poprzednich zjazdach w Warcie i Sieradziu, nie wspomina bynajmniéj o bytności przywódców opozycyi, jest tedy rzeczą prawdopodobną, że nie brali w nich udziału, a naówczas łatwo nam zrozumieć, dla czego poprzednie układy, zwłaszcza z Małopolanami, rozwijać się mogły stosunkowo dość pomyślnie; teraz na zjazd piotrkowski przybywają oni, widząc sprawę zagrożoną, widząc, że jedna dzielnica skłania się już do ugody, i wytężają wszystkie siły, ażeby wygórowanemi żądaniami porozumieniu przeszkodzić. Udało się im cel ten osiągnąć. Projekt sieradzki nie szedł zapewne tak daleko w ustępstwach, jakich teraz wzburzone umysły domagać się mogły, nie dotykał tych wszystkich punktów, na które wśród zaostrzenia sporu zwrócono teraz uwagę. Na to jest dowód niewątpliwy. Mówiąc o zjeździe sieradzkim, donosi nam Długosz[1]), że Małopolanie spierali się głównie o słomę dziesięcinną i dziesięcinę z gruntów po usunięciu kmiecia, Wielkopolanie zaś, powołując się na przywilej arcy-

[1]) Hist. Pol. IV, 559.

biskupa gnieźnieńskiego Jarosława, żądali, aby dziesięcina z nowizn nie była snopową. Z tego przeciwstawienia wynika, że jeszcze w Sieradziu Małopolanie na sprawę dziesięciny z nowizn, tym sposobem uiszczać się mającéj, żadnego nie kładli nacisku. Tymczasem w Piotrkowie, jak opowiada tenże sam Długosz, jedném z najbardziéj zaakcentowanych żądań małopolskich było, ażeby rzeczony przywilej Jarosława, obowiązujący właściwie w Wielkopolsce, rozciągnąć także i na Małopolskę, a więc, ażeby i tutaj dziesięcina z nowizn nie uiszczała się snopami, ale pieniądzmi[1]). Dodaje Długosz wyraźnie: Przewodnikami i twórcami tych roszczeń (duces harum rerum et principales autores) byli Abraham Zbąski, Spytko z Melsztyna i Jan Strasz z Białaczowa. To bardzo wyraźne. Małopolanie porzucili swoje dawniejsze stanowisko umiarkowane, rozszerzyli swoje żądania, a to głównie za sprawą przywódców opozycyi. Stąd już łatwo wyrozumieć, dla czego poprzedniego projektu sieradzkiego nie brano wcale na wzgląd, choć się nań kilka miesięcy temu godzono, dla czego przedstawiono znowu nowy rejestr grawaminów, z których niejedno może rozstrzygnięte zostało w projekcie sieradzkim, ale nie tak, jak sobie teraz życzono; i dla czego duchowieństwo krakowskie punkt za punktem odpowiadać musiało na te grawamina w wypracowanych przez siebie Konkordatach.

Czy zjazd piotrkowski doprowadził do kompromisu małopolskiego, do uchwalenia Laudum? Jeżeli który, to ten najmniéj był do tego sposobnym. Pomijamy okoliczność, że i ten zjazd był powszechnym, że zadaniem jego było stworzyć ugodę

---

[1]) Prof. Ulanowski w pracy przez nas omawianéj wykazał w sposób nie pozostawiający żadnéj wątpliwości, że powołany przywilej Jarosława nie jest ową znaną powszechnie arbitracyą z roku 1361. Przywilej ten wydany został w Poznaniu w roku 1360; egzemplarz wystawiony przez arcybiskupa nie dochował się do naszych czasów, natomiast znany jest drugi egzemplarz, wystawiony przez Kazimierza W., zgodny z egzemplarzem arcybiskupim (Kod. dypl. Wielkop. III, nr. 1416). W przywileju tym znajduje się w rzeczywistości przepis, że dziesięciny z nowizn mają być uiszczane pieniądzmi. — Por. Laudum Vartense, str. 105 i n.

całe państwo obowiązującą, nie zaś partykularną; ważniejsza to, że nigdy antagonizm obu stanów nie zarysował się tak ostro, jak w Piotrkowie, że nigdy nie brakowało tak bardzo wszelkiéj podstawy do porozumienia, jak tutaj właśnie. Opozycya zrobiła swoje: wygórowanemi żądaniami, nieugiętym oporem przeciw wszelkim ustępstwom, unicestwiła nadzieje pokojowego załatwienia sprawy. „Panowie świeccy — powiada Długosz — widząc, że nie mogą zyskać takiéj uchwały, jakiéj pragnęli, odrzuciwszy wszelkie środki, jakie im podawał Kościół, postanowili działać gwałtem i przyaresztować wszystkie dziesięciny, dopokąd duchowni nie skłonią się do ich żądań"[1]). To był jedyny rezultat piotrkowskiego zjazdu, który sprawę bardziéj wstecz cofnął, niż ją posunąć zdołały naprzód oba poprzednie. Jak dalece zwątpić kazał o możności doprowadzenia do skutku ugody powszechnéj, dowodzi okoliczność, że odtąd zaniechano wszelkich w tym kierunku usiłowań na przyszłość, i na późniejszych zjazdach powszechnych sprawy téj wcale już nie poruszano.

IV.

Laudum nie zawdzięcza tedy swojego początku żadnemu z trzech zjazdów generalnych: w Warcie, Sieradziu i Piotrkowie. Jakżeż jednak wytłómaczyć jego genezę, skoro już pod rokiem 1438 da się niewątpliwie stwierdzić, że jest ono sankcyonowaną ustawą?

Jeżeli jakiś cel pożądany nie da się w całości osiągnąć, to niewątpliwie korzystną jest rzeczą urzeczywistnić go przynajmniéj w części. Zawarcie kompromisu powszechnego okazało się niemożliwém; cóż jednak, gdyby się pokusić o kompromis partykularny, któryby spór obu stanów zażegnał przynajmniéj w jednéj części państwa? Oczywiście, do przeprowadzenia tego celu nie potrzeba było układów rycerstwa i duchowieństwa z całéj Polski; wystarczyć mogło, jeżeli się porozumią reprezentanci tychże stanów z jednéj tylko dzielnicy.

---

[1]) Hist. Pol. IV, 561.

Skończyła się rola zjazdów powszechnych, przyszła kolėj na zjazdy dzielnicowe, partykularne.

Długosz, kreśląc ogólny obraz walki o dziesięciny w tym okresie, powiada: Unde eodem anno (1434) primum in oppido Wartha... deinde annis subsequentibus plures generales et particulares habitae sunt in Piotrkow et aliis locis inter clerum et barones conventiones[1]). Z tych słów niewątpliwie wynika, że sprawę o dziesięciny omawiano nie tylko na znanych nam trzech zjazdach powszechnych, ale także na jakichś zjazdach partykularnych. Nie mamy tylko bliższych wiadomości o czynnościach i rezultatach obrad tychże zjazdów dzielnicowych, gdyż Długosz prócz powyższéj wzmianki ogólnéj nic o nich szczegółowego nie donosi. Przedewszystkiém pytamy, kiedy się one odbyły, i jaką odegrały rolę w toku walki? Prof. Ulanowski, który na przytoczony ustęp Długosza zwrócił także uwagę, tłómaczy go, w związku z swoją hypotezą, w sposób następujący: Ponieważ w Sieradziu przyszła do skutku ugoda małopolska, a w ugodzie téj wspomniano, (o czém niżéj dokładnie), że ją zawarli pełnomocnicy obu stanów, przeto przypuścić należy, że ci pełnomocnicy wybrani zostali przez Małopolan na jakimś zjeździe dzielnicowym małopolskim, który się odbył jeszcze przed zjazdem powszechnym w Sieradziu, a więc w początkach roku 1435. To ma być ów zjazd partykularny, o którym wspomina Długosz[2]). Widzieliśmy jednak, że w Sieradziu nie tylko nie przyszło do żadnéj ugody pomiędzy Małopolanami a duchowieństwem krakowskiém, ale nadto, że się nawet z myślą partykularnego załatwienia sprawy wcale nie noszono, jak długo istniała nadzieja, że się da przeprowadzić kompromis powszechny. Zjazd dzielnicowy w początkach roku 1435 nie mógł więc mieć takiego celu na oku, i bardzo wątpliwą jest rzeczą, czy w ogóle Małopolanie w tym czasie zjazd taki odbyli. Zwracamy zresztą uwagę na chronologią. W przyto-

---

1) Hist. Pol. IV, 549.

2) Laudum Vartense, str. 36 i n.

czonéj wzmiance powiada Długosz wyraźnie, że po zjeździe warckim z r. 1434 odbyło się jeszcze w latach następnych (annis subsequentibus) kilka zjazdów powszechnych i partykularnych, którą to wiadomość, tłómacząc ją choćby najściśléj, odnieść musimy przynajmniéj do lat 1435 i 1436; ponieważ zaś dwa dalsze zjazdy powszechne odbyły się jeszcze w r. 1435, przeto na rok 1436 (a może i dalszy) przypadać musi przynajmniéj jeden, jeżeli nie więcéj zjazdów dzielnicowych. Skoro zaś wiemy, że przynajmniéj jeszcze w roku 1436 odbył się jakiś zjazd dzielnicowy w sprawie o ugodę pomiędzy duchowieństwem a szlachtą, to choćbyśmy się nawet zgodzili, że był inny, w początkach roku 1435 odprawiony, główną uwagę zwrócimy na ten zjazd późniejszy, boć oczywiście ważniejszą będzie jego rola, skoro się odbył już po zupełném zerwaniu rokowań o układ powszechny, aniżeli rola zjazdu, który się odbył wśród tychże rokowań, w czasie, kiedy główny nacisk spoczywał na czynnościach zjazdów powszechnych.

Takie zjazdy dzielnicowe, bezwzględnie rzecz biorąc, mogły oczywiście odbyć się zarówno w jednéj jak drugiéj dzielnicy, w Małopolsce jak i w Wielkopolsce. Czy jednak do zjazdu wielkopolskiego przyszło w rzeczywistości, nie wiadomo; możnaby nawet przytoczyć okoliczności, które przypuszczenie takie czynią do pewnego stopnia nieprawdopodobném. W ciągu całéj dotychczasowéj walki parlamentarnéj Wielkopolanie pośród całéj szlachty przedstawiali element najbardziéj nieużyty, najmniéj skłonny do zgody. Po takich precedensach wielkopolski zjazd dzielnicowy nie wiele mógł rokować nadziei doprowadzenia do kompromisu. Inaczéj miała się rzecz z Małopolanami. Wprawdzie w Piotrkowie Małopolanie zwarli się ostro z duchowieństwem, głównie za poduszczeniem przywódców opozycyi; pamiętano jednak dobrze, że niedawno przedtém zajmowali stanowisko więcéj pojednawcze, że raz już nawet zgodzili się w całości na przedstawiony sobie projekt do kompromisu. Trzeba było tylko poczynić starania, ażeby opozycyą usunąć lub przynajmniéj w jakikolwiek sposób ubezwładnić, ażeby wydobyć na wierzch żywioły umiarkowane

i dać im przewagę, a można było z wielkiém prawdopodobieństwem liczyć na to, że ugoda da się przyprowadzić do skutku. Tu więc działalność zjazdów dzielnicowych obiecywała przynieść praktyczne rezultaty; jeżeli jakie, to przedewszystkiém małopolskie, a może wyłącznie małopolskie zjazdy należy podciągnąć pod owę wzmiankę Długosza o conventiones particulares.

W tych czasach dopiero i z tych układów partykularnych wyjść mogło Laudum jako ustawa obowiązująca w dyecezyi krakowskiéj.

Zapewne i tutaj nie od razu dało się osiągnąć zupełne porozumienie; dość wskazać na rezultat ostatniego zjazdu piotrkowskiego, ażeby zrozumieć, że jeszcze przez pewien czas wzajemny stosunek obu stanów musiał być wielce naprężony, a umysły stron walczących rozdrażnione. W miarę jednak, jak się namiętności układały, można było przystąpić do akcyi ugodowéj, i to w ten sposób, że naprzód załatwiono część sporu, ażeby go wreszcie załatwić w zupełności. Nie jest bowiem Laudum jedynym rezultatem owych partykularnych małopolskich układów w tym czasie; dochowała się nam inna jeszcze ustawa, układom tym początek zawdzięczająca, od Laudum cokolwiek wcześniejsza, kilka tylko punktów spornych (a raczéj jeden punkt) załatwiająca.

Z rękopisu biblioteki kórnickiéj, nr. II. 68 ogłosił w ostatnich czasach dr. A. Prochaska[1]) niedatowaną uchwałę w sprawie dziesięcin, która, jak przypuszcza wydawca, powstała między rokiem 1434 a 1440. Ze słów jéj początkowych: Ad sopiendum omnem diversitatem et differentiam inter ecclesiam et clerum ac nobiles regnicolas diocesis Cracoviensis circa solutionem decimarum... ita conclusimus et statuimus perpetuis temporibus observandum, wynika niewątpliwie, że jest to uchwała, która miała moc obowiązującą dla Małopolski i powstała wśród sporu toczącego się między duchowieństwem krakowskiém a szlachtą małopolską o dziesięciny. W dalszym ciągu postanawia też uchwała, że

---

[1]) Codex epist. Vitoldi, str. CVII - CVIII.

szlachcic usunąwszy z swoich gruntów jakiegoś kmiecia, nie jest przez to zwolniony od obowiązku płacenia dziesięciny z tegoż gruntu, natomiast przysługują mu przy jéj uiszczaniu rozmaite ułatwienia i przywileje, szczegółowo tamże wymienione.

Prof. Ulanowski, odrzucając kombinacyą dra. Prochaski co do daty téj uchwały, mniema, że powstała ona w ostatnich latach panowania Jagiełły, a mianowicie w czasie między rokiem 1426 a 1434[1]). Nie zdaje nam się, iżby to przypuszczenie było uzasadnione. Szukając daty dla jakiegoś zabytku, którego czas powstania nie jest nam znany, powinniśmy się starać, uwzględniając jego treść, odnieść go do jakichś wypadków historycznych skądinąd nam znanych, i dopiero z takiéj kombinacyi faktów wysnuwać wnioski chronologiczne. Otóż jakkolwiek prof. Ulanowski wykazał[2]), że już począwszy od roku 1426 noszono się z myślą załatwienia sporu pomiędzy duchowieństwem a stanem świeckim w drodze jakiéjś ugody, to jednak nie ma najmniejszych po temu śladów, iżby tę myśl w ostatnich latach panowania Jagiełły udało się rzeczywiście w czyn zamienić; właściwa akcya ugodowa rozpoczęła się dopiero za rządów Warneńczyka, na zjeździe warckim z roku 1434. Brakuje tedy wszelkiéj pewniejszéj podstawy, na któréjby się ta hypoteza oprzeć mogła. Przypomnijmy daléj okoliczność, że jeszcze na zjeździe piotrkowskim z roku 1435 kwestya w przytoczonéj uchwale stanowczo załatwiona podniesioną zostaje w grawaminach szlacheckich (art. I i II), i to w téj ich części, która powstała z petytów małopolskich, że duchowieństwo krakowskie w Konkordatach (art. I i II) szeroko się nią zajmuje, nie wspominając ani słowem o téj rzekomo już wydanéj uchwale, i żadnych dalszych nie czyni ustępstw nad te, jakie się w niéj znajdowały, a zrozumiemy, że przypuszczenie, jakoby ta uchwała przyszła do skutku w ostatnich czasach Jagiełły, lub chociażby nawet w tym

---

[1]) Dr. B. Ulanowski: Zjazdy piotrkowskie z r. 1406 i 1407 i ich uchwały. Kraków, 1887, str. 25 i n.

[2]) Laudum Vartense, str. 11.

czasie, kiedy się odbywały trzy zjazdy generalne, żadną miarą utrzymać się nie da. Inaczéj przedstawi się nam rzecz, jeżeli ją odniesiemy do partykularnych układów małopolskich, jakie się rozpoczęły już po niefortunnym zjeździe piotrkowskim. W ramach wypadków, jakie teraz nastąpiły, uchwała ta pomieścić się da całkiem wygodnie. Rozstrzyga ona jeden z punktów spornych pomiędzy duchowieństwem a szlachtą w czasie, kiedy pomiędzy obu stanami o załatwienie sporu w rzeczywistości traktowano, rozstrzyga kwestyą, o któréj skądinąd wiadomo, że jeszcze w sierpniu 1435 r. była otwartą, rozstrzyga ją dla Małopolski, która w tym właśnie czasie podjęła rokowania o kompromis partykularny. Uchwała ta mogła tedy powstać co najwcześniéj pod koniec roku 1435.

Porównując rozporządzenia zawarte w rzeczonéj uchwale z treścią Laudum, dochodzi prof. Ulanowski do słusznego wniosku, że są one identyczne z postanowieniami art. XXIV i XXV Laudum, i że, jakkolwiek redakcya odnośnych ustępów w obu zabytkach jest cokolwiek odmienną, to jednak w wielu względach dostrzec się dają nawet stylistyczne podobieństwa. Autor uważa nawet, że układ odpowiedniego ustępu Laudum jest krótszy i poprawniejszy, snać wprawniejszą ręką dokonany, i formułuje stąd wniosek, że redaktorowie Laudum, układając artykuł XXIV i XXV, korzystali z owéj uchwały, że zatém uchwała ta jest wcześniejszą od Laudum[1]). To zdanie przyjmujemy w zupełności, a przytaczamy na jego poparcie następującą jeszcze okoliczność: Gdyby Laudum pojawiło się wcześniéj, aniżeli uchwała, to w takim razie nie umielibyśmy sobie wytłómaczyć, jaki cel miałoby wydanie téj ostatniéj, skoro wszystko to, co ona postanawiała, znajdowało się co do joty zawarte w art. XXIV i XXV Laudum. Jeżeli natomiast przyjmiemy, że porządek chronologiczny obu zabytków jest odwrotny, a więc że Laudum ma datę późniéjszą, naówczas wyjaśni się nam rzecz w zupełności: Do skutku przyszła naprzód rzeczona krótka uchwała, późniéj zaś, kiedy w Laudum

---

[1]) Zjazdy piotrkowskie, str. 28.

określono cały stosunek duchowieństwa do szlachty, przydano do licznych innych postanowień prawnych, jakie ten kompromis obejmował, nadto jeszcze postanowienia rzeczonéj uchwały jako dwa dodatkowe artykuły, ażeby rzecz całą o ile możności wyczerpnąć. Dawniejsza uchwała weszła tedy jako część składowa do Laudum.

Że przed wszystkiemi innemi sprawami załatwiono naprzód sprawę o dziesięcinę, mającą się uiszczać z gruntu po wyeliminowaniu kmieci, dziwić nas nie powinno. To był najważniejszy punkt całego sporu małopolskiego; na ten punkt Długosz, streszczając obrady zjazdu sieradzkiego i piotrkowskiego, przedewszystkiém zwraca uwagę; ten punkt w grawaminach przedstawionych na zjeździe piotrkowskim, i to mianowicie w téj ich części, która powstała z petytów małopolskich, zajmuje pierwsze, naczelne miejsce (art. I i II). Że jednak téj uchwały nie uważano za ostateczne załatwienie całego sporu, rozumie się samo przez się; pozostawało jeszcze wiele innych ważnych spraw do rozstrzygnięcia. Uchwała rzeczona przyszła więc tylko do skutku, ażeby zaradzić chwilowéj, nagłéj potrzebie; dla tego téż w dalszym ciągu będziemy ją nazywać u c h w a ł ą t y m c z a s o w ą.

Widzimy już stąd, że cała akcya ugodowa, prowadzona w tym czasie w Małopolsce, nie od razu doprowadziła do pożądanego rezultatu, że ją podejmowano c o n a j m n i é j dwa razy: za pierwszym razem wydała ona uchwałę tymczasową, za drugim Laudum. Wszelako twierdzenie to można jeszcze rozszerzyć, bo oczywiście niekoniecznie za każdym razem, kiedy akcyą podjęto, musiano zaraz uzyskać jakiś wynik dodatni, t. j. uchwałę. Ile tedy zjazdów odbyło się w tym czasie w Małopolsce dla załatwienia téj sprawy, jest rzeczą nieznaną.

Jéżeli zaś mówimy o zjazdach, to niekoniecznie w tém ścisłém znaczeniu, jakie zwykliśmy przywiązywać do pojęcia zjazdów dzielnicowych w ówczesnéj Polsce. Równie dobrze, a może lepiéj, mogła sprawę załatwić także k o m i s y a, złożona z kilku reprezentantów obu stanów paktujących, wybrana na takim zjeździe dzielnicowym, opatrzona w szczegółowe

instrukcye i odpowiednie pełnomocnictwo; lepiéj dla tego, że większe a cięższe ciało parlamentarne, jakim był zjazd dzielnicowy, nie tyle bywa sposobne do układania obszerniejszych ustaw, ile nieliczna komisya, złożona oczywiście z wybitniejszych osobistości, gruntownie ze sprawą obeznanych, posiadających rutynę w prowadzeniu rokowań i redagowaniu praw. Taka komisya doprowadziła do skutku nasze Laudum, jak wynika ze słów zawartych w art. V i XXIV tego zabytku. W pierwszym z nich czytamy słowa następujące: Item... nobis omnibus tam spiritualibus quam saecularibus hic congregatis et super diversitatibus inter ecclesias et nobiles concordandis deputatis, videtur conformari rationi etc.; w drugim zaś: Item... nobis omnibus tam spiritualibus quam saecularibus hic congregatis et ad diversitatem huiusmodi tollendam positis et nominatis videtur... consentaneum etc.[1])

Nasuwa się teraz pytanie o stosunek Laudum do poprzednio omówionych zabytków, jakie w toku rokowań o kompromis powstały. Pod tym względem uderza przedewszystkiém okoliczność — na inném miejscu już zaznaczona — że z całego szeregu grawaminów, jakie na zjeździe piotrkowskim przedstawione zostały przez ogół szlachty, Laudum załatwiło niemal bez wyjątku wszystkie te, które tamże wyróżniliśmy jako petyta małopolskie, a żadnego z tych, które należały do petytów wielkopolskich. Szlachta małopolska, która na zjeździe piotrkowskim zsolidaryzowała się z żądaniami innéj szlachty, zajęła więc tutaj napowrót stanowisko ściśle partykularne, domagała się rozstrzygnięcia tych tylko spraw, które dla niéj żywotny przedstawiały interes, usunięcia tych dolegliwości, które ją właśnie dotykały. Natomiast rozstrzygnęło Laudum nadto jeszcze cały szereg spraw, nad któremi na zjazdach powszechnych, o ile nam przynajmniéj wiadomo, nie zastanawiano się wcale. Kto uważnie przeczytał Długosza, odniósł niewątpliwie to wrażenie, że jedynym niemal przedmiotem sporu na tychże zjazdach była kwestya dziesięcin, a co naj-

---

[1]) Por. też Laudum Vartense, str. 61.

więcéj jeszcze sprawa klątw rzucanych przez duchowieństwo. Przedstawiając ogólny obraz walki pomiędzy obu stanami w tym czasie, powiada Długosz: Concitarunt vulgum et communitatem nobilium contra ecclesiasticas personas, plurima allegantes, praesertim circa exactionem decimarum et fulminationes censurarum gravamina[1]), w dalszych zaś streszczeniach obrad zjazdu sieradzkiego i piotrkowskiego podnosi Długosz zawsze tylko jakąś sprawę dziesięcinną jako przedmiot sporu. Podobnież w grawaminach szlacheckich, przedstawionych na zjeździe piotrkowskim, o ile je możemy zrekonstruować z Konkordatów, główny nacisk położono na sprawy dziesięcinne, zwłaszcza w téj części, która powstała z petytów małopolskich, a która zaledwie w kilku względach dotknęła innych punktów stosunku duchowieństwa do szlachty. Najważniejszym przedmiotem dawniejszego sporu były zatém przedewszystkiém dziesięciny. W układach małopolskich, jakie się rozpoczęły po zjeździe piotrkowskim, przedmiot ten znacznie rozszerzono, a dowodem tego sama treść Laudum. Wprawdzie i tutaj lwia część przypadła na postanowienia w sprawach dziesięcinnych, choć zaraz zaznaczyć należy, że i pośród tych postanowień kilka dotknęło spraw, o których niewiadomo, czy poprzednio były poruszane (art. III, IV, VII—X); znalazł się także przepis o klątwie (art. XVII); nadto zaś urządzono jeszcze wiele innych stosunków, o których nie mamy śladu, iżby w dawniejszych grawaminach szczegółowo były dotknięte, jako to: sprawę ciężarów publicznych duchowieństwa (art. XVI, XXI), sprawę wynagradzania krzywd wyrządzonych duchowieństwu (art. XVIII), zakres jurysdykcyi duchownéj (art. I), władzę karną duchowieństwa (art. XIX), karność nad klerykami (art. XIV, XX) i wreszcie stanowisko ich w sferze prawa prywatnego (art. II). Widzimy, że temu kompromisowi małopolskiemu starano się nadać znaczenie ogólniejsze, nie zaś tylko znaczenie prostéj ugody w sprawie o dziesięciny, że

[1]) Hist. Pol. IV, 549.

starano się w nim urządzić wyczerpująco — o ile to oczywiście było możliwém — stosunek kościoła do państwa i społeczeństwa.

Pod względem układu Laudum pozostaje do wyjaśnienia następująca jeszcze okoliczność. Układ ten, tak jak go na wstępie do téj pracy przedstawiliśmy, zdradza widoczną dążność do ugrupowania postanowień prawnych według związku przedmiotowego; i tak n. p. o prawie patronatu jest mowa w dwóch bezpośrednio po sobie następujących artykułach (XII i XIII), o dziesięcinach w ośmiu łączących się ze sobą artykułach (III—X). Mimo to jednak cztery ostatnie artykuły Laudum poruszają znowu sprawę dziesięcin (XXII do XXV). Oczywiście trzeba się zapytać, dla czego te artykuły znalazły się dopiero przy końcu Laudum, nie zaś w środku, obok innych postanowień o dziesięcinach? Co do artykułów XXII i XXIII wyjaśni rzecz następująca uwaga: Artykuły te zawierają postanowienia w sprawie dziesięcin z nowizn, obowiązujące wyłącznie w ziemi lubelskiéj. Postanowienia te miały zatém nawet w ustawie dzielnicowéj, jaką było Laudum, znaczenie przepisów partykularnych. Gdy zaś wszystkie poprzednie przepisy (art. I—XXI) miały charakter ustaw obowiązujących w całéj Małopolsce, przeto słusznem wydać się mogło redaktorom Laudum wyłączyć te partykularne przepisy z całości i zamieścić je dopiero przy końcu uchwały. Geneza artykułów XXIV i XXV jest nam już znaną. Powstały one przez to, iż dawniejszą, gotową już uchwałę tymczasową dołączono z pewnemi tylko stylistycznemi zmianami do nowo zredagowanéj uchwały. Z téj uwagi płynie, że mniemanie prof. Ulanowskiego, jakoby owa uchwała tymczasowa była tylko fragmentem jakiejś większéj, niedochowanéj do naszych czasów ustawy[1]), mało przemawiać może do przekonania. Zważywszy, że uchwała ta powstała na krótki czas przed Laudum, w toku tych samych małopolskich układów, którym to ostatnie zawdzięcza początek, przyznamy, go-

---

[1]) Zjazdy piotrkowskie str. 31.

dząc się na przypuszczenie prof. Ulanowskiego, iż musiałaby ona zawierać postanowienia w sprawach, które w danéj chwili były żywotne, w ślad za czém powiemy, że skoro już jeden z przepisów tej uchwały przejęto do Laudum, trzebaby było przejąć i inne. Te przepisy w Laudum mogły być bądź to identyczne z przepisami uchwały, jak się to niewątpliwie da wykazać co do art. XXIV i XXV, bądź też, — w miarę nowo poczynionych ustępstw z jednéj czy drugiéj strony — odmienne, ale niezawodnie musiałyby się tam znaleść, niezawodnie dotykałyby spraw w poprzedniéj uchwale załatwionych. Musielibyśmy tedy w Laudum prócz postanowienia w sprawie dziesięciny z gruntu, z którego nastąpiła eliminacya kmiecia (art. XXIV i XXV), znaleść jeszcze inne, z uchwały tymczasowéj zaczerpnięte. Te inne postanowienia musiałyby być pomieszczone tuż obok artykułów XXIV i XXV, skoro bowiem te ostatnie, z naruszeniem systematycznego układu Laudum, pomieszczono przy końcu, dla tego, iż pochodziły z innéj ustawy, to nie moglibyśmy zrozumieć, dla czego co do innych postanowień, wziętych z téjże saméj uchwały, mianoby postępować odmiennie i umieszczać je n. p. w środku Laudum. Tymczasem obok artykułów XXIV i XXV nie znajdujemy żadnych innych, któreby się dały odnieść do takiéj uchwały wcześniejszéj, albowiem po nich nie następuje w Laudum żaden dalszy, a bezpośrednio je wyprzedzające (art. XXII i XXIII) są to znane nam przepisy partykularne dla ziemi lubelskiéj, które w téj uchwale dawniejszéj niewątpliwie znajdować się nie mogły. Stąd wynika, że ogłoszony przez dra. Prochaskę zabytek nie jest fragmentem większéj ustawy, ale ustawą całkowitą, któréj co najwięcéj brakuje formuł końcowych.

Mając na uwadze uzyskane dotąd wyniki, nie od rzeczy będzie poruszyć pytanie, jaką właściwie nazwę, jaki tytuł nadać należy kompromisowi małopolskiemu? Bandtkiego spotkały ostre zarzuty zarówno ze strony Helcla[1]), prof. Caro[2])

[1]) Starod. prawa pol. pomn. tom I, str. XL.
[2] Geschichte Polens IV. 378.

jak i prof. Ulanowskiego[1]) za to, że zabytek ten wydrukował w swojém Ius Polonicum pod tytułem: Lauda Cracoviensia. W rękopisie, w którym się kompromis przechował, znajduje się na pierwszéj karcie napis: Laudum Cracoviense, na dalszych zawsze: Laudum Vartense, a według mniemania prof. Ulanowskiego, który rękopis oglądał naocznie, nie może ulegać wątpliwości, że nawet i na pierwszéj karcie wypisał kopista z początku: Vartense, a później dopiero przerobił na: Cracoviense. Bandtkie miał tedy popełnić wielki błąd, że ten napis niewłaściwy zatrzymał. Nie jest zamiarem naszym podejmować się rehabilitacyi Bandtkiego, ale przecież nastręcza nam się następująca uwaga: Jakikolwiek napis zabytek nasz nosi w rękopisie, w którym się przechował, przyznamy, iż nie jest to napis urzędowy, nadany mu przez władzę ustawodawczą. Ustawy ówczesne wydawano w formie dokumentów, które żadnych napisów nie nosiły. Napis pomieszczony w rękopisie stworzył zatém bądź ostatni, bądź też jakikolwiek poprzedni kopista; w każdym razie ma on tylko znaczenie informacyi prywatnéj. Ta informacya prywatna, jak każda inna podobna, podlegać może krytyce, t. z. skoro się okażą uzasadnione powody, przemawiające przeciw zatrzymaniu tego napisu, nie będzie żadnéj trudności, ażeby go usunąć i postarać się o lepszy. Otóż zdaje nam się, że jeżeli ustawie jakiéjś nadajemy tytuł według pewnéj miejscowości, to powinniśmy uwzględnić przedewszystkiém tę miejscowość, w któréj ustawa ta jako taka przyszła do skutku, a zatém tę, w któréj została uchwaloną jako obowiązujące prawo. Tymczasem w Warcie nie doprowadzono do niczego więcéj, jak tylko do ułożenia projektu. Gdybyśmy tedy nawet przyjęli hypotezę prof. Ulanowskiego w całéj rozciągłości, zgadzając się na to, że Laudum zatwierdzone zostało w Sieradziu, gdybyśmy, co większa, przypuścili to, czego sam autor nie przypuszcza, że tekst Laudum jest identyczny z tekstem projektu warckiego, to jeszcze popełnilibyśmy błąd, nazywając je Laudum Vartense;

---

[1]) Laudum Vartense str. 4 i 5.

należałoby raczéj mówić o jakiémś Laudum Siradiense. Cóż dopiero, jeżeli uwzględnimy, że Laudum to nie zostało uchwalone ani w Warcie, ani w Sieradziu, ani w Piotrkowie, ale dopiero gdzieś na ziemi małopolskiéj, i że nie ma najmniejszego prawdopodobieństwa, iżby w tekscie Laudum odtworzony został wiernie, bez zmiany, projekt warcki! Nazwa: Laudum Vartense nie da się tedy bezwarunkowo utrzymać i trzeba się obejrzeć za inną. Oczywiście, gdybyśmy znali miejscowość, w któréj Laudum uchwalone zostało, kwestya tytułu nie przedstawiałaby żadnéj trudności; ponieważ jednak rzecz się tak nie ma, przeto nie pozostaje nic innego, jak tylko albo porzucić nadzieję wyszukania jakiegoś indywidualizującego tytułu, albo nadać mu tytuł według terytoryum, w którém Laudum to miało zastosowanie. A wtedy przecież trzeba je będzie nazwać Laudum Cracoviense, w tém rozumieniu, że Laudum obowiązywało w dyecezyi krakowskiéj. W téj nazwie tkwi przynajmniéj jakaś myśl, odpowiadająca rzeczywistemu stanowi rzeczy, podczas gdy nazwa Laudum Vartense, jakąkolwiek przyjmiemy hypotezę, jest zaprzeczeniem tego rzeczywistego stanu rzeczy i doprowadzić może do błędnych domysłów. Przyjmując tę nazwę, zaznaczamy przytém, że nie stajemy bynajmniéj w sprzeczności z intencyami kopisty, owszem, idziemy za niemi tylko; boć przecie sam kopista musiał ją uważać za lepszą i odpowiedniejszą, skoro tytuł: Laudum Vartense zmienił sam na: Laudum Cracoviense.

Nie jest zresztą wykluczoną możliwość, że w téj świadomie przedsięwziętéj zmianie tkwi powód głębszy; być może, iż kopista miał skądkolwiek wiadomość, że kompromis uchwalony został w Krakowie, i z tego powodu nadał mu tytuł Laudum krakowskiego. Przypuszczenie takie nie jest niemożliwém, owszem ma wiele prawdopodobieństwa za sobą. Gdyby Laudum przyszło do skutku na zjeździe dzielnicowym jako takim, to niewątpliwie nie mogłoby się to stać w Krakowie, gdyż małopolskie zjazdy dzielnicowe nie zbierały się nigdy w tém mieście, ale gdzieindziéj, n. p. w Wiślicy, Nowym Korczynie i t. p. Przypominamy jednak, na co już poprze-

dnio zwróciliśmy uwagę, że Laudum ułożone zostało przez osobną komisyą wyznaczoną z pośród stanu duchownego i świeckiego do załatwienia obopólnych nieporozumień. Taka komisya nie miała przecież żadnego szczególnego powodu zbierać się w zwykłém miejscu zjazdów dzielnicowych, owszem, mogła załatwić sprawę w jakiémkolwiek innéin miejscu, które dla niéj było najdogodniejszém, a któreż mogło być dogodniejszém, jak właśnie miasto Kraków, gdzie zapewne przebywała większość członków komisyi? W takim zaś razie w nazwie: Laudum Cracoviense mielibyśmy wprost wyrażone miejsce powstania naszego zabytku.

Jakkolwiekbądź zresztą pojmiemy ten tytuł, tyle nie podlega wątpliwości, że należy mu dać pierwszeństwo przed nazwą Laudum Vartense. Tak tedy Bandtkie, choć genezy Laudum nie badał, ani też nie zdawał sobie z niéj sprawy dokładnéj, wybrał przecież — przypadkiem — tytuł odpowiedniejszy.

Nakoniec nader ważne pytanie: Czy data Laudum krakowskiego nie da się ściśléj określić?

Oznaczmy sobie przedewszystkiém granice czasu, pośród których przyjście do skutku niniejszego kompromisu dałoby się pomieścić. Z uwagi, że rokowania o ugodę małopolską rozpoczęły się dopiero po nieudałych próbach zawarcia ugody powszechnéj na trzech zjazdach generalnych, możemy powiedzieć, że Laudum musi nosić datę późniejszą od daty ostatniego z tych zjazdów. Ponieważ zaś zjazd piotrkowski odbył się w sierpniu 1435 roku, przeto Laudum powstać mogło co najwcześniéj w czterech ostatnich miesiącach tegoż roku. Co do terminu końcowego zwracamy uwagę przedewszystkiém na wspomnianą już kilkakrotnie zapiskę konsystoryalną, z któréj wynika niewątpliwie, że Laudum musiało być uchwalone przed 4 sierpnia 1438 roku. Prof. Ulanowski przytacza nadto inną jeszcze zapiskę, zaczerpniętą również z ksiąg konsystorza krakowskiego, pod datą 11 marca 1437, w któréj wprawdzie Laudum krakowskie nie jest wyraźnie powołane, która jednak pewną sprawę rozstrzyga w sposób analogiczny z przepisami art.

III i IV téjże ustawy, i wnioskuje stąd, że Laudum już w tym czasie musiało mieć moc obowiązującą w dyecezyi krakowskiéj[1]). Nie chcemy przeciw temu mniemaniu występować stanowczo, wszelako dla ścisłości zaznaczamy, że zapiska ta nie daje zupełnéj, bezwzględnéj pewności w téj mierze. Gdyby się znalazły okoliczności, przemawiające za tém, iż Laudum powstało po 11 marca 1437 roku, zapiska ta nie mogłaby stanowić dowodu przeciwnego; wiadomo bowiem, że w wiekach średnich praktyka sądowa wyprzedzała częstokroć ustawodawstwo, tworząc naprzód zasady, które późniéj dopiero wyraźnym przepisem prawa uświęcano. Zresztą przepisy artykułu III i IV Laudum krakowskiego zawierają właśnie korzystne dla kościoła postanowienie; dozwalają mianowicie karać gwałtowny zabór dziesięciny klątwą, i znalazły się w Laudum niewątpliwie na żądanie samego duchowieństwa; mogły tedy odnośne zasady znaleźć zastosowanie w praktyce sądów duchownych nawet przed wydaniem ustawy. Jedyne ograniczenie, jakie w art. III nałożono na kościół, było to, że ta klątwa nie może być orzeczoną na winnego bez poprzedniego przesłuchania go na jednym (jedynym) terminie; atoli, jeżeli sobie uprzytomnimy, że to mógł być właśnie czas wzajemnych rokowań, wśród których zapewne szlachta objawiła już swoje w téj mierze żądania, to zrozumiemy, że sądy duchowne, nie chcąc jątrzyć umysłów, mogły się do niego skłonić, choć jeszcze właściwy kompromis nie przyszedł do skutku. Mimo to przyznajemy, iż zapiska ta, tyle zgodna z powołanymi przepisami kompromisu, rodzi wielce uzasadnione domniemanie, że już podówczas miał on znaczenie obowiązującéj ustawy.

Stąd wynika, iż Laudum krakowskie powstało n a j p r a w d o p o d o b n i é j między końcem r. 1435 a 11 marca 1437; w każdym razie, n a p e w n o, powstało ono między końcem roku 1435 a 4 sierpnia 1438 r.

Zobaczmy, czy ta data nie da się jeszcze ściśléj określić.

---

[1]) Laudum Vartense, str. 78.

Widzieliśmy poprzednio, iż rokowania ugodowe w Małopolsce przyniosły ze sobą jako rezultat dwie uchwały, jednę tymczasową, drugą obszerniejszą, t. j. Laudum krakowskie; widzieliśmy zarazem, że obie te uchwały nie mogły powstać równocześnie, że mianowicie pierwsza jest wcześniejszą od drugiéj. Otóż, gdybyśmy nawet przypuścili, że w Małopolsce zakrzątano się około ugody natychmiast po powrocie z Piotrkowa, bez żadnéj zwłoki, to zdaje się, nie popełnimy błędu w obliczeniu, jeżeli powiemy, że w tych kilku ostatnich miesiącach, jakie w roku 1435 jeszcze pozostały, nie można było odbyć więcéj zjazdów dzielnicowych nad jeden, że zatem w tym roku co najwięcéj przyjść mogła do skutku uchwała tymczasowa. Oczywiście pozostaje otwartą kwestya, czy już ten zjazd wydelegował owę komisyą, która ułożyła Laudum, mógł ją bowiem wyznaczyć jakiś późniejszy, dopiero w roku 1436 odbyty; ale przyjmując nawet, że już w roku 1435, w końcowych miesiącach, wyznaczoną została rzeczona komisya, przyznamy, że nie wcześniéj — wobec tylu ważnych spraw nasuwających się do rozstrzygnięcia — mogła ona dokonać swych prac, jak dopiero w roku 1436. Już z tych uwag wypływa, że przy dochodzeniu daty Laudum rok 1435 powinien być wypuszczony z rachuby.

Idźmy jednak daléj. Przypuszczenie nasze, jakoby bezpośrednio zaraz po powrocie z Piotrkowa Małopolanie nawiązali układy ze swojém duchowieństwem, polega, jak łatwo dostrzec, na błędnych podstawach. Zjazd piotrkowski doprowadził do tak ostrego starcia między obu stronami, do takiego roznamiętnienia umysłów, że nie podobna wyobrazić sobie, iżby bezpośrednio po jego ukończeniu którakolwiek ze stron mogła myśleć o układach. Jest nawet rzeczą możliwą (mimo zaprzeczenia Długosza), że owę groźbę, którą panowie świeccy pod koniec zjazdu rzucili duchowieństwu, iż chwycą się środków gwałtownych i przyaresztują dziesięciny, zaczęto teraz wykonywać w praktyce. Dochowała się nam charakterystyczna wzmianka w aktach sądu ziemskiego krakowskiego pod datą 6go lutego 1436 roku, następującéj treści: Incipiunt

acta iudicialia terrestria in Cracovia post suspensionem terminorum propter quasdam gwarras seu dissensiones[1]). A zatém były w tych pierwszych miesiącach 1436 roku jakieś niepokoje w ziemi krakowskiéj, z powodu których nie było nawet można odprawiać sądów ziemskich. Słusznie uważa Helcel[2]), że o tych niepokojach Długosz żadnéj nie czyni wzmianki w swojéj Historyi. Donosi on wprawdzie, że w tymże roku kilku rabusiów wpadło ze Szląska do pogranicznych ziem Polski[3]), atoli o fakcie tym wspomina dopiero pod koniec roku 1436; zresztą napadów tych nie można było nazwać dissensiones; wyraz ten wskazuje niewątpliwie na jakieś zamieszki wewnętrzne, w łonie samego społeczeństwa nurtujące. Jakiż był charakter tych zamieszek? Na to niepodobna dać stanowczéj odpowiedzi dla braku pewnych wiadomości; ale uwzględniając niedawne wypadki na zjeździe piotrkowskim trudno się oprzeć przypuszczeniu, że stoją one w ścisłym związku z toczącą się podówczas walką pomiędzy duchowieństwem a szlachtą, i że ta walka, kilkakrotnie, a zawsze dotąd bezskutecznie podejmowana na polu parlamentarném, zmieniła się teraz w surową walkę sił fizycznych[4]). Co jeśli jest prawdziwém, to już łatwo wytłómaczyć milczenie Długosza: tak gorszący wypadek, jak gwałtowny opór ziemian przeciw duchowieństwu, nie zasługiwał na przekazanie potomności. Nie potrzeba dodawać, że w czasie, kiedy trwały tego rodzaju zamieszki, o rokowaniach w sprawie ugody mowy być nie mogło.

Jakkolwiek zresztą zapatrywać się będziemy na znaczenie przytoczonéj poprzednio wiadomości, tyle przyznamy, że ustalenie daty Laudum zawisło przedewszystkiém od wyjaśnienia pytania przedwstępnego, w jakim mniéj więcéj czasie pośród

---

[1]) Helcel, Starod. prawa pol. pomn. II, str. 413.

[2]) Tamże, str. 413, uw. 66.

[3]) Hist. Pol. IV, 570.

[4]) Mniemanie to wypowiedział już poprzednio Mikrot w rozprawie: Walka w Polsce o stosunek kościoła do państwa. Przegląd akademicki z r. 1881, str. 204.

szlachty małopolskiéj żywioły umiarkowane wzięły górę; albowiem odtąd dopiero akcya ugodowa mogła mieć warunki i nadzieję powodzenia.

I pod tym względem nie brakuje pewnych wskazówek. Dochował się nam mandat pod dátą 17 maja 1436 r., wystosowany przez Władysława Warneńczyka do Piotra Odrowąża, wojewody podolskiego i starosty samborskiego, w którym król, rzekomo w wykonaniu ostatniéj woli Władysława Jagiełły, poleca temuż staroście, ażeby Spytkowi z Melsztyna zwrócił posiadanie dóbr w starostwie samborskiém położonych, które mu niegdyś przez Jagiełłę odebrane zostały [1]). Skądinąd znowu wiadomo nam, iż w czasie pomiędzy 4 października 1436 a 4 lutego 1437 roku, Spytko, usuwany dotąd systematycznie od wszelkich godności, otrzymuje od króla kasztelanię biecką [2]). Oba te fakta, zwrot obszernego klucza i nadanie dostojeństwa, zanadto są do siebie chronologicznie zbliżone, ażeby się nie domyślać jakiegoś związku pomiędzy nimi; zresztą jakkolwiekbądź rzecz się ma, tyle nie ulega wątpliwości, że nie mogą one być uważane za rzecz przypadku, że muszą mieć jakieś głębsze, polityczne znaczenie. Gdyby te akty łaski spotkały kogoś ze stronników królewskich, zwolennika panujących na dworze prądów, to zapewne nie budziłyby żadnego zdziwienia, nie wymagałyby osobnego uzasadnienia; byłyby one tylko zwykłymi objawami względów królewskich, których nigdy nie szczędzono dobrze widzianym i zapisanym. Ale jeżeli się one dostają człowiekowi, który tak niedawno dobywał wszystkich sił, ażeby przeszkodzić obiorowi a następnie koronacyi tegoż właśnie króla, który należał do najzawziętszych antagonistów Zbigniewa i jego systemu, który słowem, aż dotąd reprezentował skrajną opozycyą przeciw panującemu w rządzie kierunkowi politycznemu i na czele téj opozycyi niejednokrotnie stawał z powodzeniem, to oczywiście

---

[1]) Liske, Akta grodzkie i ziemskie, VI, nr. 17.

[2]) Helcel, Starod. prawa pol. pomn. II, nr. 2661 i 2695. Por. też Kwiatkowskiego Saturnina: Wykaz dostojników... tudzież urzędników z czasów Władysława Warneńczyka, str. 11.

takie nagłe a niespodziewane fawory wzbudzić mogą poważne wątpliwości i domagają się koniecznie wyjaśnienia przyczyn, które je wywołały. Tych przyczyn, nie wyjmując nawet najnowszéj, tyle zresztą cennéj monografii o Spytku[1]), nie umiano dotąd wyjaśnić; co najwięcéj tłómaczono zwrot Samborszczyzny pietyzmem młodego króla dla pamięci ojca, choć w szczególnym tym pietyźmie, który się obudził dopiero w dwa lata po jego śmierci, pozostaje zawsze jeszcze do wytłómaczenia ciemna strona, dla czego się obudził właśnie wtedy? Zgoła zaś już niejasną i zagadkową pozostała kwestya nadania Spytkowi kasztelanii bieckiéj.

Sądzimy, że sprawę tę trzeba związać ściśle z toczącą się podówczas sprawą kompromisu małopolskiego.

Trzeba oczywiście pamiętać o tém, że owe łaski Władysława, świadczone Spytkowi, nie mogły wypływać z wyłącznéj tylko inicyatywy i woli nieletniego króla, ale z rady jego otoczenia, a przedewszystkiém téj osobistości, która ponad wszystkie górowała znaczeniem i na Władysława wywierała wpływ niezaprzeczony — Zbigniewa Oleśnickiego. W tych łaskach kryje się zatem nie tyle cel polityczny króla, ile raczéj biskupa krakowskiego. Jeżeli zaś kto, to przedewszystkiém Zbigniew miał w tym właśnie czasie ważne po temu powody, ażeby Spytka pozyskać, albo przynajmniéj złagodzić szorstkość jego opozycyi. Oleśnicki dążył do zawarcia kompromisu ze szlachtą, ażeby raz już wzajemny stosunek obu stanów chociażby kosztem pewnych ustępstw ustalić, ażeby usunąć tę szkodliwą niepewność, jaka dotąd w braku odpowiedniéj ustawy panowała, a może ażeby zapobiec tym gwałtownym rozterkom, których prawdopodobne ślady napotkaliśmy w początkach roku 1436, na których nie mało cierpiał porządek publiczny, a więcéj jeszcze materyalny i moralny interes duchowieństwa. Temu kompromisowi najbardziéj stał na przeszkodzie Spytko, który przecież nie na to wzburzył w Piotr-

[1]) Dr. Prochaska, Konfederacya Spytka z Melsztyna, Lwów 1887.

kowie umysły szlachty przeciw duchowieństwu, ażeby po powrocie do domu zaniechać sprawy, który tak dobrze teraz, w Małopolsce, agitować musiał przeciw ugodzie partykularnéj, jak poprzednio unicestwił powszechną. W Piotrkowie wykazał, jakim się cieszy wpływem na umysły, a i teraz skutecznie mógł go używać w swoich widokach; był to przeciwnik może najniebezpieczniejszy, z którym koniecznie liczyć się należało, któremu się za każdą cenę okupić było potrzeba. Pozyskawszy Spytka, a może i kilku jemu podobnych wybitniejszych opozycyonistów, można było liczyć na skuteczne przeprowadzenie sprawy, bo szlachta małopolska, która już dawniéj okazała skłonność do zgody, jeżeli się teraz burzyła i opierała, to głównie za podżeganiem owych agitatorów. I to jest bez wątpienia powód, że rząd zwrócił się z łaskami do Spytka; były one przeznaczone na to, ażeby go pozyskać dla sprawy, lub przynajmniéj okupić jego bierność. Inaczéj trudno podobno wytłómaczyć ówczesną politykę rządu wobec Spytka.

Jest rzeczą uwagi godną, że niemal równocześnie z tymi aktami politycznéj doniosłości nastąpiło także prywatne zbliżenie rodziny Oleśnickich do Spytka, a przynajmniéj wyrównanie sporu, jaki pomiędzy nimi od dawna się toczył. Pod datą 4go lutego 1437 r. marszałek Jan Oleśnicki zwalnia Spytka od umówionego poprzednio wadyum 4000 grzywien w sprawie ustanowienia rozjemców, mających przyprowadzić do skutku zagodę pomiędzy nimi, na co pod datą 2 października tegoż roku Spytko zwalnia nawzajem Oleśnickiego od tegoż wadyum [1]). Pamiętając o tém, że antagonizmy polityczne zwykły rodzić zawiści prywatne, i że na odwrót te ostatnie częstokroć ustają, skoro się usunie antagonizm polityczny, wolno nam w tym fakce dopatrywać się wskazówki na to, że owa zgoda, (co prawda, bardzo tylko krótkotrwała) pomiędzy Oleśnickimi a Spytkiem mogła być wynikiem przychylnego stanowiska, jakie tenże zajął w sprawie kompromisu.

Z przytoczonych poprzednio dat da się tedy wywieść,

---

[1]) Helcel, Starod. prawa pol. pomn. II, nr. 2695, 2718 c.

że stosunek przyjaźny, a przynajmniéj neutralny, Spytka do rządu i Oleśnickich trwał w czasie pomiędzy 17 maja 1436 r. a 2 października 1437 r. Oczywiście daty powyższe nie są ścisłe, gdyż stosunek ten mógł się zacząć wcześniéj, a skończyć późniéj; w każdym razie dają nam one przynajmniéj przybliżone pojęcie o chronologii wypadków. Pomijając zresztą na razie datę końcową, zaznaczamy co do początkowéj, że jeśli nie jest nawet prawdziwą, to niezawodnie bardzo do niéj zbliżoną. Wszak jeszcze w lutym 1436 istniały prawdopodobnie owe zamieszki w ziemi krakowskiéj pomiędzy duchowieństwem a stanem świeckim, w których Spytko, jeżeli nie brał czynnego udziału, to niezawodnie odgrywał rolę moralnego popieracza; być może nawet, iż zwrot Samborszczyzny był pierwszym krokiem do przejednania dumnego wichrzyciela.

Jeżeli z tych dat zechcemy wysnuć pewne wnioski o dacie powstania Laudum, to oczywiście nie możemy ich nazwać niezawodnymi. Względy rządu, okazane Spytkowi, mogły być tego rodzaju, że nastąpiły dopiero wtedy, kiedy zaniechał swéj opozycyi w sprawie kompromisu i pozwolił mu przyjść do skutku; w takim razie należałoby datę Laudum umieścić przed 17 maja 1436 r. Ale mogły one mieć także i to znaczenie, że je świadczono naprzód, aby go pozyskać dla sprawy; w takim razie należałoby przypuścić, że kompromis uchwalono dopiero po 17tym maja 1436 r., lub nawet po nadaniu kasztelanii bieckiéj. Jeżeli jednak zważymy, że trudno przypuścić, ażeby Spytko bez jakichkolwiek uprzednich ustępstw ze strony rządu dał się nakłonić do porzucenia stanowiska opozycyjnego, i że ukształtowanie wypadków w pierwszych miesiącach 1436 r. nie sprzyjało bynajmniéj podjęciu akcyi ugodowéj, uznamy zapewne prawdopodobném twierdzenie, iż akcya ta mogła się rozpocząć na seryo dopiero w maju tegoż roku. Wszelako i tutaj, przypuszczając zresztą korzystny i wcale pospieszny rozwój wypadków, przypominamy, że trzeba jeszcze odliczyć jakiś czas na ów zjazd, który wydał uchwałę tymczasową, tudzież na pertraktacye komisyi, układającéj kompromis, tak że najwcześniejsza data, jaką Laudum kra-

kowskiemu nadać możemy, przypada na drugą połowę lub może nawet koniec roku 1436.

Rozważmy teraz jeszcze możliwość granicy końcowéj, która sięga, jak wiemy, dnia 4 sierpnia 1438 r. Opowieść wypadków z roku 1438 rozpoczyna Długosz[1]) opisem zbrojnego najazdu, dokonanego przez Spytka na klucz uszwicki, własność biskupa Zbigniewa Oleśnickiego. Dodaje zarazem Długosz, iż o zamiarze tego najazdu wiedziano już w Krakowie w czasie Bożego Narodzenia 1437 roku. Tak więc ów pokój, który na czas jakiś zapanował pomiędzy Spytkiem a Oleśnickimi, i którego niewątpliwe ślady spotykamy jeszcze w początkach października 1437 roku, w kilka miesięcy późniéj jest już zerwany. Jaki był powód tego zerwania? Długosz nie pozostawia pod tym względem najmniejszéj wątpliwości: Oleśnicki pociągnął Spytka do odpowiedzialności pod zarzutem herezyi i utrakwizmu i zagroził mu klątwą, za co Spytko mszcząc się, najechał jego dobra. Impuls do nowych rozterek wyszedł zatém od biskupa krakowskiego. Z pozoru fakt ten mógłby zadziwić. Ten sam Zbigniew, który niedawno jeszcze starał się przyciągnąć i ułagodzić swojego przeciwnika, rozpoczyna z nim teraz walkę. Ale rzecz da się przecież łatwo wytłómaczyć. Jeżeli Spytka wciągnięto w koło polityki rządowéj dla tego tylko, ażeby przeprowadzić kompromis, to można się go było pozbyć w chwili, w któréj kompromis był już faktem dokonanym. O trwałéj zgodzie ze Spytkiem nie mógł przecież myśleć Zbigniew. Melsztyński był dlań osobistością zanadto nie na rękę, i całym swoim charakterem i wygórowaną ambicyą i przekonaniami politycznemi i religijnemi, ażeby ją mógł długo obok siebie ścierpieć. Dopokąd tego wymagały względy polityczne, ustępował, kiedy zaś przeciwnik stał się już niepotrzebnym, uderzył weń. O skłonnościach husyckich Spytka wiedział przecież od dawna; jakże wytłómaczyć, że dopiero teraz postawił sprawę na ostrzu miecza? Nie inaczéj chyba, jak tylko w ten sposób, że

---

[1]) Hist. Pol IV, 581.

uzyskał odeń wszystko to, czego pragnął. Za czém idzie wniosek, że rok 1438 nie może już być datą uchwalenia Laudum, że musiało ono powstać wcześniéj.

Z dotychczasowego rozbioru wynika tedy z wszelkiém prawdopodobieństwem, że Laudum przyszło do skutku w czasie pomiędzy drugą połową roku 1436 a końcem roku 1437; wobec zaś podniesionych poprzednio wątpliwości, czy i ta druga połowa roku 1436 jest datą niezawodną, spada główny nacisk na rok 1437.

A teraz zwróćmy uwagę na końcową zapiskę Laudum. Podawszy wiadomość o projekcie spisanym w Warcie, zaznacza ona, że Laudum zatwierdzone zostało jako ustawa obowiązująca w dyecezyi krakowskiéj, i dodaje do tego datę: Sub anno Domini MCCCCXLVII. Ta data jest niewątpliwie błędną i nie mamy powodu stosować się do niéj, skoro skądinąd okazało się, że moc obowiązująca kompromisu już o wiele wcześniéj może być stwierdzoną. Ale przecież, mając przed sobą wiadomość mniéj więcéj współczesną, musimy zapytać, czy z téj wiadomości, choć błędnéj, nie da się przez stosowne sprostowanie wydobyć prawda rzeczywista. Podaną datę możnaby tłómaczyć w sposób dwojaki: albo jest ona datą sporządzenia odpisu przez kopistę, albo też datą uchwalenia Laudum, która jednak przez pomyłkę kopisty została skażoną. Z dwojga tych przypuszczeń, w braku jakichkolwiek innych szczególnych powodów, któreby przeważały szalę na korzyść jednego lub drugiego, damy oczywiście pierwszeństwo ostatniemu. albowiem więcéj przemawia za tém, że data, zamieszczona w zabytku, który w swojéj autentycznéj formie musiał być koniecznie datowany, jest datą jego powstania, aniżeli datą jego odpisania. A w takim razie nie trudno nawet wytłómaczyć pomyłkę: zamiast 1437 napisano 1447. Tego rodzaju pomyłki zdarzały się ówczesnym kopistom niejednokrotnie. Nie wchodzimy bynajmniéj w jéj genezę, pozostawiając na uboczu pytania: czy ją popełnił kopista ostatni, czy jakikolwiek poprzedni, czy wynikła ona z błędnéj informacyi zasięgniętéj skądkolwiek, czy z błędnego odczytania daty prawdzi-

wéj, czy też z innych powodów; pod tym względem brakuje bowiem wszelkich danych. Ale zaznaczamy, iż tak sprostowana data dziwnie zgadza się z tą, jaką wyprowadziliśmy z innych niezależnie od niéj uwzględnionych wskazówek, a tém samém stwierdza przekonywującą moc poprzedniego naszego wywodu, jak z drugiéj strony przez wywód ten zostaje znacznie popartą. Najprawdopodobniejszą datą powstania Laudum krakowskiego jest tedy rok 1437; jeżeli zaś zechcemy uwzględnić wspomnianą poprzednio drugą zapiskę konsystorza krakowskiego, zdającą się powoływać na art. III i IV tegoż Laudum, to będziemy mogli określić ją jeszcze dokładniéj, i powiemy, że Laudum powstało w początkowych miesiącach roku 1437, przed 11 marca tegoż roku.

V.

HENRYK Z GÓRY

I JEGO

TRAKTAT PRZECIW KRZYŻAKOM.

I.

Odwieczny spór o wzajemne pretensye między Polską a Zakonem krzyżackim, rozpoznawany częstokroć, począwszy od pierwszych dziesiątek lat wieku XIV, przed trybunałem soborów, papieżów, cesarzów i innych sądów rozjemczych, wywołał z obu stron cały szereg pism rozmaitéj treści i wartości, rozbierających stosunek Polski do Zakonu ze stanowiska prawnego. Można te pisma podzielić na dwie w ogóle grupy: wywody prawne, przeznaczone wprost do użytku przed sądami, i broszury polemiczne, mające działać na opinią społeczeństwa. Do rzędu tych ostatnich należy pismo[1]) zatytułowane: „Traktat przeciw

[1]) Traktat ten przechował się do naszych czasów w kilku rękopisach, a mianowicie: w rękopisie Biblioteki XX. Czartoryskich w Krakowie, nr. 1312, w rękopisie Biblioteki Ossolińskich we Lwowie, nr. 824, w rękopisie Biblioteki cesarskiéj w Petersburgu, otdiełenije IV, nr. 129, tudzież w rękopisie Biblioteki Jagiellońskiéj w Krakowie, nr. 2570. Tylko dwa pierwsze rękopisy zawierają całkowity tekst traktatu. Rękopis petersburski jest niezupełny, na początku bowiem wydartych ma kilka kart, na których mieścił się początek traktatu; wszelako luka nie jest zbyt wielką, brakuje bowiem tylko jednéj części rozdziału pierwszego. W rękopisie Biblioteki Jagiellońskiéj znajduje się tylko wyjątek z traktatu, a mia-

Krzyżakom, najezdcom królestwa polskiego" (Tractatulus contra Cruciferos, Regni Poloniae invasores)[1]), pióra Henryka z Góry.

O życiu autora bardzo szczupłe dochowały się nam wiadomości w źródłach współczesnych. Pewną wątpliwość wzbudza już samo pytanie o jego imię. Jedyną podstawą, na któréj opieramy wiadomość o autorstwie Henryka z Góry, są początkowe słowa traktatu, w których tenże zwracając się do króla Kazimierza Jagiellończyka pisze: Serenissimo Principi Domino et Domino Kazimiro, Dei gratia Regi Poloniae etc. Hericus (Ęricus) Sbignei de Gora humile obsequium salutesque plurimas dicit[2]). Niestety, właśnie w tém miejscu, w którém wymienione jest nazwisko autora, rękopisy zawierają błędną lekcyą. I tak w rękopisie Bibl. Ossolińskich czytamy: Ericus, w rękopisie Bibl. Czartoryskich: Hericus. Z uwagi, że skrócenie Hericus zam. Henricus nie jest używaném, że zresztą w samym rękopisie Bibl. Czartoryskich,

---

nowicie rozdział jego drugi, zawierający historyczny pogląd na stosunek Polski do Zakonu od chwili powołania Krzyżaków przez Konrada mazowieckiego aż do śmierci Ludwika węgierskiego. Zeissberg, Polnische Geschichtschreibung des Mittelalters, str. 172, uważa błędnie tekst w rękopisie Bibl. Jagiell. przechowany za odrębne, od traktatu Henryka z Góry różniące się pismo. Prócz tego, według wiadomości podanéj przez Wiszniewskiego, Historya literatury polskiéj, I, 46 znajdować się miał dawniéj inny jeszcze rękopis traktatu w Dagoe w Finlandyi, o którego losach nie mamy zresztą żadnéj bliższéj wiadomości. — Szczegółowe opisanie rękopisów, z których żaden nie jest autografem, jak nie mniéj wyjaśnienie wzajemnego ich do siebie stosunku podałem w przedmowie do wydania Traktatu Henryka z Góry w Monumenta Poloniae historica, tom IV. str. 156—157. W dalszym ciągu poszczególne ustępy traktatu przytaczam według tegoż wydania w Monum. Poloniae.

[1]) We wszystkich znanych nam rękopisach traktat Henryka nie nosi żadnego nadpisu. Tytuł podany w tekscie odtworzyliśmy na podstawie zapisek, umieszczonych przez kopistów przy końcu rękopisów. I tak czytamy: w rękop. Bibl. Czart.: Et sic est finis huius operis, scilicet Tractatuli contra Cruciferos, Regni Poloniae invasores; w rękopisach Bibl. Ossol. tudzież Petersb.: Explicit Tractatulus contra Cruciferos, Regni Poloniae invasores.

[2]) Rozdz. I. Mon. Pol. IV, 158.

ilekroć ma być wymienione nazwisko jakiegokolwiek Henryka (n. p. Henryka Brodatego), skrócenia takiego nie użyto, lecz napisano wprost Henricus, możnaby się oświadczyć za przypuszczeniem, że słowo Hericus w rękopisie Bibl. Czart. jest tylko aspirowaną formą imienia Ericus, tak jak je w całéj czystości podaje rękopis Bibl. Ossol. Stąd wynikałoby, że autor traktatu nazywał się Erykiem, nie zaś Henrykiem z Góry. Przeciwko temu przypuszczeniu nastręczają się jednak następujące wątpliwości. Przedewszystkiém podnieść należy, że w księdze immatrykulacyjnéj Akademii krakowskiéj autor nasz wpisany jest jako: Henricus Sbignei castellani Rosperiensis de Gora[1]). Mamy tedy stojące naprzeciw sobie dwie wersye imienia autora: Eryk według rękopisów i Henryk według księgi immatrykulacyjnéj. Jeżeli chodzi o wybór, oświadczyć się musimy za ostatnią. Nie należy bowiem spuszczać z uwagi, że immatrykulacya nastąpiła na podstawie danych, udzielonych przez samego autora, który jest w tym względzie największą dla nas powagą; przeciwnie rękopisy, które się do naszych czasów dochowały, nie są autografami, ale odpisami, które zawierają rozliczne błędy; samo więc imię autora, pierwotnie we właściwéj podane formie, ulec mogło zmianie skutkiem omyłki pod piórem któregokolwiekbądź z kopistów. Potrzeba było tylko prostego lapsus calami jednego z nich, ażeby błąd przenieść i do innych odpisów; jakoż prawdopodobnie napisał któryś przez pomyłkę: Hericus zamiast Henricus, i w téj postaci przedostał się ten błąd do rękopisu Bibl. Czart.; kopista rękopisu Bibl. Ossol., który upatrzeć mógł w téj formie tylko aspiracyą imienia Ericus, opuszczając w ogóle głoskę aspiracyjną[2]), postąpił w ten sam sposób także z imieniem naszego autora i dał podstawę do błędnego przypuszczenia, za którém poszedł Zeissberg[3]), jakoby

[1]) Zeissberg H. Das älteste Matrikelbuch der Universität Krakau, str. 52.

[2]) Tak n. p. prawie zawsze pisze Ungaria, zam. Hungaria, i t. d.

[3]) Polnische Geschichtschreibung des Mittelalters, str. 171.

autor nazywał się Erykiem z Góry. Uwagi godną jest także rzeczą, iż w rękopisie traktatu przechowanym w Dagoe w Finlandyi, imię autora musiało brzmieć: Henricus, skoro Sierakowski, a za nim Wiszniewski[1]) dzieło jego pod tém wymieniają nazwiskiem. Nie bez znaczenia jest zapewne i ten wzgląd, że imienia Eryk używano bardzo tylko wyjątkowo w szlacheckich rodzinach polskich, gdy przeciwnie imię Henryk należy do więcéj rozpowszechnionych. Lekcya rękopisów, podających nazwisko autora, jest tedy błędną i powinna być sprostowaną w tym kierunku, że zamiast Ericus lub Hericus, umieścić należy: Henricus Sbignei de Gora. Genealogiczny wywód rodziny autora okaże zresztą prawdziwość tego twierdzenia jako niewątpliwą.

Z przytoczonego powyżéj wpisu immatrykulacyjnego tudzież z tekstu rękopisów wynika, że Henryk był synem Zbigniewa, kasztelana rospierskiego. Źródłowo da się stwierdzić, iż rzeczony Zbigniew kasztelan zmarł między 5 stycznia 1433 a 10 listopada 1434 roku[2]). W zapiskach sądowych

---

[1]) Historya literatury polskjéj, I, 46.

[2]) Sbigneus, castellanus Rosperiensis występuje w téj godności w Zapiskach krakowskich od roku 1415 do 1433 (Helcel, Starodawne prawa pol. pomniki, II nr. 1379, 1400, 1441, 1607, 1864, 1939, 1969, 1991, 2006, 2008, 2068, 2119, 2186, 2298, 2337, 2343, 2345, 2467). Ostatnia zapiska nosi datę 5 stycznia 1433, w zapisce zaś 2599 z 10 listopada 1434 wymieniony już jest jako kasztelan rospierski Przedbor Koniecpolski; w tym więc przeciągu czasu nastąpić musiało bądź to postąpienie Zbigniewa na jakąś wyższą godność, bądź też jego śmierć. Z uwagi, iż w żadném ze źródeł nie ma śladu, iżby Zbigniew, były kasztelan rospierski, piastował późniéj jaką inną godność, lub też w ogóle jeszcze żył, skłaniam się raczéj do przypuszczenia, że w czasie pomiędzy styczniem roku 1433 a listopadem 1434 Zbigniew umarł. Jakoż w zapisce nr. 2681, z 23 czerwca 1436 czytamy już wyraźnie: Sbigneus de Grodkowicze, (który w innych zapiskach występuje jako Sbigneus de Gora), filius o l i m castellani Rosperiensis. Wynika stąd zarazem, że w r. 1436 żyje Zbigniew z Góry, syn zmarłego już podówczas kasztelana rospierskiego tego samego imienia. Ponieważ w księdze immatrykulacyjnéj Akademii Jagiellońskiéj (Zeissberg, Matrikelbuch, str. 52) podano wpis: Henricus, Sbignei de Gora castellani Rosperiensis, bez dodania słówka o l i m, możnaby przypuszczać,

występuje ojciec Henryka bądź to jako Zbigniew z Góry[1]), bądź jako Zbigniew de Alto Monte[2]), bądź wreszcie z Grodkowic[3]), kilkakrotnie z nazwiskiem Bąk (Bank)[4]). Syn kasztelana Zbigniewa a brat Henryka, również Zbigniew[5]), występuje bądź to jako Zbigniew z Góry[6]), bądź jako Zbigniew z Grodkowic[7]), nosi również nazwisko Bąka[8]), i posiada wsie Bielsko, Gołkowice (Golicowicze) i Zbigniewice[9]). Z powyższych dat wynika przedewszystkiém, że nazwisko Bąka nie było li tylko przydomkiem kasztelana, ale nazwiskiem rodzinném, powtóre że posiadłości Bąków leżały w głębi ziemi krakowskiéj nad lub obok rzeczki Raby w pobliżu Lanckorony, a więc wśród tego kompleksu posiadłości, na których rozsiedliły się głównie rody szlacheckie herbu Pło-

---

że w roku 1454 (data immatrykulacyi) ojciec Henryka był jeszcze przy życiu; musiałby więc nim być chyba syn kasztelana Zbigniewa, również Zbigniew, występujący jako Sbigneus de Grodkowice, albo Sbigneus de Gora w zapiskach u Helcla, II, nr. 2681, 2826, 2830, 3144, 3253, 3342, 3763, 3768, 3770 i 3789. Wszakże brak słówka olim w immatrykulacyi nie jest stanowczym, z drugiéj zaś strony zaznaczyć trzeba, że Zbigniew syn ani przedtém, ani równocześnie nie występuje nigdzie jako kasztelan rospierski. Godność tę sprawują w tym czasie inne osoby, jak: Przedbor Koniecpolski od r. 1434 (nr. 2599 sq.), Hincza Rogowski od roku 1450 (nr. 3420) i co najważniejsza, w roku 1453 i 1454 Dzierżko Rytwiański (Długosz, Hist. Pol., V, 147 i 185, gdzie Dzierżko jako kasztelan rospierski, bierze udział jeszcze w bitwie chojnickiéj 18 września 1454). W latach 1462 (Codex epistolaris, II, str. 220), 1465 i 1466 (Długosz, Hist. Pol. V, 414,447), jest Zbigniew z Góry (młodszy) kasztelanem małogoskim, a dopiero potém (1468) kasztelanem rospierskim (Długosz, Hist. Pol. V, 513). Ów Zbigniew młodszy nie jest zatém ojcem, lecz bratem Henryka z Góry.

[1]) Helcel, II, nr. 2467.

[2]) Tamże, nr. 1969, 1991, 2119, 2337.

[3]) Tamże, nr. 2298.

[4]) Tamże, nr. 1441. 1607.

[5]) Por. uw. 2 na str. poprz.

[6]) Helcel, II. nr. 2826, 2830, 3342.

[7]) Tamże, nr. 2681, 3144, 3253, 3763, 3768, 3770, 3789.

[8]) Tamże, nr. 3342.

[9]) Tamże, nr. 2830.

mieńczyk. Daty te zestawione z wiadomościami, podanemi przez naszych heraldyków, rzucają pewne światło na rodzinę Henryka i jego pochodzenie. Tak przedewszystkiém podają Paprocki[1]) i Niesiecki[2]), że Bąkowie pieczętowali się herbem Zadora czyli Płomieńczyk, którego między innymi używali także Lanckorońscy i Rospierscy. Obaj wywodzą ich z rodzinnego gniazda Góry Bąkowéj[3]), która jest niewątpliwie identyczną z owym Altus Mons, tylokrotnie wspomnianym obok nazwiska kasztelana Zbigniewa, a tém samém także z ową Górą, z któréj piszą się zarówno kasztelan Zbigniew, jako też jego synowie. Wspomina daléj Paprocki[4]), że za jego jeszcze czasów Bąkowie posiadają wieś Grodkowice. Tymczasem w posiadaniu Grodkowic spotykamy już za Długosza Jakóba Rospierskiego, herbu Płomieńczyk czyli Zadora[5]). Z uwagi, że w wieku XV nazwiska rodowe szlacheckie nie są jeszcze ostatecznie ustalone i podlegają ciągłym fluktuacyom, że Rospierscy używają tego samego herbu co i Bąkowie, że wreszcie Zbigniew kasztelan i syn jego Zbigniew w latach 1429, 1436, 1443 i 1464 piszą się: de Grodkowice[6]), nasuwa się przypuszczenie, że ów Jakób Rospierski, wspomniany u Długosza, pochodzi z rodziny Bąków, która — w sposób co prawda mało praktykowany — przyjęła nową nazwę od miejsca, w którém Zbigniew ojciec sprawował urząd kasztelana. Za tém przypuszczeniem idzie i dalsze, że Henryk Rospierski, dziedzic wsi Grabie, wspomniany u Długosza[7]), jest osobą identyczną z Henrykiem z Góry, autorem naszego traktatu. Domysł ten stwierdzają zapiski sądowe krakowskie

---

[1]) Herby, wydanie lwowskie, str. 636.

[2]) Herbarz, wydanie Bobrowicza, X, 17.

[3]) Paprocki, 636, Niesiecki, II, 45, przyczém wszakże ten ostatni autor myli się, jeżeli początek rodziny Bąków wyprowadza dopiero od Piotra Lanckorońskiego w r. 1570.

[4]) Herby, 636.

[5]) Długosz, Liber beneficiorum, I, 264, II., 114.

[6]) Helcel, II, nr. 2298, 2681, 3144, 3253, 3763, 3768, 3770, 3789.

[7]) Liber beneficiorum, II, 261.

w sposób usuwający wszelką wątpliwość. Już pod datą 30 września 1443 r. występują Sbigneus et Iacobus, fratres de Grodkowice[1]), a w czasie od października 1464 do marca 1465 Henricus, Sbigneus et Iacobus fratres germani de Grodkowice stają kilkakrotnie na terminach sądowych w sprawie przeciw swéj siostrze Zbigniewie, żonie Mikołaja Wieruskiego[2]). Owi dwaj Rospierscy, Jakób i Henryk, wspomniani u Długosza, są to zatém te same osobistości, które gdzieindziéj nazywają się: de Gora, albo: de Grodkowice.

O samym Henryku kilka jeszcze tylko urwanych możemy podać wiadomości. Wpis jego w poczet studentów Akademii krakowskiéj, o którym wspomnieliśmy już poprzednio, następuje w półroczu letniém roku 1454[3]). W chwili pisania traktatu związek jego z Akademią bynajmniéj nie jest przerwany; jest Henryk podówczas jeszcze studentem uniwersytetu[4]). Stopni akademickich nie uzyskał żadnych w Akademii krakowskiéj[5]). Żyje jeszcze w roku 1465, w którym po raz ostatni wspomniany jest w zapiskach krakowskich jako strona procesowa w sporze przeciwko swéj siostrze Zbigniewie[6]); według Długosza posiada wieś Grabie i nosi nazwisko Rospierskiego[7]). Zdaje się, że osiadłszy na wsi poświęcił żywot swój zajęciu rolniczemu, nie spotykamy go bowiem na żadnym urzędzie publicznym. Być może, iż gwałtowna inwektywa, z którą w traktacie swoim wystąpił przeciw nowemu kierunkowi rządów Kazimierza Jagiellończyka, zamknęła mu drogę do zaszczytów i zmusiła usunąć się od udziału w życiu publiczném.

---

1) Helcel, II, nr. 3144.

2) Tamże, nr. 3763, 3768, 3770 i 3789.

3) Zeissberg, Das älteste Matrikelbuch, str. 52.

4) Zob. niżéj.

5) Muczkowski, Statuta necnon liber promotionum, nie wymienia żadnego Henryka ani Eryka z Góry opatrzonego stopniami akademickimi.

6) Helcel, II., 3789.

7) Długosz, Liber beneficiorum, II, 261.

II.

W chwili, kiedy Henryk z Góry wstępował w progi Akademii krakowskiéj, Polska znajdowała się w przededniu ciężarnych w następstwa wypadków. Dwie najważniejsze sprawy, sprawa prusko-krzyżacka, tudzież reforma wewnętrznych stosunków państwa, stały na porządku dziennym; jedna miała rozstrzygnąć o dalszym rozwoju politycznego życia Polski, druga wywołała długą trzynastoletnią wojnę z Zakonem, w któréj oręż polski miał ostatecznie zebrać zmarnowane owoce Grunwaldu.

Ale początek wojny nie zapowiadał tak świetnego wyniku. Zaraz w pierwszéj chwili ozwał się ton fałszywy, jakoby zła wróżba dla najbliższych wypadków. Kiedy uroczyste poselstwo stanów pruskich przed królem i zebranymi w Krakowie senatorami oświadczyło gotowość poddania Prus pod berło polskie (18 lutego 1454), pojawiło się w Radzie królewskiéj zdanie, że propozycyą tę odrzucić należy. Zdanie to tém większéj nabierało wagi, że wyszło z ust najwybitniejszéj w ówczesnéj Polsce osobistości politycznéj, kardynała-biskupa krakowskiego Zbigniewa Oleśnickiego. Nie wyjaśniono dotąd należycie, jakie okoliczności skłoniły Zbigniewa do téj opozycyi, czy wzgląd na stolicę papieską, o któréj można było z góry przypuścić, że stanie w obronie Zakonu, czy dążność popchnięcia Polski do walki z Turkiem, któréj wojna z Zakonem oczywiście przeszkodzićby musiała, czy zrozumienie trudności skutecznego przeprowadzenia wojny, czy wreszcie obawa przed niebezpiecznemi uroszczeniami szlachty, które wśród niéj z większą siłą groziły wybuchnąć i z większym naciskiem mogły się dać poprzeć. Jakkolwiekbądź rzecz się miała, tyle nie podlega wątpliwości, że motywa polityczne Zbigniewa mało znaleść mogły w Polsce zrozumienia, a mniéj jeszcze uznania; to też nigdy może Zbigniew nie stał ze swoim programem tak odosobniony wobec króla, senatu i całego społeczeństwa polskiego, jak właśnie w téj chwili. Społeczeństwo, które z półtorawiekowego doświadczenia po-

znało już dokładnie przewrotność i niebezpieczny dla Polski kierunek polityki krzyżackiéj, nauczyło się całą duszą nienawidzić Zakonu i całą duszą korzystać pragnęło z nadarzającéj się sposobności, ażeby go ostatecznie obalić. Mogłoby się było zawahać, gdyby było przewidziało, jakich wysiłków i ofiar wojna kosztować będzie; ale w pierwszéj chwili nie zdawano sobie z tego dokładnéj sprawy, przypuszczano, że Zakon będzie można pokonać z łatwością, boć nikomu nie było tajném jego wewnętrzne rozprężenie i upadek. Przy stosunkowo niewielkiém wytężeniu spodziewano się tedy pomścić dawne krzywdy, a zarazem zyskać ważne polityczne i handlowe korzyści z przyłączenia ziem pruskich do Polski. Któż wśród takich okoliczności mógł na seryo stanąć po stronie Oleśnickiego? Słuchano mowy posłów pruskich — powiada współczesny dziejopis — z radością i wdzięcznością, i rozumiano dobrze, że sprawa pruska wymaga rozpoczęcia wojny[1]). Jak pośród ogółu społeczeństwa polityka Zbigniewa nie znalazła oddźwięku, tak nie znalazła go także w kołach jemu najbliższych. Urzędowy historyograf biskupa, Długosz, którego zapatrywania są zazwyczaj tylko echem zapatrywań Zbigniewa, nie znajduje nigdzie choćby słowa potępienia dla tych, którzy sprawy pruskiéj jęli się energicznie, owszem zaraz w początku swego opisu trzynastoletniéj wojny wyraża radość swą z tego powodu, że za wszystkie zbrodnie, jakich się Krzyżacy dopuszczali, przyszła na nich wreszcie ciężka próba[2]). Akademia krakowska, w któréj klerykalna polityka Zbigniewa wielokrotnie znajdowała silne a skuteczne poparcie, tym razem przyłączyła się również do powszechnéj opinii[3]) i rozwijała późniéj przez swoich profesorów gorliwą działalność w sprawie pruskiéj[4]). A Rada królewska? Na Radzie znaczna większość, nie tylko z świeckich, ale po części i z duchownych

---

[1]) Długosz, Hist. Pol. V, 158.
[2]) Tamże, V, 173.
[3]) Script. rer. Pruss. III, 659 uw. 1.
[4]) Por. Caro, Geschichte Polens, V, 1. str. 24 uw. 3.

złożona senatorów, przyjęła wniosek, że nie należy zaniedbywać sposobności, jaka się nie tak prędko nadarzy, odzyskania ziem pruskich; skrajny wniosek Zbigniewa, ażeby poselstwo odprawić z niczém, za którym oświadczyło się tylko kilku senatorów, między nimi Jan Gruszczyński, biskup włocławski, i drugi pośredniczący, ażeby sprawy pospiesznie nie załatwiać, lecz odłożyć ją do najbliższego zjazdu generalnego, odrzucone zostały stanowczo[1]).

Rozpoczęła się tedy wojna, wypowiedziana Zakonowi już dnia 22 lutego[2]), wojna, którą w samych jéj początkach możnaby nawet nazwać korzystną dla oręża polskiego. Zdobyto Sztum, Malborga wprawdzie nie wzięto, ale staczano pod jego murami pomyślne utarczki[3]). Główny zasób sił zbrojnych stanowili w pierwszych chwilach zarówno zaciężnicy jak i pospolite ruszenia szlachty. Jeszcze przed poddaniem się Polsce Związek pruski, prowadząc na własną rękę walkę z Krzyżakami, postarał się o zaciągi[4]), które pozostały i nadal w jego służbie; nadto, po przystąpieniu Polski do sprawy Związku, rozwinięto w Prusiech bardzo gorliwą działalność celem uzupełnienia sił zbrojnych nowymi oddziałami zaciężnymi[5]). Brano te oddziały, skąd je tylko wziąć było można: z Polski[6]), może z Niemiec, czyniono o nich starania w Danii[7]), ale niewątpliwie najwięcéj przybyło ich z Czech, klasycznéj na owe czasy ojczyzny żołnierstwa płatnego dla całéj północno-wschodniéj Europy[8]). Raz tylko, w lipcu lub

---

1) Długosz, Hist. Pol. V, 159.

2) Dogiel, Codex dipl. Pol. IV, str. 143 nr. 105.

3) Długosz, Hist. Pol. V, 182.

4) Tamże, V, 180.

5) Cały szereg umów z kwietnia r. 1454, zawartych przez stany pruskie z dowódcami rozmaitych oddziałów, zob. u Toeppena, Acten der Ständetage Ost- und Westpreussens, IV, nr. 257, 258, 259, 264.

6) W przytoczonych co dopiero umowach u Toeppena wielu naczelników odziałów nosi nazwiska niewątpliwie polskie.

7) Por. pismo Henryka Hoenela z Kopenhagi z dnia 21 czerwca 1454 w Hansarecesse, II Abth. IV Bd. nr. 232.

8) Już w przytoczonych poprzednio umowach u Toeppena, Acten

sierpniu 1454 r. odprawiono ze służby znaczniejszy oddział zaciężników czeskich, który dotychczas oblęgał bezskutecznie Malborg: w miejsce tego oddziału przeznaczył król do oblężenia swoję milicyą dworską (milites curienses[1]).

Już w maju tegoż roku zwołuje król pierwsze pospolite ruszenie, na razie tylko z ziemi dobrzyńskiéj i kujawskiéj, dla podjęcia operacyj przeciw ważniejszym twierdzom zakonnym[2]). Późném latem, na wiadomość, iż W. Mistrz zebrał znaczniejsze wojsko z Niemiec, gromadzi się drugie pospolite ruszenie szlachty ze wszystkich ziem wielkopolskich. Ale szlachta nie zrozumiała swego zadania. Od pogromu grunwaldzkiego przyzwyczajono się w Polsce lekceważyć Zakon, sądzono, że pokonanie jego nie przedstawia żadnych trudności. To też zamiast skupić i wytężyć wszystkie siły, ażeby zaraz z początkiem wojny przez stanowcze zwycięstwo wziąć górę nad nieprzyjacielem, myślano w pospolitém ruszeniu o wszystkiém inném raczéj, aniżeli o energicznéj przeciw niemu akcyi. W miejscach przechodu dopuszczano się nadużyć, zwłaszcza zaś pustoszono i rabowano dobra duchowne, pod Cerekwicą wymuszono na królu ważny przywilej, który nowe otwierał widoki dla przyszłego politycznego i społecznego życia szlachty. W trzy dni po wydaniu przywileju cerekwickiego nastąpiła straszna, sromotna klęska pod Chojnicami (18 września), która za jednym razem pozbawiła Polskę wszystkich jéj dotychczasowych korzyści, odwróciła szczęście na stronę

---

der Ständetage, nazwiska niektórych naczelników zdają się wskazywać na pochodzenie czeskie. O służbie zaciężników czeskich w wojsku polsko-pruskiém w czasie między rokiem 1454 a 1456, t. j. przed pozyskaniem Ulryka Czerwonki, wspominają nadto liczne inne źródła, jak Długosz, Hist. Pol. V, 180, 184, 185, 197, 208; list Oleśnickiego do Kapistrana z 16 sierpnia 1454 (Wadding, Annales Minorum, XII, str. 199), pismo Rady miejskiéj lubawskiéj z 27 grudnia 1455 (Toeppen, Acten der Ständetage, IV, nr. 326) i t. d.

[1]) Długosz, Hist. Pol. V, 180 i list Oleśnickiego do Kapistrana z 16 sierpnia 1454 (Wadding, Ann. Minor. XII, str. 199).

[2]) Długosz, Hist. Pol. V, 175.

Zakonu i wymagała dłuższéj, natężonéj pracy dla usunięcia szkodliwych następstw, jakie z niéj wynikły.

Moralne wrażenie klęski chojnickiéj w Polsce było przygnębiające. W całym kraju — powiada Długosz — zapanowała głęboka żałoba, odezwały się żale i narzekania, bo nie pamiętała historya tak wielkiéj klęski, zadanéj przez tak słabego i mało znacznego nieprzyjaciela[1]). Szukano, jak zwykle, winnych: więc była winną szlachta, która posiadłości kościelnych szanować nie umiała i przez to ściągnęła karę Bożą na siebie; winnymi byli wodzowie, którzy na sztuce wojskowéj nie znali się dostatecznie, winnymi byli nawet ci, którzy radzili przyjąć poddanie Prus i rozpocząć wojnę z Zakonem[2]). Wielki upadek ducha w narodzie przebija z tych objawów. Sam nawet król czuł się wielce przygnębionym[3]) i musiał znieść upokorzenie, że go do wytrwałości i odwagi zachęcał ten, który od początku wojnę odradzał — Oleśnicki [4]).

Gorzéj jeszcze niż na opinią oddziałała klęska chojnicka na sam przebieg dalszéj wojny. Zdemoralizowane niepowodzeniem wojsko zaciężne i zwoływane od czasu do czasu pospolite ruszenia bądź to trawiły czas na bezczynności i nadużyciach, bądź téż nie dotrzymywały miejsca nieprzyjacielowi. Wypadki wojenne z końca roku 1454, roku 1455 i początków roku 1456 przedstawiają długi, prawie nieprzerwany szereg klęsk oręża polskiego. Zaraz najbliższe pospolite ruszenie, zwołane w jesieni 1454 roku ze wszystkich ziem polskich, zebrało się wprawdzie, mimo zimna i innych trudności, bardzo licznie, jak zapewnia współczesny historyk, dla pomszczenia klęski chojnickiéj[5]); w rzeczywistości jednak ograniczyło się znowu tylko na wymuszeniu nowych dla szlachty przywilejów nieszawskich; sama akcya wojenna przez całą zimę nie postąpiła prawie ani na krok naprzód; wojsko przez długi czas

---

1) Długosz, Hist. Pol. V, 188. 190.
2) Tamże V, 188.
3) Tamże V, 190.
4) Codex epist. II, nr. 144; Długosz, Hist. Pol. V, 192.
5) Długosz, Hist. Pol. V, 190.

stało bezczynnie w obozie pod Łaszynem, a jedyny sukces, jaki w tym czasie odniosło, polegał na zdobyciu dwóch nieznacznych punktów Niekisiałki[1]) i Biskupic[2]). W pierwszéj połowie stycznia rozeszła się wreszcie szlachta nic nie zdziaławszy[3]). Tymczasem coraz gorzéj działo się w ziemiach pruskich. Ważne twierdze, jak Sztum, Przezmark (Preussisch-Mark), Tczew, Gniew, Działdowo, w końcu nawet Królewiec, nie licząc wielu innych pomniejszych miejscowości, poddają się Zakonowi w ciągu najbliższych po bitwie chojnickiéj czasów[4]). Kilka drobniejszych utarczek, stoczonych w początkach roku 1455, które wypadły pomyślnie dla oręża polskiego, o których jednak nawet tak szczegółowy sprawozdawca jak Długosz nic dokładnego powiedzieć nie umie[5]), odzyskanie Działdowa[6]) i skuteczna obrona Frydlandu[7]) nie wiele mogły dodać otuchy wśród tego szeregu niepowodzeń i klęsk, jakie w tym czasie spadły na Polskę. Demoralizacya, zniechęcenie do walki, takie samo, jak bezpośrednio po bitwie chojnickiéj, trwa téż daléj przez cały ciąg roku 1455 i objawia się wybitnie w czynnościach i postępowaniu nowego pospolitego ruszenia, zwołanego przez króla pod jesień. Narzeka szlachta na zły czas, zbiera się bardzo powoli, tak że król przez sześć tygodni czekać musi na niektóre oddziały, zebrawszy się zaś rozkazów królewskich nie słucha, chodzi samopas i dopuszcza się nowych nadużyć, niszcząc dobra królewskie i duchowne[8]). Nie dziw, że z takiém wojskiem Kazimierz nie mógł się odważyć na żaden energiczny krok; to téż zamiast uderzyć na ważniejsze twierdze, jak Tczew i Gniew, rozpoczyna oblężenie

[1]) Zapewne Dietrichswalde. Por. Caro, Geschichte Polens V. 1, str. 65.

[2]) Długosz, Hist. Pol. V, 196.

[3]) Tamże, V, 196.

[4]) Tamże, V. 190, 191, 197, 207; Lucas David, Preuss. Chron. IV, app. nr. 6; Toeppen, Acten der Ständetage, IV, nr. 315 i t. p.

[5]) Długosz, Hist. Pol. V, 199.

[6]) Tamże, V, 202.

[7]) Tamże, V, 208.

[8]) Tamże, V, 208, 209.

lichéj mieściny Łaszyna, bronionéj przez słabą tylko załogę, położeniem swojém łatwéj do zdobycia; ale i to oblężenie ku wielkiemu zgorszeniu wszystkich, pełznie na niczém[1]). W początkach stycznia 1456 r. poddaje się znowu Krzyżakom silna warownia Bratian[2]). Te niepowodzenia oddziaływają na usposobienie Związku i całéj ludności pruskiéj; ludność ta poczuwa żal, że porzuciła rządy zakonne, w Gdańsku tworzy się już w jesieni 1455 r. znaczne stronnictwo, zmierzające do pojednania z Krzyżakami[3]), a w Toruniu wybucha nawet r. 1456 zbrojny rokosz przeciwko władzom miejskim na korzyść Zakonu[4]). Dodajmy do tego obojętną, a nawet dwuznaczną w tym czasie postawę Litwy, protesty papieża i cesarza, groźby elektora brandenburskiego, ostre upomnienia Danii, która nawet posunęła się do wypowiedzenia wojny (1 czerwca 1455)[5]), a zrozumiemy całą grozę położenia, w jakiém znalazła się Polska.

Tę grozę zrozumiała i odczuła większość tych, którzy stali podówczas u steru rządów. Nie chodziło tutaj o zwykłą tylko przegraną lub wygraną wojenną, ale o najżywotniejsze interesa Polski polityczne i narodowe. Niepomyślny wynik wojny odebrałby Polsce jedyną i najlepszą, jaka się dotychczas nadarzyła, sposobność odzyskania przywłaszczonych przez Zakon dziedzin polskich, do którego zmierzały wszystkie dawniejsze półtorawiekowe wysiłki polityki i oręża polskiego wobec Krzyżaków; odsłoniłby całą wewnętrzną niemoc państwa, które tak słabego przeciwnika, jakim teraz był Zakon, pokonać nie zdołało, wskazałby na awanturniczość polityki polskiéj, która podjąwszy się zadania przez cały Zachód potępionego, nie obliczyła się z siłami, azali wystarczą do jego przeprowadzenia; jedném słowem, zachwiałby z gruntu i na długo kredyt Polski wobec całéj Europy. To téż król, nawet pod bezpośredniém wrażeniem klęski chojnickiéj, nie ma ani

[1]) Długosz, Hist. Pol. V, 212, 213.
[2]) Tamże, V, 218, 219.
[3]) Schütz, Hist. rer. Pruss. 392.
[4]) Długosz, Hist. Pol. V. 233.
[5]) Por. Caro, Gesch. Polens, V, 1, str. 70—73.

na chwilę wątpliwości, że mu nadal energicznie działać należy[1]), a sam Oleśnicki, zasadniczy przeciwnik wojny pruskiéj, wyraża po téjże klęsce zdanie, że obecnie cofnąć się nie można[2]). Rozumiano dobrze, iż należy wytężyć wszystkie siły, ażeby wziąć na nowo górę nad Zakonem. Rzecz prosta, iż najskuteczniejszym środkiem do tego celu wiodącym wydać się musiało stworzenie i utrzymanie odpowiedniéj siły zbrojnéj, któraby potrafiła zmierzyć się zwycięsko z wojskami krzyżackiemi.

Ta siła zbrojna w dwojakiéj formie dała się głównie pomyśleć: jako wojsko zaciężne i pospolite ruszenie. Widzieliśmy, iż w początkach wojny z obu tych źródeł korzystano w równéj mierze: obok żołnierstwa płatnego, którém posługiwano się zaraz od pierwszéj chwili, zwołano w roku 1454 trzy pospolite ruszenia, jedno po drugiém. Jakież jednak rezultaty przyniosły te pospolite ruszenia? Przywilej cerekwicki i statuta nieszawskie, — klęskę chojnicką i bezczynne kilkumiesięczne obozowanie pod Łaszynem, w naddatku spustoszenie rozlicznych włości. Wystąpiła na jaw groźna potęga pospolitego ruszenia jako czynnika politycznego, okazała się jego niemoc na zewnątrz, wobec nieprzyjaciela. Ten objaw mógł dać wiele do myślenia. Dla pomyślnego rozwoju wojny pospolite ruszenie nie wiele przyniosło korzyści, owszem szkodziło mu tylko, szerząc demoralizacyą; dla rządu przedstawiało ono znaczne niebezpieczeństwo, zmuszając go do ważnych, daleko sięgających ustępstw na rzecz szlachty. Mogły zresztą czynniki rządzące widzieć i uznawać potrzebę niektórych koncesyj, ale to nie mogło dla nich ulegać wątpliwości, że miejscem, w którém nad niemi rozprawiać należy, nie powinien być obóz, ani porą do tego stosowną przeddzień walki z nieprzyjacielem. I otóż łatwe do wytłómaczenia zjawisko: rząd ówczesny po uczynionéj próbie w roku 1454 unika najwyraźniéj przez dłuższy czas zwołania pospolitego

1) Długosz, Hist. Pol. V, 190.
2) Codex epist. II, nr. 144; Wadding, Ann. Minor. XII, 199.

ruszenia. Na zjeździe piotrkowskim z 15 maja 1455 roku stanowi Rada królewska, że jak na teraz, ruszenie pospolite jest niepotrzebne, że wojna prowadzoną być ma samymi zaciężnikami[1]), pomimo, że była to właśnie najkrytyczniejsza dla Polski chwila, kiedy już cały szereg najważniejszych twierdz dostał się w ręce nieprzyjacielskie, a poselstwo ziem pruskich gorąco błagało o znaczniejszą pomoc zbrojną dla odsieczy oblęganego przez wojska krzyżackie Królewca. Mimo wyraźnéj i koniecznéj potrzeby zebrania jak największéj ilości sił zbrojnych nie powołano tedy pospolitego ruszenia; najlepszy dowód, jak wielce obawiano się go dla siebie, jak mało spodziewano się po niém korzyści dla wojny. Jeszcze bardziéj charakterystyczną jest wiadomość, która się nam przechowała o wypadkach na najbliższym z rzędu zjeździe piotrkowskim z 24 czerwca 1455 r. Zamierzał król pod naciskiem koniecznéj potrzeby przeprowadzić uchwałę o zwołaniu pospolitego ruszenia dla dania odsieczy coraz bardziéj słabnącemu Królewcowi. Aliści nagle rozszerza się wieść, że wojska polskie pobiły nieprzyjaciela i uwolniły miasto od oblężenia, wobec czego stanęła uchwała niezwoływania pospolitego ruszenia[2]). Wieść okazała się fałszywą, i była, jak słusznie domniemywa się najnowszy tych wypadków historyk[3]), tendencyjnie zmyśloną, byleby tylko zapobiec ponownéj wyprawie szlachty. Dopiero późném latem, po upadku Królewca, król, jak widzieliśmy poprzednio, pod grozą dalszych niebezpieczeństw skłania się do zwołania pospolitego ruszenia, ale czyni to tylko na własną rękę, nie zasięgając zdania Rady. Zawiódł się jednak teraz bardziéj, niż poprzednio. Wszystkie ujemne strony téj instytucyi: brak chęci do walki, brak karności wojskowéj, ociężałość w działaniach wojennych, żądza pustoszenia dóbr kościelnych i królewskich, wystąpiły na jaw z całą jaskrawością i bez-

---

[1]) Długosz, Hist. Pol. V, 203.
[2]) Tamże, V, 206.
[3]) Caro, Gesch. Pol. V, 1. str. 79.

względnością. Po tém nowém doświadczeniu nie dziw, że znowu na dłuższy czas zaprzestano myśleć o pospolitém ruszeniu. Pod koniec roku 1455 i w całéj niemal pierwszéj połowie 1456 odbywa się kilka zjazdów generalnych, każdy poświęcony wyłącznie sprawie pruskiéj, ale żaden z nich nie oświadcza się za zwołaniem pospolitego ruszenia, co większa, jak się zdaje, nie porusza nawet téj sprawy, o ile o tém z zupełnego milczenia szczegółowego sprawozdawcy ówczesnych wypadków w Polsce wnioskować można. Dopiero znowu pod koniec kwietnia 1456 roku, wobec groźnéj postawy, jaką zajął elektor brandenburski, powołuje król raz jeszcze pospolite ruszenie[1]), które jednakowoż wcale nawet się nie zebrało[2]).

W obec takiego stanu rzeczy główny, wyłączny niemal ciężar prowadzenia wojny spadał na wojska zaciężne. Silna armia złożona z tego rodzaju żołnierza mogła od razu przeważyć szalę na korzyść Polski. W ówczesnéj Europie nie było trudno o zaciężników; trzeba było tylko mieć odpowiednie środki pieniężne, ażeby ich zapłacić. Ale właśnie w pieniądzach wielki był niedostatek w skarbie królewskim. Pewném ulżeniem dla niego było wprawdzie, iż część, i to nawet wcale znaczną, płacić się mającego żołdu przejęły na siebie stany pruskie; jednakże i to, co królowi jeszcze do uiszczenia pozostało, przewyższało znacznie jego siły finansowe. Współczesne źródła odzywają się też zgodnym chórem o ciągłym niedostatku skarbu i ciągłych zaległościach w żołdzie. Radzono sobie, jak było można, zazwyczaj tylko połowicznie, chwilowo. Na gorące instancye króla przejmowały stany pruskie na siebie obowiązek spłacenia pewnych sum, bądź to bez wynagrodzenia, bądź też za udzieleniem ważnych przywilejów[3]), przyczém jednak nie obyło się czasem bez gorszących sporów, w których jedna strona zwalając ciężar zapłaty na drugą,

---

[1]) Długosz. Hist. Pol. V, 221.
[2]) Por. Caro, Gesch. Pol. V, 1. str. 85.
[3]) Toeppen, Acten der Ständetage, IV, nr. 292.

twierdziła wbrew układom, że sama do niéj obowiązaną nie jest[1]); zastawiano wsie, miasta, a nawet całe powiaty[2]) dla uzyskania chwilowéj ulgi; odprawiano ze służby znaczniejsze oddziały zaciężników z wielkim dla pomyślnego rozwoju sprawy uszczerbkiem, nie dla tego, iżby nie chciano tolerować heretyckiego ich wyznania religijnego[3]), boć przecie ten wzgląd nie mógł być brany na seryo w obec gwałtownych potrzeb toczącéj się wojny, ale dla tego, że spodziewano się ulżyć wydatkom i dojść w ten sposób do równowagi finansowéj. Téj równowagi nie osiągnięto jednak bynajmniéj; to też ostatecznie doszło do tego, że stany pruskie, a bardziéj jeszcze skarb królewski znalazły się bliskiemi bankructwa. Charakterystyczna to zapewne dla ówczesnych stosunków okoliczność, że miasta Gdańsk i Toruń zmuszone były zaciągnąć pożyczkę 2000 złt. u przeciwnika sprawy pruskiéj, Oleśnickiego[4]), a król Kazimierz na swoje „ciężkie potrzeby“ przyjąć od kapituły poznańskiéj 10 grzywien darowizny[5]). Niepłatny żołnierz, dla którego pierwszą pobudką i ostatecznym celem służby była zapłata pieniężna, groził wypowiedzeniem posłuszeństwa i rabunkiem okolic sąsiednich[6]), opuszczeniem służby[7]), wszczynał zamieszki i dopuszczał się nadużyć[8]), w końcu, co prawda, wyjątkowo tylko i w nielicznych oddziałach, przechodził do szeregów nieprzyjacielskich[9]). Dalsze wstrzymanie żołdu groziło niebezpieczeństwem, iż wiele twierdz, w których król poosadzał oddziały zaciężne[10]), wydanych zostanie w ręce Krzyżaków.

---

[1]) Toeppen, Acten der Ständetage IV, nr. 296, 317.
[2]) Tamże, IV, nr. 289.
[3]) Długosz, Hist. Pol. V, 180; list Oleśnickiego do Jana Kapistrana (Wadding, Ann. Minor. XII, str. 199).
[4]) Toeppen, Acten der Ständetage IV, nr. 2[illegible]6.
[5]) Smolka, Archiwa w W. X. Poznańskiém i w Prusach wschodnich, 52.
[6]) Tamże, str. 229.
[7]) Caro, Gesch. Pol. V, 1. dodatki, str. 487.
[8]) Toeppen, Acten der Ständetage IV, nr. 326.
[9]) Wadding, Ann. Minor. XII, str. 199.
[10]) Długosz, Hist. Pol. V, 197.

Do tych kłopotów finansowych przyłączył się jeszcze nowy. Podobnie jak Polska, tak też i Zakon prowadził wojnę głównie żołnierzem zaciężnym i nie miał również potrzebnych zasobów pieniężnych, ażeby uiścić się z żołdu. Zalegał mianowicie z zapłatą najpotężniejszemu i najliczniejszemu oddziałowi, z kilku tysięcy ludzi, przeważnie Czechów, w części zaś Niemców złożonemu, na którego czele stał Ulryk Czerwonka i inni podlegli mu wodzowie. Pod naciskiem konieczności widział się Wielki Mistrz zmuszonym ostatecznie w początkach lutego r. 1455 wydać Czerwonce i jego oddziałowi w wyłączne posiadanie cały szereg ważnych twierdz, między innemi także i najważniejszą, Malborg, aż do chwili, w któréj zarówno zaległy jako też i bieżący żołd nie zostanie im w całości wypłacony[1]). Zaciężnicy uzyskali wprawdzie przez to zabezpieczenie swych roszczeń, ale nie otrzymali samego żołdu, o który im przedewszystkiém chodziło i nie mogli się spodziewać, iżby Zakon wobec coraz to nowych potrzeb wojennych i wyczerpanego skarbu zdołał prędko uiścić się z długu. Uważając się za wyłącznych panów oddanych sobie warowni, rozumowali tedy, że mogą je oddać w czyjekolwiek ręce, jeżeli tylko otrzymają od niego należne sobie pieniądze. Cóż naturalniejszego, jak to, że w pierwszym rzędzie zwrócili swoję uwagę na Polskę, dla któréj nabycie tylu ważnych punktów i miejscowości przedstawiało największe znaczenie i mogło całéj wojnie nadać obrót najkorzystniejszy. Już pod dniem 6 czerwca 1455 roku, a więc w cztery zaledwie miesiące po oddaniu twierdz przez Krzyżaków, napotykamy pierwsze ślady zawiązujących się w tym kierunku układów pomiędzy Polską a Ulrykiem Czerwonką, do których inicyatywa wyszła zapewne od tego ostatniego[2]). Mimo wysokość sumy żądanéj i wielki niedostatek skarbu królewskiego nie podobna było zaniedbać tak korzystnie nastręczającéj się sposobności. Zrozumiano całą doniosłość sprawy i jęto się jéj

[1]) Müller, Reichstagstheatrum I, str. 586.
[2]) Daniłowicz, Skarbiec dyplomatów II, nr. 1932.

z całą skwapliwością. Zaraz ze zjazdu piotrkowskiego, odbytego pod koniec czerwca roku 1455, wysłał król do Prus dwóch delegatów, Jana Gruszczyńskiego, biskupa włocławskiego i Jana Rytwiańskiego, starostę sandomierskiego, celem nawiązania układów z Czerwonką[1]. Ciągnęły się one przez rok cały z górą; brali w nich udział prócz wspomnianych poprzednio nadto jeszcze inni wybitni dygnitarze polscy[2]; głównym kierownikiem sprawy i najgorliwszym jéj propagatorem był jednak niewątpliwie biskup włocławski[3], ten sam, który niedawno jeszcze należał do nielicznych zwolenników Oleśnickiego, odradzających wojnę z Zakonem. Wysłannicy polscy znaleźli u zaciężników wszelką do porozumienia gotowość; największe trudności powodowała tylko sprawa ułożenia wysokości żołdu. Wygórowane żądanie 200 złt. od jednego jeźdzca, które początkowo postawili zaciężni, zostało wprawdzie w późniejszych układach znacznie zniżoném, do 77 złt. od jeźdzca, ale i wtedy jeszcze trzeba było mieć do dyspozycyi blisko pół miliona złotych, ażeby ostatecznie dobić targu. Jakkolwiek zaś stany pruskie przyjmowały połowę sumy na siebie[4], to jednak i pozostała reszta przewyższała znacznie możność i zasoby skarbu królewskiego. Choć tedy kilkakrotnie doszło już do zupełnego prawie porozumienia pomiędzy delegatami z obu stron, to przecież ostateczne zawarcie ugody rozbijać się musiało ciągle o brak funduszów[5]. Jeszcze w połowie lipca 1456 r. donoszono W. Mistrzowi, że układy pomiędzy Polską a zaciężnikami Zakonu rozchwiały się zupełnie[6].

Trudno sobie wyobrazić bardziéj krytyczne położenie nad to, w jakiém podówczas znalazła się Polska. Cały los wojny i wszystkie z jéj wynikiem łączące się następstwa po-

---

1) Długosz, Hist. Pol. V, 206.

2) Tamże, V, 228.

3) Tamże, V, 206, 215, 218, 222.

4) Tamże, V, 207, 215, 222, 228. Toeppen, Acten der Ständetage, IV, nr. 331. 333.

5) Daniłowicz, Skarbiec, II, nr. 1938.

6) Tamże, II, nr. 1942.

lityczne zawisły od zapłaty żołdu zaciężnikom dawnym i nowym; tymczasem pustki w skarbie królewskim nie dozwalały myśleć ani o jedném ani o drugiém. Rząd polski nie mógł jednak nie zrozumieć, że należy poruszyć wszystkie sprężyny, ażeby zebrać jak największe fundusze. W tym kierunku rozwija on też bardzo gorliwą czynność, któréj energia wzrasta coraz bardziéj w miarę postępu czasu i doznawanych na polu walki niepowodzeń.

Niebawem już po klęsce chojnickiéj, pod koniec października 1454 r., skłania król Oleśnickiego do rozpisania kontrybucyi na duchowieństwo dyecezyi krakowskiéj w wysokości jednego wiardunku od grzywny[1]); prawdopodobném jest przypuszczenie, że podobną kontrybucyą rozpisali także inni biskupi w swoich dyecezyach. W obozie pod Łaszynem, w zimie tegoż samego roku uzyskuje król od zgromadzonéj tamże szlachty przyzwolenie na pobór wiardunkowy z każdego łanu w dobrach szlacheckich[2]). Pod koniec stycznia 1455 roku gromadzi się w Łęczycy synod duchowieństwa dla naradzenia się nad udzieleniem królowi dobrowolnéj ofiary (subsidium charitativum)[3]) — z jakim skutkiem, niewiadomo. Równocześnie zarządza król bicie nowéj monety w mennicy krakowskiéj[4]). Zjazd piotrkowski odbyty w maju tegoż roku, ten sam, który uchwalił nie zwoływać pospolitego ruszenia, ustanawia nowy pobór po jednym wiardunku od łanu w dobrach szlacheckich, zastrzegając jednak ostateczne zatwierdzenie téj uchwały zjazdom dzielnicowym, wkrótce odbyć się mającym[5]). Niestety, odezwał się na tych zjazdach tyle w dalszym przebiegu wojny szkodliwy partykularyzm prowincyonalny, nie zawsze zdolny do zrozumienia interesu całości państwa, do podporządkowania mu interesów jednéj dzielnicy: Małopolanie okazali daleko mniéj zrozumienia dla sprawy

---

1) Codex epist. II, nr. 146.
2) Długosz, Hist. Pol. V, 198.
3) Tamże, V, 198.
4) Tamże, V, 198.
5) Tamże, V, 203.

pruskiéj, aniżeli Wielkopolanie, dla tego, że przyłączenie ziem pruskich nie tyle im obiecywało bezpośrednich korzyści, ile Wielkopolsce, bezpośrednio z ziemiami temi sąsiadującéj. To też gdy Wielkopolska zatwierdziła uchwalony na zjeździe piotrkowskim pobór bez żadnych zastrzeżeń, Małopolska przyjęła go wprawdzie, ale z tym warunkiem, że tenutaryusze dóbr królewskich będą zobowiązani do uiszczenia połowy wszystkich swoich dochodów rocznych. Przez to uchwała podatkowa ziem małopolskich przedstawiała tylko wartość illuzoryczną, gdyż tenutaryusze nie chcieli się zgodzić na tak ciężki dla siebie warunek[1]). Dopiero na najbliższym generalnym zjeździe w Piotrkowie, 24 czerwca 1455 r., wobec nacisku wywartego zapewne przez rząd tudzież wzrastającego coraz bardziéj niebezpieczeństwa, zgodzili się i Małopolanie na pobór wiardunkowy, odstępując od swoich żądań co do tenutaryuszów dóbr królewskich[2]).

Wszystkie te środki okazały się wszakże jeszcze niedostatecznymi. Skarb królewski był w ciągłych zaległościach w obec wojsk zaciężnych, a kłopoty i niedogodności stąd wynikające dawały się odczuwać tak dobrze teraz, jak poprzednio. Skąd zaczerpnąć dalszych funduszów na prowadzenie wojny? — oto kwestya, któréj rozwiązanie przedstawiało trudność prawie nie do pokonania. Zwyczajne środki były już wyczerpane. Prócz dochodów królewskich i tenut pochłonęła wojna dobrowolne kontrybucye duchowieństwa i dwa pobory wiardunkowe z dóbr szlacheckich. Nowych podatków trudno było wymagać od szlachty, do dalszych kontrybucyj i ofiar dobrowolnych duchowieństwo nie miało snać ochoty. A jednak jeżeli kto, to chyba jeszcze kościół i kler polski rozporządzały odpowiednimi zasobami, ażeby poratować państwo w potrzebie. Niezmierne, po całym kraju gęsto rozsiane, znakomicie zagospodarowane posiadłości duchowieństwa przynosiły intratę, która mogła snadno wytrzymać najwyższą stopę podatkową; w bo-

---

1) Długosz, Hist. Pol. V, 203, 204.

2) Tamże, V, 206.

gatych skarbcach kościelnych kryły się liczne kosztowne naczynia i sprzęty, które przecież w razie ostatecznéj konieczności mogły posłużyć za środek do zaspokojenia wydatków wojennych. Ale jakże nakładać przymusowy pobór na posiadłości duchowne, kiedy w myśl teoryi prawa kanonicznego i średniowiecznych wyobrażeń, jak nie mniéj licznych przywilejów dawniejszych książąt i królów polskich, posiadłości te zapewniony miały immunitet, wolność od podatków? Jak ściągać świętokradzkie ręce na skarbce kościelne, w wieku, w którym między czcią dla Boga a czcią dla rzeczy służbie Bożéj poświęconych nie umiano dokładnéj czynić różnicy? Sam już pomysł tego rodzaju musiał uchodzić za niesłychane zuchwalstwo, a jego wykonanie za czyn, naruszający najświętsze uczucia średniowiecznego świata.

Szczęściem było dla Polski, że na czele rządu znaleźli się podówczas ludzie, którzy nie zawahali się przed tym krokiem. Sam król Kazimierz zapatrywał się bardzo sceptycznie na sprawę immunitetu Kościoła, a chociaż do téj chwili nie wystąpił zasadniczo przeciwko niemu, to jednak w praktyce mało okazywał dlań względności. Już w maju r. 1454 wyrzucał mu gorżko Oleśnicki, że uciska dobra duchowne zbytniemi podwodami i stacyami, że wszystkie niemal dochody z tych dóbr spotrzebowuje dla siebie, że jedném słowem postępuje sobie z kościołem gorzéj, niż ongi Bolesław Śmiały, zabójca św. Stanisława[1]). Z takiemi przekonaniami nie trudno było królowi skłonić się do dalszych zamachów na immunitet kościelny, zwłaszcza, kiedy go do tego nieprzeparta zmuszała konieczność. Trudność leżała tylko gdzieindziéj: w prawdopodobnym oporze Rady królewskiéj. Stary senat polski, tak jak go wykształciły czasy Jagiełły i Warneńczyka pod długoletniém kierownictwem Oleśnickiego, miał wyrobione pewne stałe zasady rządzenia, pośród których niewątpliwie jedną z najważniejszych była ta, że immunitet kościelny jest nienaruszalny. Taki senat musiałby tedy hamować zapędy króla.

---

[1]) Codex epist. II, nr. 135.

Ale i na to umiał Kazimierz znaleść radę. Skupia on koło siebie stronnictwo nowe, zbudzonymi na Zachodzie prądami owiane, z odmiennym, bardziéj postępowym programem, który staje w oczywistéj sprzeczności do programu dawnego konserwatywnego senatu. Współczesny Długosz nazywa to stronnictwo: młodszymi (iuniores)[1]. Nie posiadało ono ścisłéj, zamkniętéj w sobie organizacyi, ani téż nie ograniczało się do pewnéj tylko sfery społecznéj; zarówno zwykła szlachta[2] jako téż niewątpliwie i część senatu, zwłaszcza zaś nowe, przez króla wprowadzane doń siły, zaliczały się do „młodszych," a pośród tych ostatnich w większéj zapewne części senatorowie wielkopolscy, niż wychowani w dawnéj tradycyi rządowéj Małopolanie. Jaki był program tego stronnictwa, trudno określić w szczegółach; niewątpliwie nie był on zbiorowiskiem wszystkich możliwych, w różnych czasach i przy różnych sposobnościach objawiających się prądów reformacyjnych i rewolucyjnych[3], boć w takim razie nie byłoby ani stronnictwa ani programu; pewną tylko jest rzeczą, że ci „młodsi" podzielali zapatrywania Kazimierza w sprawie immunitetu kościelnego, a o ile chodziło o wojnę pruską, widzieli jéj potrzebę i wielką dla państwa korzyść, zaczém téż dążyli do poparcia jéj najskuteczniejszymi środkami[4]. Stanęły w ten sposób naprzeciw sobie dwa stronnictwa w Radzie królewskiéj, pośród których, jak zwykle, wytworzyć się musiało stronnictwo pośrednie, łagodzące w swoim programie szorstkość obu skrajnych kierunków. Wybitnie objawiło się to ugrupowanie stronnictw już w chwili poddania się związku pruskiego pod berło polskie: wtedy to, jak widzieliśmy, było w Radzie królewskiéj

---

[1]) Długosz, Hist. Pol. V, 159, 214.

[2]) Tamże, V, 214. 218.

[3]) Jak błędnie mniema Caro, Gesch. Polens, V, 1. str. 40.

[4]) Pierwszym, który na znaczenie stronnictwa „młodych" zwrócił uwagę i podał trafną jego charakterystykę, był prof. Bobrzyński w pracy: O ustawodawstwie nieszawskiém. W przedmiocie tym zabierali późniéj jeszcze głos: Caro, Jan Ostroróg i traktat jego o naprawie Rzpltéj; prof. Pawiński: Jan Ostroróg, i znowu Caro: Geschichte Polens, V, 1. 40.

jedno zdanie za odrzuceniem, drugie za przyjęciem submisyi, a pojawiło się i trzecie za odroczeniem sprawy. Rzecz prosta, iż przy takim składzie senatu musiały w jego łonie powstawać częste spory i nieporozumienia, do których nie byli przyzwyczajeni członkowie dawnéj Jagiełłowéj Rady. „Na naszych zjazdach więcéj się teraz kłócimy, aniżeli radzimy" -- pisał Oleśnicki do króla w maju r. 1454[1]). Ten brak zgodności i dobrego porozumienia w senacie mógłby był wywołać jałowość akcyi politycznéj lub przynajmniéj niepotrzebną stratę czasu w sprawach, które częstokroć nie cierpiały zwłoki, gdyby na czele rządu stał król, trzymający się ściśle dawnéj tradycyi, zasięgający we wszystkich sprawach ważniejszych zdania całego senatu. Ale Kazimierz był człowiekiem nowego pokroju, który nie chciał się wiązać dawną tradycyą, zwłaszcza kiedy mu była niedogodną. Otoczył się ludźmi, na których mógł liczyć niezawodnie, którzy podzielali w zupełności jego kierunek polityczny, i albo wyłącznie z nimi załatwiał sprawy państwa, chociażby najważniejsze, albo też przywoływał wprawdzie innych senatorów do narad, ale tylko dla formy; w rzeczywistości zdania ich nie uwzględniał, kierując się własném tylko i zaufanych swoich mniemaniem. Z nietajoną goryczą użalali się na to starsi[2]), widząc zaś, że rola ich już się prawie skończyła, usuwali się zniechęceni od udziału w sprawach publicznych. Po przyjęciu submisyi związku pruskiego Oleśnicki wymawia się systematycznie od udziału w zjazdach i nie tai nawet pobudek swego postępowania[3]); na zjazd łęczycki w maju r. 1454 przybywają tylko senatorowie wielkopolscy; małopolscy, pośród których najwięcéj było zwolenników dawnego porządku, ostentacyjnie usuwają się od udziału, z wyjątkiem tylko dwu[4]); pod Chojnicami głównymi doradcami króla są senatorowie wielkopolscy[5]); drugi zjazd

---

1) Codex epist. II, nr. 135.
2) Por. pismo Oleśnickiego z maja 1454 r. Codex epist. II, nr. 136.
3) Codex epist. II, nr. 135, 136.
4) Długosz, Hist. Pol, V, 174.
5) Tamże, V, 185.

łęczycki, w początkach roku 1455, odbywa się tylko w obecności „niektórych baronów“[1]). Widoczna była, że „młodsi“ zyskali stanowczą przewagę w rządzie i nadawali kierunek jego polityce; oburzenie przeciwników z powodu utraconego znaczenia wzmagało się zaś tém bardziéj, że musieli patrzeć, jak w szeregach ich dokonywała się dezercya na korzyść nowego prądu[2]).

Oparty o to stronnictwo „młodych“ uderza wreszcie król w immunitet kościelny. Na zjeździe w Brześciu kujawskim, pod koniec zapewne sierpnia 1455 r., staje za przyzwoleniem arcybiskupa gnieźnieńskiego i biskupów poznańskiego i włocławskiego uchwała, iż kosztowności i skarby rzeczonych trzech katedr użyte być mają na opędzenie kosztów wojennych[3]); już w dniu 1 września tegoż roku wydaje kapituła poznańska w obecności biskupa Andrzeja z Bnina rozmaite sprzęty kościelne wartości 2000 złt. węg. a nadto zastawia w tym celu monstrancyą za 300 złt. węg.[4]); w kilkanaście zaś dni późniéj (14 września) wychodzi dokument, wystawiony przez króla i cały szereg senatorów, mocą którego rzeczonym trzem katedrom poręczono zwrot zabranych naczyń kościelnych do lat czterech[5]). Katedra krakowska żadnych skarbów na potrzeby wojny nie wydała, czy to dla tego, że następca Oleśnickiego, Tomasz Strzępiński, na zjeździe brzeskim nie był i przyzwolenia swego nie dał, czy też dla tego, że czynionym mimo to usiłowaniom króla skutecznie oprzeć się potrafił[6]). W tém postępowaniu zjazdu brzeskiego

---

[1]) Długosz, Hist. Pol. V, 198.

[2]) Przykładu dostarcza postępowanie Jana Gruszczyńskiego, biskupa włocławskiego, który z przeciwnika sprawy pruskiéj staje się niebawem najgorliwszym jéj promotorem.

[3]) Długosz, Hist. Pol. V, 209.

[4]) Smolka, Archiwa 52.

[5]) Gołębiowski, Dzieje Polski za panowania Jagiellonów, III, 109, uw. 148.

[6]) Długosz, Hist. Pol. V, 210.

uderzają przedewszystkiém dwie okoliczności. Jedna, iż episkopat wielkopolski okazał się o wiele powolniejszym wobec żądań króla, aniżeli małopolski. Zjawisko to łatwo da się wytłómaczyć. Widzieliśmy, iż wojna pruska cieszyła się daleko większą popularnością w Wielkopolsce, aniżeli w Małopolsce, a nadto, że pośród senatu wielkopolskiego posiadał król stosunkowo najwięcéj zwolenników swojéj polityki; przeciwnie Strzępiński miał ambicyą wstąpić w ślady Oleśnickiego, a jako biskup krakowski nie widział powodu entuzyazmować się sprawą wojny. To też u duchowieństwa wielkopolskiego łatwiéj mógł król liczyć na ustępstwa, łatwiéj uzyskać od niego ofiarę. Ważniejszém jest pytanie drugie: dla czego właśnie t a k ą uczyniono ofiarę, dla czego poświęcono naczynia kościelne? Dla czego nie nałożono raczéj podatku na dobra duchowne, który przecież nie byłby w tak wysokim stopniu obraził uczuć religijnych, jak zabór skarbów kościelnych? Zdaje nam się, że wpłynęły na to względy zasadnicze. Sposób, w jaki sprawa ta załatwioną została, był zasadniczo najwzględniejszym i najłagodniejszym dla duchowieństwa. Zabór naczyń kościelnych nastąpił na podstawie wyraźnego zezwolenia biskupów, tracił więc charakter przymusowego świadczenia, był pewnym rodzajem subsidii charitativi, dobrowolnéj ofiary, udzielonéj zresztą tylko w formie pożyczki; przeciwnie podatek nałożony na dobra duchowne byłby zachwiał najważniejszą zasadę immunitetu kościelnego, mógł stworzyć niebezpieczny precedens na przyszłość. Akcya zjazdu brzeskiego nie była tedy wprost — przynajmniéj co do swéj formy — naruszeniem immunitetu kościelnego; w każdym jednak razie wskazywała już wybitnie kierunek, jaki przybrała polityka Kazimierza i „młodszych“ wobec duchowieństwa.

W kraju tymczasem fakt zaboru naczyń kościelnych wywołał nie małe zgorszenie. Długosz nie umie go inaczéj nazwać, jak tylko „łupiestwem“, „rabunkiem“ (spolium), przypisuje niepomyślny wynik wyprawy, przedsięwziętéj w jesieni 1455 r., karze Boskiéj za świętokradztwo, podnosi wreszcie, iż czy-

nem tym sprawcy jego przysporzyli sobie więcéj sromoty, aniżeli państwu korzyści[1]).

Téj ostatniéj uwadze Długosza nie można odmówić pewnéj słuszności. Suma pieniężna, jaką dał zabór skarbów kościelnych, o któréj wysokości przybliżone pojęcie daje podana poprzednio wiadomość o skarbach katedry poznańskiéj, była przecież jeszcze za małą, ażeby wystarczyć potrzebom wojennym, a cóż dopiero, ażeby uczynić zadość roszczeniom Ulryka Czerwonki i jego ludzi. Jeżeli sprawa miała być pomyślnie doprowadzoną do końca, to nie można się było zatrzymać na tym kroku połowicznym, trzeba było pójść daléj, uderzyć wprost w immunitet kościelny. Stało się to na zjeździe w Grudziądzu z dnia 5 listopada 1455 r. Postanowiono tamże, iż kmiecie ze wszystkich dóbr duchownych tudzież królewskich uiścić mają pobór po 2 wiardunki z każdego łanu, kmiecie z dóbr szlacheckich po 1 wiardunku z łanu. Już sam ten podatek łanowy naruszał znacznie swoją wysokością interesa materyalne duchowieństwa, wszakże nie skończyło się na nim tylko: postanowiono nadto, że wszyscy duchowni mają uiścić połowę całego dochodu rocznego ze swoich beneficyów[2]). Nie znamy szczegółowego przebiegu narad grudziądzkich; tyle jednak zdaje się nie ulegać wątpliwości, że wniosek do téj uchwały znalazł bardzo silną opozycyą w senacie; nie tylko w téj jego części, która zasadniczo nie zgadzała się z obecnym kierunkiem polityki Kazimierzowskiéj, ale także pośród żywiołów umiarkowańszych, które zresztą niejednokrotnie z polityką tą szły ręka w rękę, a mianowicie pośród całego, nawet wielkopolskiego episkopatu. Przy Kazimierzu stać mogli chyba najskrajniejsi przeciwnicy immunitetu kościelnego. Nie czując dość poparcia w senacie, Kazimierz, który bądź co bądź chciał uchwałę przeprowadzić, musiał szukać punktu oparcia na zewnątrz; postarał się tedy, iż do rady przyzwani zostali wybrani przez szlachtę reprezentanci, oczy-

1) Długosz, Hist. Pol. V, 210, 212, 213.
2) Tamże, V, 214, 215.

wiście tacy, którzy zapatrywania jego podzielali, a więc „młodsi“. Dopiero z pomocą tych „młodszych“ z pośród szlachty, a po części i senatu, król „odrzuciwszy rady starszych baronów i dygnitarzów“, uzyskał cel zamierzony[1]). Jaki był skutek uchwały, zrozumieć łatwo. Zarówno forma, w jakiéj ją przeprowadzono, jako też treść, która się w niéj zawierała, obrażały dotkliwie wszystko to, co było najświętszego w dawnéj tradycyi rządu w Polsce. Najpoważniejsza część senatu uczuła całą niemoc swoję wobec stanowczéj polityki króla i jego zwolenników; przedewszystkiém zaś czuło się dotkniętém duchowieństwo, wobec którego wystąpiono naraz z stanowczą negacyą jego praw i wolności. Nie tyle może dotykała duchownych wysokość uchwalonego poboru, ile raczéj sprawa zasadnicza: nałożenie podatku bez ich zezwolenia, wbrew przywilejom, jakich dotychczas używali. Narzekano na to, że nie p r o s z o n o daniny, ale ją n a k a z y w a n o, i że wdzierając się w autonomią kościoła, stanowiono nań bez jego współudziału nowe prawa. „Niecna szpetność“ postanowień i „chłopska zuchwałość“ ich twórców wywołały pośród tych kół największe oburzenie[2]). Rozumie się, że z téj strony musiano teraz wytężyć wszystkie siły, ażeby ratować zagrożone stanowisko, sprowadzić reakcyą. Wyrazem téj reakcyi są uchwały zjazdu piotrkowskiego z 6 stycznia 1456 r. Zjechali się tu w niezwykłym jak na owe czasy komplecie wszyscy prałaci i baronowie państwa i nie chcieli przystąpić do żadnych narad nad sprawami publicznemi, dopóki nie zostanie załatwioną sprawa uchwał grudziądzkich. Ostatecznie uchwały te zniesiono w zupełności — „z wielkim wstydem i sromotą ich twórców“[3]). A więc zwycięstwo starego konserwatywno-klerykalnego kierunku? Zapewne, ale Pyrrhusowe zwycięstwo. Zniósłszy bowiem uchwały grudziądzkie, nakłada zjazd piotrkowski za zgodą biskupów zarówno na dobra królewskie

---

[1]) Długosz, Hist. Pol. V, 214.
[2]) Tamże, V, 215.
[3]) Tamże, V, 218.

i szlacheckie jako też i na dobra kościołów katedralnych podatek w wysokości połowy rocznych czynszów[1]). Obniżono tedy wprawdzie stopę podatkową, zacieśniono sferę dóbr opodatkowaniu podlegających, przeprowadzono uchwałę za zgodą duchowieństwa, nadano podatkowi raczéj charakter ofiary dobrowolnéj, ale wszystko to miało tylko znaczenie formalne, boć w gruncie rzeczy okazało się, iż pod skutecznym naciskiem duchowieństwo może być zmuszone do świadczeń na cele państwa.

Cóżkolwiekbądź jednak, finansowy rezultat zjazdu piotrkowskiego był bez wątpienia gorszym, aniżeli go zapowiadały grudziądzkie dekreta. Chroniczny brak w skarbie królewskim pojawił się znowu, stawał się zaś teraz o wiele dotkliwszym, ile że rokowania z Czerwonką dobiegały do końca, wobec czego okazywała się nowa potrzeba znaczniejszéj sumy pieniężnéj. Dnia 15 sierpnia 1456 r. stanął wreszcie ostateczny układ między Polską a zaciężnikami krzyżackimi, mocą którego za opłatą 436,000 złt. węg., mających się uiścić w kilku ratach, zobowiązali się ciż zaciężnicy przejść w służbę Polski w 6338 koni, a zarazem wydać zamki i twierdze przez Krzyżaków im odstąpione[2]). Dla uzyskania pieniędzy na uiszczenie pierwszéj raty zwołał król na dzień 8 września nowy zjazd do Piotrkowa. Nie mogło ulegać wątpliwości, że żywioły niechętne ponoszeniu znaczniejszych ofiar dobędą teraz wszystkich sił, ażeby sprawę ubić, albo przynajmniéj przewlec. Pojawia się tedy na zjeździe mniemanie, któremu już poprzednio starano się nadać rozgłos[3]), że umowa z naczelnikami zaciężników nie jest ważną dla braku przyzwolenia W. Mistrza i rządu krzyżackiego, którym przysługuje główne prawo rozporządzania twierdzami zakonnemi. Argument mógł być zasadniczo

---

[1]) Długosz, Hist. Pol. V, 218.

[2]) Dokument układu, wystawiony przez Kazimierza, w Script. rer. Pruss. IV, str. 522; rewersał, wystawiony przez naczelników wojsk zaciężnych, tamże, IV, str. 528. Daty cyfrowe Długosza nieco odmienne, Hist. Pol. V, 229.

[3]) Długosz, Hist. Pol. V, 222.

słuszny, ale w formie, w jakiéj go postawiono, był śmiesznie naiwny; boć oczywiście trudno było przypuszczać, ażeby Krzyżacy wśród toczącéj się właśnie wojny zgodzili się dobrowolnie na wydanie najważniejszych swoich twierdz w ręce nieprzyjaciela. Widocznie chciano przez to całą sprawę układu z Czerwonką usunąć z porządku dziennego. Kiedy ten niezgrabny fortel nie udał się, chwycono się drugiego. Z ust biskupa krakowskiego Strzępińskiego usłyszeli zgromadzeni słowa, z których wynikało, że sama wojna pruska jest niesłuszną i niesprawiedliwą. I ten argument nie mógł być przecież brany na seryo; to też po stanowczéj odprawie, jaką dał biskupowi Sędziwój z Czechła, profesor Akademii krakowskiéj, Strzępiński cofnął powiedzenie o niesłuszności wojny, wymawiając się, iż miał na myśli tylko grzeszne postępowanie Polaków w wojny téj prowadzeniu. Kiedy wreszcie wyczerpano zasób zarzutów i górę wzięło przekonanie, że nowe ofiary są bądź co bądź konieczne, przystąpiono do narad nad poborem. Po długich rozprawach, podczas których niewątpliwie nie brakło ostrych starć, przeparł nareszcie król wraz z swojém stronnictwem uchwałę, z któréj mógł być w zupełności zadowolony. Nałożono na wszystkie bez wyjątku posiadłości ziemskie w państwie, zarówno królewskie i szlacheckie, jako też i duchowne, pobór równający się połowie wartości rocznego czynszu; duchownym kazano nadto zapłacić połowę dochodu rocznego z ich beneficyów i połowę dziesięciu pieniężnych (w tym ostatnim względzie były jednak niektóre szczegółowe modyfikacye), mieszczanom po dwa grosze od każdéj grzywny wartości ich majątku ruchomego lub nieruchomego, kmieciom po groszu pogłównego, szlachcie, która kmieci poddanych nie miała, po pół grzywny od głowy. Jak widzimy, podniesiono stopę podatkową bardzo wysoko, rozciągnięto pobór na wszystkie bez wyjątku stany, w szczególności zaś także na duchowieństwo, które poddano opodatkowaniu z rozmaitych tytułów; uchwały grudziądzkie, zniesione w początkach tego roku „ze wstydem ich sprawców,“ znalazły teraz praktyczne urzeczywistnienie. W jednym tylko względzie rezultat zjazdu piotr-

kowskiego można było nazwać połowicznym; podczas gdy Wielkopolska przyjęła uchwałę podatkową bezwarunkowo, Małopolanie, zasłaniając się frazesem, że wprawdzie osobiście chętnie poniosą wszelkie ofiary, ale nie mogą uchwały przyjmować w imieniu swych ziem, zastrzegli zatwierdzenie jéj przez zjazd dzielnicowy małopolski, który téż wyznaczono na dzień 15 października tegoż roku. Partykularyzm małopolski a zarazem brak dostatecznego zrozumienia polityki „młodszych“ w senacie małopolskim znalazły tu znowu jaskrawy dla siebie wyraz. Znalazły go w innym jeszcze fakcie. Oto król, któremu już dawniéj radzono dokonać nowego zaboru wszystkich bez wyjątku skarbów kościelnych[1]), zażądał teraz, ażeby katedra krakowska za przykładem katedr wielkopolskich oddała swoje naczynia i sprzęty na potrzeby wojny; natrafił jednak na stanowczy opór Strzępińskiego, który w braku lepszéj wymówki zasłaniał się argumentem, że nie może rozporządzać skarbcem bez zezwolenia kapituły[2]).

Pozostawała tedy jeszcze do załatwienia sprawa z Małopolanami. Odbyty w połowie października zjazd nowokorczyński zgodził się wprawdzie na podatek według stopy uchwalonéj w Piotrkowie[3]), choć zapewne nie bez długich targów, ale zgodził się tylko za cenę znacznych ustępstw politycznych[4]). Ważném i charakterystyczném jest postanowienie tegoż zjazdu, że podatek ma być złożony do rąk osobnych deputatów, zwanych „obermanami,“ którzy zebranych pieniędzy nie mieli

---

[1]) Długosz, Hist. Pol. V, 222.

[2]) Szczegółowy opis przebiegu zjazdu piotrkowskiego zob. u Długosza, Hist. Pol. V, 228–232. Uchwała podatkowa tegoż zjazdu u Bandtkiego, Ius Polonicum, 294. Rozpisanie kontrybucyi na duchowieństwo dyecezyi krakowskiéj przez Strzępińskiego w myśl uchwał piotrkowskich, Codex epist. II, nr. 156.

[3]) Uchwały tego zjazdu zob. u Bandtkiego, Ius Polonicum, 302; instrukcya do podskarbiego, tamże, 298.

[4]) Ustępstwa te zawarte są po części w wyżéj przytoczonéj uchwale, po części w przywilejach dla Rusi i ziem małopolskich: Bandtkie, Ius Polonicum, 292, 300. Por. téż Caro, Geschichte Polens V, 1, 91 i n.

oddać w ręce króla, ale rozrządzić niemi sami na potrzeby publiczne państwa, zwłaszcza zaś na potrzeby wojny pruskiéj[1]). Na zabór skarbów kościelnych biskup i kapituła krakowska żadną miarą zgodzić się nie chcieli; ulegając jednak naciskowi, przyjęli na siebie rękojemstwo pożyczki zaciągniętéj przez króla u kupców w wysokości 6000 zł.[2])

Dopiero teraz mógł rząd odetchnąć swobodniéj. Po długich wytężeniach udało mu się nareszcie zebrać znaczniejszy zasób pieniężny, którym zaspokoić mógł zarówno żądania dawnych zaciężników, jako też zapłacić umówioną część należytości Ulrykowi Czerwonce i jego ludziom. Ten nowy zwrot rzeczy, do którego przygrywką niejako były zwycięstwa odniesione przez Polaków pod Brodnicą i w kilku innych miejscach jeszcze w lutym r. 1456[3]), pociągnął za sobą doniosłe skutki: na Zielone Świątki r. 1457 Polacy byli już panami kilku ważniejszych zamków przez Czerwonkę dzierżonych, a pośród nich także staréj stolicy Zakonu, Malborga.

Wojna trzynastoletnia wstąpiła w nowe, pomyślniejsze dla Polski stadyum rozwoju.

III.

Ten krótki przegląd wypadków z pierwszego trzechlecia wojny posłuży nam za podstawę do wyjaśnienia genezy i znaczenia traktatu Henryka z Góry.

Najbliższe pytanie, które się nasuwa, jest to: w jakiém miejscu i w jakim czasie traktat został spisany?

Co do miejsca niezawodną wskazówkę podaje końcowy rozdział samego traktatu. Usprawiedliwiając ujemne strony swéj pracy, wyraża się autor: „Nie na to powinno się zważać, kto mówi, ale na to, co się mówi, a prawdę trzeba uznać zawsze, ktokolwiek ją wykaże... Dla mnie nieukształconego

1) Bandtkie, Ius Pol. str. 296; Długosz, Hist. Pol. V, 231.
2) Długosz, Hist. Pol. V, 232, 233.
3) Tamże, V, 219.

prostaka (mihi ineruditi ingenii) wystarcza, żem innym, bardziéj doświadczonym, dał pobudkę i sposobność dokładniejszego omówienia téj sprawy. Czcigodnym moim Panom i Ojcom, doktorom dekretów, którzy jaśnieją nauką prawa, a w szczególności czcigodnemu mężowi, Mistrzowi Janowi z Dąbrówki, profesorowi św. teologii i dekretów[1]), oddaję pismo to do poprawy, siebie zaś w téj sprawie uważam za dziecko; czego jednak nauczyłem się z jasnych słów moich Ojców, tego, o ile się tyczyło sprawy niniejszéj, przemilczeć nie chciałem, nie dla ostentacyi ani dla zysku, jeno dla sprawiedliwości a miłości Ojczyzny[2])." Ten nacisk położony przez pisarza na nieukształcony jeszcze umysł jego i brak doświadczenia, owa wzmianka o zużytkowaniu wiadomości, nabytych przez studyum uniwersyteckie, nadewszystko zaś owo poddanie pracy pod krytykę i ocenę profesorów Akademii krakowskiéj, wskazują niewątpliwie na to, że autor pisał swój traktat w czasie, kiedy był jeszcze studentem téjże Akademii, w ślad za czém powiedzieć też trzeba, iż traktat powstał w Krakowie. Dalszy rozbiór przekona też nas dowodnie, że pisarz omawiając poszczególne punkta swego tematu liczy się przedewszystkiém z opinią, jaka podówczas panowała w Małopolsce, a niejednokrotnie nawet zostaje pod niezaprzeczonym jéj wpływem.

Z przytoczonych poprzednio słów da się również wyprowadzić pewien wniosek o czasie powstania niniejszego traktatu. Skoro autor spisał go podczas studyów uniwersyteckich, a skądinąd wiadomo, że wpis jego na uniwersytet nastąpił w letniém półroczu 1454 roku, przeto trzeba przypuścić, że chwila powstania traktatu nie daleko może wybiegać poza tę datę immatrykulacyi. Przypuszczenie to stwierdzają stanowczo

---

[1]) Jan z Dąbrówki, doktor dekretów, licencyat św. teologii, kanonik kollegiaty św. Floryana, dziekan kollegiaty sądeckiéj, kustosz kollegiaty kieleckiéj, kanonik katedralny krakowski, profesor Akademii krakowskiéj, tamże w latach 1446—1471 dziewięćkrotnie rektor, zmarł r. 1471.

[2]) Rozdział XIII, Mon. Pol. IV, 1[?]0, 191.

dwie zapiski umieszczone przy końcu dwóch rękopisów traktatu. I tak czytamy w zakończeniu rękopisu Bibl. Ossolińskich: Explicit tractatulus contra Cruciferos, Regni Poloniae invasores, finitus anno Domini MCDLVI in mense Mayo; w zakończeniu zaś rękopisu Bibl. cesarskiéj w Petersburgu znajdujemy następujące słowa: Explicit tractatulus contra Cruciferos, Regni Poloniae invasores, finitus per me P. sub anno Domini MCDLVI. Zapiski te mogłyby nastręczyć wątpliwość, czy data, jaką one podają (rok 1456 i maj 1456) jest datą spisania traktatu przez autora, czy też tylko datą odpisania go przez kopistów. Wąpliwość ta po bliższém rozpatrzeniu rzeczy upada jednak sama z siebie. Gdyby już sam autor w swoim autografie był położył datę spisania traktatu, w takim razie byłaby ona prawdopodobnie przeszła do wszystkich odpisów, tak jak przeszedł tytuł jego traktatu, umieszczony na końcu pisma; tymczasem spotykamy ją tylko w rękopisach Bibl. Ossolińskich i Petersburskiéj, nie zaś w rękopisie Bibl. XX. Czartoryskich, który ze wszystkich najwierniéj trzyma się oryginału, a więc też najprawdopodobniéj, prędzéj niż ktorykolwiek inny, byłby pomieścił datę, gdyby się była tamże znajdowała. Stąd wniosek, że owe daty w dwu innych rękopisach zamieszczone oznaczają tylko chwilę skopiowania, nie zaś napisania traktatu. Wniosek ten stwierdza po nad wszelką wątpliwość zapiska rękopisu Bibl. Petersburskiéj: finitus per me P. sub anno Domini 1456. Owo P., które jest początkową literą jakiegoś imienia czy też nazwiska, nie może bezwarunkowo odnosić się do autora traktatu, który swoje imię byłby był musiał oznaczyć literą H., wyraża więc ono tylko imię kopisty, zaczém i cała treść rzeczonéj zapiski musi się odnosić do czynności skopiowania traktatu. Skoro zaś jedna z tych zapisek jest niewątpliwym dodatkiem kopisty, a w autografie traktatu daty jego spisania najprawdopodobniéj nie pomieszczono, to już nie może podlegać wątpieniu, że i druga zapiska końcowa, zamieszczona w rękopisie Bibl. Ossolińskich, jakkolwiek wyraźnie o fakcie skopiowania nie mówi, przecież do tego faktu się odnosi.

Z tych uwag wynika, że traktat Henryka z Góry już w roku 1456, a mianowicie już w maju tegoż roku był odpisywany, że zatém musiał powstać przedtém, t. j. przed majem 1456 roku.

Wykazawszy możliwą granicę końcową powstania traktatu, zapytajmy jeszcze o granicę jego początkową. Pewną wskazówką jest tu dla nas już ta okoliczność, że Henryk z Góry napisał go w czasie swoich studyów uniwersyteckich; nie mógł go tedy napisać przed chwilą wstąpienia na Akademią krakowską, a więc przed wiosną roku 1454. Do tego samego wyniku doprowadzi nas także rozpatrzenie następującéj okoliczności: W traktacie mamy kilkakrotne wzmianki o panującym podówczas w Polsce królu; ten król nazywa się zawsze Kazimierzem[1]) i jest synem Władysława Jagiełły[2]). Stąd wynika, że traktat powstał w czasach panowania Kazimierza Jagiellończyka, ponieważ zaś spotykamy w nim wielokrotne wzmianki o toczącéj się właśnie podówczas wojnie z Zakonem, ponieważ daléj za rządów Kazimierza jedyną wojną prowadzoną z Krzyżakami była wojna trzynastoletnia, przeto rzecz jasna, iż traktat nie mógł być spisany wcześniéj, jak dopiero po jéj rozpoczęciu, t. j. po dniu 22 lutego 1454 r., w którym nastąpiło wypowiedzienie wojny Zakonowi przez Polskę.

Daty: koniec lutego 1454 roku i maj 1456 roku stanowią tedy ramę czasową, w któréj pomieścić należy chwilę powstania traktatu Henryka z Góry. Ta data da się jednakowoż oznaczyć jeszcze ściśléj na podstawie wzmianek zawartych w samym traktacie.

Pierwszą tego rodzaju wzmianką jest wiadomość o rabunkach i pustoszeniu dóbr duchownych przez szlachtę zgromadzoną na pospolite ruszenie[3]). Tych rabunków dopuszczano

---

1) Por. nadpis nad Rozdz. I, IV i X. Mon. Pol., IV, 158, 172, 182.

2) Huius itaque praeclarissimi progenitoris tui (Wladislai Jagello), Princeps Serenissime, gesta gloriosa recte studeas imitari. Rozdz. IV, Tamże, IV, 172.

3) Sed nostra communitas, proh dolor, non victoriae triumphum de hostibus, sed praedam de bonis ecclesiae Dei ausu sacrilego reportare nititur. Rozdz. XII, Tamże IV, 188.

się w czasie niniejszéj wojny wielokrotnie, po raz pierwszy, jak nas poucza Długosz, we wrześniu 1454 r., w przeddzień wymuszenia przywileju cerekwickiego i klęski chojnickiéj. Autor musiał tedy pisać swój traktat już po tym wypadku.

Dalszą wskazówkę stanowi wzmianka o zapłacie żołdu zaciężnikom czeskim. Żołd ten wypłacano oczywiście, — o ile starczyły pieniądze — już od samego rozpoczęcia wojny, atoli z rozmaitych funduszów, a mianowicie początkowo ze zwyczajnych dochodów skarbu królewskiego, późniéj zaś z nadzwyczajnych poborów uchwalanych przez zjazdy i sejmiki. Żołd, o którym mówi autor, uiszczony został z tego ostatniego źródła. „Służbę ich (zaciężników czeskich) opłacono znacznemi sumami, na które uboga ludność tego kraju pracować musiała w pocie czoła"[1]. To powiedzenie odnosi się najwidoczniéj do jakiegoś znaczniejszego na kraj nałożonego podatku, który silniéj dotknął interesów materyalnych ludności. Pierwszym takim podatkiem w ciągu niniejszéj wojny był pobór wiardunkowy, przyzwolony przez szlachtę w obozie pod Łaszynem w zimie roku 1454/5, wybierany dopiero w lutym roku 1455[2]), z czego wnioskować należy, że traktat conajmniéj dopiero po téj dacie mógł być przez autora spisanym.

W ogóle z całéj treści naszego pisma widać, iż w chwili, kiedy ono powstawało, wypadki wojny trzynastoletniéj rozwinęły się już znacznie a zarazem i groźnie dla Polski. Autor wielokrotnie wspomina o wielkiém niebezpieczeństwie ojczyzny[3]), o jéj niepowodzeniach[4]), o jéj ruinie i upadku[5]), wyraża się obrazowo, iż miecz nieprzyjaciół już we wrotach Rzeczypospo-

---

[1]) Ipsorum (Bohemorum) ...servitium non modicis summis, sudore pauperum huius patriae incolarum acquisitis, nostrates persolverunt. Rozdz. XI, Tamże, IV, 186.

[2]) Długosz, Hist. Pol. V, 198.

[3]) Necesse igitur est... tanto Regni periculo occurrere. Rozdz. X, Mon. Pol. IV, 182.

[4]) Non est, qui patriae discrimina attendat. Rozd. XI, Tamże, IV, 185.

[5]) Miserabilem patriae ruinam non advertunt. Rozdz. XI, Tamże, IV, 183.

litéj połyskuje[1]), że niepowodzenia tak ją przygnębiły, iż w braku szybkiéj pomocy zginie[2]). Takie słowa nie mogły być pisane przed klęską chojnicką, kiedy Polska odniosła kilka sukcesów nad Zakonem, a wszyscy oddawali się najlepszéj nadziei pomyślnego i szybkiego zakończenia wojny; takie słowa byłyby nawet przedwczesne zaraz po bitwie chojnickiéj, w któréj wojsko polskie poniosło wprawdzie klęskę i okryło się wstydem, ale która sama przez się nie uczyniła jeszcze położenia Polski rozpaczliwém; takie słowa mogły być wypowiedziane dopiero pod wrażeniem całego szeregu niepowodzeń, jakich Polska doznała w ciągu kilku dalszych miesięcy w następstwie klęski chojnickiéj. Jakoż w istocie na inném miejscu wspomina autor o utracie wielu twierdz i warowni, miast i miasteczek w Prusiech na rzecz Krzyżaków[3]). Nie mamy niestety podanych nazwisk tych utraconych miejscowości, iżbyśmy na podstawie téj wzmianki mogli pewniejsze wyprowadzić wnioski o dacie; z uwagi jednak, że autor wyraźnie zaznacza utratę wielu ważnych warowni, przypuścić można, że pisze już conajmniéj w marcu lub kwietniu 1455 roku, gdyż właśnie najbliższe po klęsce chojnickiéj półrocze jest tym nieszczęśliwym w niniejszéj wojnie okresem, w którym wiele ważnych fortec pruskich dostało się w ręce Krzyżaków. Gdybyśmy zaś pod tę wzmiankę podciągnęli także utratę najważniejszéj twierdzy, Królewca, w takim razie nie moglibyśmy traktatowi nadać wcześniejszéj daty nad lipiec 1455 r.

To ostatnie przypuszczenie zyskuje wiele na prawdopodobieństwie, jeżeli uwzględnimy inną jeszcze wzmiankę w traktacie. Podaje autor, iż dość już znaczny czas upłynął

---

1) Inimicorum stridens mucro coruscat in ianuis. Rozdz. XI, Mon. Pol. IV, 184.

2) Iam extrema urget necessitas, ut nostrae Reipublicae succurratur; nisi enim vestra succurrat miseratio, nisi tam obstrangulatae Reipublicae relaxetur per vos spiraculum, suffocari necesse est. Rozdz. XI, Tamże, IV, 187.

3) Quot enim in angusti temporis curriculo nedum castella, immo castra, nedum oppida sed et urbes ipsi Bohemi in Prussia perdidere. Rozdz. XI, Tamże, IV, 186.

od chwili, kiedy Polacy, przychwyceni „jakoby świnia w karmniku“ stali się przedmiotem widowiska pożałowania godnego, z którego naigrawali się nieprzyjaciele[1]). Jest tu oczywiście mowa o jakimś niepomyślnym wypadku wojennym, gdzie wojsko polskie (lub téż część jego) wziętém zostało do niewoli nieprzyjacielskiéj. Nie podaje niestety autor, zwykłym sobie sposobem ogólnikowego wyrażania się, nazwiska miejscowości, w któréj wypadek ten zaszedł, z drugiéj zaś strony nie znamy tak szczegółowo historyi wszystkich bitw i potyczek, jakie w tym czasie stoczono, ażebyśmy z wzmianki owéj wysnuć mogli niezawodne wnioski. Jest wszelako wielkie prawdopodobieństwo, że autor ma tu na myśli bitwę chojnicką. Przemawia za tém już sam ten wzgląd, że tak niejasna wzmianka, bez bliższego określenia okoliczności czasu i miejsca, nie mogła być nawiązywaną do jakiegoś faktu podrzędniejszego znaczenia; przeciwnie, musiał tu autor mieć na myśli jakiś fakt ważniejszy, powszechnie znany, o którym z góry mógł przypuszczać, że pod tą nie całkiem wyraźną alluzyą zaraz zostanie odgadniony. Takim zaś faktem była przedewszystkiém bitwa chojnicka. To przypuszczenie popiera znakomicie opowiadanie Długosza o téj bitwie, z którego wynika, że w istocie część wojska polskiego dostała się do niewoli nieprzyjacielskiéj, i co ciekawsza, że ci jeńcy stali się przedmiotem pośmiewiska zarówno pomiędzy Polakami, jako téż i u nieprzyjaciół[2]); zda się, jak gdyby obaj autorowie o tym komicznym efekcie wypadku z jednego źródła byli poinformowani. Godząc się na to przypuszczenie, zyskujemy nową podstawę do ustalenia daty traktatu; jeżeli bowiem autor nadmienia, iż od chwili stoczenia bitwy chojnickiéj upłynął już znaczniejszy przeciąg czasu (non angustum lapsum est temporis spatium), to musimy stąd wy-

---

[1]) Unde non angustum lapsum est temporis spatium, quod nostrates, proh dolor, tamquam sus in volatabro deprehensi, luctuosum hostibusque ridiculosum de se praebuerunt aspectum. Rozdz. XII, Mon. Pol. IV, 188.

[2]) Magno apud proprios et hostes patebant ludibrio. Długosz, Hist. Pol. V, 187.

prowadzić wniosek, iż chwilę powstania traktatu przesunąć należy jaknajdaléj od daty bitwy chojnickiéj, o ile inne względy zbytniemu przesunięciu nie będą stały na zawadzie. Jeżeli zaś wzmiankę tę zechcemy odnieść do jakiegokolwiek innego wypadku wojennego, to argumentacya powyższa w niczém nie straci na wartości, gdyż ten inny wypadek musiałby być jeszcze późniejszym, aniżeli sama bitwa chojnicka.

Na tém urywają się wszelkie pewniejsze wskazówki, jakich nam traktat dostarcza do ustalenia początkowéj granicy daty jego powstania. Rozchodzi się tylko jeszcze o granicę końcową. Ponieważ, jak widzieliśmy, traktat odpisywany był już w maju 1456 r., przeto rzecz oczywista, że musiał być napisany jeszcze przedtém. Czy jednak pomiędzy datą spisania a skopiowania jego upłynął dłuższy, czy téż bardzo tylko krótki przeciąg czasu, oto pytanie, do którego rozwiązania nie wiele mamy podstaw. Jedynéj pewniejszéj wskazówki dostarcza nam okoliczność, o któréj już poprzednio wspomnieliśmy, iż traktat pisany był widocznie pod wrażeniem największego przygnębienia umysłów w Polsce, kiedy państwo doznawało jednego niepowodzenia po drugiém i bliskiém było, jak sam autor powiada, ruiny. Tymczasem wiadomo, że już w lutym 1456 r. odniosły wojska polskie zwycięstwo pod Brodnicą i w kilku innych miejscach; jakkolwiek zaś zaprzeczyć nie można, iż strategiczne znaczenie tych zwycięstw nie było wielkiém, a położenie wojenne Polski nie polepszyło się znacznie, to jednak niewątpliwie musiały one przyczynić się do podniesienia ducha w narodzie, któremu to nastrojowi ponury koloryt traktatu nie bardzoby już odpowiadał. Na co jeżeli się zgodzimy, to będziemy musieli przypuścić, iż traktat nie mógł powstać późniéj, jak w styczniu lub w początkach lutego 1456 r.

Taki jest ostateczny rezultat, do którego doprowadzić może rozbiór treści naszego pisma w sprawie ustalenia jego daty. Na czas pomiędzy lipcem 1455 r. a lutym 1456 r. przypada według wszelkiego prawdopodobieństwa chwila powstania traktatu. Zobaczymy późniéj, iż traktat ten, do tego

właśnie odniesiony czasu, najdokładniéj odpowiada stosunkom ówczesnym i najwygodniéj da się pomieścić w ramach wypadków, jakie podówczas zaszły.

IV.

Traktat Henryka z Góry, podzielony przez samego autora na trzynaście dłuższych lub krótszych rozdziałów, z których każdy opatrzony jest osobnym nadpisem, rozpada się na dwie wybitnie od siebie różniące się części; jedna, obejmująca dziesięć pierwszych rozdziałów, zajmuje się uzasadnieniem konieczności i słuszności wojny pruskiéj; druga, złożona z dwóch dalszych rozdziałów, dotyka z kilku stron ówczesnych wewnętrznych stosunków polskich; rozdział ostatni jest epilogiem, w którym autor wyjaśnia pobudki, jakie go do napisania traktatu skłoniły, usprawiedliwia braki, jakie się w nim znachodzą.

Nadawszy pismu swemu formę memoryału wystosowanego do króla Kazimierza, rozpoczyna Henryk z Góry rzecz swą od ściślejszego określenia obowiązków panującego. Kogo zrządzenie Opatrzności postawiło na czele państwa, zwłaszcza tak sławnego jak Polska, ten powinien wszystkie siły swojego umysłu, wszystek czas, którym rozporządza, jedném słowem całego siebie poświęcić wyłącznie tylko zapewnieniu pomyślności i spokojności ludu swojego, a zarazem uchyleniu wszystkich nieprzyjaznych zamachów, jakie wyjdą skądkolwiek przeciwko niemu. Władza ma obowiązek utrzymywać w karbach wszystkie niebezpieczne i szkodliwe tendencye, inaczéj nie będzie warunków do istnienia sprawiedliwości na świecie. Do tego celu nie zawsze można zmierzać środkami łagodnymi; niejednokrotnie potrzeba tu środków gwałtownych, surowych.

Surowość? Ależ Pismo św. z zasady ją potępia, tak często wzywa nas do cierpliwości, do znoszenia udręczeń i prześladowania, uderzonemu w policzek każe nastawiać drugi do uderzenia. Zapewne; ale jak tłómaczą Ojcowie kościoła, przepisy te dotyczą raczéj wewnętrznego sposobienia

ducha, aniżeli okazywania go na zewnątrz przez czyny. Wszak Chrystus, który był wzorem cierpliwości, uderzony w twarz, nie poddał się dobrowolnie dalszemu znieważaniu, owszem zabronił go stanowczo. Zresztą trzeba rozróżnić rozmaitość stosunków. Osoba prywatna, znosząc krzywdy i prześladowania z chrześcijańską cierpliwością, może przez to dać dowód doskonałości; ale gdyby w ten sposób chciał postępować ten, kto z tytułu funkcyi publicznéj ma obowiązek dobrych ochraniać, złych karać, sprawiedliwości bronić, od poddanych krzywdę odwracać, zaiste cierpliwość jego nie zasługiwałaby na miano doskonałości, byłaby godną potępienia. Owszem, powinien on wszędzie bronić sprawiedliwości, choćby nawet wypadło srogo postąpić z winnym, choćby go nawet wypadło zabić lub zniszczyć. Wszak Mojżesz powalił Egipcyanina za krzywdę wyrządzoną swemu ziomkowi, wszak Chrystus wypędzał niecnych przekupniów z świątyni, wszak nawet Bóg zniszczył Sodomę i Gomorę za ich nieprawości. Dla łotra zawieszonego na szubienicy srogim wydać się może sędzia, ale ten sędzia, usuwając zbrodniarza, wyświadcza dobrodziejstwo społeczeństwu. Tak też i królów obowiązkiem jest stać silnie na straży praw, które zabezpieczają sprawiedliwość, a w razie naruszenia ich chwycić się wszelkich możliwych środków, choćby najgwałtowniejszych, choćby nawet wojny, byleby tylko sprawiedliwości stało się zadość. Boć czémże grzeszy się w wojnie? Czy tém, że giną ci, którzy bądź co bądź kiedyś umrzeć muszą? Za cenę tę mają potém zapewniony pokój ci, którzy zwyciężą. Z innego punktu widzenia należy tu oceniać kwestyą winy. Kto prowadzi wojnę dla tego tylko, aby drugiemu szkodzić, aby na nim wywrzeć zemstę, aby zdobyć władzę, ten grzeszy; ale kto ją prowadzi dla tego, aby złych ukarać, dobrym dodać otuchy i zapewnić im pokój, ten nie grzeszy. Niesprawiedliwa wojna jest zakazaną; dozwoloną jest wojna sprawiedliwa.

Czy wojna, jaką teraz Polska prowadzi z Zakonem jest sprawiedliwą? — oto, jak zapewnia autor, pytanie, co do

którego w kraju istnieją pewne wątpliwości. Jeżeli jednak z tego względu powstają skrupuly, czy ją należy popierać skutecznie, to skrupuły te nie mają żadnéj podstawy. Dwojaki może być powód, dla którego ktoś bierze udział w wojnie: albo czyni to z własnéj, dobréj woli, bez jakiéjkolwiek pobudki działającéj z zewnątrz; albo téż z obowiązku posłuszeństwa, do którego jako poddany wobec panującego jest zobowiązany. Kto własnowolnie wojnę rozpoczyna albo ją popiera, ten musi być koniecznie przekonany o jéj słuszności i sprawiedliwości, inaczéj dopuszcza się grzechu; dopuszcza się go zatém nie tylko wtedy, kiedy ma z góry wyrobione przekonanie, że wojna jest niesprawiedliwą, ale nawet i wtedy, kiedy w umyśle jego rodzą się pod tym względem chociażby tylko jakieś wątpliwości. Wszelako w obecnym wypadku wzgląd ten nie ma praktycznego znaczenia, bo wojnę rozpoczął król, panujący; naród, który bierze w niéj udział, spełnia przez to tylko obowiązek posłuszeństwa wobec niego. A w takim razie inaczéj niż poprzednio ocenia się kwestya jego winy. Winnym byłby on tylko wtedy, gdyby miał stanowcze przeświadczenie o niesprawiedliwości wojny, gdyż Boga zawsze więcéj słuchać trzeba, aniżeli ludzi, a grzechu nie wolno popełniać świadomie, ktokolwiek doń nawodzi; wtedy nieposłuszeństwo wobec rozkazów panującego byłoby nie tylko uzasadnionèm, ale nawet koniecznèm. Ale jeżeli się ma tylko wątpliwość, czy wojna jest sprawiedliwą, nie powinno się od niéj usuwać, bo pierwszym obowiązkiem poddanych jest posłuszeństwo wobec panującego, a pierwszém jego prawem możność wydawania rozkazów, które powinny być wykonywane. Za taką wojnę całą odpowiedzialność bierze na siebie król, nie biorą żadnéj poddani; jeden może być winnym, drudzy żadnéj nie ściągają na siebie winy. Toż kiedy w Polsce nie ma stanowczego przeświadczenia o niesprawiedliwości wojny, kiedy stnieje pod tym względem tylko niepewność, nie można wątpić ani na chwilę, że ją wszyscy skutecznie poprzeć winni[1].

---

[1]) Rozdz. I, Mon. Pol. IV, 158—164.

Ale czy ta wątpliwość o sprawiedliwości wojny jest choćby w części tylko uzasadnioną? Zajrzyjmy do dziejów — autor przechodzi tu szczegółowo historyą stosunku Polski do Krzyżaków od chwili powołania ich aż do czasów najnowszych — a rzecz ta wyjaśni się w zupełności. Osadzony na ziemi polskiéj, obdarowany krajem polskim, ziemią chełmińską, w tym jedynie celu, ażeby wspierać naród w walce z sąsiednimi pogańskimi ludami, czémże odwdzięczył się Zakon za te dobrodziejstwa? Całe jego postępowanie wobec Polski składa się na wielki nieprzerwany łańcuch ciągłych niewdzięczności, podstępów, niegodziwości. Niewdzięcznością był zabór Pomorza i bezprawne zatrzymanie ziemi michałowskiéj, niewdzięcznością związek z Janem czeskim i dwukrotne zajęcie Dobrzynia, niewdzięcznością wielokrotne pustoszenie krajów polskich ogniem i mieczem i cały szereg innych krzywd, jakich się wobec Polski dopuszczał; podstępem łamanie umówionych zawieszeń broni, przyjmowanie sądów polubownych i nieposłuszeństwo wobec wydanych przez nie wyroków, jeżeli były niekorzystne; niegodziwością oszczerstwa miotane na Jagiełłę przed konstancyjskim soborem[1]) Cóż sądzić o całym szeregu traktatów, jakie zawarł Zakon z Polską? Wszystkie one były niesprawiedliwe i podstępne, boć sprawiedliwa ugoda wymaga, aby każdemu oddać co jego, a Zakon nie zwrócił nigdy tego, co się należało Polsce. Cała jego wdzięczność rozwiała się z chwilą, kiedy poczuł silny grunt pod nogami, za łaskę zapłacił nienawiścią, za przyjaźń obłudą, za dobroć srogością, za wierność wiarołomstwem, za dobrodziejstwa tyranią. Nie uznając błędów, do jednéj zbrodni przydawał drugą i w ten sposób stawał się coraz niebezpieczniejszym dla państwa. Cóż więc dziwnego, że to państwo chciałoby go teraz w proch zetrzeć, że tę suchą, szkodliwą latorośl, zaszczepioną na własnym gruncie, pragnęłoby wyciąć, ten chwast nad miarę wybujały wyrzucić? Jakim kto mieczem wojuje, od niego winien zginąć. Każdy ma prawo gwałt

---

[1]) Rozdz. II i III, Mon. Pol. IV, 165—172.

odeprzeć gwałtem; nie miałażby mieć Polska tego prawa wobec Krzyżaków? Miałażby jéj wojna z Zakonem być niesprawiedliwą? Któż rozumny zgodzi się na to przypuszczenie?[1])

Niewątpliwie tedy sprawiedliwą jest ta wojna ze stanowiska etyki, moralności, sumienia. Ale czy jest uzasadnioną ze stanowiska prawa? Boć przecie Zakon nabył te ziemie, w których posiadaniu znajdował się aż do ostatniéj chwili, drogą rozmaitych tytułów prawnych. Wojna, któréj ostatecznym celem jest odebrać te ziemie, nieuznająca owych tytułów prawnych, jestże tedy sprawiedliwą?

Pytanie to rozbiera autor z osobna ze względu na ziemie darowane, t. j. ziemię chełmińską, z osobna ze względu na te ziemie, które początkowo wprawdzie bezprawnie zagarnięte zostały przez Zakon, które mu jednak późniejsze traktaty z Polską zawarte przyznały, t. j. ziemie pomorską, michałowską i toruńską.

Darowizna, jak każdy inny kontrakt, skoro raz już przyjdzie do skutku, jest w zasadzie niewzruszalną. Ale dla niewdzięczności obdarowanego prawo dozwala ją odwołać. Dekretały papieskie rozróżniają cztery rodzaje niewdzięczności, dla których takie odwołanie jest dozwoloném: naprzód, kiedy obdarowany na darującego ściągnie swą rękę, powtóre, kiedy mu wyrządzi ciężką krzywdę, po trzecie, kiedy mu znaczną szkodę zrządzi w jego majętności, wreszcie kiedy na jego życie nastaje. We wszystkich tych kierunkach Zakon zawinił wobec Polski; z wszystkich tych powodów można tedy darowiznę odwołać. Atoli prawo kościelne i nauka kanonistyczna czynią pewne zastrzeżenia, które wniosek ten zdawałyby się obalać: darowizna uczyniona na rzecz kościoła nie może być odwołaną z powodu niewdzięczności, przedmiot darowany nie może być napowrót ściągnięty przez darującego. Byłoby bowiem niesprawiedliwością, gdyby dla winy poszególnych jednostek, chwilowo urząd kościelny piastujących, kościół,

---

1) Rozdz. V, Mon. Pol. IV, 173—175.

jako taki, miał ponosić szkodę; nie mniéj też byłoby rzeczą niewłaściwą, gdyby przedmioty raz już służbie Bożéj poświęcone miały powracać do użytku ludzkiego. W tym wypadku więc należy tylko usunąć beneficyata, który się dopuścił niewdzięczności, a w miejsce jego postawić innego, ale rzeczy darowanych kościołowi odbierać nie wolno. Stosując tę zasadę do sprawy, o którą właśnie chodzi, należałoby tedy powiedzieć, że Polsce nie przysługuje prawo rewindykacyi ziemi chełmińskiéj, że może tylko usunąć Zakon krzyżacki, jako winny niewdzięczności, w miejsce zaś jego osadzić inny zakon, odmiennéj narodowości, któryby obowiązki swoje względem Polski lepiéj rozumiał i sumienniéj spełniał. To wszystko oczywiście tylko pod warunkiem, jeżeli się przypuści, że Zakon krzyżacki ściśle jest złączony z kościołem i wyraźnie przezeń potwierdzony, że więc jedném słowem jest instytucyą zakonną kościelną. Ale czy nią jest? — oto pełne znaczenia pytanie, które rzuca autor i na które odpowiada nie stanowczém wprawdzie zaprzeczeniem, ale słowami powątpiewania, cho téj wątpliwości swojéj bliżéj nie uzasadnia. Jeżeli nią nieć jest, to darowizna już dla przytoczonych poprzednio powodów snadnie odwołaną być może, przyczém obecny rząd krzyżacki nie może się nawet zasłaniać zarzutem, iż czynów objawiających niewdzięczność dopuścił się nie on, ale jego poprzednicy, bo każdy, kto wstępuje w posiadanie rzeczy po kimś innym, posiada ją z temi samemi wadami, co i poprzednik. Cóż jednak, jeżeli Zakon jest instytucyą wyraźnie przez kościół zatwierdzoną? Czy wtedy Polska ziemi chełmińskiéj żadną już miarą odzyskać nie może? Tutaj uwzględnić jeszcze należy następującą okoliczność. Darowizna może być bezwarunkową albo warunkową. Jeżeli jest warunkową, naówczas zastrzeżenie do niéj dołożone, jeżeli tylko nie jest przeciwném prawu, musi być przez obdarowanego koniecznie spełnioném, bez względu na to, czy obdarowanym jest jakaś osoba prywatna lub instytucya świecka, czy téż sam kościół; w przeciwnym razie darowizna odwołaną być może. Otóż historya wykazuje, iż ziemia chełmińska darowaną została Krzyżakom

pod warunkiem obrony granic państwa i świadczenia przyjaznych usług na rzecz jego; taż sama historya poucza jednak, że Krzyżacy nie tylko warunków tych nie spełnili, ale nadto państwu ciągłe wyrządzali krzywdy. Darowizna z powodu niespełnionego warunku jest zatém odwołalną, choćbyśmy się nawet zgodzili na przypuszczenie, że Zakon jako taki jest instytucyą autoryzowaną przez kościół.

Z jakiegokolwiekbądź tedy punktu widzenia ocenimy sprawę, tyle nie ulega wątpliwości, że Polska ma pełne prawo rewindykacyi darowanego terrytoryum, t. j. ziemi chełmińskiéj[1]).

Jeszcze prościéj przedstawia się sprawa ziemi pomorskiéj, michałowskiéj i toruńskiéj. Już w tém leży ujemna strona tytułu prawnego Krzyżaków, iż ziemie te zagarnięte zostały przez gwałt i podstęp. Wprawdzie w późniejszych traktatach, stwierdzonych obustronną przysięgą, prawo do posiadania tych ziem zostało wyraźnie przyznaném Zakonowi; czy jednak te traktaty mają moc obowiązującą? Przypuśćmy na chwilę, że już w saméj treści ich nie tkwi powód nieważności, to zawsze jeszcze zapytać należy, czy przysięga, jaką na nie wykonano, dotrzymaną być winna? Jest inna przysięga, którą król składa przy koronacyi, téj treści, iż wszelkich praw swojego królestwa ściśle przestrzegać będzie i naruszyć ich nie pozwoli; jest przysięga senatorów, którą przyrzekają, iż rad swoich udzielać będą dla dobra Rzeczypospolitéj. Stąd wynika, że król wraz z senatorami, a więc każdoczesny rząd, może wprawdzie w traktatach zamieszczać postanowienia, zmierzające do przysporzenia korzyści państwu, ale nie może zamieszczać takich, które mu przynoszą szkodę. Przysięga, którą stwierdzono traktaty z Zakonem, odstępując mu na szkodę państwa ziemie polskie bezprawnie zabrane, stała tedy w oczywistéj sprzeczności z przysięgą królewską i senatorską, składaną przy objęciu rzeczonych godności. Takiéj przysięgi dotrzymywać nie ma najmniejszego obowiązku; cały szereg przepisów ka-

---

1) Rozdział VI—VIII, Mon. Pol. IV, 175—178.

nonicznych, z którymi zgadzają się także liczne opinie uczonych, dozwalają, co większa, wzywają nawet do niedotrzymania przysięgi, którą przyrzeczono lub uświęcono coś niedozwolonego lub niemoralnego, którą ubliżono godności własnéj, która wykracza przeciw dobrym obyczajom lub przepisom prawa, a cóż dopiero przeciwko złożonéj poprzednio ważnéj przysiędze. Wszak nie na to religia i prawo postawiły tak wysoko świętość przysięgi, ażeby nią pokrywać nieprawości.

Ważniejsza rzecz inna. Król i senat w stosunku do państwa zajmują takie samo stanowisko, jak opiekun wobec pupila; otóż podobnie jak opiekun nie może zawierać umów na szkodę pupila, tak też i rządowi zabrania prawo wchodzić w układy szkodliwe dla państwa. Czynność zaś przeciw prawu zdziałana nie ma znaczenia w prawie. Tak więc traktaty zawarte z Zakonem są już same w sobie, przez wzgląd na swą treść, nieważne. Nieważne są także wyroki, wydane ongi przez Zygmunta Luksemburczyka na korzyść Zakonu, gdyż były niesprawiedliwe, a niesprawiedliwy wyrok według zasad kanonicznego prawa żadnéj nie ma mocy wobec skazanego.

Odpadają tedy wszystkie skrupuły, jakieby odzyskaniu wspomnianych ziem mogły stać na przeszkodzie z powodu zawartych traktatów; pozostaje tylko nagi fakt bezprawnego zaboru ich przez Zakon, jak nie mniéj wynikające stąd niewątpliwe prawo Polski do wystąpienia przeciwko temu bezprawiu. Co większa, jest to nie tylko prawo, ale i obowiązek zarazem. Utrata ziem pomorskiéj, michałowskiéj i toruńskiéj stanowi uszczuplenie terrytoryum państwa, jest naruszeniem praw, jakie mu przysługują; gdy zaś król i senat w myśl przysięgi, jaką składają przy objęciu swéj władzy, biorą na siebie zobowiązanie przestrzegania praw państwa, przeto nie może ulegać wątpliwości, iż cięży na nich konieczny obowiązek odzyskania tych utraconych dziedzin polskich. Że tego nie uczynili poprzedni królowie, poprzednie rządy, że owszem traktatami zdawali się uprawniać bezprawny zabór, to nie wchodzi wcale w rachubę ani nie powinno tamować swobo-

dnego działania obecnego rządu; bo każdy następca powinien dążyć do naprawienia błędów popełnionych przez jego poprzedników; czego jeżeli nie uczyni, staje się sam za to odpowiedzialnym[1].

W ostatecznym rezultacie wynika tedy, iż roszczenia Polski do ziem polskich przez Zakon z jakiegokolwiek bądź tytułu posiadanych są w zupełności usprawiedliwione; zaczém téż i wojna do odzyskania tych ziem zmierzająca ze stanowiska prawa zupełnie da się uzasadnić, podobnie jak się dała uzasadnić ze stanowiska nauki moralnéj. Jedném słowem, wojna jest pod każdym względem sprawiedliwą; wszelkie wątpliwości, wszelkie skrupuły, jakie w téj mierze czuje społeczeństwo, powinny upaść same z siebie. Niechętnych należy nawet wbrew ich woli pociągnąć do walki, a walkę samę prowadzić z należytą energią, ażeby nie stanąć w połowie rozpoczętéj pracy, a zarazem dać światu odstraszający przykład, jakie skutki pociąga za sobą niewdzięczność i przewrotność[2].

V.

Rozważając treść i tendencyą pierwszéj części traktatu, nie bez słuszności zapytać można z pewném zdziwieniem, gdzie leży powód, że autor tyle poświęcił uwagi i pracy udowodnieniu tezy, iż wojna jest sprawiedliwą, a roszczenia Polski do Zakonu uzasadnione? Gdyby przeznaczeniem tego pisma było służyć za wywód prawny pretensyj polskich przed jakimkolwiek z sądów rozjemczych, do jakich się dawniéj i późniéj wielokrotnie uciekano dla załatwienia sporu, naówczas treść ta i dążność byłyby dla nas całkiem zrozumiałe, bo w istocie przed sądami tymi, ile ich tylko było, obracano się zawsze około pytania, czy jednéj, czy też drugiéj stronie przysługuje prawo posiadania ziem spornych. Ale traktat Henryka z Góry nie w tym celu był pisany; było to pismo ulotne, broszura, jakbyśmy ją dziś

[1] Rozdział IX, Mon. Pol. IV, 178—182.
[2] Rozdział X, Mon. Pol. IV, 182.

nazwali, nosząca wprawdzie na zewnątrz cechy memoryału przedstawionego królowi, w rzeczywistości jednak przeznaczona do rozpowszechnienia pośród społeczeństwa polskiego, do oddziałania na jego opinią i przekonania, do wywołania szerszéj dyskusyi nad tematem omówionym[1]). Czyż temu społeczeństwu trzeba było tłómaczyć i udowadniać sprawiedliwość wojny z Zakonem i słuszność pretensyj polskich przeciw niemu podnoszonych, czy odczuwało ono potrzebę omawiania tego przedmiotu? Jak daleko tylko sięgniemy wstecz w historyi wzajemnego stosunku Polski do Zakonu, nie znajdziemy podobno t a k i e g o pytania, podniesionego kiedykolwiek na seryo, i słusznie: boć trudno sobie wyobrazić Polaka, który znając chociażby tylko powierzchownie przewrotną i wrogą, a zarazem tyle niebezpieczną politykę Krzyżaków, mógłby powiedzieć z ręką na sercu i z głębi przekonania, że jakakolwiek wojna z Zakonem jest niesprawiedliwą, albo któryby z tego względu podnosić mógł przynajmniéj jakieś wątpliwości. Zresztą byłoby to zjawiskiem, świadczącém conajmniéj o niepospolitéj naiwności politycznéj, na którą w Polsce XV wieku było już za późno, nawet pośród przeciętnych składników społeczeństwa, gdyby w toku tak ważnego przedsięwięcia nieobliczalnéj doniosłości dla państwa, jakiém była tocząca się właśnie wojna, kwestya słuszności lub niesłuszności, ściśle teoretyczna. bez żadnego znaczenia praktycznego, mogła być rzuconą z naciskiem na szalę ówczesnéj polityki polskiéj. Więc chyba nie było podówczas ludzi, którzyby na seryo zadawali sobie pytanie o sprawiedliwości wojny, którzyby na seryo w niesprawiedliwość jéj wierzyli. A jednak pisarz zapewnia nas, że takich ludzi było wiele, że cała opinia podzieliła się na dwa niejako obozy, z których jeden uważał wojnę za sprawiedliwą, a drugi za niesprawiedliwą i że nawet nad tym przedmiotem szeroko pod-

---

[1]) **Sufficit enim mihi... quod aliis peritioribus quandam occasionem et quoddam incitamentum hoc negotium plenius discutiendi dedi. Rozdz. XIII, Mon. Pol. IV, 191.**

ówczas rozprawiano[1]). Jestże to ze strony pisarza, niewinne tylko zmyślenie dla wyszukania tematu do dłuższéj rozprawy; niewczesna walka z urojonymi wiatrakami, akademicka dyssertacya nad zrodzonym w jego mózgownicy zarzutem, który nie miał żadnéj rzeczywistéj podstawy? Cokolwiekbądź za tém przypuszczeniem powiedziećby chciano, tyle nie ulega wątpliwości, że byłoby ono w najlepszym razie wielce nieprawdopodobném. Z rozbioru drugiéj części traktatu przekonamy się, że nic bardziéj nie było pisarzowi obcém, jak chęć omawiania wymyślonych, niepraktycznych tematów, że te swoje uwagi pragnął on zastósować do istniejących, dotykalnych, rzeczywistych stosunków, że z nich właśnie pełną dłonią zaczerpnął materyału do swéj pracy. Więc chyba w istocie miał powód do zwalczania owéj opinii o niesprawiedliwości wojny, chyba w rzeczywistości zarzut taki w owych czasach podnoszono. Jakże wytłómaczyć sobie to dziwne zjawisko?

Trzeba przedewszystkiém pamiętać o tém, że chwila, w któréj traktat jego powstaje, jest chwilą największego upadku i przygnębienia narodowego ducha skutkiem całego szeregu klęsk i niepowodzeń, jakie po bitwie chojnickiéj przyniosła ze sobą wojna. Pod wpływem tych ciosów, jak zwykle bywa w podobnych wypadkach, energia i gorączkowość, z jaką się początkowo społeczeństwo jęło całéj sprawy, musiały znacznie osłabnąć, zmienić się w apatyą. Po chwilach radosnego uniesienia przyszła chwila gorżkiéj rozwagi, w któréj przeceniając może nawet niebezpieczeństwo, zaczęto się zastanawiać nad trudnością położenia Polski i potrzebą nadzwyczajnych ofiar, jakich dalsza wojna wymagać będzie. W takich chwilach w umysłach słabszych powstaje nieufność we własne siły, niechęć do ponoszenia dalszych ofiar, małoduszna polityka ratowania tego, co jeszcze nie stracone, chęć cofnięcia się w połowie rozpoczętéj pracy. Ale jakże ten zwrot uspra-

---

[1]) Sed quia plerisque viribus diligentissime perscrutatur, an his temporibus Regnum Poloniae iustum gerat bellum contra praefatos Cruciferos, quibusdam dicentibus quod sic, quibusdam vero non. Rozdz. I, Mon. Pol. IV, 162.

wiedliwić? Przyznać się do własnéj bezsilności, rzecz niezaszczytna, uzasadniać go względami politycznymi, niemożliwa, bo właśnie te względy domagały się z największym naciskiem dalszego prowadzenia wojny; więc chyba wynaleść kruczek etyczny i prawny, powiedzieć, że te ziemie, o których rewindykacyą obecnie chodzi, są niewątpliwą własnością Zakonu, boć jedne zostały mu darowane, drugie traktatami odstąpione, i zawnioskować stąd: Wojna niesprawiedliwa! Kara Boża dotyka oręż polski niepowodzeniem za to, żeśmy sięgnęli po cudze!

Ważniejsza rzecz inna, że pismo Henryka z Góry powstaje w Krakowie, w samém sercu Małopolski, téj dzielnicy, która stosunkowo najmniéj miała bezpośredniego interesu popierania sprawy, która pobory uchwalone na zjazdach powszechnych przyjmowała zawsze niechętnie, a jeśli je przyjmowała, to z pewnemi zastrzeżeniami albo za cenę ważnych politycznych ustępstw. Tutaj nie potrzeba było nawet owego braku zaufania we własne siły, upadku ducha; wystarczyła zasadnicza niechęć przeciwko ponoszeniu znacznych materyalnych ofiar, których nie spodziewano się dobrze skapitalizować. Trzeba więc było znaleść dla opinii jakiś wybieg, ażeby tę niechęć swoję uzasadnić, a któryż był łatwiejszym i wygodniejszym nad ten, że wojna niesprawiedliwa?

Są to jednak tylko przypuszczenia, na które nie ma bezpośredniego dowodu w źródłach współczesnych, prócz chyba w samém piśmie Henryka z Góry. Ale jest dowód niewątpliwy na to, że przynajmniéj w pewnéj sferze ówczesnego społeczeństwa małopolskiego motyw niesprawiedliwości wojny podnoszony był wielokrotnie z całym naciskiem. Kiedy na Radzie królewskiéj roztrząsano po raz pierwszy kwestyą, czy poddanie się stanów pruskich przyjąć należy czy téż nie, wtedy to Oleśnicki, oświadczając się przeciw przyjęciu, uzasadniał swe zapatrywanie uwagą o nienaruszalności zaprzysiężonych traktatów z Krzyżakami[1]). Niebawem potém

[1]) Dissuadebat, contra foedus et iusiurandum, deditionem accipiendam esse. Długosz, Hist. Pol. V, 159.

w piśmie wystosowaném do króla powtórzył raz jeszcze, iż do odradzania wojny skłoniły go zarówno rozum, a więc względy polityczne, jako też i sumienie, a więc wzgląd na sprawiedliwość[1]). W dwa lata późniéj na zjeździe piotrkowskim jeden z profesorów krakowskich na podniesione przez Strzępińskiego zarzuty szeroko musiał dowodzić, że wojna jest sprawiedliwą. Miał Oleśnicki polityczne powody, dla których odradzał wojny, przestrzegał Strzępiński materyalnych interesów swojéj dyecezyi, kiedy chciał przeszkodzić zbytniemu podatkowaniu na jéj cele, ale obaj usuwają właściwe przyczyny swojéj opozycyi bardziéj wstecz, albo je nawet ukrywają, z szczególnym zaś naciskiem podnoszą sprawy téj stronę moralną i prawną, wysuwają ją naprzód, przed wszystkimi innymi względami. Podawanie w wątpliwość sprawiedliwości wojny pruskiéj stało się jednym ze środków politycznych ówczesnego episkopatu krakowskiego; że zaś ta wątpliwość nie ograniczyła się na samych tylko biskupach, że się rozszerzyła także na pewną, oczywiście najznaczniejszą część niższego duchowieństwa, że oddziałała w pewnéj mierze także na szlachtę małopolską, tego chyba dowodzić nie potrzeba.

Opinia o niesprawiedliwości wojny nie była tedy złudzeniem autora, istniała ona w rzeczywistości, i to przedewszystkiém w téj dzielnicy, w któréj pisał swój traktat; tylko że była opinią sztuczną, nie była przekonaniem wewnętrznem, jeno słowem bez przekonania, środkiem do pokrycia rozmaitych defektów ówczesnego życia publicznego, środkiem do przeprowadzenia różnych zamiarów ubocznych, do których nie miano odwagi przyznać się otwarcie. Można więc było przeciwko niéj walczyć z praktycznym celem na oku; a że téj walki podjął się właśnie nasz autor, w tém jego niepospolita zasługa, że w téj ziemi krakowskiéj, tyle do wojny i do ofiar na jéj potrzeby zniechęconéj, odezwał się wyraźnie i stanowczo pa-

---

[1]) Dictante ratione et conscientia. Pismo Oleśnickiego z maja 1454 r. Cod. epist. II, nr. 135.

tryotyczny głos, nawołujący do wytrwania i energii, że pojawiła się rozumna, miłością Ojczyzny natchniona polityczna rada, w tém traktatu jego niemałe znaczenie. Ale przypominać nie potrzeba, że ten traktat z tak wyraźnie zakreśloną tendencyą stanął w oczywistéj sprzeczności nie tylko z małoduszną polityką szlacheckiéj warstwy społeczeństwa małopolskiego, lecz także z polityką warstwy jego najwyższéj, małopolskiego senatu, zwłaszcza starszego, przedewszystkiém zaś z polityką członków jego duchownych. Byłże Henryk z Góry bezwzględnym zwolennikiem nowego kierunku rządów Kazimierza Jagiellończyka, podzielającym bez zastrzeżeń przekonania owéj drugiéj części senatu, która zmierzała do skutecznego poparcia wojny najenergiczniejszymi środkami, choćby kosztem istniejących immunitetów, jednêm słowem, byłże to jeden z tych „młodszych," „iuniores," w których ręku spoczywało podówczas kierownictwo spraw państwa? Na to pytanie niechaj odpowie sam autor swoim traktatem.

Na uwagę zasługuje przedewszystkiém stanowisko, jakie zajął wobec samego króla. W czasach, kiedy biskup krakowski mógł się czuć powołanym do odgrywania roli mentora wobec króla, do publicznego wypowiadania mu gorżkich morałów i nauk, kiedy jeden z dygnitarzów świeckich, niezadowolony z polityki jego, mógł mu grozić wypowiedzeniem posłuszeństwa, dobrą i zbawienną było rzeczą, iż się pojawiło zdanie, że król ma prawo rozkazywać, a poddani obowiązek słuchać[1]). Ale to zdanie nie było chyba niewzruszonêm przekonaniem samego autora, bo i on nie ogranicza się na prostém tylko przyjęciu do wiadomości bieżącéj polityki króla; wyraźnych zarzutów nie czyni mu wprawdzie nigdzie, ale widocznie z postępowania jego nie jest zadowolony, pragnąłby koniecznie jakiéjś zmiany na lepsze. Charakterystycznym jest już sam początek traktatu, w którym daje królowi lekcyą o obowiązkach panującego[2]), wielce ciekawém dalsze żądanie,

---

[1]) **Penes principem est iubendi auctoritas, in subditis vero obsequendi necessitas. Rozdz. I, Mon. Pol. IV, 163.**

[2]) **Rozdz. I, Mon. Pol. IV, 158.**

skierowane do Kazimierza, iż czas już byłby położyć koniec dotychczasowéj opieszałości[1]). Téj ostatniéj wzmianki niepodobna rozumieć jako zarzutu skierowanego osobiście do króla, boć wiadomą jest rzeczą, że pracował on z całém sił wytężeniem nad pomyślném ukończeniem sprawy; więc chyba ta opieszałość polegała w użyciu niewłaściwych środków, w zastosowaniu niewłaściwego sposobu do prowadzenia wojny, była zatém także jednym z błędów obecnéj działalności króla. Jaskrawsze od tych urwanych wzmianek światło na niezadowolenie autora rzuca inna okoliczność, na pozór nic nie mówiąca. Oto w miejscu, w którém pisarz przedstawia historyczną stronę stosunku Polski do Zakonu, czytamy bardzo obszerną charakterystykę Władysława Jagiełły, ciągnącą się przez cały (III) rozdział traktatu, zajmującą tyle niemal miejsca, ile go potrzeba było do omówienia całego dawniejszego stosunku począwszy od darowizny Konrada mazowieckiego aż do czasów Jagiełły. Skąd ta nieproporcyonalność układu, skąd to poruszenie tematu, który właściwie nie należał do rzeczy? Boć rzecz jasna, że jakkolwiekbądź wypadnie sąd o przymiotach osobistych i zasługach Jagiełły, to jednak nie przyczyni się on w niczém do wyjaśnienia pytania, o ile roszczenia Polski do ziem przez Zakon posiadanych są uzasadnione, o czém właśnie mówić należało na tém miejscu. Miał snać autor pewien uboczny cel, wplatając w swą pracę bez rzeczywistéj potrzeby tak obszerną charakterystykę Jagiełły i z celem tym nie kryje się nawet wcale. Podawszy charakterystykę, zwraca się do króla i wzywa go, ażeby we wszystkiém naśladował ojca, ażeby postępowanie jego postawił za wzór postępowania własnego[2]). Jakimże tedy w rozumieniu autora był ten Jagiełło? Jako człowiek doskonałość, jako król znakomitość. Bogobojny, sprawiedliwy, rozważny, miłosierny, pokorny, w na-

---

[1]) Excusso negligentiae somno, tanto Regni periculo occurrere. ...Decet igitur, ut tam venenosa negligentiae peste excussa incepto operi diligentius insistatur. Rozdz. X, Mon. Pol. IV, 182.

[2]) Rozdz. IV, Mon. Pol. IV, 172.

pojach powściągliwy, bogactw nieżądny, zbiorowisko wszystkich możliwych cnót i zalet; nie ten Jagiełło, jakim go nam scharakteryzował tyle zresztą przychylny Długosz[1]), — człowiek szlachetnego i prawego sposobu myślenia, nie bez pewnych jednak słabostek i wad, ale raczéj jakiś ideał niedościgniony, wzór świętości i doskonałości. Mniejsza o historyczną prawdę téj chrakterystyki w szczegółach; tyle pewna, że w ogólności była ona przesadną, może nawet świadomie przesadną, dla tém jaskrawszego uwydatnienia różnicy pomiędzy ojcem a synem. Ale to tylko przymioty osobiste; są jeszcze zasługi wobec państwa Założył Akademią, pogromił Krzyżaków, rzeczy niewątpliwie ważne; ważniejsza ta, że Litwę nawrócił na chrześciaństwo i kościół otaczał największą pieczołowitością[2]), niemniéj i ta, że rządom nadał rozumny, pożądany kierunek. „Zawsze bowiem tylko słuchał rad ludzi roztropnych; wszak zresztą trudno rządy sprawować dobrze, nie kierując się takiemi radami. Dla tego to Roboam utracił panowanie nad dziesięciu pokoleniami, że poszedł za radą młodszych, a nie starszych, t. j. duchownych. Biada bowiem radzie, w któréj nie zasiadają uczeni i roztropni mężowie; bo tylko w ich piersiach, jakoby w domach z kości słoniowéj, tkwią zdrowe pomysły“[3]).

Co to znaczy? Dla czego stawiając Kazimierzowi za wzór Władysława Jagiełłę, podnosi pisarz właśnie te okoliczności; dla czego chwali z takim naciskiem tę jego wzglę-

---

[1]) Długosz, Hist. Pol. IV, 533 i nast.

[2]) Adhuc in cunis vagientem Ecclesiam tam tenero amplexu, tam adulta fovit teneritudine. Rozdz. III, Mon. Pol. IV, 170.

[3]) Altis prudentum gaudebat occupari consiliis; quoniam Policratus libro V capitulo VI dicere videtur: Impossibile est ut salubriter disponeret principatum, qui non regitur consilio sapientium. Ideo enim Roboam perdidit decem tribus, quia adhaeserat consilio iuvenum et non senum, id est spiritualium. Unde beatus Hieronymus ad Rusticum: ....Roboam filius Salomonis ideo perdidit regnum, quia noluit audire presbyteros suos. Vae enim consilio. in quo scientifici doctique viri non resident, quoniam sana consilia in pectoribus scientificorum velut in domibus eburneis requiescunt. Rozdz. III, Mon. Pol. IV, 171.

dność dla kościoła, to kierowanie się radami senatu, złożonego nie z „młodszych," ale ze „starszych," a przedewszystkiém z duchownych? Oczywiście dla tego, że nie postępował tak samo Kazimierz, że dla interesów kościoła nie miał tyle wyrozumienia co ojciec, że się otoczył „młodszymi," usunąwszy na bok „starszych," a pośród tych ostatnich także senatorów duchownych, przedewszystkiém zaś tych, których autor piszący w Krakowie głównie mógł mieć na myśli, t. j. biskupów krakowskich. To zerwanie z tradycyą rządową Jagiełły, oto zmiana, która go najbardziéj dotyka, oto rzecz, któréjby najchętniéj pragnął widzieć naprawioną, oto źródło, z którego płynie wiele dla Ojczyzny nieszczęść, boć jasna, że „w młodych głowach zdrowéj rady nie znajdziesz." Oto powód tego ukrywanego, ale przecież nie dobrze ukrytego niezadowolenia jego z króla. Mimo gorące poparcie konieczności wojny w myśl intencyj króla, jest tedy przecież traktat Henryka z Góry zaczepką króla, ostrą krytyką jego polityki wewnętrznéj. A zarazem jest on dowodem, że autor nie należy do stronnictwa „młodszych," bo właśnie przewaga tego stronnictwa najbardziéj go razi; jest to zwolennik dawnego porządku rzeczy, adherent uszczuplonéj teraz w znaczeniu partyi konserwatywno-klerykalnéj.

To swoje stanowisko polityczne zaznacza on téż bardzo jaskrawo w drugiéj części traktatu, w dwu osobnych rozdziałach (XI i XII), z których jeden zawiera krytykę ówczesnego senatu, stojącego u steru rządów, a więc owych „młodszych," których skupił około siebie Kazimierz, drugi krytykę dążności i postępowania ówczesnego rycerstwa polskiego.

„Mamże mówić, czy milczeć? Boć wstyd jest własną odkrywać hańbę!" — tak rozpoczyna się słowami Kadłubka inwektywa przeciwko senatowi, przeciwko obecnym administratorom Rzeczypospolitéj (administratores Reipublicae), inwektywa, w któréj, jak autor zapewnia, nie powiedziano jeszcze wszystkiego[1]), a jednak już to, co powiedziano, jest tak obcią-

[1]) De aliis multis pronunc supersedeo displicere timens. Rozdział XI, Mon. Pol. IV, 187.

żającém, tak straszném, że wystarczyłoby do zdyskredytowania jakiegokolwiek rządu. Ojczyzna w niebezpieczeństwie, na polu bitwy same niepowodzenia, nieprzyjaciel siedzi na karku, Rzeczpospolita grozi upadkiem; — cóż wobec tego robią nasi administratorowie? Tracą czas na ucztach i biesiadach tudzież innych „lekkościach,“ gromadzą się na narady na to tylko, aby się popisywać ozdobnemi mowami, albo wszczynać targi i sprzeczki, energii w kierownictwie spraw państwa nié rozwijają żadnéj, oddani sprosnéj gnuśności; wszelkie ich przedsięwzięcia zmierzają co najwięcéj do naprawienia popełnionych błędów, nie do posunięcia sprawy naprzód; najgorsza zaś, że w tém wszystkiém ani swéj winy uznać, ani też poprawić się nie chcą. I nie dziw, boć tylko rozumny człowiek dochodzi do uznania, że zbłądził, a małpa nie widzi całéj niekształtności swego ciała. Nie ma nikogo, ktoby Rzeczpospolitą poratował w nieszczęściu, gdyż nawet ci, których ona wyposażyła najobficiéj, darząc ich bogactwami i dostojeństwami, płacą jéj niewdzięcznością żmii, wymierzają pociski w łono swéj własnéj matki, za wszystkie dobrodziejstwa, jakie im wyświadczyła[1]. Jakiż powód wszystkiego złego? Wygórowana ambicya, zarozumiałość i chciwość. Zarozumiałość? w czém? Tego nam autor nie wyjaśnia dokładnie, ale w rozumieniu jego niewątpliwie w tém, że ci młodzi poważyli się usunąć starszych od rządu, że się ośmielili mieć lepsze od nich zdanie. Cały żal za utraconą, dawniéj niepodzielną władzą starego senatu przebija z tego jednego zarzutu, ten sam żal, któremu niegdyś dał wyraz Oleśnicki, kiedy narzekał na lekceważenie swoich rad przez króla[2], ten sam, który odczuwali biskupi polscy, kiedy na zjeździe piotrkowskim w r. 1456 nieszczęścia Polski przypisywali dumie i zarozumiałości, jaka się teraz rozpowszechniła[3]. Ale jest jeszcze zarzut drugi, zarzut chciwości, pod-

---

[1] Rozdz. XI passim. Mon. Pol. IV, 183—187.
[2] Cod. epist. II, nr. 136.
[3] Długosz, Hist. Pol. V, 229.

niesiony z wielkim naciskiem. „Administratorowie naszéj Rzeczypospolitéj, prócz ambicyi, służą przedewszystkiém chciwości. Lepiéj jednak dbać o sławę, aniżeli o marne pieniądze. Bogactwa zdobyte nieprawym sposobem nie zasługują na nazwę bogactw. A jednak nasi administratorowie, oddani téj namiętności tyle już hańby ściągnęli na ojczyznę, na tyle niebezpieczeństw wystawili ją wobec nieprzyjaciół. Pieniądz bowiem przenoszą nad życie, nie życie nad pieniądz. Obyż przynajmniéj chwilowo, kiedy ojczyzna w takiém niebezpieczeństwie, zdołali poskromić swą chciwość!“[1]). Ten zarzut, choć tutaj z większym niż gdziekolwiek indziéj podniesiony naciskiem, nie jest przecież odosobniony. Już Długosz w chciwości, jaka podówczas zapanowała, upatruje obok innych przyczynę klęsk polskich[2]), a na wspomnianym poprzednio zjeździe piotrkowskim biskupi chciwość obok zarozumiałości podają również za przyczynę doznanych nieszczęść[3]). Jakiegoż rodzaju była ta chciwość, którą autor ma na myśli? Niewątpliwie nie ta, która szkodzi tylko prywatnie; bo autor wyraźnie zaznacza, że na niéj traci bezpośrednio Rzeczpospolita, że ona sprowadziła na nią wiele nieszczęść wojennych i wzywa do przezwyciężenia téj namiętności chociażby tylko w czasie toczącéj się wojny. Więc chyba była to ta chciwość, która sięgała po grosz publiczny, która ogałacała skarb królewski, a przez to nie pozwalała wojny poprzeć skutecznie. Więc chyba ci „młodsi,“ dobiwszy się steru w rządach, skorzystali z uzyskanéj przewagi dla napełnienia własnych trzosów groszem publicznym, i to w sposób najniegodziwszy, bo właśnie w téj chwili, kiedy pieniądz miał rozstrzygać o wszystkiém, o losach wojny, o przyszłém stanowisku mocarstwowém Polski w Europie. Czy było tak w rzeczywistości? O tém trudno wydać sąd stanowczy, bo ani nie znamy dokładnie składu tego młodego senatu, ani też o znanych nam jego członkach

1) Rozdz. XI, Mon. Pol. IV, 183, 184.
2) Długosz, Hist. Pol. V, 188.
3) Tamże, V, 229.

nie mamy szczegółowych wiadomości co do ich charakteru. Ale przypuśćmy rzecz najgorszą, że w istocie pośród „młodszych“ znalazła się pewna ilość jednostek brudnych, łowiących ryby w mętnéj wodzie, to zawsze jeszcze z wszelkiém prawdopodobieństwem będziemy musieli powiedzieć, że co do pozostałéj większości ten zarzut był potwarzą. Wszak nie kto inny, tylko „młodsi“ rozwijają w tym czasie najgorliwsze starania, ażeby wojnie nadać zwrot pomyślniejszy, cała ich działalność owianą jest widocznie ideą dobra publicznego, liczą się do nich członkowie najwybitniejszych i najpoważniejszych rodów, jak Czyżowscy, Gruszczyńscy, Górkowie, Ostrorogowie, Szamotulscy, Tęczyńscy[1]). Ale jeżeli to potwarz, to niekoniecznie świadoma, zawiniona. Zdanie pisarza mogło polegać na opinii, jaka się wyrobiła w szerszych nawet kołach ówczesnego społeczeństwa, a która znowu mimo całą swą niesprawiedliwość mogła przecież do pewnego stopnia dać się usprawiedliwić. Zdawna przyzwyczajono się w Polsce widzieć potrzeby państwa opędzane dochodami z dóbr królewskich i dwoma groszami z łanu; nadzwyczajne, zwiększone podatki pojawiały się tylko wyjątkowo, bardzo rzadko. Aliści z rozpoczęciem wojny pruskiéj społeczeństwo ze zdziwieniem dowiedziało się, że takie podatki, bez porównania wyższe od zwykłego łanowego, trzeba teraz stanowić i płacić w bardzo krótkich odstępach czasu; wszak w pierwszém zaraz półroczu roku 1455, jeszcze przed napisaniem naszego traktatu, zapłacono dwa pobory wiardunkowe, t. j. dwunastoletnie łanowe. O ileż bardziéj mogło wzrosnąć zdziwienie, kiedy się okazało, że i te ofiary są tylko małą cząstką tego, czego jeszcze będzie potrzeba! Dla ludzi porównujących stosunki dawniejsze z obecnymi, którzy nie rozumieli lub rozumieć nie chcieli zmienionych warunków dziejowych, rzecz ta mogła się wydać zgoła nie do wytłómaczenia, a jeśli już miała być wytłómaczoną, to chyba tym jednym argumentem: rząd nadużywa pieniędzy publicznych, stąd i potrzebom wojny wystarczyć nie może

---

[1]) Długosz, Hist. Pol. V, 174, 228, 229.

i ciągle nowych żąda podatków. Ujemna strona średniowiecznego zarządu skarbowego, w którym kontrybuenci nie mieli żadnego prawem zapewnionego organu do kontrolowania wydatków państwa, ujawniła się tu owém niedowierzaniem, owemi podejrzeniami, rzucanemi zapewne najniesłuszniéj na rząd ówczesny; epilogiem ich była znana uchwała nowokorczyńskiego zjazdu, powzięta przez Małopolan w jesieni 1456 roku, że przyznany pobór ma być oddany w ręce osobnych „obermanów", którzy bez interwencyi króla i jego urzędników mieli zeń czynić wydatki na potrzeby wojny pruskiéj; największe wotum nieufności, jakie w owym czasie mogła otrzymać gospodarka skarbowa rządu. Wyrazem panującej podówczas opinii były słowa naszego pisarza, zarzucające temuż rządowi chciwość i kradzież skarbu publicznego.

Już stąd łatwo wywnioskować, że Henryk z Góry nie liczy się do zwolenników zbytniego podatkowania społeczeństwa; boć rzecz jasna, że tam, gdzie się przypuszcza, iż grosz złożony przez kontrybuentów idzie na marne, tam nie płaci się go chętnie. Jeszcze bardziéj to jego zapatrywanie przebija z okolicznościowéj wzmianki o wydatkach na wypłatę żołdu zaciężnikom, w któréj mając niewątpliwie na myśli wybrane już nadzwyczajne pobory, odzywa się z dotkliwym wyrzutem i głębokim żalem o wysokich sumach, zapracowanych przez ludność w pocie czoła, wydanych na opłatę rot zaciężnych[1]). Ta sama niechęć do podatków, jaka się podówczas objawiła tak jaskrawo w ziemiach małopolskich, to samo niezrozumienie finansowych potrzeb państwa, przejawia się także w naszym traktacie. Autor jest dzieckiem swéj ziemi i swojego czasu, ponad zapatrywanie większości wznieść się nie umie i nie chce.

Ale, jak widzieliśmy, jest on zarazem szermierzem zachowawczo-klerykalnéj partyi; jakież tedy stanowisko zajmuje

---

[1]) Ipsorum (zaciężników) ...servitium non modicis summis, sudore pauperum huius patriae incolarum acquisitis, nostrates persolverunt. Rozdz. XI, Mon. Pol. IV, 186.

w sprawie opodatkowania kościoła i w ogóle w sprawie pociągnięcia go do ponoszenia ciężarów wojny?

W dwojaki sposób rozstrzygnęli tę sprawę „młodzi": przez zabór skarbów kościelnych tudzież przez nałożenie podatku na dobra duchowne. W chwili, w któréj powstaje traktat Henryka z Góry, oba te środki stały się już bądź to faktem dokonanym, bądź téż były w przygotowaniu. Autor wiedział tedy niewątpliwie o sprawie, a jednak w piśmie swojém nigdzie jéj bezpośrednio nie dotyka, nigdzie wprost nie omawia. Bardzo tylko z lekka poruszoną jest sprawa skarbów kościelnych wzmianką w historycznéj części pisma zamieszczoną, że Kazimierz Wielki dla wykonania ugody wyszehradzkiéj, wkładającéj nań obowiązek zapłacenia znaczniejszéj sumy na rzecz Krzyżaków, zabrał skarby kościoła, które jednak późniéj w dwójnasób zwrócił[1]); o stanowisku pisarza wobec immunitetu podatkowego kościoła świadczy chyba tylko wspomniana już poprzednio, nawiasowo zaznaczona niechęć przeciwko podatkom w ogóle. Można tedy ze zdziwieniem zapytać, dla czego sprawa tak ważna dla pisarza tego stronnictwa pominiętą została przezeń zupełném prawie milczeniem? Zdaje się, że wpłynął na to powód następujący: Dla przeważnéj części społeczeństwa szlacheckiego immunitet kościoła stał się od niejakiego czasu solą w oku. Szlachcic, przeciętnie ubogi, choć w normalnych stosunkach znacznego nie płacił podatku, to przecież na każde zawołanie służyć musiał i służył krwią swoją ojczyźnie; duchowieństwo, bez porównania bogatsze, tego podatku krwi nie płaciło, a miało jeszcze pretensyą do wolności od podatków pieniężnych. Cóż naturalniejszego, jak dążenie u szlachty, ażeby tę wolność podatkową duchowieństwa przełamać, ażeby wprowadzić zasadę, że każdy stan, w miarę środków, jakiemi rozporządza, powinien się przyczyniać do dźwigania ciężarów państwa. W tym względzie z młodym senatem zgadzała się niewątpliwie większa część społeczeństwa

---

[1]) Thezauros Ecclesiae in Regno Poloniae acceperat, quos tamen postea in duplo Ecclesiae restituit. Rozdz. II, Mon. Pol, IV, 168.

polskiego i chętnie mogła popierać jego politykę w téj mierze; to téż nie dziw, że autor nie miał odwagi wystąpić otwarcie przeciwko takiéj opinii, że zapatrywania, jakie sobie o tym przedmiocie wyrobił, musiał ukrywać i taić; jasna bowiem rzecz, że taka stanowcza walka przeciwko panującéj opinii nie byłaby jéj w stanie przełamać, z drugiéj zaś strony byłaby zaszkodziła samemu pismu, osłabiła jego popularność, któréj nie bez powodu mogło się spodziewać, schlebiając w tylu innych względach panującym podówczas prądom i zapatrywaniom.

Wszelako autor nie dał przecież za wygraną. Czego nie można osiągnąć wstępnym bojem, to może da się przeprowadzić podstępnym. Jeżeli otwarta obrona immunitetu kościelnego jest niepraktyczną i niebezpieczną, to może skuteczną będzie walka przeciwko temu, co stanowi bezpośredni, najbliższy powód do naruszenia tego immunitetu. Gdzie zaś ten powód leżał, o tém nikt nie mógł mieć wątpliwości. Ogromne wydatki, jakie pociągało za sobą utrzymanie wojsk zaciężnych, były przyczyną ciągłego niedomagania skarbu, pobudką do żądania coraz nowych poborów w coraz większéj ilości i w coraz szerszym zakresie, naprzód od szlachty, potém od duchowieństwa; tocząca się właśnie sprawa pozyskania zaciężników krzyżackich wzmagała zapotrzebowanie skarbu jeszcze bardziéj. Usunąć tego Molocha, pochłaniającego niezmierne sumy, oto środek do ratowania immunitetu, boć rzecz jasna, że skoro wydatki wojenne tak znacznie spadną, skoro skarb królewski powróci do równowagi, trudno będzie rządowi odważyć się na złamanie wolności kościelnéj, uświęconéj długą tradycyą i przywilejami. A więc zdyskredytować wojska zaciężne, wyrugować je ze składu armii polskiéj, nie dopuścić do przyjęcia nowych zaciągów, oto środki najskuteczniejsze do osiągnięcia zamierzonego celu.

„Nasi administratorowie — tak rozpoczyna tę materyą autor — popełnili błąd najgorszy. Zamiast wziąć na swe barki ciężar, jaki na nich nakłada ojczyzna, zrzucili go z siebie i całą nadzieję położyli w zaciężnikach czeskich. Zda się im,

że w ten sposób odwrócą niebezpieczeństwo grożące; aliści zapomnieli widocznie, że Czesi własnéj ojczyźnie nie wiele pomogli, jeno ją na pośmiewisko wystawili wobec całego świata. Niechże pomną, jaką jest nauka moralności u Czechów, niechaj sobie przywiodą na pamięć owe zasady, które w nich wpajane bywają od pierwszéj młodości: Schlebiaj, mój synu, a zarazem myśl, jakby podejść, boć nic łatwiejszego lekarzowi, jak chorego przyprawić o śmierć; nienawidząc, udawaj życzliwość, gdyż pod pozorem przyjaźni najlepiéj zwodzić; przyjaźń mierz użytecznością, bo jak korzeń bez soku, jak drzewo bez owocu, tak przyjaźń bez korzyści nic nie warta; przyrzekaj zawsze więcéj, aniżeli chcesz dotrzymać, gdyż wiele obiecując, mało się zobowiązujesz, a wielu sprawiasz radość. Ci to Czesi są powodem wielu naszych nieszczęść; ileż to bowiem w krótkim czasie potracili w Prusiech zamków i twierdz, miast i miasteczek, choć za te ich bezużyteczne a raczéj szkodliwe usługi płaciliśmy im pieniądzmi krwawą pracą biedaków tego kraju zapracowanemi.“ [1])

Ileż w tych zarzutach prawdy? Mniejsza o doktrynę moralną Czechów, zaczerpniętą zresztą żywcem z Kadłubka, a raczéj z Justyna, przytoczoną tu widocznie w tym celu, ażeby w społeczeństwie wzbudzić do nich odrazę; ważniejszém jest pytanie, czy ta służba zaciężników czeskich podczas toczącéj się wojny była w istocie tak bez pożytku i tak szkodliwą dla Polski, jak to przedstawia autor. Niewątpliwie, idealnie doskonałym żołnierzem nie był zaciężnik czeski, jak każdy zresztą zaciężnik; spełniając swą służbę li tylko jako rzemiosło, bez żadnéj myśli wyższéj, bez rzeczywistego interesu dla sprawy, mógł przedstawiać wiele stron ujemnych, zwłaszcza wtedy, kiedy nie otrzymał żołdu; mógł odmówić posłuszeństwa, dopuszczać się nadużyć, plądrować i rabować, i tak też, jak widzieliśmy, postępował niekiedy wobec Polski; mógł nawet, jak Czerwonka Krzyżaków, zdradzić swojego pana nieprzyjacielowi. Ale podnosić z tego powodu zarzuty

[1]) Rozdz. XI, Mon. Pol. IV, 186.

przeciwko instytucyi wojsk zaciężnych znaczyło chyba nie rozumieć jéj znaczenia, boć pobudką do ofiarowania służby była u nich chęć zarobku, a podstawą jéj wykonywania kontrakt, który, jeżeli z jednéj strony nie został wykonanym, tracił również z drugiéj strony moc obowiązującą. Kogo raziły nadużycia niepłatnego żołdactwa, powinien był raczéj podać radę, skądby ich zapłacić, aniżeli wniosek, jakby ich usunąć. Co do saméj skuteczności usług, jakie Czesi oddawali Polsce, należy również poczynić pewne zastrzeżenia przeciw twierdzeniom autora. Nie posiadamy dokładnych wykazów, któreby nas pouczyły, w jakich twierdzach poosadzał król załogi czeskie a w jakich polskie dla obrony przeciw Krzyżakom, ani téż w jakich dowódcami byli Polacy, a w jakich Czesi; z Długosza dowiadujemy się tylko ogólnie, że w twierdzach pruskich osadzeni zostali Polacy i Czesi, że naczelne dowództwo nad obroną tych twierdz w ziemi chełmińskiéj i pomorskiéj objęli Polacy (Tęczyński i Szamotulski), w Niższych Prusiech zaś Czech, Jan Kolda[1]). Jeżeli późniéj wiele z tych twierdz dostaje się w ręce Krzyżaków, to słusznie można przypuścić, że niektóre z nich miały załogę czeską, ale równie słusznie i to, że w innych znajdowały się załogi polskie; owszem, jedyny wypadek utraty twierdzy, o którym dokładniejszą w téj mierze posiadamy wiadomość, utrata Działdowa, następuje z winy Polaka, Sławka Wierzbowskiego, chorążego działdowskiego, który zamek ten wydał Krzyżakom bez żadnéj widocznéj konieczności[2]). Więc jeżeli już nawet ten zarzut utraty twierdz przeciwko Czechom w zasadzie był słuszny, to był niesłuszny w swojéj jednostronności, albowiem z równym, a może i większym naciskiem należało go podnieść także przeciwko Polakom. Jest jeszcze inna okoliczność, któréj z uwagi spuścić nie należy. W całym tym okresie kilkumiesięcznym, jaki nastąpił bezpośrednio po bitwie chojnickiéj, w którym na rzecz Krzyżaków tracono jednę warownię po

1) Długosz, Hist. Pol. V, 197.
2) Tamże, V, 197.

drugiéj, dwa tylko pomyślniejsze zdarzenia zapisuje historya dla oręża polskiego: odzyskanie utraconego przez Sławka Działdowa i skuteczną, zwycięską obronę Frydlandu przeciw napadowi Krzyżaków. Jednego czynu dokonał Czech Jan Kolda, drugiego Czech Skubela. Mówi o tém nie kto inny, tylko Długosz[1]), pisarz, którego bez wątpienia nie ma powodu posądzać o stronniczość na korzyść Czechów, bo ich nienawidził jako heretyków[2]); o czynach bohaterskich Polaków milczy on uporczywie. Więc chyba ta służba zaciężników czeskich nie była tak bezużyteczną i szkodliwą, jak chce nasz autor, boć zawsze jeszcze to, co się w tym nieszczęsnym czasie stało szczęśliwego, zawdzięczało się Czechom. Wycieczki przeciwko nim skierowane są tedy niesprawiedliwe i tendencyjne; nowy dowód na to, że użyte zostały przez autora jako środek agitacyjny dla usunięcia tych zaciągów, które poprzednio już służyły Polsce, a zarazem dla przeszkodzenia układom prowadzonym z Czerwonką.

Jeżeli tedy wojna ma być prowadzoną, a nie ma być prowadzoną wojskiem zaciężném, to gdzież należy szukać zasobów do stworzenia siły zbrojnéj? Zdawałoby się, że nie gdzieindziéj, jak tylko w pospolitém ruszeniu. Ale i to pospolite ruszenie nie znajduje u autora uznania; cały XII rozdział traktatu poświęcony jest krytyce jego ujemnych stron i niedostatków. Cóż mam powiedzieć — woła on — o pospólstwie naszéj szlachty? Nie wiem, skąd wzięła się u nich ta pycha i zarozumiałość, że nikogo za nic nie ważą. Chyba te ogromne masy niewprawnego w sztuce wojennéj żołnierza, jaki się na pospolite gromadzi ruszenie, budzą w nich niewczesne zarozumienie o sobie. Aliści z zuchwalstwa rodzi się nieoględność, z nieoględności nieopatrzność, z nieopatrzności opieszałość, z opieszałości gnuśność, ta zaś bardzo już bliską jest głupoty, z któréj powstają wszystkie szpetności i nieszczęścia. Nie dziw też, że pospolite ruszenie nie przyniosło

---

1) Długosz, Hist. Pol. V, 202, 208.
2) Tamże, V, 180.

nic innego dla państwa, prócz klęski chojnickiéj[1]). Jest w téj krytyce nie mało słuszności; jest trafne zrozumienie wielu wad téj instytucyi: owego braku dostatecznéj wprawy w systematyczném prowadzeniu wojny, owéj tak trudno utrzymać się dającéj karności i dyscypliny wojskowéj; wszystko aż nadto usprawiedliwione najświeższém doświadczeniem. Jest nawet wyraźnie wskazane polityczne niebezpieczeństwo pospolitego ruszenia; ta dumna i zuchwała szlachta, ponad wszystkich się wynosząca, nie jestże tą samą, która się zebrała pod Cerekwicą i Nieszawą, z budzącą się samowiedzą swojéj potęgi, opierająca ją na liczebnéj przewadze mas, odmawiająca posłuszeństwa, jeśli nie uzyska żądanych przywilejów? Ale nie to jest, co w tém pospolitém ruszeniu gorszy autora najbardziéj. Największa jego wada polega w tém, że szlachta zamiast walczyć z nieprzyjacielem świętokradzkim sposobem rabuje dobra duchowne, naigrawa się z władzy kościoła, a przez to ostatecznie i z samego Boga, który jest kościoła tego głową. Lecz z Boga nie wolno się natrząsać bezkarnie, bo Bóg poniży zuchwałych, a już zjazd łęczycki z r. 1180 rzuca anatemat na wszystkich, którzy dobra duchowne poważą się rabować[2]). Te narzekania były niewątpliwie na czasie. Jakkolwiek już od dawna, bo jeszcze od Kazimierza W. ustawodawstwo niejednokrotnie musiało występować przeciw tego rodzaju nadużyciom, to jednak nigdy podobno nie powtarzały się one tak często, jak właśnie teraz, w pierwszych latach wojny; nie było pospolitego ruszenia, któreby się rozeszło bez spustoszenia dóbr duchownych. Przeprowadzała szlachta w ten sposób praktycznie, choć w niezbyt łagodnéj formie, swoję teoryą o równomierném pociąganiu duchowieństwa do ponoszenia ciężarów państwowych. Że budziła przez to największe oburzenie w duchowieństwie, rozumie się samo przez się, a jeśli Henryk z Góry z tego powodu najcięższe podnosi zarzuty przeciwko szlachcie i po-

---

[1]) Rozdz. XII, Mon. Pol. IV, 188.
[2]) Rozdz. XII, Mon. Pol. IV, 188—190.

spolitemu ruszeniu, to nowy w tém dowód, do jakiego należy stromictwa. Uderza on w ten sam ton, który przebija z opowiadań Długosza, nie mniéj jak nasz autor zgorszonego rabunkami, upatrującego w nich przyczynę wielu nieszczęść wojennych[1]). W téj niechęci do pospolitego ruszenia zgadza się autor dziwnie z polityką ówczesnego rządu; tylko że pobudki jéj leżały u niego gdzieindziéj.

Nie ma tedy prowadzić wojny ani żołnierz zaciężny, ani pospolite ruszenie. Skądże jednak wziąć wojska do pokonania nieprzyjaciela? Tu pisarz występuje z charakterystycznym pomysłem. Zaletą armii nie jest jéj liczba, ale jéj dobroć. W wielkich masach powstaje tylko niedorzeczna zarozumiałość, w mniejszém wojsku łatwiéj znajdzie się dzielność i roztropność[2]). Któż tę mniejszą armią ma wystawić? Nikt inny, tylko „administratorowie Rzeczypospolitéj.“ Kogo Ojczyzna przed wszystkimi innymi obdarzyła bogactwami i zaszczytami, ten przedewszystkiém winien przyjąć na siebie ciężary, jakie ona nakłada; i w tém też leży wielka wina administratorów, że ciężar ten zrzucili z siebie i złożyli go na inne barki. Zapomnieli snać o zasadzie, że każdą sprawę lepiéj załatwić samemu, aniżeli zdawać ją w obce ręce. Wstyd mężom, kiedy przestają być mężami! Innymi byli nasi przodkowie; tych nie straszyła groza nieprzyjaciół, nie łamały trudności i niewczasy wojny[3]). Na tém niestety kończy się treść projektu, jak widzimy, bardzo niedokładnie określonego. Cóż właściwie miał tu pisarz na myśli? Z uwagi na to, że w senacie, chociażby nawet tym młodym senacie, jaki skupił około siebie Kazimierz, przeważna większość najpotężniejszych rodów możnowładczych miała swoich przedstawicieli, że na tych magnatów autor pragnąłby zwalić cały ciężar stworzenia i utrzymania armii, że wreszcie to swoje

---

[1]) Długosz, Hist. Pol. V, 183, 188, 209.

[2]) Cum in paucioribus via liberior et circumspectior strenuitas. Rozdz. XII, Mon. Pol. IV, 188.

[3]) Rozdz. XI, Mon. Pol. IV, str. 186, 187.

żądanie popiera powołaniem się na przykład przodków, nie popełnimy, zdaje się, błędu, jeżeli powiemy, że miał na myśli wystawienie chorągwi pańskich, takich samych, jakich dostarczały potężniejsze rody już w czasach Kazimierza W., jakie stanowiły jeszcze część wojska walczącego pod Grunwaldem. Te chorągwie pańskie, jak daleko tylko sięgają o nich historyczne wzmianki, nie wypełniały sobą nigdy całości urządzeń wojskowych, gdyż obok nich pojawiają się zawsze chorągwie powiatowe, t. j. pospolite ruszenie we właściwém tego słowa znaczeniu. Autor pragnąłby całą armią złożyć z takich chorągwi, a więc podnieść tę instytucyą do znaczenia, jakiego nigdy dawniéj nie miała. W tém leży oryginalność jego pomysłu. Czy te chorągwie rodowe byłyby sprostały zadaniu, to rzecz inna; czy byłyby dotrzymały miejsca zaciężnemu wojsku nieprzyjacielskiemu, dobrze w rzemiośle wojennem zaprawionemu, o tém wątpić można; czy byłyby podołały owéj walce forteczuéj, jaka się teraz w Prusiech około posiadania rozlicznych twierdz wywiązała, mniejsza o to; dość, że powstałoby wojsko bez tych wad i niebezpieczeństw, jakie autor wyszukał w zaciężnikach i pospolitém ruszeniu, co zaś najważniejsza, wojsko, którego utrzymanie nie przysparzałoby żadnych kosztów skarbowi królewskiemu.

Oto stanowisko Henryka z Góry, jego żądania i program. Program ten mieści w sobie widocznie dwa cele; jeden: poprzeć skutecznie wojnę pruską, drugi: bronić we wszystkich kierunkach interesu kościoła, przedewszystkiém zaś jego immunitetu. Dla poparcia wojny trzeba bądź co bądź wyrzec się wszelkich wątpień, jakie się rozszerzyły w kraju co do jéj sprawiedliwości i zasadności, trzeba wystawić jakąś armią, któraby ją prowadzić mogła; ale tę armią trzeba zorganizować tak, ażeby w niczém, pośrednio czy bezpośrednio nie naruszała interesu kościoła. Więc usunąć pospolite ruszenie, bo rabuje dobra duchowne, odprawić zaciężników dawnych, a nie ściągać nowych, bo to rzecz wymagająca znacznych nakładów, dla których trzeba żądać coraz to nowych podatków, a nawet targnąć się na wolność kościoła, wysłać

do boju chorągwie, wystawione przez możnowładztwo, które żadnych nakładów ze strony państwa nie pociągną za sobą, a utrzymane w ściślejszéj karności szanować będą posiadłość kościelną. Że zaś inaczéj postępuje rząd obecny i społeczeństwo, stąd zarzuty, stąd inwektywa przeciwko nim: winni „młodzi,“ że główny nacisk w prowadzeniu wojny położyli na zaciężnikach i z tego powodu naruszają immunitet kościelny, winien król, że się tymi „młodymi“ otoczył, trzymając zdala od wszelkiego wpływu członków starego senatu, a zwłaszcza biskupów krakowskich, winna szlachta, że powagi kościoła i nietykalności jego majątku nie szanuje.

Nie dostrzegł jednak, czy też dostrzec nie chciał autor, że pomiędzy obu głównymi punktami jego programu istnieje pewna sprzeczność. Jest-li wojna konieczną, to nie należy cofać się przed żadną na jéj cele ofiarą; jest-li immunitet kościelny nietykalną świętością, to należy dlań wyrzec się wszystkiego, chociażby nawet wojny. W czasie, w którym pisał się traktat, stosunki złożyły się tak, że dwie tylko były drogi do wyboru: albo poświęcić interes państwa interesowi kościoła, albo na odwrót interes kościoła interesowi państwa. Konsekwentnym był episkopat krakowski, kiedy dla ratowania immunitetu odradzał wojnę i mienił ją niesprawiedliwą; konsekwentnym był młody senat, kiedy dla poparcia wojny uderzał w immunitet kościoła; niekonsekwentnym był Henryk z Góry, kiedy zmierzał do obu celów od razu, a nie umiał wskazać środków, którymiby je można urzeczywistnić. Prowadzić wojnę tak niedostatecznemi siłami, o jakich myślał, rzecz próżna i bezużyteczna; więc chyba ją prowadzić daléj wojskiem zaciężném, a choćby nawet pospolitém ruszeniem, które przy sprzyjających okolicznościach mogło się stać groźném przez samę swoję masę; ratować immunitet kościelny, wojując równocześnie rotami zaciężnemi, niepodobna, bo na zapłatę ich nie było już innych środków, prócz tych, jakich dostarczyć mógł jeszcze bogaty kościół. Mimo woli i mimo wiedzy autora odbiła się ta sprzeczność w samym jego programie, w szczegółowém programu tego przeprowadzeniu. Gdzie dwa

cele są tak istotnie ze sobą niezgodne, że jeden obok drugiego w całości utrzymać się nie da, tam mimo pozorne poparcie obojga trzeba przecież koniecznie jednemu dać pierwszeństwo przed drugim. Tak też stało się i w naszym traktacie: interes państwa ustąpił ostatecznie interesowi kościoła. W programie autora nie ma punktu, w którymby przepomniano o prawach i roszczeniach kościoła; jest wiele takich, w których zapomniano o potrzebach wojny.

Tak sformułowanego programu, sprzecznego już w samém swojém założeniu, niejasnego w wykonaniu nie można oczywiście nazwać praktycznym. Że zaś jest takim a nie innym, przyczyna tego w niedostateczném zrozumieniu stosunków bieżących. Podzielał pisarz całą duszą nienawiść przeciw Krzyżakom, pojął polityczne znaczenie sprawy pruskiéj, musiał tedy popierać wojnę i gorąco nawoływać do jéj prowadzenia. Ale świat jego wyobrażeń nie jest już w całości ten sam, w jakim się obracano w chwili, kiedy ta wojna wybuchła. Z królów chwali sobie najbardziéj Jagiełłę, senat chciałby mieć taki, jak za Jagiełły, męstwo przodków stawia za wzór pokoleniu dzisiejszemu. Wszystko tak, jak było przed laty kilkudziesięciu, kilkunastu, a choćby nawet kilku, przed objęciem panowania przez Kazimierza Jagiellończyka. Nowy zwrot, jaki ten król nadał polityce wewnętrznéj, jest dla niego rzeczą niezrozumiałą, nowe prądy, jakie się zbudziły w społeczeństwie, rzeczą wstrętną, nawet nowe wymogi sztuki wojennéj rzeczą nieznaną. Za dawnych czasów nie było przecież gorzéj, prowadzono wojny i odnoszono świetne zwycięstwa, a jednak umiano uszanować kościół i jego wolności. Prowadźmyż i my wojnę tak samo jak dawniéj, nie tykajmy tego, na co dawniéj nie ściągano ręki, a i nam nie może się powieść gorzéj, niż naszym poprzednikom. O tém, że się zmieniły warunki, autor pamiętać nie chce. Gdyby ten człowiek był rozwijał swéj program za Jagiełły, lub chociażby nawet jeszcze za Warneńczyka, byłoby to niewątpliwie na czasie, ale że go rozwijał za Kazimierza, w tém już leżało pewne spóźnienie. Wypadki okazały, że ani przeciwnicy zrozumieć go nie mogli,

ani zwolennicy przy swoich żądaniach utrzymać się nie zdołali; stanowisko, którego bronił, było już przestarzałém. Przestarzało się znaczenie starego Jagiełłowego senatu, przestarzała się idea nietykalności kościoła. Nowe zasady zwyciężyły: zmieniła się tradycya rządu, naruszony został immunitet kościelny. Traktat Henryka z Góry jest jednym z ostatnich, co prawda, nie ostatnim jeszcze podrywem starego porządku rzeczy przeciw nowemu. Nie o Krzyżaków głównie mu chodzi, ale o „młodych", którzy ten stary porządek rzeczy obalili. Mniéj tedy jest on „Traktatem przeciw Krzyżakom," jak go zatytułował autor, aniżeli „Traktatem przeciw młodym," jak go zatytułować nie chciał lub nie śmiał.

Skąd w tym młodym podówczas niewątpliwie człowieku wzięło się tyle wspomnień z czasów dawniejszych, tyle sympatyi dla upadającego starego systemu, tyle energii w jego obronie? Niezawodnie nie z własnego doświadczenia, bo Henryk z Góry w wypadkach dawniejszych czynnego udziału nie brał ani brać nie mógł, na zmianie, jaka zaszła, osobiście nic nie stracił, a nawet, broniąc kościoła, nie liczył się przecież sam do stanu duchownego. Może po części wpłynęła na to tradycya rodzinna, boć ojciec jego, jako kasztelan rospierski, należał do senatu Jagiełłowego, a choć nie ma dowodów na to, iżby w nim wybitniejszą odgrywał rolę, to jednak niezawodnie solidaryzował się z jego przekonaniami i polityką. Ale głównie i przedewszystkiém musiała nań oddziałać atmosfera, w któréj dla ducha swego i umysłu brał ukształcenie. Wiemy zaś, że brał je w Akademii krakowskiéj. Można prawie w dosłowném znaczeniu tłómaczyć jego zapewnienie, zawarte w epilogu, że w pracy swojéj złożył to, czego się nauczył od swoich profesorów. Dziwnie bowiem zgadza się stanowisko Henryka z Góry ze stanowiskiem, jakie wobec bieżących wypadków zajął podówczas Uniwersytet. Nie mamy wprawdzie bezpośrednich wskazówek w źródłach na to, że ten Uniwersytet stał mocno w obronie immunitetu kościoła przeciw zamachom „młodych," ale zważając na wybitnie klerykalny charakter jego w tym czasie, nie możemy o tém

wątpić ani na chwilę. Skoro zaś nietykalność kościoła była dlań sprawą ważną, to rzecz jasna, że i stary porządek rzeczy, który tę nietykalność szanował, i ten stary rząd z czasów Jagiełły, który porządku tego przestrzegał, musiały mu się wydać bez porównania lepszymi od tego wszystkiego, co przyniosły ze sobą czasy nowsze. Stojąc w téj mierze na tém samém stanowisku, co episkopat krakowski, nie zgadza się z nim jednak Uniwersytet w jednym punkcie: nie odradza wojny, owszem, zachęca do niéj, broni jéj sprawiedliwości. Tak samo jota w jotę Henryk z Góry. Związek aż nadto widoczny, ażeby się nad nim zastanawiać dłużéj. Mogły poszczególne środki, wskazane do przeprowadzenia celów traktatem zakreślonych, być wymysłem pisarza, jego własnością duchową; ale zasadnicze punkta jego programu, zasadnicze jego żądania musiały być natchnione przez Uniwersytet. Na tém spostrzeżeniu sprawa samodzielności pomysłów autora nie mało traci, ale zyskuje na niém bardzo wiele znaczenie traktatu jako źródła historycznego. Pismo Henryka z Góry nie jest prostą tylko próbką erudycyi szkolarskiéj, przedstawioną profesorom dla udowodnienia postępów w nauce, nie jest nawet programem osobistym, nakreślonym przez jednostkę, któréj zapatrywania były może odosobnione; jest ono wyrazem panującéj podówczas opinii tyle ważnéj i wpływowéj instytucyi, jaką była Akademia krakowska, opinii, która, choć w ogóle zgodna z programem stronnictwa konserwatywno-klerykalnego, stanowiła przecież pewne jego odgałęzienie, bo miała pewne, sobie tylko właściwe zapatrywania. Do wyjaśnienia ścierających się podówczas prądów, do wyświecenia téj zaciętéj i upartéj, choć cichéj i na zewnątrz pokrywanéj walki dwu przeciwnych zasad, téj drugiéj wojny, jaką obok wojny pruskiéj prowadzić musiał ówczesny rząd polski, źródło pierwszorzędnéj wagi obok Dziejów Długosza[1]).

---

[1]) Zdanie Zeissberga, Poln. Geschichtschreibung des Mittelalters, 171 uw. 1, jakoby Traktat Henryka z Góry nie miał wartości jako źródło historyczne, jest tedy przedwczesne i niesprawiedliwe.

VI.

Takiém jest pisma tego znaczenie dla historyi; zobaczmy, jaką jest jego wartość literacka.

Pytanie, którém Henryk z Góry zajmuje się przez większą część swojego traktatu: czy pretensye Polski do ziem przez Zakon dzierżonych uzasadnione są ze stanowiska prawa, nie jest bynajmniéj nowém w literaturze polskiéj. Na długo przed nim stawiano już tę kwestyą wielokrotnie i odpowiadano na nią w rozlicznych pismach, bądź to w wywodach procesowych w ścisłém tego słowa znaczeniu, przedkładanych sądom rozjemczym, a więc skargach, obronach, replikacyach, apelacyach i t. p.[1]), bądź téż w opiniach prawnych lub traktatach naukowych, którymi starano się poprzeć i bliżéj uzasadnić te wywody, jak w licznych traktatach Pawła Włodkowica: „O władzy papieża i cesarza do rozrządzania ziemiami niewiernych[2]),“ „O Zakonie Krzyżackim i wojnie Polski przeciw temuż Zakonowi[3]),“ obu przedłożonych na soborze konstancyeńskim, w „Allegacyach[4])“ przedstawionych cesarzowi Zygmuntowi r. 1419, lub w jego „Piśmie zbijającém przywileje krzyżackie[5])“ przed sądem papieskim 1420 i 1421 r., nie licząc już wcale licznych opinij uczonych zagranicznych,

---

[1]) Największą część tych pism ogłoszono w Lites ac res gestae inter Polonos Ordinemque Cruciferorum. Wywody praw Polski przeciw Krzyżakom przed sądem delegatów papieskich z r. 1320 znajdują się tamże IV, 31—86; przeciw wyrokowi wydanemu przez cesarza Zygmunta w Budzie r. 1412, tamże III, 52—66: przed soborem konstancyeńskim r. 1416, tamże III, 66—147, 151—162, 173—184 i dr. Prochaska, Codex epist. Vitoldi, 1001—1018, 1018—1024; przed sądem Zygmunta w Wrocławiu r. 1420, Lites, III, 219—224; przed sądem papieża Marcina V r. 1420 i 1421, Lites, III, 1—38, 39—52, 334—337, 338—342, 342 356.

[2]) Starod. prawa pol. pomn. V, 159—194.

[3]) Tamże V, 233—296.,

[4]) Lites, III, 192—215. Prof. Bobrzyński wykazał w Starod. prawa pol. pomn. V, 150 i 157, że autorem tego traktatu, zamieszczonego w Lites bezimiennie, jest Paweł Włodkowic.

[5]) Lites, III, 294—334.

jak Kaspra de Perusio, Dominika de Sancto Geminiano, Jana de Miles, a nawet zdania całych fakultetów prawnych padewskiego, florenckiego i seneńskiego, któremi Polska popierała roszczenia swoje przed tymiż sądami[1]). Można bez przesady powiedzieć, że spór polsko-krzyżacki, przewijający się przez cały niemal ciąg dziejów polskich z dwu ostatnich stuleci, przyczynił się nie mało do ożywienia literatury prawniczéj w Polsce, wywołał cały szereg cennych ze stanowiska ówczesnéj nauki prac, w których z ochotą współzawodniczyły najlepsze siły prawnicze w Polsce. Traktat Henryka z Góry, o ile rozbiera zasadność roszczeń polskich przeciw Krzyżakom, nie jest tedy co do tematu swego nowym, oryginalnym; obraca się w sferze pytań, które dawniéj już w literaturze stały na porządku dziennym. Ale — trzeba zaraz dodać — jest samodzielnym w tematu tego przedstawieniu i opracowaniu.

Stawiając kwestyą, czy pewien utwor literacki jest lub nie jest zawisłym od dawniejszych prac podobnego znaczenia i pokroju, musimy oczywiście przedewszystkiém rozwiązać pytanie przedwstępne, czy autorowi utworu te prace dawniejsze były dostępne i znane. Że Henrykowi z Góry uprzednia literatura prawnicza, przedmiotu tego dotycząca, mogła być dostępną, nie można zaprzeczyć, że nawet z niektórymi jéj utworami prawie koniecznie musiał wejść w zetknięcie, nie ulega wątpliwości, boć nie szukając daléj, najpłodniejszy w tym kierunku autor, Paweł Włodkowic, był ongi rektorem tego samego uniwersytetu, którego uczniem był teraz Henryk. Jakkolwiek zaś autor nie czyni w téj mierze nigdzie wyraźnéj wzmianki, to jednak są ślady w jego piśmie, które prawie niewątpliwie na to wskazują, że ta literatura, przynajmniéj w części, nie była mu obcą, co większa, iż znajomość jéj przypuszcza u czytelników, jak n. p. wtedy, kiedy bez słowa uzasadnienia podaje w wątpliwość charakter zakonny Krzyżaków[2]), albo kiedy w ten sam sposób mieni wyroki cesarza Zygmunta

[1]) Lites, III, 224—293.
[2]) Rozdz. VI, Mon. Pol. IV, 176.

niesprawiedliwemi[1]), rzeczy, nad któremi wielokrotnie i bardzo obszernie zastanawiano się w dawniejszych traktatach i pismach procesowych[2]). Szukając koniecznie związku pomiędzy traktatem Henryka a literaturą dawniejszą, możnaby się go dopatrzeć w dwóch pismach Pawła Włodkowica, mianowicie w „Piśmie zbijającém przywileje Krzyżackie," którego historyczna część przypomina cokolwiek ugrupowanie faktów dziejowych u Henryka, głównie zaś i przedewszystkiém w „Allegacyach," gdzie podobieństwo zachodzi nie tylko co do części historycznéj, ale nawet co do niektórych wywodów prawnych, mianowicie w wywodzie dotyczącym nieważności dawniejszych traktatów polsko-krzyżackich, gdzie obaj autorowie posługują się kilku jednakowymi argumentami[3]). Ale to podobieństwo, choć zapewne nie przypadkowe, jest w każdym razie podrzędne, bo ogranicza się na niewielu tylko myślach, które nie wpływają na zasadniczą konstrukcyą argumentacyi pisarza. W całości uważany wywód Henryka z Góry jest samoistny, oryginalny; choć autor dowodzi tego samego co inni, to jednak nie dowodzi tak samo jak inni. Różnica polega zaś nie tylko w saméj treści argumentów, ale i w sposobie argumentacyi. Dawniejsze pisma wyczerpnęły niemal wszystkie zarzuty, jakie tylko ówczesna nauka prawa podnieść zdołała przeciw sprawie krzyżackiéj, zarówno pierwszorzędne, jak i najpodrzędniejsze; Henryk z Góry dotyka tylko kwestyj zasadniczych: czy ważną jest darowizna, czy prawne znaczenie mają

---

1) Rozdz. IX, Mon. Pol. IV, 181.

2) Charakter zakonny Krzyżaków zaczepiano niemal w każdém piśmie ze strony Polski, głównie na soborze konstancyeńskim; por. Skargę ze strony Polski na tymże soborze przestawioną, Lites III, 151 i n., memoryał polski, tamże III, 66 i n., traktat Pawła Włodkowica De ordine Cruciferorum, Star. prawa pol. pomn. V, 233 i n. Nadto jeszcze traktat tegoż autora przed sądem papieskim 1421 r. Lites, III, 294 i n. — W sprawie ważności i sprawiedliwości wyroków Zygmunta por. zwłaszcza: Zarzuty przeciw justyfikacyi wyroku z r. 1420, Lites, III, 219 i n. tudzież Opinią doktorów padewskich, florenckich i seneńskich, tamże III, 276.

3) Por. Henryka z Góry, Rozdz. IX, Mon. Pol. IV, 179 i Pawła Włodkowica Allegationes, Lites, III, 207, 209.

traktaty zawarte z Krzyżakami, a odpowiedziawszy na nie przecząco, obala za jednym zamachem cały tytuł prawny posiadania Krzyżackiego, pozostawiając na uboczu wszystkie niestanowcze subtelności sprawy. Na tém straciła niewątpliwie gruntowność naukowa traktatu, zwłaszcza ta gruntowność, jak ją pojmowały wieki średnie, ale zyskała nie mało przejrzystość i jasność wykładu. Bez tych wszystkich podziałów i podpodziałów, propozycyj, rubryk, artykułów i konkluzyj, w jakie obfituje współczesna literatura prawnicza, dziełko Henryka z Góry czyta się nawet dzisiaj bez porównania łatwiéj i chętniéj, niż inne w téj sprawie pisane. Ta różnica nie jest może przypadkową; ten układ i ten sposób przedstawienia obrane zostały zapewne z rozmysłem; nie należy bowiem zapominać, że gdy inne pisma przeznaczone były do użytku przed sądami, wobec których trzeba było rozwinąć całą erudycyą prawniczą, traktat Henryka obliczony był na szersze koła społeczeństwa, do których przemawiać należało w sposób przystępniejszy.

Z tém wszystkiém nie jest Henryk z Góry powierzchownym tylko jurystą, dyletantem w swoim zawodzie. Choć studyum na Akademii rozpoczął nie bardzo dawno przedtém, widać w nim już prawnika dobrze ukształconego, który umié pojęcia ściśle rozgraniczać, pytania jasno stawiać, odpowiedzi wyraźnie formułować, dowody przekonywująco prowadzić; niewątpliwa zdolność na tém polu, o któréj z żalem przychodzi powiedzieć, że się źle stało, iż na tém jedném piśmie zakończyła działalność literacką i naukową. Tok myśli żywy, gdzieniegdzie porywający, zwłaszcza w drugiéj części traktatu, w któréj autor rozwija krytykę obecnego rządu; snać młoda krew gra w żyłach tego człowieka, który, jeżeli kocha, to całą duszą, jeżeli nienawidzi, to z całego serca. To też kiedy chwali, to nad miarę, jak Jagiełłę, kiedy gani, to bez miłosierdzia, jak „administratorów“ Rzeczypospolitéj. Wszystko ubrane w styl cokolwiek pretensyonalny, zanadto kwiecisty: niefortunny skutek zagłębionego studyum Kadłubka, z którego pisarz bierze nie tylko pojedyńcze wyrażenia, nie tylko dłuższe

zwroty, ale nawet całe ustępy, tak że traktat jego nie bez słuszności nazwać można pstrą mozaiką stylistycznych floskułów mistrza Wincentego[1]). Gdzie leży powód tego zjawiska, wytłómaczyć łatwo. Ten sam profesor, któremu Henryk przed wszystkimi innymi poświęcił swój traktat, który widocznie największy wpływ wywierał na jego ukształcenie, Jan z Dąbrówki, pisał komentarz do Kadłubka i szerzył jego kult w Akademii krakowskiéj.

Że nauka jego jest scholastyczną, tego nawet przypominać nie potrzeba, gdyż nie inną była ona w Akademii saméj. W metodzie dowodzenia właściwy owym czasom syllogizm, w dowodzeniu samém cały aparat powag średniowiecznego świata. W pierwszym rzędzie idzie oczywiście Pismo święte, wielokrotnie przytaczane, po niém zbiory prawne, mianowicie księgi prawa kanonicznego, jako to: Dekret Gracyana, Dekretały Grzegorza IX i Liber sextus, najobfitsze źródło i najważniejsza podstawa argumentacyi; ze zbiorów prawa rzymskiego przytoczony wyraźnie tylko raz jeden Kodex Justyniański; dwa inne ustępy, zaczerpnięte ze źródeł prawa rzymskiego, przedostały się tu tylko pośrednio, przez użycie Kadłubka. Już stąd widać, że kierunek studyów prawnych pisarza był wybitnie kanonistycznym, a bardziéj jeszcze i stąd, że literatura prawnicza, któréj używa, jest także wyłącznie tylko kanonistyczną. Zna Glosę Jana Niemca do Dekretu Gracyana, Glosy Bernarda de Botone i Franciszka Zabarelli do Dekretałów Grzegorza, Wilhelma Durantis Speculum iudiciale, zresztą nic z ówczesnéj bogatéj literatury prawniczéj, nic z glossatorów i komentatorów rzymskiego prawa. Za to patrystyka bardzo starannie uwzględniona. Są cytaty z Ambrożego De officiis, z Hieronima Komentarzów do Pieśni nad Pieśniami, do ksiąg Nauma, Ezechiela, Izajasza, do Listu do Efezów, z Chryzostoma Komentarza do Ewangelii Mateusza, z Augustyna Listów do Bonifacego, Marcelina, Publikoli,

---

[1]) Zwrócił na to uwagę już Zeissberg, Poln. Geschichtschreibung d. Mittelalters, 171, uw. 1.

Wincentego Donatysty, z Traktatów przeciw Faustowi Manichejczykowi i przeciw Petylianowi, z dzieła De civitate Dei i De verbis Domini (co do téj ostatniéj książki autorstwo Augustyna wątpliwe); z Symplicyusza Listu drugiego, z Grzegorza Morałów i Komentarza do księgi Joba, z Izydora Synonimów. Późniejszych pisarzów kościelnych i moralistów zna autor następujące dzieła: Bernarda z Clairveaux Komentarz do Pieśni nad Pieśniami, Hugona a Sancto Victore Didascalion i wielce w wiekach średnich popularną (zwłaszcza w sferach kościelnych) książkę Jana z Salisbury: Policraticus. Do téj przeważnie kanonistyczno-teologicznéj literatury pewien kontrast stanowią cytaty z poetów i prozaików rzymskich, tutaj stosunkowo obfitsze, niż w innych współczesnych pismach, ślad pewnego, zapewne jeszcze bezwiednego zwrotu do studyum literatury klasycznéj starożytnego świata, jakoby zapowiedź budzącego się w Polsce humanizmu. Są tedy wyimki z Terencyusza Andryi, z Wergiliusza Eneidy, z Owidyusza Ars amandi, z Varrona Bajek, Cycerona De amicicia i komentatora jego książki: Somnium Scipionis, Makrobiusza; z Seneki Listów i Waleryusza Maksyma Memorabiliów. Z pisarzów historyi powszechnéj uwzględniony Justyn i dzieło jego Historiarum Philippicarum libri XLIV. Że w tym całym szeregu nazwisk nie ma Arystotelesa, rzecz dziwna i charakterystyczna; dziwniejsza ta, że nie ma św. Tomasza z Akwinu, pisarza, który w dziełach swoich skupił i zreasumował całą filozofią średnich wieków[1]) i w nauce ówczesnéj wielkiego zażywał poważania. Nie wszystko zresztą, co autor przytacza w swéj książce, znaném mu jest bezpośrednio; z niektórych źródeł korzysta tylko za pośrednictwem innych dzieł; tak Justyn, Varro, Seneka, a nawet Wergiliusz przedostali się do traktatu tylko przez Kadłubka, znaczna ilość cytatów patrystycznych przez Dekret Gracyana, za którym autor powtarza nawet częstokroć błędne intytulacye niektórych pism. Wszakże nawet po strąceniu tego, co zaczerpnął skądinąd, pozostanie

[1]) Prof. Tarnowski: Pisarze polityczni XVI wieku I. 1.

jeszcze znaczny zasób samoistnie poznanych i zużytkowanych dzieł, który dobre składa świadectwo o erudycyi pisarza[1]).

W części historycznéj, przedstawiającéj stosunek Polski do Zakonu[2]), przebija również dość obszerna znajomość dawniejszych pomników dziejowych Polski, owych „Chronicae Polonorum", o których dwukrotnie wzmiankuje autor[3]). Z annalistyki zna Rocznik Trąski, Sędziwoja, krakowski, kapituły krakowskiéj, Franciszkanów krakowskich, małopolski, nawet kujawski; z kronikarzy: Wincentego, Boguchwała i Janka z Czarnkowa[4]). Wszystko, co o stosunkach polsko-krzyżackich napisał, polega na tych źródłach, w wielu miejscach dosłownie przepisanych, prócz ogólnikowych, skądinąd zresztą lepiéj znanych wiadomości o wypadkach z czasów Władysława Jagiełły, które z świeżéj tradycyi opowiedział samoistnie, dodając znaną nam już, również samoistnie skreśloną charakterystykę Jagiełły. Gdzie zaś z dawniejszych źródeł historycznych korzysta, tam czyni to bez talentu i szerszego na rzecz poglądu; jego historya wzajemnych stosunków między Polską a Zakonem aż do wstąpienia Jagiełły na tron polski nie wznosi się ponad suchę rocznikarskie zestawienie. Jest to zestawienie niedokładném także, gdyż nie wyczerpuje wszystkich ważniejszych faktów historycznych; gdzieniegdzie zaś przekracza granice zakreślone tematowi, jak n. p. w całym szeregu wywodów genealogicznych książąt i królów polskich, w których autor lubuje się widocznie, choć do wyjaśnienia jego kwestyi w niczém się nie przyczyniają. W ogóle zdolność i zakrój na historyka bez porównania mniejsze, niż na jurystę.

---

[1]) Szczegółowe zestawienie wszystkich pism zużytkowanych w traktacie Henryka z Góry zob. we wstępie do wydania tego traktatu w Mon. Pol. IV, 153—155.

[2]) Rozdz. II i III, Mon Pol. IV, 165—172.

[3]) Secundum quod in Cronicis Polonorum reperitur. Rodz. I, Mon. Pol. IV, 164. — De quo in Cronicis legitur. Rozdz. XII, Tamże, IV, 189.

[4]) Zestawienie miejsc, zaczerpniętych z tych źródeł, zob. w powołanym wstępie w Mon. Pol. IV, 152—153.

Taką jest wartość pisma, jeżeli je ocenimy samo w sobie i dla siebie. Ale jest jeszcze do rozważenia druga strona téj sprawy: znaczenie jego w stosunku do innych współczesnych pojawów literackich, stanowisko w rozwoju piśmiennictwa polskiego. Z rozbioru treści przekonaliśmy się, że traktat Henryka z Góry wykazuje dwoisty charakter: w jednéj swéj części jest on przedewszystkiém wywodem prawnym, w drugiéj broszurą polityczną. O ile jest wywodem prawnym, nie ma w historyi literatury żadnego szczególnego znaczenia, nie zajmuje wybitniejszego stanowiska; jest takim samym, jak wiele innych w sprawie krzyżackiéj, przed nim i po nim, pomyślanym i przeprowadzonym wprawdzie w szczegółach samoistnie i oryginalnie, bez poruszenia jednak jakiéjś zasadniczo nowéj myśli. Pewna wyjątkowość leży tylko w zamiarze i celu, dla którego został spisanym. Wszystkie pisma prawne, wykazujące słuszność pretensyj polskich do Zakonu, ile ich tylko ukazało się dotychczas, miały bez wyjątku jedno tylko przeznaczenie: poprzeć i uzasadnić owe pretensye przed sądami, pod których rozstrzygnięcie poddano spór polsko-krzyżacki. Traktat Henryka z Góry jest pierwszym, który zasadność pretensyj polskich wywodzi nie dla użytku jakiegoś trybunału sądowego, ale dla społeczeństwa, dla opinii. Na pozór cel więcéj teoretyczny, a jak tutaj po raz pierwszy dopiero występujący, tak późniéj prawie nie naśladowany; znamy tylko jeszcze jedno pismo (dotychczas w całości nie wydane), które podobny cel miało na oku, memoryał nieznanego autora, spisany około roku 1459, przechowany w odpisie Mikołaja Bogatki w Bibliotece Wallenrodzkiéj w Królewcu[1]). Ale ten cel Henryka — jak widzieliśmy poprzednio — miał przecież praktyczną doniosłość; wywód pretensyj polskich ze stanowiska prawa prowadzony był dla tego, aby wykazać, że tocząca się wojna jest sprawiedliwą i uzasadnioną, wywód zaś sprawiedliwości wojny potrzebnym był na to, ażeby nie-

[1]) Por Perlbach: Ueber eine polnis he Denkschrift aus der Zeit des dreizehnjährigen Krieges, w Altpreussische Monatsschrift X, 566 i n.

chęć w kraju istniejącą usunąć i do energiczniejszego poparcia téj wojny nakłonić. Już więc nawet w téj pierwszéj części traktatu, z pozoru ściśle prawniczéj natury, jest element i zakrój na pismo polityczne, do czego jeżeli dodamy część drugą, w któréj element ten wyłącznie góruje, będziemy mogli słusznie traktat cały nazwać głównie i przedewszystkiém broszurą polityczną.

Dopiero jako broszura polityczna nabiera to pismo szczególnego znaczenia w historyi piśmiennictwa polskiego. Według najnowszych zapatrywań[1]) początek naszéj literatury politycznéj datuje się od Pawła Włodkowica i jego traktatów przeciw Krzyżakom; po nim z pisarzów średniowiecznych idą z kolei w chronologicznym porządku: Henryk z Góry, Ostroróg, Zaborowski. To zapatrywanie należałoby w pewnéj mierze sprostować. Jeżeli do pojęcia pisma politycznego przywiążemy zwyczajne jego znaczenie, jeżeli szukać w niém będziemy nie tylko omówienia jakiéjś sprawy bieżącéj, jakiegoś istniejącego, wewnętrznego lub zewnętrznego stosunku w pewném państwie lub społeczeństwie, ale zarazem stosunku tego krytyki i oceny, wskazania zmian, jakie się okazują potrzebnemi, podania środków, którymi te zmiany dadzą się przeprowadzić, to snadno dojdziemy do wniosku, że pisma Włodkowica pismami politycznemi nie są. Poruszają one sprawę pierwszorzędnéj dla Polski doniosłości, atoli w sposób ściśle prawniczy, jak na przykład: czy ziemie niewiernych mogą być prawomocnie rozdarowywane przez papieża i cesarza, czy Krzyżacy mają prawne wymogi do ważnego przyjmowania nadań duchownych, czy co do krajów przez się nabytych zasłaniać się mogą zarzutem przedawnienia i t. p., ale o tém, jakby sprawę krzyżacką załatwić, jaką obrać drogę celem pomyślnego jéj ukończenia, nie wspominają ani słowem. Są to traktaty prawne w ścisłém tego wyrazu znaczeniu, takie same, jakich wiele w téj saméj materyi pisano przedtém i potém — ale nie pisma polityczne. Usunąwszy zaś dzieła

1) Prof. St. Tarnowski, Pisarze polityczni XVI wieku I, 7 i n.

Włodkowica z zakresu polskiéj literatury politycznéj — z zawarowaniem całéj ich wysokiéj, niezaprzeczonéj wartości w zakresie literatury prawniczéj — dochodzimy do bardzo ważnego wniosku ze względu na traktat Henryka z Góry: że jest to pierwsze ze wszystkich, jakie się do naszych czasów dochowało, a może i pierwsze ze wszystkich, jakie w ogóle istniało, pismo polityczne w Polsce. W tém leży wyjątkowe traktatu tego znaczenie, a zarazem niepospolita jego doniosłość, że jest punktem wyjścia i zaczątkiem téj bogatéj i tak bujnie u nas rozkwitłéj literatury politycznéj, która już w wieku XV, w memoryale Ostroroga, wzniosła się do znacznéj wysokości, a w niektórych okresach dziejów naszych, jak w drugiéj połowie XVI albo drugiéj połowie XVIII wieku, stała się niemal, rzec można, panującym typem w rozwoju literatury polskiéj; że ten Henryk z Góry, choć wkrótce potém zapomniany i przez długi czas nieznany[1]), jest poprzednikiem — bez poprzednika — Orzechowskich, Modrzewskich, Górnickich, Kołłątaja, Staszyca. Jakąkolwiek jest wewnętrzna wartość pisma, niezaprzeczoném jest znaczenie zewnętrznego faktu: że na tém piśmie ze wszystkich utworów literatury politycznéj w Polsce położyć trzeba najwcześniejszą datę chronologiczną. Może to nie przypadek zrządził, że wyszło ono z murów Akademii

[1]) W pierwszéj chwili, o ile się zdaje, traktat ten cieszył się popularnością; świadczy o tém znaczna ilość rękopisów przechowanych do naszych czasów, których współcześnie było niewątpliwie o wiele więcéj. Niebawem jednak, kiedy stracił już praktyczne znaczenie, uległ losowi wszystkich broszur politycznych: poszedł w zapomnienie. Jak o samym autorze, tak téż i o jego dziele, głucho przez ciąg następnych wieków. Pierwszą wiadomość podał o nim dopiero Wiszniewski, Hist. liter. pol. I, 46, policzył jednak traktat do dzieł zaginionych i nadał mu błędny tytuł: De bello Cruciferis ingesto. Dopiero Zeissberg, Polnische Geschichtschreibung des Mittelalters 171, zaznajomiwszy się z treścią traktatu z rękopisu Bibl. Ossolińskich, poczynił nad nim kilka uwag, bez głębszego jednak wniknięcia w jego dążności i znaczenie. W całości ogłoszony został traktat dopiero w Monumentach Poloniae IV, 143—191. Późniéj zajmował się nim jeszcze Prof. Tarnowski w dziele: Pisarze polityczni XVI wieku, I, 19—23 i wypowiedział o autorze i dziele wiele pięknych i trafnych uwag.

krakowskiéj, téj głównéj skarbnicy nauk Polski ówczesnéj, o któréj sam autor pisał, że „rozproszyła ciemności, w których pogrążona była ojczyzna, zatknęła gwiazdy na jéj firmamencie, zapaliła słońce wiedzy i umiejętności“[1]).

Szczególny zbieg okoliczności wydarzył, że w bardzo krótkim czasie po traktacie Henryka z Góry pojawił się memoryał Ostroroga. Byłoby jałową rzeczą porównywać obu pisarzów szczegółowo ze sobą, gdyż obaj zarówno co do indywidualności swéj i talentu, jako téż głębokości i szerokości poglądów zanadto odbiegają od siebie. Ale w jednym względzie nasuwa się przecież mimowolne porównanie. Po Henryku z Góry, który władzę i interes kościoła stawi ponad wszystko, który broni jego immunitetu podatkowego, zabór skarbów kościelnych uważa tylko jako czasową pożyczkę pod najuciążliwszymi warunkami, który wreszcie w rządzie zapewnić pragnie duchowieństwu stanowczą przewagę, pisze Ostroróg, że składanie obedyencyi papieżowi jest rzeczą nieroztropną, że wybory biskupów powinny być w całości zależne od króla, że duchowieństwo należy bezwarunkowo pociągnąć do składania podatków, a naczynia kościelne zabrać bez skrupułu na potrzeby Rzeczypospolitéj. Jeden dąży do supremacyi Kościoła nad Państwem, drugi do zwierzchnictwa Państwa nad Kościołem. Jak takie dwie sprzeczności mogły się prawie równocześnie pojawić? I owszém, nie tylko mogły, ale musiały. Chwila, w któréj oba pisma powstały, przypada właśnie na czas, kiedy w Polsce ścierają się ze sobą w gorącéj walce te dwie wielkie myśli, które na Zachodzie walkę tę nieco wcześniéj podjęły i przeprowadziły: idea teokratyczna i idea państwowa; jedna miała przeszłość za sobą, druga chciała sobie wywalczyć przyszłość, i postąpiła już nawet kilka kroków naprzód w obranym kierunku. Każda z nich szukała zewnętrznego dla siebie wyrazu w literaturze; i znalazły go obie: jedna w traktacie Henryka, druga w memoryale Ostroroga. Dwa światy zetknęły się ze sobą w tych

---

[1]) Rozdz. III, Mon. Pol. IV, 171.

dwu pismach z całą swoją sprzecznością przekonań, z całą rozbieżnością tendencyj; a że jeden budził się do nowego życia, przeto rozwinął szeroki, nowością myśli tryskający p r o g r a m; drugi, że bronił zagrożonego, a po części już utraconego stanowiska, ograniczył się na p r o t e ś c i e, którego najwyższą zasadą i ostatnim wyrazem jest: przywrócić dawny, zachwiany porządek rzeczy.

VI.

POCZĄTEK SĄDÓW KAPTUROWYCH.

Wykład wstępny w Uniwersytecie lwowskim.

Rozpatrując dzieje sądownictwa polskiego, wykazać możemy w organizacyi jego instytucyą na wskróś oryginalnie pomyślaną, jakiéj szukalibyśmy napróżno gdziekolwiek indziéj w Europie. Mamy tu na myśli sądy kapturowe. Wprowadzone po raz pierwszy we właściwéj swéj formie po zgonie Zygmunta Augusta, przetrwały one całe dwa wieki jako instytucya żywotna, spoczywająca za życia każdorazowego króla, powoływana do działania z chwilą jego śmierci, przez ciąg całego bezkrólewia; a kiedy wreszcie w r. 1768 wyszła ustawa, znosząca te sądy, zdarzyło się, że ustawa ta nigdy już nie miała wejść w zastosowanie, gdyż ją wydano po ukończeniu ostatniego interregnum. Jedynym tedy wyrazem sądownictwa polskiego podczas bezkrólewi przez ciąg całego t. z. okresu królów elekcyjnych są sądy kapturowe. Jeżeli jednak sięgniemy wzrokiem daléj wstecz, w czasy jagiellońskie, nie mówiąc już o piastowskich, szukać będziemy napróżno jakiegokolwiek rzeczywistego śladu téj instytucyi. Tak zaś mając na uwadze dwa te okresy: jeden z przed roku 1572, w którym sądów kapturowych nie ma wcale, i drugi po roku 1572, w którym sądy te istnieją, pytamy mimowoli, czém się to stało, że instytucya dawniéj nie istniejąca stała się naraz konieczną; wśród jakich okoliczności i dla jakich

powodów znalazła nagle warunki do życia, i wreszcie, dla czego nie pojawiła się ani prędzéj ani późniéj, lecz właśnie w czasie pierwszego po wygaśnięciu dynastyi jagiellońskiéj bezkrólewia.

Odpowiedź na te pytania, a raczéj na jedno, zbierające je wszystkie razem pytanie: jaki jest początek sądów kapturowych, — oto rzecz, którą się bliżéj zajmiemy.

Jeżeli sięgniemy głębiéj w istotę średniowiecznego sądownictwa polskiego, znajdziemy tam jednę myśl przewodnią, jeden rys charakterystyczny, przenikający całą organizacyą tegoż sądownictwa, a dający się streścić w zdaniu, że według pojęć ówczesnych król jest przedstawicielem i orędownikiem prawa, źródłém wszelkiéj sprawiedliwości, najwyższym zwierzchnikiem sądownictwa krajowego. Sądownictwa tego nie wykonuje on oczywiście sam, bezpośrednio, we wszystkich wypadkach, bo byłoby to rzeczą fizycznie niemożliwą; wyręczają go po części inne subsellia niższe, jak: sądy ziemskie, podkomorskie, starościńskie, wiecowe i komisarskie, ale wyręczają go w zastępstwie. To pojęcie zastępstwa znajduje zaś wyraz w dwojakim kierunku. Naprzód w kierunku formalnym, bo wszystkie pozwy, nie tylko przed sąd królewski, ale i przed jakikolwiek sąd niższy, wychodzą stale pod tytułem i imieniem królewskiém; jedyny wyjątek stanowią tu tylko pozwy przed sąd grodzki, które noszą nazwisko i tytuł starosty, ale tylko dla tego, że już sam urząd starosty według znaczenia, jakie doń przywiązywano podówczas, był władzą, działającą wprost i bezpośrednio z ramienia i w zastępstwie króla. A daléj, i pod względem materyalnym widoczną jest ta zależność instancyj niższych wobec króla, przysługuje mu bowiem prawo czynnéj i wszechstronnéj ingerencyi w działalność tych sądów. Może on wydać inhibicyą, mocą któréj zakazuje sądowi niższemu pociągać pewne osoby przed swoje forum, może rozpoczęte już postępowanie sądowe znieść lub zawiesić w drodze abolicyi, może skazańca albo zupełnie ułaskawić, albo wydać mu glejt, czyli list bezpieczeństwa, którym na pewien czas uchyla skutki wyroku, może nawet wywołać proces z przed sądu

niższego przed sąd swój własny, albo téż osobnym przywilejem wyjąć raz na zawsze pewne osoby z pod jurysdykcyi sądów zwyczajnych, a poddać je tylko sądowi królewskiemu, czyli, jak się podówczas wyrażano, nadać im t. z. prawa nieodpowiednie; wreszcie zaś z przybyciem króla do pewnéj ziemi następuje zawieszenie zwyczajnego sądownictwa ziemskiego: sędzia i podsędek ziemscy jawić się mają na jego dworze, i tutaj, w sądzie nadwornym, uczestniczyć w rozstrzyganiu tych spraw, które wśród zwykłych okoliczności należą do zakresu własnéj ich kompetencyi. Jedynym sędzią najwyższym nie jest wprawdzie król w wiekach średnich; ostatnią instancyą obok sądów jego nadwornych są także sądy starościńskie, wiecowe i delegowane przezeń od wypadku do wypadku sądy komisarskie; ale wszystkie one kończą bieg instancyj procesowych jedynie tylko na zasadzie idei reprezentacyi, na zasadzie teoretycznego wyobrażenia, że działają w zastępstwie panującego.

Takie pojęcia o sądownictwie królewskiém przekazały w Polsce wieki średnie nowszym; co większa, pod wpływem czynników, jakie się pod koniec tego okresu, w drugiéj połowie XV stulecia objawiły, pod wpływem dążności do wzmocnienia i skonsolidowania władzy królewskiéj, zaostrzono te pojęcia i spotęgowano je bardziéj, niż kiedykolwiek indziéj: postawiono zasadę, że prócz jedynego sądu królewskiego nie ma w Polsce żadnéj innéj instancyi najwyższéj dla spraw sądzących się prawem ziemskiém; sądy grodzkie, wiecowe, komisarskie spadają do rzędu bądź-to instancyj najniższych, bądź też średnich; jedyną władzą, powołaną do wydawania wyroków, których w drodze dalszych środków prawnych zaczepić nie wolno, staje się sąd królewski, bądź to nadworny, bądź też sejmowy. Nowsza era rozwoju państwowego Polski, wprowadzając w tylu innych kierunkach rozliczne ograniczenia powagi królewskiéj, zarówno w administracyi, jak i ustawodawstwie, nie zmieniła jednak niczego w tém pojęciu szerokiéj władzy sądowniczéj królewskiéj; na tym samym punkcie rozwoju, na jakim rzecz cała zatrzymała się w drugiéj połowie

XV wieku, stoi ona także przez cały ciąg panowania Aleksandra, Zygmunta Starego, Zygmunta Augusta, i sięga nawet poza oba pierwsze bezkrólewia, w początek panowania Stefana Batorego, dopóki organizacya trybunału koronnego z roku 1578 zasady téj częściowo nie obaliła. „Król jest sędzią najwyższym i p a n e m w s z y s t k i c h s ą d ó w s w o j e g o k r ó l e s t w a“ (rex iudiciorum omnium Regni sui dominus et iudex supremus) — oto krótka, ale dobitna, wszechstronna i najtrafniejsza charakterystyka całéj téj myśli przewodniéj, tkwiącéj w urządzeniu sądownictwa ówczesnego, jaką nam przekazała jedna z prób kodyfikacyjnych z pierwszéj połowy XVI stulecia[1]).

Łatwo zrozumieć, że z tych wygórowanych pojęć o sądowniczéj władzy panującego, z idei, jakoby król był reprezentantem prawa, panem władz, powołanych do jego wymiaru, mocodawcą wreszcie bezpośrednim wszystkich niższych instancyj, płynęła bardzo niebezpieczna konsekwencya: iż ze śmiercią króla aż do koronacyi jego następcy, tj. aktu, który prawnie przelewa na elekta władzę królewską, prawo zostaje niejako zawieszoném i gaśnie władza nie tylko właściwego sądu królewskiego, ale zarazem także i wszelkich innych sądów krajowych. Wniosku tego nie wyprowadzano u nas jednak zawsze z ścisłą bezwzględnością; całe prawie wieki średnie, lubo się w nich zrodziła teorya, która dała podstawę do tych wniosków, nie posunęły jednak sprawy aż do jéj ostatecznych konsekwencyj. Zaprzestawał wprawdzie działalności swéj z zejściem króla sąd jego nadworny, bo to wynikało z saméj natury rzeczy, ale działały nadal mimo bezkrólewia inne sądy, w których król bezpośrednio nie brał udziału, i wykonywały nie tylko akta jurysdykcyi niespornéj, ale przeprowadzały nawet, zupełnie niekrępowane, postępowanie w sprawach procesowych. Zapatrywanie to stwierdzają źródła

---

[1]) Korrektura Taszyckiego, art. 344 (Starod. prawa pol. pomn. tom. III). Cały poprzedzający wywód o istocie sądownictwa królewskiego uzasadniłem i rozprowadziłem szczegółowo w Genezie Trybunału Koronnego.

jeszcze z czasów bezkrólewia po śmierci Władysława Jagiełły, przed koronacyą Władysława III[1]), tudzież z czasów bezkrólewia po zgonie tego ostatniego, i to nawet już wtedy, kiedy się przestano łudzić nadzieją powrotu jego z wyprawy tureckiéj i miano już następcę w osobie obranego, lubo niekoronowanego jeszcze Kazimierza Jagiellończyka[2]).

Odmiennie już przedstawia się nam cała ta sprawa, jeżeli rzucimy na nią światło stosunków z końca XV stulecia. Ów większy jeszcze niż poprzednio wzrost sądowniczéj władzy królewskiéj, który właśnie przypada na te czasy, owo silniejsze zaakcentowanie pojęć i wyobrażeń, które istniały wprawdzie już dawniéj, których jednak nie sformułowano poprzednio z wszelką ścisłością i dokładnością, z których nie wyciągnięto wszelkich możliwych wniosków, — wywołały teraz skutek, który można było przewidzieć: wyrobiło się przekonanie, że sądownictwo ustaje z chwilą skonu monarchy, i to nie dla innéj przyczyny, jeno dla téj właśnie, że król nie żyje[3]). W roku 1492, z zejściem Kazimierza Jagiellon-

---

[1]) I tak przytoczyć możemy przykłady jurysdykcyi niespornéj, wykonywanéj podówczas przez sądy, u prof. Liskego: Akta grodzkie i ziemskie V, 59; u Helcla, Starod. prawa pol. pomn. II, nr. 2549, 2553, 2554; przykłady aktów jurysdykcyi spornéj: Helcel, II, nr. 2550, z 25 czerwca 1434, o główszczyznę; nr. 2551, z téjże saméj daty, w sprawie bliżéj nieznanéj (pro contentis in libro); nr. 2552, z téjże saméj daty, o „przekazane rzeczy"; nr. 2555, z 26 czerwca 1434, o gwałty i szkody.

[2]) Dowodów mnóstwo u Helcla II, pod rokiem 1445—1447.

[3]) P. Ferd. Bostel w pracy: Elekcya Aleksandra Jagiellończyka w Przewodn. nauk. i liter. z roku 1887 str. 240 uw. 2., ogłoszonéj już po pierwszém wydaniu niniejszego szkicu, godząc się na powyższe moje zapatrywanie, uzupełnia je w tym kierunku, że przyczyną zawieszenia sądownictwa były nadto jeszcze inne praktyczne względy, a mianowicie: 1) wzgląd na bezpieczeństwo, gdyż w razie opróżnienia tronu było je trudno utrzymać, stąd téż starostowie zakładają wysokie wadya pomiędzy stronami; 2) umożliwienie przybycia każdemu na elekcyą, boć przecie odkładają się roczki i w czasie pospolitego ruszenia, w czasie sejmu generalnego za życia króla i t. p. a to w tym celu, aby nikt nie był krępowany cytacyą, i mając inne obowiązki, nie potrzebował się oglądać na konsekwencye niestawiennictwa. — Co do pierwszego argumentu

czyka, ustają nagle wszelkie zapiski jurysdykcyi spornéj w licznych już zresztą podówczas księgach naszych sądowych,

---

podnoszę przedewszystkiém, że wysokość wadyów zakładanych przez starostów nie jest żadną szczególną właściwością, zjawiającą się dopiero w bezkrólewiu. Pomijając wadya, nakładane w postępowaniu egzekucyjném z powodu oporności strony, które równały się wysokości sumy dłużnéj, a w danym razie mogly być nawet potrojone (vadium triplicatum), a więc dochodziły do znacznéj wysokości, nadmieniam, że te wadya, które autor ma na myśli, t. j. zakłady celem utrzymania pokoju pomiędzy stronami zwaśnionemi, dochodziły zazwyczaj, nawet za życia króla, do bardzo znacznéj wysokości, jak się o tém przekonać można z jakiegokolwiek zbioru zapisek sądowych. Wysokość ich nie powinna zatém zadziwiać. Sam argument (pierwszy) nie jest zresztą dla mnie całkiem zrozumiały; wyobrażam sobie bowiem, że właśnie wzgląd na utrzymanie bezpieczeństwa w kraju wymagałby odprawiania sądów, nie zaś ich zawieszenia. Drugi argument po ścislejszéj analizie nie da się również utrzymać. Z powodu pospolitego ruszenia zawieszano sądy od chwili rozesłania wici, z powodu zapowiedzianego sejmu od chwili wydania uniwersału sejm zwołującego; gdyby tedy zawieszenie roków podczas bezkrólewia z powodu elekcyi następowało ze względów praktycznych, dla umożliwienia przybycia na elekcyą, to mogłoby to nastąpić dopiero od chwili wydania uniwersału zwołującego sejm elekcyjny; tymczasem zawieszenie to następuje wyłącznie, jak zaznacza przytoczona przez samego p. Bostla zapiska: propter occasionem Regiae Maiestatis (zob. przypisek nast.) bez oczekiwania uniwersału elekcyjnego. Pozostaje zatém ostatecznie tylko przyczyna zasadnicza, którą poprzednio wywiodłem, jako powód zawieszenia sądownictwa. Stąd okazuje się, że zapatrywania wypowiedziane w recenzyi przytoczonéj pracy p. Bostla w Kwartalniku historycznym z r. 1888, str. 325 przez p. Wszeteczkę, który teoryą p. Bostla zbyt pospiesznie przyjął, a nawet posunął się o krok daléj, upatrując w owych praktycznych względach j e d y n y powód zawieszenia sądownictwa, pozbawione są naukowéj wartości. Jeżeli p. Wszeteczka przytacza, że mimo śmierci królewskiéj odprawiano sądy miejskie, to zgoda najzupełniejsza na ten fakt, ale nie ma w nim żadnego dowodu przeciw mojemu zapatrywaniu, które odnosi się wyłącznie do sądów prawa polskiego. Miasta miały szeroką autonomią sądowniczą, władza sądów miejskich nie wypływała wyłącznie z władzy królewskiéj jako takiéj. Sądy miejskie gajono: „mocą Pana Boga Wszechmogącego.... K r ó l a J M c i i R a d y j e g o (a więc r z ą d u), mocą burgrabską i sołtysią, mocą panów przysiężników i wszystkiego pospólstwa.“ (Groicki, Porządek sądów i spraw miejskich, wyd. 1629, karta 55); w razie śmierci

i nie pojawiają się napowrót, dopóki na tronie nie zasiadł Jan Albert; co większa, sądy wyraźnie już nawet zaznaczają, że odroczenie kadencyj następuje z powodu śmierci królewskiéj[1]). Ten sam powód zawieszenia sądownictwa podają źródła także po śmierci Jana Alberta[2]). Od téj powszechnie już podówczas uznanéj zasady czyniono jednak pewne wyjątki, podyktowane względem na potrzebę utrzymania bezpieczeństwa i pokoju publicznego, które wśród tego ogólnego zastanowienia sądownictwa najłatwiéj mogły być narażone na niebezpieczeństwo. Więc albo starostowie, zawieszając roki grodzkie, czynili zastrzeżenie, że mimo to sądzić będą nowe, t. j. podczas bezkrólewia popełnione gwałty[3]), albo téż rząd tymczasowy, skupiając najwyższą władzę państwową w swém ręku, sam odbywał sądy lub też innych sędziów do wykonywania jurysdykcyi delegował[4]). Niebawem jednak, i to jeszcze za czasów ja-

króla można tedy było gaić sąd w imieniu tymczasowego rządu, t. j. saméj Rady. Wszak i późniéj miasta nie zaprowadzają podczas bezkrólewi sądów kapturowych; zwyczajny ich bieg sądownictwa nie doznaje żadnéj przerwy.

[1]) Zapiska sądu przeworskiego (Terr. Prevorscensia III, 483 w arch. lwowskiém): Termini condemnabiles sunt positi ab hodierna die, qui hodie debuerunt fieri, sunt positi feria tertia proxima post Undecim millia virginum, et hoc propter occasionem Regiae Maiestatis. — Odszukanie téj zapiski zawdzięczyć należy p. Bostlowi.

[2]) Stanislaus de Chodecz, capitaneus Leopoliensis, transtulit terminos... occasione mortis Serenissimi Principis Iohannis Alberti. Zapiska z r. 1501 w Castr. Leopol. VII. 30 (w archiwum lwowskiém).

[3]) Omnes termini et causae quarumcunque personarum in diem hordiernum et in dies sequentes cadentes, una cum interrogationibus earumdem, iuramentis et documentis, de potestate capitaneali propter obitum Serenissimi Domini Regis (Iohannis Alberti) dantur et transponuntur... et cum causis, quae sunt ad litteras datas ex officio ad querelam. Novis tamen violentiis exceptis, quae interim poterint iudicari. Zapiska z 23 czerwca 1501 u Helcla, II, 4533.

[4]) Tak zjeżdża ten rząd w czasie bezkrólewia z r. 1501 na roczki grodzkie, składa sąd nadworny, a nawet odsądza sprawy na sejmie; prócz tego deleguje starostów do odsądzania niektórych spraw: de speciali mandato et commissione Rev. D. Cardinalis et Dominorum Consiliariorum. Cytaty u Wszeteczki w powołanéj recenzyi w Kwart. hist z r. 1888, str.

giellońskich, przy dalszém, coraz ściślejszém określaniu rzeczy, zatracił się i ten wyjątek; nie spotykamy już bowiem późniéj żadnych śladów jakiéjkolwiek jurysdykcyi spornéj podczas bezkrólewi, chociażby nawet w sprawach świeżo popełnionych gwałtów, a jedyną czynnością, jaką sądy w tych czasach wykonywują, jest tylko jurysdykcya niesporna, przyjmowanie wpisów i zeznań do ksiąg sądowych tudzież wydawanie ekstraktów, które w grodach praktykuje się w sposób zwyczajny, w ziemstwach zaś na t. z. leżeniu ksiąg ziemskich (positio actorum terrestrium), odbywaném zamiast przypadających na ten czas roków ziemskich[1]).

W chwili skonu Zygmunta Augusta (dnia 7 lipca 1572) rzecz cała nie przedstawiała już dla nikogo najmniejszéj wątpliwości. Bez wyraźnéj ustawy, bez jakiegokolwiek zresztą rozporządzenia ze strony tymczasowego rządu, jedynie tylko na podstawie wyrobionego zwyczaju, wszystkie sądy polskie na pierwszą wieść o śmierci królewskiéj, jak gdyby na dane hasło, zawiesiły wszelkie swoje czynności procesowe[2]). „Ze śmiercią króla wszystkie prawa ustają, milczą; ze śmiercią

---

325. Może taką delegacyą miał także sąd sanocki, rozstrzygający w czasie tegoż bezkrólewia sprawy, o których p. Bostel (Elekcya, str. 241) wątpi, czy były nowe.

[1]) Positio actorum praesentium ob mortem Serenissimi Principis Domini Domini Sigismundi, Dei gratia Regis Poloniae... interveniente, loco terminorum terrestrium celebrata est. Zapiska z 18 czerwca 1548 w aktach ziemskich czchowskich XIII, 153, obecnie w archiwum krakowskiém. Konfederacya, zawarta po śmierci Stefana Batorego r. 1586, powołuje się wyraźnie na to, iż podczas bezkrólewi zwykło się odbywać tylko leżenie ksiąg ziemskich: Ksiąg ziemskich, obyczajem zwykłym, leżenie ma być. Vol. leg. II, 1051.

[2]) Przytaczamy tu kilka przykładów. W aktach grodz. bełskich, t. 442, str. 879, 880 (archiwum lwowskie) czytamy pod 7 lipca 1572: Limitatio iudiciorum. Termini iudiciorum capitaneales castrenses Belzenses in diem hodiernam incidentes, ex certa ratione, videlicet propter mortem Serenissimi Sigismundi Augusti Regis Poloniae, ob cuius mortem iura siluerunt, ad futurum regem libere electum non sunt celebrati et... in toto suo vigore limitati ad hoc usque tempus, quando erunt de mandato iudicii capitanealis castrensis Belzensis per certum ministerialem obclamati et praefixi. — W aktach gr. przemys. (t. 765, str. 846, arch. lwow.), pod

króla wszystkie sądy stanąć muszą; ex morte regis iudicia omnia cessant; mortuo rege mortua est vis legum et iustitiae; mortuo rege tribunalia et iudicia, quae nomine regis vigorem obtinent, cessant et silent," — oto zapatrywania[1]), któremi fakt ten uzasadniano, różne w słowach, jedne w treści, wyraz owych skrajnych konsekwencyj, do których doprowadziło pojęcie o bezpośredniéj niejako emanacyi prawa i sprawiedliwości z osoby królewskiéj. Ów zlecony, pełnomocniczy charakter polskich władz sądowych wystąpił tu z całą jaskrawością na jaw, a zasada, iż wszelka władza pełnomocnika gaśnie ze śmiercią mocodawcy, została urzeczywistnioną z wszelką bezwzględnością i to w sposób oryginalny i samodzielny, bo przecież i gdzieindziéj w Europie pojęcie zleconéj władzy sądów niższych nie było zupełnie obcém urządzeniem prawa

datą nieoznaczoną szczegółowo, pochodzącą jednak w każdym razie z lipca 1572: Finiunt acta praesentia omnium generaliter causarum... ob decessum SS. Regis Sigismundi Augusti... Postquam notitia (de morte regis) ad officium praesens castrense Premisliense venit, officium praesens a disiudicatione omnium generaliter causarum officio capitaneali disiudicationi pertinentium desiit. — W aktach gr. oświęcimskich, pod 14 lipca 1572 (t. 45, str 673, arch. lwow.): Roki sądowe grodzkie starościńskie, na dzień dzisiejszy przypadłe, przez starostę zasiedziane, odłożone. — W aktach gr. sanoc. pod 14 lipca 1572 (t. 31, str. 164. arch. lwow.): Hic cessavit administratio omnium et singularum causarum et actionum tam iudicii quam officii castrensis capitanealis Sanocensis propter discessum ex hac luce Serenissimi Principis olim Regis Poloniae, ut quam primum ad notitiam officio ipso castrensi capitaneali Sanocensi de obitu ipsius Serenissimi Principis Sigismundi Augusti Regis Poloniae devenit, acta castrensia capitanealia Sanocensia clausa sunt et causae omnes iudicii et officii eiusdem cessaverunt. — W aktach gr. krakow. pod d. 17 lip. (t. 1 rel. str. 43, arch krak.): Omnes termini et causae officii castrensis capitanealis Cracoviensis querelarum... per officium castr. capitaneale Crac. sunt transpositi... propter obitum regium. Zaznaczyć zresztą winniśmy, że nie we wszystkich powyżéj przytoczonych lub im podobnych limitacyach odkładano sądy aż do koronacyi przyszłego króla; czasami odkładano je tylko na kilka tygodni; w tym wypadku jednak, po upływie tego terminu następowały dalsze limitacye przez ciąg całego bezkrólewia.

[1]) Powyższe zdania zebrane zostały ze współczesnych aktów sądowych. Kilka im podobnych zawierają cytaty przytoczone w poprzedzającéj uwadze.

publicznego, a jednak nigdzie indziéj nie wydobyto zeń tak daleko sięgających wyników. Polska znalazła się nagle bez wszelkich organów do wymiaru sprawiedliwości.

Taki stan rzeczy przedstawiał w bezkrólewiu z r. 1572 więcéj niebezpieczeństw, niż kiedykolwiek indziéj. Widzieliśmy, że jeszcze na samym początku wieku XVI sądy zwyczajne mimo zawieszenia swéj działalności mogły przecież wyjątkowo sądzić przynajmniéj świeżo popełnione gwałty i utrzymywać jako tako bezpieczeństwo publiczne w kraju; w r. 1572 nikomu nie przyszło na myśl dopuścić takiego wyjątku. A daléj potęgowała niebezpieczeństwo następująca okoliczność. Lubo za poprzedników Zygmunta Augusta przez dłuższy ciąg panowania dynastyi jagiellońskiéj istniała w Polsce w teoryi zasada elekcyjności tronu, to jednak faktycznie zasadę tę stosowano raczéj w jéj formie, niż w treści; mimo pojawiającéj się od czasu do czasu kandydatury innych książąt, wybór padał zawsze na Jagiellona; w chwili śmierci poprzednika już sam stopień pokrewieństwa wskazywał niejako jego następcę, nie było prawie wątpliwości co do kandydata; nie mówiąc już o wypadku, który się zdarzył w pierwszéj połowie XVI wieku, gdzie jeszcze za życia ojca syna jego obrano następcą. Stąd téż i bezkrólewia były spokojniejsze, i co najważniejsza, krótsze. Począwszy od r. 1492, kiedy to, jak zaznaczyliśmy, po raz pierwszy śmierć królewska wpływa na zawieszenie funkcyj władz sądowych, czas między skonem poprzednika a koronacyą następcy wynosi zawsze kilka zaledwie miesięcy; najdłuższe z tego okresu bezkrólewie między Olbrachtem a Aleksandrem nie dochodzi nawet pół roku. W czasie stosunkowo tak krótkim można było snadniéj obyć się bez sądów. Obecnie jednak, z wygaśnięciem linii męskiéj Jagiellonów, wobec pojawiających się z najrozmaitszych stron kandydatur, wobec tylu stronnictw przeciwnych, z których każde miało upatrzonego kandydata do korony, groziły daleko większe niż poprzednio zamięszania, a co już najbardziéj można było przewidywać, groziło dłuższe, nie kilka miesięcy, ale kilka może lat trwać mające bezkrólewie. Stąd téż i ów

poniewolny spoczynek sądów przedstawiał obecnie większe, niż kiedykolwiek, niebezpieczeństwo. Dodajmy do tego jeszcze jeden wzgląd ważny, a zrozumiemy całą grozę położenia, w jakiém się podówczas kraj znalazł. Wspomnieliśmy już, że w drugiéj połowie wieku XV w miejsce wszystkich dawniejszych sądów najwyższych stanął sąd królewski jako jedyna instancya ostatnia. Przez pewien czas mógł on jeszcze podołać swojemu zadaniu; ale niebawem, od drugiéj zwłaszcza połowy rządów Zygmunta I, nastąpił w sądownictwie królewskiém skutkiem zbytniego nawału spraw niesłychany zastój; dziesiątki tysięcy procesów zalegały przez długie lata niezałatwione, a każdy nowy rok przynosił z sobą coraz większą ilość zaległości, którym król, jako jedyny sędzia najwyższy, mimo energicznéj i wytężonéj pracy nie mógł żadną miarą podołać. To rozluźnienie stosunków w dziedzinie najwyższéj sprawiedliwości pociągnęło za sobą jeszcze za życia obu ostatnich Jagiellonów skutek całkiem naturalny; wzmogła się w kraju swawola, nieposłuszeństwo i lekceważenie prawa, gwałty i rozboje przeszły na porządek dzienny, morderstwa i zabójstwa wzrosły w sposób zastraszający[1]). Takie opłakane stosunki przekazywało panowanie Zygmunta Augusta potomności; o ileż groźniejszą postać przybierał cały stan rzeczy w bezkrólewiu po jego śmierci, kiedy nie tylko sąd królewski, ale i inne sądy nie mogły stać na straży bezpieczeństwa publicznego, kiedy nieokiełznana swawola, która już dotąd rozrosła się tak bujnie, mogła teraz śmieléj jeszcze podnieść głowę, w czasie, kiedy, jak się wyrażano, milczą wszystkie prawa. Posłuchajmy głosu współczesnych, z jaką obawą spoglądali z tego powodu w otwierające się bezkrólewie: „Za życia Zygmunta Augusta — powiada Heidenstein — biegały po kraju dziwne przepowiednie, jakoby po śmierci jego państwo całe razem z nim zaginąć miało. Umysły wielu przejmowały strach i obawa. Niebezpodstawną była ta obawa, w ostatnich bowiem czasach

---

[1]) O tym upadku sądownictwa królewskiego i skutkach, jakie stąd wynikły, zob. dokładniéj w Genezie trybunału koronnego, cz. I.

Zygmunt August z powodu słabości zdrowia sądów odprawiać nie mógł, a swawola wielu ogromnie rosła. Gdyby tedy razem ze śmiercią króla bojaźń prawa ustała, wszystko rzuciłoby się na rozboje i mordy“[1]). Takie były obawy; jakąż okazała się rzeczywistość? Zaledwie w dwa tygodnie po śmierci króla wyraża się zjazd łowicki w publicznym akcie urzędowym: „Gwałty, najazdy, mordy i rapiny już się na wielu miejscach wszczynają“[2]).

Znalazła się Polska nagle i niespodziewanie w nader przykrém i drażliwém położeniu. Owe skrajne wnioski, jakie wyprowadzano z pojęcia o zleconéj władzy sądów, kazały jéj w bezkrólewiu zawiesić ich działalność; wzgląd na zapobieżenie największemu rozstrojowi stosunków wewnętrznych domagał się koniecznie utrzymania téj działalności. Obie rzeczy wykluczały się nawzajem; przeprowadzenie jednéj musiałoby obalić drugą; że zaś żadną miarą nie chciano czy też nie umiano zdobyć się na porzucenie całéj owéj skrajnéj teoryi, przeto nie pozostawało nic innego, jak tylko szukać jakiegoś pośredniego punktu wyjścia, który nie ubliżając teoryi, potrafiłby przecież powołać w jakiś sposób zawieszone sądownictwo do życia, a tém samém usunąć groźne ze wszech miar niebezpieczeństwo. Tym pośrednim punktem wyjścia stała się dla Polski — konfederacya.

Nie ma może rzeczy, uzasadnionéj bardziéj ustrojem dawnego, zwłaszcza zaś średniowiecznego państwa, zarówno w Polsce, jak i gdzieindziéj na Zachodzie, jak konfederacya. Państwo średniowieczne, z organizacyą swoją na wskroś odśrodkową, z słabą władzą centralną, z niedostatecznemi siłami i środkami, nie było w możności przeprowadzić wszystkich celów państwowych; wiele z nich trzeba było zaniechać zu-

---

1) Heidenstein, Rerum ab excessu Sigismundi Augusti, ks. I.

2) Teki Naruszewicza w Bibl. ks. Czartoryskich w Krakowie, t. 80, nr. 41: Poselstwo od Rad koronnych, które się były do Łowicza zgromadziły, do Rad W. Księstwa Litewskiego. Por. téż pismo u Noailla (Henri de Valois, III, 89): cum multi de rapinis, homicidiis, oppressionibus expostularent.

pełnie, albo, jeżeli miały być koniecznie urzeczywistnione, pozostawić je inicyatywie prywatnéj. Jakoż w istocie inicyatywa ta prywatna występuje podówczas częstokroć na jaw, ale że siły jednostek, a nawet korporacyj, nie starczą do spełnienia tych obszernych zazwyczaj i trudnych zadań, przeto budzi się i rozwija w wiekach średnich duch assocyacyi, łączący pewną, zazwyczaj większą ilość tychże jednostek czy korporacyj, związanych jednymi widokami i jednym interesem, dążących wspólnymi środkami do osiągnięcia wspólnych celów. Tak działając jako mniéj lub więcéj silna potęga obok państwa, a czasem nawet przeciw państwu, tworzą się związki o najrozmaitszych częściach składowych, dążące do najrozmaitszych celów, przybierające najrozmaitsze formy zewnętrzne i nazwy, jak: fraternitety, bundy, hanzy, konspiracye, kolligacye, a już najczęściéj: konfederacye. I w Polsce konfederacye oddawna już były znane. Wprowadzają je naprzód miasta w pierwszéj połowie XIV wieku, idąc za wzorami niemieckimi; w r. 1352 pojawia się pierwsza konfederacya rycerstwa i powtarza odtąd wielokrotnie przez ciąg wieków średnich[1]). Sięgając w bezkrólewiu po wygaśnięciu Jagiellonów do tego środka, nie wprowadzono tedy żadnéj nowości, opierano się na instytucyi, która nabyła już obywatelstwa w publiczném prawie polskiém. Był to zaś jedyny środek, za pomocą którego ominąć było można niebezpieczeństwo, grożące podówczas Rzeczypospolitéj; gdy bowiem konfederacya już z istoty i pojęcia swego służyła do przeprowadzenia nadzwyczajnych, wyjątkowych celów, do których osiągnięcia nie wystarczały ani zwyczajne środki, ani normalne stosunki państwa, przeto można było, stosując tę zasadę do sądownictwa, postawić tezę, że z chwilą, gdzie kończy się prawidłowa działalność sądów zwyczajnych, konfederacya powołać może do życia sądy nadzwyczajne, których władza opierać się będzie nie na teoretycznéj idei o pełnomocnictwie królewskiém, ale

---

[1]) Dokładniéj o początku konfederacyj w Polsce mówi Szujski w szkicu: Maćko Borkowicz i pierwsza konfederacya rycerstwa.

na zleceniu saméj konfederacyi, które zatém działać mogą mimo śmierci królewskiéj, owszem, które działać mogą tylko w bezkrólewiu, skoro konfederacya, źródło i podstawa ich władzy, na ten tylko czas anormalnych stosunków zawartą została. Oto myśl zasadnicza, na któréj oparto istotę i władzę sądów kapturowych.

Stało się to zaś, w roku 1572, po raz pierwszy dopiero. Jeżeli bowiem przywiążemy do pojęcia sądów kapturowych znaczenie ścisłe i właściwe, jeżeli pod nazwą tą rozumieć będziemy sądy nadzwyczajne, oparte na konfederacyi, wykonujące sprawiedliwość tylko podczas bezkrólewia, i co najważniejsza, z zawieszeniem działalności innych sądów zwyczajnych, to spostrzeżemy, że wszelkie konfederacye, jakiekolwiek zawierano poprzednio, zdążały zawsze do odmiennych celów, że żadna z nich nie wprowadziła właściwych sądów kapturowych. I tak, jedne z nich, jak np. konfederacye z r. 1352 i 1439[1]) powstają za życia królów, nie wprowadzają zatém żadnych sądów z powodu bezkrólewia; inne, jak mianowicie konfederacya radomskowska z r. 1382[2]), lubo się zawiązała po zgonie Ludwika przed koronacyą Jadwigi, zobowiązywała wprawdzie uczestników pod wiarą i poczciwością ruszyć przeciw gwałtownikom, ale nie ustanowiła żadnych nowych sądów, określiła tylko formę egzekucyi; zupełnie w ten sam sposób, jak ją określały konfederacye, zawierane za życia królów. Jedyny wyjątek zdawałaby się tu stanowić druga konfederacya radomskowska z r. 1384, która ustanawiając tymczasowy rząd w bezkrólewiu po śmierci Ludwika, przyznała temuż rządowi prawo wykonywania sądownictwa nad wszystkimi, którzy się sprzeciwią jego rozporządzeniom[3]).

---

[1]) Pierwsza w Raczyńskiego Cod. dipl. Maioris Pol., strona 108, przedrukowana także w nowym Kodeksie dypl. wielkopolskim; druga w Vol. leg. I, 141.

[2]) Vol. leg. I, 58.

[3]) Item in conventione celebrata nuper in Radomske domini concluserunt, quod in qualibet terra adiuncti sunt sex domini et duo cives ipsius terrae capitaneo eiusdem terrae, qui recipiant promissiones et iura-

Wyjątek to jednak jednak tylko pozorny; konfederacya ta nie wprowadza jeszcze właściwych sądów kapturowych. Jurysdykcya bowiem sądu tego konfederacyjnego zawarunkowaną była uprzedniém wydaniem rozporządzenia przez rząd i nieusłuchaniem go przez winnego, uprawniała zatém tylko do karania występków przeciw powadze i działalności władzy administracyjnéj krajowéj; o uchyleniu władzy sądów zwyczajnych zarówno w sprawach cywilnych, jako też zwykłych sprawach karnych nie ma tu jeszcze mowy, jak nie było aż do końca niemal wieku XV.

Mając to wszystko na uwadze, możemy teraz przystąpić do wyjaśnienia kwestyi, skąd się wzięła nazwa sądów kapturowych. Kwestya ta jest sporną w nauce prawa polskiego, a to głównie dla tego, że celem wyjaśnienia jéj stawiano dowolne hypotezy bez dokładnego naukowego zbadania sprawy. Wyprowadzano naprzykład nazwę sądów kapturowych stąd, iż mają one prawo pojmać (capere) winowajców, albo znowu stąd, że naród po śmierci króla zawdziewa niejako kaptur na siebie, czy to dla okazania żałoby, jak mówili jedni, czy też dla zaznaczenia jedności swéj, tak potrzebnéj w czasie bezkrólewia, jak twierdzili drudzy, i pod osłoną tego kaptura ustanawia sądy, kapturowemi stąd zwane, na czas tegoż bezkrólewia. Wszystkie te zapatrywania, jak widoczna, dzielą się na dwie grupy: jedna z nich wyprowadza nazwę od funkcyj sądu kapturowego, nie troszcząc się bynajmniéj o podstawę, na któréj się władza jego opierała, o konfederacyą; druga bierze za punkt wyjścia samę konfederacyą, twierdzi, że pojęcia konfederacya a kaptur, to rzeczy identyczne, ale tylko o tyle, o ile konfederacya powstała w czasie bezkrólewia.

---

menta a communitate, quod ipsi omnes coniunctim et divisim praedictis dominis tenentur in omnibus obedire. Si quis ausu temerario memoratis dominis vellet contraire et ipsis non obedire, extunc ipsi domini praefatos rebelles debent incaptivare, incarcerare, de bonis ipsorum se intromittere aut ipsa destruere et cremare, nec unquam ista ab aliquo iure repetere, pro quibus tunc perpetuum silentium imposuerunt. Rozpr. i Sprawozd. wydz. hist. fil. Akad. Umiej., I, 163—173; Codex epist. I, 1.

Obie interpretacye sa błędne, lubo druga więcéj już niż pierwsza zbliża się do prawdy.

Bezstronne rozpatrzenie źródeł przekonuje nas, że według pojęć, jakie istniały u nas jeszcze w czasie bezkrólewia z r. 1572, każda konfederacya nazywała się kapturem, i to bez względu na to, czy ją zawiązano za życia króla, czy też po jego śmierci. W licznych pismach z czasów tegoż bezkrólewia spotykamy co chwila zwrot: confoederatio alias kaptur przyczém powołując się na wzory dawniejsze, pisma te nazywają wyraźnie kapturami nie tylko konfederacyą radomskowską z r. 1382, ale i nowokorczyńską z r. 1439; gdy zaś ostatnia zawiązaną została za życia Władysława III, przeto odpada wszelki powód do przypuszczenia, jakoby tylko konfederacye z czasów bezkrólewia nosić mogły nazwę kapturów, a wraz z tém rozwiewa się samo z siebie twierdzenie, jakoby w pojęciu kaptur tkwił jakiś objaw żałoby z powodu zgonu panującego. Jeszcze dobitniéj wyjaśniają całą tę sprawę słowa instrukcyi, wydanéj na sejmiku województwa sandomierskiego w r. 1563, a więc na dziewięć zaledwie lat przed bezkrólewiem. Opierając się podatkom nałożonym przez sejm, wyraża się szlachta w téjże instrukcyi[1]: „Aby żadna angaria przez urzędy wkładana być nie mogła, aż wszystkim ku wiadomości ustawa ta przyjdzie, która, gdyby była przeciw wolnościom, aby ich na sobie rozciągać nie dopuścili; stądże urosły te spiski, które my kaptury zowiemy, w których stoi, jako się przysięgą przodkowie nasi sprzysięgli, nie tylko duszę przed Bogiem krzywoprzysięstwem obwiązując, ale też i ciało przed ludźmi poczciwością, aby każdy bronić był powinien praw tych“ itd. Widoczna ze słów tych, że grożono zawarciem konfederacyi, ale nie z powodu bezkrólewia, co większa, nie celem wprowadzenia jakichkolwiek sądów; chodziło jedynie o związek, mający się sprzeciwić nałożonym podatkom, a jednak związek ten nazwano kapturem. Tak zaś wykazawszy identyczność obu tych nazw, możemy już z całą

---

[1]) Rpis Bibl. ks. Czartoryskich w Krakowie, nr. 1604.

łatwością wyjaśnić pytanie, skąd się wzięła nazwa sądów kapturowych. Zwano je tak dla tego, ponieważ się opierały na konfederacyi, czyli kapturze; sądy kapturowe nie znaczą tedy nic innego, jak tylko sądy konfederacyjne, i gdyby np. konfederacya jaka zawiązana za życia króla była ustanowiła jakie sądy, sądy te, według współczesnéj terminologii były-by się mogły zwać z równem prawem sądami kapturowymi, choćby nie miały przeznaczenia działać podczas bezkrólewia. Z tego punktu widzenia sądem kapturowym był także ów sąd z r. 1384, o którym wspomnieliśmy poprzednio, dla tego, że się opierał na postanowieniach konfederacyi. Jaki był powód, że konfederacyą samę nazywano kapturem, to rzecz, któréj rozbiór nie do nas należy; rozwiązanie jéj ostateczne i stanowcze da nam przyszła historya konfederacyj w Polsce, jak również i rozwiązanie drugiego pytania, które się z poprzedniém łączy bezpośrednio, dla czego późniéj nazwa kaptur przybrała znaczenie ściślejsze, dla czego z czasem nie wszystkie już konfederacye znaczono tém mianem, ale tylko te, które w czasie bezkrólewia powoływały sądy kapturowe do życia[1].

Nie było naszym zamiarem wdawać się w niniejszym szkicu w kwestyą organizacyi sądów kapturowych z r. 1572. Mimo to jednak, dla uniknięcia nieporozumień, zaznaczyć mu-

[1]) Nawiązując do téj uwagi prof. Pawiński w znakomitém swém dziele: Rządy sejmikowe w Polsce, str. 317 uw. 1, próbuje wyjaśnić znaczenie wyrazu: kaptur, jako równoznacznego z pojęciem: konfederacya, w ten sposób, iż każdą konfederacyą, zawiązaną głównie dla zabezpieczenia pokoju pospolitego i bezpieczeństwa, uważa za rodzaj osłony czyli kapturu, który broni ciała od obrażeń czyli ciosów, jakieby zadać mogła swawola. Z poważnéj strony słyszeliśmy jednak zdanie, o którém nie śmiemy wydawać sądu, że wyraz kaptur powstał przez prostą morfologiczną zmianę wyrazu: confoederatio, dokonaną przez średniowieczny język polski. W każdym razie, mimo dalsze uwagi prof. Pawińskiego, pozostaje do wytłómaczenia pytanie, dla czego późniéj (w wieku XVII i XVIII) nazwa kaptur służy na oznaczenie tych tylko konfederacyj, które zawierane były podczas bezkrólewia dla wprowadzenia sądów kapturowych, boć i późniéj inne konfederacye służyły także dla zabezpieczenia pokoju pospolitego.

simy, że cała ta instytucya, właśnie dla tego, że znajdowała się podówczas dopiero w stadyum powstawania, nie przybrała od razu form jasno i stanowczo określonych, lecz przechodziła powoli przez rozmaite stopnie rozwoju. Były mianowicie dwie główne fazy w tym rozwoju. W pierwszéj z nich nie ma jeszcze mowy o właściwych sądach kapturowych. I tak mianowicie kaptur krakowski z 19 lipca 1572 rokn (Vol. leg. II, 839) nakłada na skonfederowanych obowiązek pod wiarą i poczciwością powstać przeciw każdemu, któryby się dopuścił gwałtów, najazdów, łupiestw lub innych zbrodni i wykonać na nim karę śmierci, infamii i konfiskaty majątku. Było to znowu, jak widzimy, dosłowne powtórzenie zasad, wyrażonych w dawniejszych konfederacyach, była tylko określona forma egzekucyi; w jaki jednak sposób winny miał być przekonany o swéj zbrodni, a przedewszystkiém, jaki sąd przeprowadzić miał proces przeciw niemu, konfederacya nie orzekła. Nieco odmiennie załatwiła tę sprawę konfederacya ziemi chełmskiéj, zawiązana 17 lipca (Noailles, Henri de Valois, III, 157.) Zobowiązano się tu również zapobiegać wszelkim naruszeniom pokoju pospolitego, ale winnych postanowiono odesłać do najbliższego zjazdu koronnego, t. j. sejmu konwokacyjnego. Téj saméj treści uchwały wydał także zjazd łowicki z 23 lipca (Noailles, III, 85.) Wszystkie te postanowienia miały jednak zasadnicze błędy: jedne chciały karać winowajców, a nie ustanawiały sądów, inne odsyłały ich do najniewłaściwszego forum, do sejmu, który leżał dopiero w dalszéj przyszłości, kiedy wzgląd na dobro publiczne wymagał jak najspieszniejszego działania przeciw gwałtownikom, i który zresztą, zajęty innemi ważnemi a nagłemi sprawami, nie byłby znalazł dosyć czasu do wymiaru sprawiedliwości karnéj dla całego państwa. Przekonawszy się o niedostatkach wszystkich dotychczasowych prób, chwycono się niebawem innéj drogi celem załatwienia sprawy: poczęto wprowadzać w poszczególnych ziemiach właściwe sądy kapturowe. Ze znanych nam postanowień, które wprowadziły te sądy, przytaczamy tu: konfederacyą gliniańską województw ruskiego i podolskiego z 31 lipca

(Noailles, III, 160), przyjętą późniéj dosłownie przez województwo sandomierskie we wrześniu (Noailles, III, 162, uw.); konfederacyą województw wielkopolskich z 15 października (Noailles, III, 166); konfederacyą województwa mazowieckiego z 25 listopada (Teki Naruszewicza, t. 80, nr. 150); konfederacyą województw krakowskiego i sandomierskiego z 16 grudnia (Noailles, III, 163); ponowną konfederacyą województwa ruskiego z 2 marca 1573 (Noailles, III, 274 i Plater, Zbiór pam. III, 35). Prócz tego wspomnieć należy jeszcze urywek kaptura bełskiego z 21 lipca 1572 (Noailles, III, 159), którego treści bliżéj nie znamy. Dokładny obraz urządzenia sądów kapturowych w pierwszém bezkrólewiu podał prof. Pawiński w pracy swéj: Rządy sejmikowe w Polsce str. 308 i n.

VII.

KANCELARYE I AKTA GRODZKIE

W WIEKU XVIII.

O urządzeniu kancelaryj i aktów sądowych dawnéj Rzpltéj bardzo mało pisano u nas dotychczas, a i to, co napisano, w części jest wielce niedokładném, w części nawet błędném. Dzisiaj wyjaśnienie téj sprawy więcéj może jest na czasie, niż kiedykolwiek indziéj. Pominąwszy już bowiem sam interes nauki, dla któréj nie jest ona obojętną, rzecz o urządzeniu kancelaryj sądowych może także oddać pewne usługi w praktyce. Wiadomo, że od niedawna zorganizowano i oddano pod kierownictwo naukowe przeważną część zasobnych archiwów aktów sądowych polskich, a zarazem ułatwiono do nich przystęp stronom prywatnym; atoli w korzystaniu z nich nastręcza się pewna trudność: brak znajomości urządzenia aktów, który nie pozwala rozklasyfikować ich należycie według ich wagi, zaciemnia poznanie wzajemnego ich stosunku, do błędnych nawet może doprowadzić wniosków o ich znaczeniu. Praca niniejsza ma na celu przyczynić się choć w części do usunięcia tych niedogodności.

Ogranicza się ona głównie na akta grodzkie i wiek XVIII tylko. Głównem jéj zadaniem było przedstawić instytucyą tak, jak się ona w ostatecznym swoim rozwoju

ukształtowała. Historya aktów naszych sądowych od pierwszéj chwili ich powstania wymaga osobnego studyum, a w wielu względach obfitszego materyału, aniżeli ten, którym rozporządzamy obecnie. Z drugiéj jednak strony nie można było zamknąć się tu jedynie i wyłącznie w granicach wieku XVIII. Rok 1700 nie stanowi żadnéj epoki w urządzeniu kancelaryj i aktów; wiele stosunków, które się wyrobiły poprzednio, przetrwało i jego granice, tak, że chcąc mieć dokładne wyobrażenie o kancelaryach i aktach wieku XVIII, wypadało téż czasem zapytać, jaki był ich stan dawniejszy. W tym jednak względzie ograniczono się tu tylko na zaznaczeniu faktów najważniejszych, albo téż takich, które przyczyniają się do zrozumienia rozwoju pojedyńczych urządzeń w wieku XVIII.

Wypada jeszcze słów kilka wspomnieć o pismach, zostających w związku z niniejszą kwestyą. Po największéj części zajmują się one nią tylko ubocznie, bez zwrócenia szczegółowéj na rzecz uwagi.

Pierwszym pisarzem, który dotknął sprawy urządzenia kancelaryj i aktów sądowych, był X. T e o d o r O s t r o w s k i w dziele: Prawo cywilne narodu polskiego (wyd. I w r. 1784, wyd. II w r. 1787). Podaje on kilka ciekawych szczegółów, nabierających tém większéj wagi, że pochodzą od świadka naocznego. Inni nasi prawnicy z XVIII wieku prawie nie dotykają téj kwestyi. Drugą z rzędu książką jest K a r o l a W i t t i g a: Tractatus de Galiciensi tabula provinciali, libris civicis et fundalibus, pars I theoretica (Wiedeń, 1819). Pisząc o urządzeniu tabuli galicyjskiéj, musiał téż autor koniecznie zająć się kwestyą ksiąg sądowych polskich, w ścisłym z tą sprawą zostających związku. Wiadomości jego są stosunkowo dość obszerne i dokładne, choć gdzieniegdzie nie wolne od błędów. Tworzą one podstawę wielu twierdzeń, zamieszczonych w téj mierze w podręcznikach prywatnego prawa polskiego B a n d t k i e g o, B u r z y ń s k i e g o i D u t k i e w i c z a. Więcéj samodzielnym w spostrzeżeniach jest M a c i e j o w s k i w swojéj: Historyi prawodawstw słowiańskich (wyd. II), tudzież M o r a c z e w s k i w Starożytnościach polskich, choć

i oni również popełniają błędy. We wstępie do pierwszego tomu Aktów grodzkich i ziemskich (Lwów, 1868) poruszył sprawę urządzenia kancelaryj i aktów raz jeszcze Łucyan Tatomir, w przeważnéj części powtarzając zapatrywania poprzedników; gdzie zaś stawia samoistne od siebie twierdzenia, nie okazuje wielkiéj znajomości przedmiotu. Z większą znajomością przedstawił tę sprawę Horbaczewskij N. we wstępie do dzieła: Katalog drewnym aktowym knigam.... chraniaczymsia nyni w centralnom archiwi w Wilnie (Wilno, 1872). W ostatnich czasach raz jeszcze dotknął tego samego przedmiotu, choć tylko ogólnikowo i niedokładnie J. Lekszycki we wstępie do pierwszego tomu wydawnictwa: Die ältesten grosspolnischen Grodbücher (Lipsk, 1887).

O archiwach w ogóle pisał Walenty Skorochód Majewski: Rzecz o archiwach polskich (Roczn. Tow. przyj. nauk warszaw. t. VIII. z r. 1812 str. 191—208.) Artykuł ten zawiera same ogólniki bez wartości instruktywnéj, prócz końcowego, pobieżnego zresztą regestru metryki koronnéj.

Spisy aktów mieszczących się w archiwach sądowych są wcale liczne. Metrykę koronną, która obok innych zawiera także akta sądowe, opisał Adam Powstański w dziele: Wiadomość o archiwum krajowém Królestwa polskiego (Roczn. Tow. nauk. krak. t. IX z r. 1824 str. 285—423 i t. X z r. 1825 str. 319—396, rzecz przedrukowana z pewnemi opuszczeniami w Burzyńskiego Prawie polskiém prywatném). Mimo wielkiéj swéj dokładności spisy Powstańskiego utraciły dawniejsze znaczenie z powodu wyjścia nowego, jeszcze dokładniejszego spisu Feliksa Bentkowskiego: Spis ksiąg metryki koronnéj, a w części litewskiéj, główne archiwum krajowe składających, przez J. W. Bandtkie-Stężyńskiego w r. 1835 i 1836 na podstawie rewizyi ułożony, a dodatkiem przybytków uzupełniony (Warszawa, 1840). Wydanie to litografowane w 20 tylko egzemplarzach należy dzisiaj do największych rzadkości; Biblioteka Ossolińskich we Lwowie posiada odpis jego pod nrem 1370 mss. — Metryki litewskiéj (wileńskiego

centralnego archiwum, przeniesionego w najnowszych czasach do Moskwy) spis nader pobieżny zawarła przedmowa do pierwszego tomu wydawnictwa: Akty izdawajenije komissieju wysoczajsze uczreżdennoju dła razbora drewnych aktow w Wilnie (Wilno, 1865); dokładny spis podał Horbaczewskij w przytoczonéj poprzednio książce; nadto wyszły jeszcze: Swiedienija o Metrykie, wydanie urzędowe (r. 1870), Zelwerowicza Litowskaja metryka (fragment, 1883) i wreszcie w najnowszych czasach Stanisława Ptaszyckiego Opisanije knig i aktow Litowskoj metryki (Petersburg, 1887), rzecz najdokładniejsza, posiadająca nadto wartość z tego względu, że podaje historyą metryki litewskiéj od jéj początków aż do czasów najnowszych. Bez znaczenia jest krótki artykuł dotyczący obu metryk: Akta metryk koronnych i litewskich w Dodatku do Gazety lwowskiéj z r. 1855. — Artykuł o archiwach sądowych zamieszczony w Encyklopedyi Orgelbranda (większéj) t. II str. 104 i n., pióra Leopolda Huberta, ogranicza się przeważnie na podaniu ogólnéj liczby tomów, znajdujących się w pewném archiwum, tudzież czasu, do którego te księgi się odnoszą. — Wiadomość o archiwum poznańskiem znaleść można w pracy Łukaszewicza: Archiwa prowincyonalne w państwie pruskiém, zamieszczonéj w Bibliotece warszawskiéj z r. 1856 t. III; najdokładniejszą zaś w książce prof. Stanisława Smolki: Archiwa w W. Ks. Poznańskiém i Prusiech wschodnich i zachodnich (Rozpr. i Spraw. Wydz. hist.-fil. Akad. Umiej. t. IV i osobno, Kraków, 1875). — Ogólnikowe spisy galicyjskich archiwów podał B. Dudik: Archive im Königreich Galizien und Lodomerien (Archiv für Kunde Oesterr. Geschichtsquellen, tom XXXIX; także osobno: Wiedeń, 1867). Krakowskiego archiwum dotyczy praca Ekielskiego: Krótka wiadomość o archiwum akt grodzkich i ziemskich województwa krakowskiego (Kraków, 1868), tudzież bardzo dokładny rejestr tegoż archiwum ogłoszony u Burzyńskiego: Prawo polskie prywatne, tom I. Obecny zarząd archiwalny w Krakowie, uporządkowawszy

w całości archiwum, posiada bardzo dokładny inwentarz wszystkich ksiąg tamże przechowanych. Spisy aktów, zawartych w archiwum lwowskiém, podali: A.: Wyszczególnienie dawnych aktów grodzkich i ziemskich, znajdujących się w archiwum lwowskiém (Rozmaitości lwowskie z r. 1828), tudzież Łucyan Tatomir w przytoczonym poprzednio wstępie do pierwszego tomu Aktów grodzkich i ziemskich.

I.

O aktach grodzkich w ogólności.

Nie potrzeba, zdaje się, wywodzić obszernie, jak wielką była ważność aktów sądowych w Polsce. Nie ograniczając się li tylko na zapiskach o czynnościach sądowych, obejmowały one zakresem swoim pisma odnoszące się do najróżnorodniejszych stosunków życia publicznego zarówno jak i prywatnego. Co do tych ostatnich mianowicie istnienie i dowód wszelkich praw, wynikających czy to z aktu prawnego, czy téż z faktu pokrzywdzenia, czy z jakichkolwiek innych okoliczności, najbardziéj wiarogodnie i najsilniéj stwierdzał wpis do aktów sądowych, co gdy nie nastąpiło, akt wprawdzie nie był sam przez się nieważny, ale ważności jego i prawdziwości sądownie naprzód trzeba było dowodzić[1]. Wszystko, cokolwiek tylko służyć miało za niezawodny punkt wyjścia w dochodzeniu sądowém, stwierdzoném być musiało — z nielicznymi, w ostatnich zwłaszcza czasach wprowadzonymi wyjątkami — zeznaniem w akta sądowe. Były więc one główném zbiorowiskiem dokumentów publicznych, skarbnicą dowodów o istnieniu najrozmaitszych praw i obowiązków; i nie bez słuszności zapewne wyrażają się częstokroć konstytucye, „że na nich zależy bezpieczeństwo życia i fortun szlacheckich“.

Każdy sąd, stale czy też niestale, trwale czy też w kadencyach fungujący, posiadał takie akta publiczne, z nieli-

[1]) Bardzo trafnie zasadę tę ze względu na akta prawne wypowiedziała Rada Nieustająca w rezolucyi swéj z 28 kwietnia 1778. (Wyd. II, t. I, str. 2).

cznymi chyba wyjątkami, zwłaszcza w wiekach średnich, gdzie akta niektórych sądów wpisywane były do ksiąg prowadzonych przez inne sądy, jak n. p. akta wiecowe do ksiąg sądu ziemskiego. Pośród tych aktów już od samego początku najwięcéj zyskały wzięcia akta sądów najniższych, mianowicie początkowo aż do wieku XVI akta ziemskie. Stało się to przedewszystkiém dla tego, że sądy ziemskie rozrzucone po kraju w obszarach mniejszych od terytoryów sądów wyższych, stosunkowo też najmniéj nastręczały niedogodności stronom interesowanym tak pod względem zeznawania nowych wpisów, jako też odszukiwania dawniejszych; powtóre zaś dla tego, że odbywały kadencye częste i stałe, z góry już oznaczone, gdy przeciwnie sądy wyższe zbierały się mniéj często, a niektóre z nich, jak n. p. nadworne, odbywały się nieregularnie.

Atoli i sądy ziemskie nie wystarczały w zupełności potrzebom społeczeństwa, bo i one otwierały swe kancelarye tylko od czasu do czasu, tak że w długich przerwach pomiędzy pojedyńczemi kadencyami nie można było w ich aktach zeznać wpisów. Niedogodność ta czuć się mianowicie dała od czasu, kiedy częstsze (zazwyczaj dwutygodniowe) roczki ziemskie wyszły z użycia, a natomiast ustalił się zwyczaj odbywania czterech tylko na rok zjazdów sądowych ziemskich. Starano się wprawdzie zaradzić temu niedostatkowi przez wprowadzenie instytucyi t. z. l e ż e n i a k s i ą g z i e m s k i c h (positio actorum terrestrium), na tém polegającéj, że pisarz ziemski przez pewien krótki przeciąg czasu przed i po kadencyi sądowéj obowiązany był do ksiąg ziemskich przyjmować wpisy i wydawać ekstrakty; ale środek ten nie wystarczał, jako że zaradzał potrzebie tylko połowicznie.

Trzeba było szukać innego punktu wyjścia. Istniała w Polsce obok ziemstw druga instancya najniższa, powiatowa, sądy grodzkie. Początkowo akta tych sądów miały znaczenie tylko prowizoryczne. Wpisy w nich pomieszczone traciły wagę, skoro w pewnym przeciągu czasu, mianowicie w rok, późniéj w rok i 6 tygodni, według statutu zaś litew-

skiego[1]) najdaléj do dwu najbliższych kadencyj ziemskich nie zostały przeniesione do ksiąg ziemskich. Ponieważ jednak grody, łącząc w sobie wszystkie te warunki, którym przed sądami wyższymi ziemstwa zawdzięczały swe pierwszeństwo, tém właśnie przewyższały te ostatnie, że każdéj chwili stały otworem dla interesowanych, a proceder przenoszenia wpisów z ksiąg grodzkich do ziemskich był wielce uciążliwy i kosztowny, przeto objawiło się dążenie do przyznania aktom grodzkim trwałéj mocy urzędowéj, a zatém do postawienia ich pod tym względem na równi z aktami ziemskimi.

Początek wyszedł z Wielkopolski, w któréj generalne starostwo poznańskie już bardzo wcześnie nabyło dla swych aktów trwałéj mocy dowodowéj. To wyjątkowe znaczenie ksiąg jego, okazawszy się w praktyce wielce korzystném, wywołało naprzód w powiatach i województwach sąsiednich, późniéj zaś w całéj Koronie i Litwie dążność rozszerzenia téj saméj zasady do aktów innych grodów. Owocem téj dążności były liczne konstytucye z w. XVI i XVII, a niektóre jeszcze z XVIII, zaprowadzające naprzód w Wielkopolsce, późniéj zaś w coraz szerszym zakresie w całém państwie polskiém zasadę t. z. wieczności grodów, nadającą aktom grodzkim znaczenia trwałego, samoistnego, bez konieczności przeniesienia wpisów do aktów ziemskich. Odtąd akta te zwano wieczystymi (acta perpetua).

Od chwili, kiedy się dokonało to porównanie, uzyskują grody stanowczą co do aktów publicznych nad sądami ziemskimi przewagę. Rzecz bowiem prosta, że przy równorzędności innych warunków, mając bez przerwy otwartą kancelaryą, zyskiwały bez porównania więcéj wpisów, aniżeli kadencyonalne tylko ziemstwa. Twierdzenia tego najlepiéj dowodzi stosunek liczebny aktów obu sądów: i tak, kiedy przed wprowadzeniem wieczności grodów akta ziemskie co do liczby przewyższają księgi grodzkie, późniéj, głównie zaś w wieku

---

[1]) Rozdz. VII. art. 2.

XVIII, który nas bliżéj obchodzi, stosunek ten przedstawia się wprost odwrotnie.

Ale jeżeli mimo to wszystko grody aż do ostatnich czasów swego istnienia dzielić się musiały z ziemskimi i innymi wyższymi sądami prawem przyjmowania wpisów dotyczących stosunków prywatnych, to natomiast wyłącznie, bez konkurencyi innych sądów, przeznaczone były do przyjmowania w swe akta pism w sprawach publicznych. Począwszy mianowicie od wieku XV wyrobił się w Polsce osobny system publikowania aktów i pism przeznaczonych do wiadomości ogółu, system polegający na tém, że pisma te rozsyłano po grodach, gdzie prócz ogłoszenia przez woźnego należało je wciągnąć w akta na dowód dokonanéj promulgacyi. I w tym właśnie punkcie akta grodzkie stanowczo różnią się od aktów innych sądów, obejmują bowiem nie tylko sprawy prywatne, ale także i pisma dotyczące stosunków publicznych.

Doniosłość i znaczenie, jakiego nabyły akta grodzkie w w. XVIII, w rezultacie zmian i przeobrażeń dokonanych w poprzednich stuleciach, są zatém widoczne. Nad aktami innych sądów górują wszechstronnością treści, a nawet ziemskie przewyższają obfitością materyału. Stąd też pochodzi wielka ich waga u współczesnych, ile że najczęściéj sięgały w stosunki ich życia, stąd ich nie małe znaczenie dla nauki: są bowiem znakomitym, a wszechstronnym i obfitym materyałem do badania stosunków Rzpltéj nie tylko wewnętrznych ale po części i zewnętrznych, i w tym ostatnim względzie, jako zbiory urzędowych aktów publicznych, jedynym chyba metrykom ustąpić mogą pierwszeństwa.

II.

Skład kancelaryj grodzkich.

Kancelaryą grodzką (cancellaria castrensis) stanowił ogół urzędników mających wspierać lub zastępować sądy i urzędy grodzkie w wykonywaniu poruczonych im funkcyj przez załatwianie czynności manipulacyjnych, mianowicie zaś utrzymywanie i prowadzenie ksiąg sądowych. Wyrazem

kancelaryi oznaczono zresztą także i miejsce, w którém urzędnicy kancelaryjni spełniali swą czynność.

Z istoty rzeczy wynika, że każdy gród musiał mieć swoję kancelaryą, ale nie wszędzie tam, gdzie już istniała kancelarya, może być mowa o istnieniu samegoż sądu grodzkiego. Kiedy rosnąca z dniem każdym potrzeba coraz częstszego stykania się osób prywatnych z urzędem grodzkim szkodliwą i niedogodną czyniła, w obszerniejszych zwłaszcza powiatach, zbytnią niektórych miejsc odległość od grodów, poczęto stanowić w obrębie tychże powiatów ekspozytury głównych grodów, przeznaczone do utrzymywania aktów publicznych. Takie ekspozytury grodów a raczéj kancelaryj grodzkich nazywano półgrodkami albo susceptami (suscepta), bo wyłączném ich zadaniem było przyjmować (suscipere) wpisy i zeznania stron interesowanych. Wprawdzie mianem suscepty oznaczono także i kancelarye grodzkie w ogólności, atoli wtedy wyraz ten nie miał znaczenia ścisłego, technicznego, i chyba o tyle był uzasadniony, o ile najgłówniejszą czynnością kancelaryj grodzkich było przyjmowanie wpisów. Instytucya suscept w ścisłém tego słowa znaczeniu nie była znaną w Rzpltéj aż do początków drugiéj połowy w. XVIII; ale i potém nie rozszerzyła się bardzo znacznie, tak że zaledwie kilka możemy wskazać w tym względzie przykładów; tak wiemy tylko, że — zapewne niedawno — przed rokiem 1764 istniała suscepta w Śrzeńsku dla ziemi zawskrzyńskiéj, podlegająca starostwu płockiemu, którą w roku 1764 przeniesiono do Mławy w téjże ziemi; w tymże roku ustanowiono susceptę w Telszach (na Żmudzi), w r. 1766 w Ostrołęce pod imieniem starosty łomżyńskiego, a w r. 1768 w Prasnyżu, w ziemi ciechanowskiéj, dla któréj nie wystarczał jedyny gród w Ciechanowie.

Naczelne zwierzchnictwo nad kancelaryą grodzką, jak w ogóle nad całym sądem i urzędem grodzkim przysługiwało staroście grodzkiemu (capitaneus castrensis). W powiatach, gdzie prócz grodu istniała jeszcze osobna suscepta, zwierzchnictwo starosty głównego rozciągało się także i na tę

ostatnią. Z tego zwierzchnictwa wypływały dla starostów zarówno pewne obowiązki jak i prawa wobec kancelaryj. Tak mianowicie ciężył na nich obowiązek utrzymania kancelaryi i archiwum w należytym stanie; tam zaś, gdzieby brakowało odpowiednich do tego lokalów, zleciła im ustawa z r. 1768 usunięcie tych braków pod karą utraty starostwa. Rygor prawny jednak z niespełnieniem tego obowiązku połączony prawdopodobnie zwolniał niebawem, kiedy w roku 1775 przeprowadzono reformę emfiteutyczną starostw, jak tego dowodzi najlepiéj wzmianka Ostrowskiego[1]), domagająca się ponowienia konstytucyi z r. 1768. Z tym obowiązkiem łączył się drugi: utrzymania personału kancelaryjnego, o czém zresztą obszerniéj zaraz niżéj będzie mowa. Ciężyła daléj na starostach odpowiedzialność za nadużycia urzędników kancelaryjnych, z którymi według postanowienia sejmu 1768 r. solidarnie odpowiadali przed trybunałem nie tylko grzywnami pieniężnemi, ale i karą więzienia. Odpowiedzialność ta była wynikiem przysługującego im prawa mianowania urzędników grodzkich w ogóle, w szczególności zaś kancelaryjnych, zmuszając ich w ten sposób do wybierania ludzi rzetelnych i godnych zaufania. Prawo nominacyi a względnie depozycyi przysługiwało im zresztą wyłącznie i nieograniczenie; wszakże zdarzało się często, w tych zwłaszcza wypadkach, kiedy starostowie w swych grodach mało lub też wyjątkowo przebywali, iż przelewali je w części na urzędników sądowych lub wyższych kancelaryjnych, dozwalając stanowić lub też usuwać niższych. Jedynie tylko na Mazowszu wyrobiła się z mocy zwyczaju praktyka odmienna: tam bowiem prawo nominacyi kancelistów należało do pisarza grodzkiego, który sprawował zarazem tenże sam urząd ziemski; tam też i odpowiedzialność za nadużycia kancelaryi ciężyła na pisarzach. Nie potrzeba zresztą przypominać, że na Litwie, tam, gdzie jurysdykcya starościńska przysługiwała wojewodom, ci ostatni wykonywali wszystkie wyżéj wymienione prawa i obowiązki starostów.

---

1) Prawo cyw. narodu pol. wyd. I, t. II str. 23.

Co do właściwych urzędników kancelaryjnych zaznaczyć trzeba przedewszystkiém, że ani rodzaj ich ani liczba nie były we wszystkich grodach jednostajne. W obu względach rozstrzygały: zwyczaj miejscowy, wola starosty albo pisarza lub wojewody, a wreszcie istotne potrzeby kancelaryi. Wynika stąd, że spis, który niżéj zostanie podany, nie da się w każdym wypadku zastosować bezwzględnie.

Urzędników tych, zwanych oficyalistami kancelaryjnymi (officiales cancellariae) lub pokrótce kancelistami, podzielić można na wyższych i niższych. Dla pierwszych nie wyrobiła się żadna nazwa zbiorowa; drugich zwano najczęściéj palestrantami (palaestrantes), zresztą także aplikantami (applicantes), skrybentami (sribentes) lub terminatorami (terminatores), w ostatnich wreszcie czasach kancelarzystami (cancellaristae). Urzędnicy wyżsi prowadzili zarząd i wykonywali nadzór nad kancelaryą lub też załatwiali te czynności manipulacyjne, które wymagały szczególnéj troskliwości i uwagi; do palestrantów należało wykonywanie reszty funkcyj manipulacyjnych. Praktycznie różnica tego dwoistego podziału objawiała się przedewszystkiém w warunkach, których wymagano do uzyskania odnośnego urzędu. Urzędnicy wyżsi musieli być pochodzenia szlacheckiego, mieć osiadłość w województwie, odznaczać się nieskazitelnością czci, posiadać wreszcie znajomość prawa. Inaczéj miała się rzecz z palestrantami. Zawisłe w każdym względzie stanowisko i kontrola ich czynności, którą na każdym kroku wykonywali wyżsi urzędnicy kancelaryjni, czyniła zbędną konieczność upewnienia się o rzetelném wykonywaniu poruczonych im funkcyj, dla tego też prawa nigdy od nich nie wymagały ani przysięgi ani osiadłości. Stąd też wynikło, że w razie nadużycia urzędowego odpowiadali jedynie przed swoim grodem, gdy przeciwnie do odpowiedzialnosci na zewnątrz, przed trybunałem, pociągany był starosta wraz z wyższymi urzędnikami kancelaryi.

Różnica pomiędzy obu grupami objawia się także w sprawie dochodów. Urzędnicy wyżsi pobierali od starosty bądź

to pewne opłaty, bądź też mieli sobie dostarczane potrzeby do życia, jako to: mieszkanie, żywność i t. p. Niższych starosta nigdy nie opłacał, a tylko niektórym dostarczał potrzeb codziennych, przedewszystkiém zaś stołu, skąd poszła nazwa współstołowników (commensales). Podobnież rzecz się ma i z opłatami kancelaryjnemi: szły one na rzecz wyższych urzędników kancelaryjnych, na Litwie niektóre nawet na rzecz urzędników sądowych, którzy z nich pewną część tylko, i to według własnego uznania odstępowali palestrantom przy odnośnym akcie zajętym. Tylko za wydanie ekstraktów[1]) cała opłata z reguły szła na rzecz palestranta.

Do urzędników wyższych należy przedewszystkiém pisarz grodzki (notarius castrensis). Niegdyś, jeszcze w wieku XVI, był on gdzieniegdzie jedynym urzędnikiem kancelaryi, załatwiającym wszystkie czynności manipulacyjne. Wzmagająca się ilość spraw uczyniła jednak z czasem konieczném powiększenie personalu kancelaryjnego. Jakoż już w w. XV i XVI spotykamy wzmianki o pomocnikach pisarza, zwanych podpiskami, pomiędzy którymi wyrobiło się nawet pewne stopniowanie, gdyż rozróżniano podpisków starszych i niższych. Byli to bez wątpienia urzędnicy kancelaryjni niższéj kategoryi, zajęci wyłącznie tylko wpisywaniem aktów do ksiąg. Odtąd znaczenie pisarza zaczęło się wzmagać: był on już teraz zarządcą kancelaryi grodzkiéj i rozciągał w tym kierunku władzę nad swymi subalternami. Znaczenie jego spotęgowało się jednak jeszcze bardziéj, od kiedy uzyskał przystęp do właściwych funkcyj sędziowskich, mianowicie prawo rozstrzygania na t. z. rokach skargowych (termini querelarum). W wieku XVIII pisarz, choć nie zmienił dawnego swego tytułu, jest już raczéj urzędnikiem sądowym niż kancelaryjnym i nie sprawuje już nawet wewnętrznego rządu kancelaryi. Jedyną atrybucyą, którą z dawniejszych czasów zachował, była reprezentacya kancelaryi na zewnątrz. Stąd to np. kancelaryjne manifesty de diligentia[2]) zawsze na jego opiewały imię.

---

[1]) Zob niżéj.

[2]) Zob. niżéj.

W miejsce pisarzów, z zatratą dawniejszego ich znaczenia, wstąpili teraz jako rządcy kancelaryi na wewnątrz regenci kancelaryjni (regentes cancellariae, także regentes actorum). Każdy gród posiadał takiego regenta, z reguły jednego, choć nie była wykluczona (ustawą z roku 1768) możność stanowienia ich więcéj. Tylko w susceptach (w ścisłém tego słowa znaczeniu) nie spotykamy się z tym urzędem; miejsce jego zajmuje susceptant. Prawa i obowiązki regentów wynikały wprost ze stanowiska ich urzędowego. Mieli oni bezpośredni nadzór nad urzędnikami kancelaryi i aktami, ten ostatni przyznany sobie z wyłączeniem pisarzów wyraźném postanowieniem Rady Nieustającéj z r. 1783. Baczyć mieli daléj, ażeby subalterni nie popełniali żadnych nadużyć, za które ich zresztą ustawa obok starostów czyniła odpowiedzialnymi. A że starostowie nie często przebywali w miejscu swéj jurysdykcyi, więc zdarzało się nieraz, że im poruczali zarazem prawo mianowania i usuwania niższych urzędników kancelaryjnych. Ciężył zresztą na nich włożony konstytucyą z r. 1768 obowiązek własnoręcznego wpisywania transakcyj w akta, zapewne w zastępstwie susceptantów, których to było głównym obowiązkiem.

Jako pomocnik regenta w czasie jego urzędowania, a zastępca podczas nieobecności, występuje niekiedy wice-regent kancelaryi (vice-regens cancellariae). Urząd ten jednak należy do mniéj rozpowszechnionych, raczéj wyjątkowych. Z reguły zastępcą i pomocnikiem regenta był:

Susceptant (susceptans). Prócz praw i obowiązków z zastępstwa tego ostatniego wynikających, było jego zadaniem wpisywać własnoręcznie wszystkie zeznania stron w protokoły. Tam, gdzie istniały osobne suscepty, — dla których nie mianowano regenta, — miał stanowisko wybitniejsze, równające się stanowisku tego ostatniego w zwykłych kancelaryach: zarządzał bowiem susceptą samoistnie i podlegał wprost staroście zwierzchniego grodu.

Urzędnicy niżsi kancelaryi (palestranci) byli to zazwyczaj ludzie młodsi, dla których praca w kancelaryi była

drogą do praktycznego zaznajomienia się z prawem. Czasem zapisywali się do ich liczby potomkowie znacznych i bogatych domów, najczęściéj jednak uboższa szlachta lub nawet plebejusze, dążący do zajęcia w przyszłości stanowiska obrońców sądowych (patronów). Funkcye bowiem palestrantów nie ograniczały się wyłącznie na czynnościach kancelaryjnych; równocześnie odbywali oni także praktykę u patronów, których osobne ciała, jak wiadomo, istniały przy każdym sądzie, byli więc członkami palestry i stąd też pochodzi ich nazwa. Palestra jako taka nie należy do kancelaryi; palestranci[1]) zaś o tyle tylko, o ile spełniają funkcye kancelaryjne.

Mimo że dochody palestrantów tak były nieznaczne, czasami nawet żadne, jak to powyżéj mówiliśmy, przecież nie zbywało ich w kancelaryach sądowych, każdy bowiem, kto chciał zostać patronem, musiał naprzód odbyć praktykę w jednéj z kancelaryj sądowych. Nie wiadomo, jak długo taka praktyka trwać musiała; być może, iż postanowienie zawarte w projekcie Zamojskiego, że się ma odbywać przez trzy lata, jest wyrazem panującego zwyczaju. W czasie tym z reguły nie było im jeszcze wolno patronizować samoistnie; zdarzało się jednak, że zdolniejszymi wyręczali się patronowie w sprawach mniéj ważnych[2]).

Co do czynności kancelaryjnych podlegali palestranci wyłącznie urzędnikom kancelaryi. Według poszczególnych rodzajów zajęć, które im zlecano, nosili też rozmaite nazwy, przyczém zaznaczyć trzeba, że częstokroć na tego samego palestranta nakładano kilka rozmaitych funkcyj, tak, że też kilka rozmaitych przysługiwało mu tytułów.

---

[1]) Wyrazu palestrantów nie używano na oznaczenie członków palestry w ogóle, lecz właśnie owych praktykujących dopiero kandydatów, zajętych równocześnie w kancelaryi; właściwych obrońców zwano patronami (patroni), także patronizantami (patronizantes).

[2]) Ciekawe i obszerne wnioski o wychowaniu palestrantów podaje projekt Zamojskiego w ordynacyi kancelaryj (um. w 3-ciéj części przy końcu).

Tak rozróżniano:

1. I n d u c e n t ó w (inducentes). Kancelarya używała ich do przepisywania aktów z protokołu do indukty.

2. E k s t r a d e n t ó w (extradentes). Do nich należało wydawanie odpisów z ksiąg stronom interesowanym na tychże żądanie. Ponieważ — jak już wspomniano — należytości za ekstrakty przypadały na rzecz zajętego przy akcie palestranta, przeto dla uniknięcia nieporozumień właściwą było rzeczą oznaczać zawsze z góry, któremu z ekstradentów przysługuje prawo wydawania ekstraktów. W ten sposób powstał urząd f e r y a n t ó w (feriantes). Tak zwano ekstradentów, którzy uprawnieni byli do wydawania odpisów z aktów pod pewnym dniem tygodnia (feria) do protokołu wciągniętych. Tak więc inny był feryant dla wpisów z poniedziałku, inny dla wpisów z wtorku i t. d. Stanowisko feryantów jako najintratniejsze pośród palestrantów było dla tych ostatnich najbliższym celem, od którego dążyli, a prowadziła doń rzetelna i gorliwa praca; gdy przeciwnie najdotkliwszą dla feryanta karą za nienależyte spełnianie obowiązków było odebranie feryi.

3. L e k t a n t ó w (lectantes). Zadaniem ich było porównywać zgodność dwu jednakowo brzmiących lub przynajmniéj jednakową treść zawierać mających aktów, a więc n. p. protokołu z induktą, indukty z odpisem, kopii przez stronę zeznającą doręczonéj z oryginałem.

4. K l a w i e r ó w (z łacińskiego clavigeri). Poruczony im był nadzór nad osobami, czyniącemi poszukiwania w archiwum.

Rozumie się, że do wykonywania innych czynności kancelaryjnych, o ile się nie łączyły z poszczególnymi tytułami, regent lub też jego zastępca używać mogli palestrantów wedle słusznego uznania, jak w ogóle przypuścić należy, że taki ścisły rozdział poszczególnych czynności, o jakim z powyższego zestawienia wnioskowaćby można, zacierał się często w granicach w miarę zwyczaju kancelaryjnego i mniéj lub więcéj sprężystych rządów regenta.

III.

Zakres działalności kancelaryj grodzkich.

Działalność kancelaryi grodzkiéj w dwojakim objawia się kierunku: przedewszystkiém występuje ona jako organ pomocniczy urzędu grodzkiego, załatwiając czynności manipulacyjne, łączące się ze spełnianiem poruczonych mu funkcyj sądowniczych i administracyjnych; następnie zaś działa w zastępstwie sądu zupełnie samoistnie, t. j. bez obecności osób sądowych, niekoniecznie w czasie kadencyj, a nawet podczas zawieszenia sądów, przyjmując w swe księgi wpisy aktów najrozmaitszéj treści.

Byłoby rzeczą niewłaściwą nazywać kancelaryą grodzką ze względu na ten ostatni kierunek jéj działalności organem urysdykcyi niespornéj[1]), już choćby dla tego, że wiele czynności przez nią w tym kierunku przedsiębranych nie da się podporządkować pod pojęcie takiéjże jurysdykcyi. Tak nie możnaby tutaj zaliczyć wpisów protestów przeciw dokonanym bezprawiom, wpisów konstytucyj i w ogóle aktów w sprawach publicznych, umieszczanych w księgach grodzkich. Zdaje się, że dla oznaczenia całego tego kierunku działalności kancelaryi grodzkiéj stosowniéj będzie nadać jéj miano: organu do przyjmowania wpisów, rozumiejąc przez wpis umieszczenie w księgach publicznych, samoistnie przez kancelaryą prowadzonych, jakiegokolwiek aktu bądź to w interesie prywatnym bądź też w celach publicznych. Nadmienić zresztą trzeba, że wyraz ten nie powinien być mięszany z łacińskim inscriptio, który, jak poniżéj zobaczymy, daleko ma ściślejsze znaczenie.

Wpisy do aktów grodzkich rozmaite nosiły nazwy według swéj treści. Można je rozdzielić na cztery w ogóle grupy:

1. Pisma publiczne. Tu należały wpisy konstytucyj sejmowych, laudów sejmikowych, ordynacyj władz w po-

---

[1]) Jak to np. czyni Dutkiewicz W. Prawa cywilne etc. str. 262.

ruczonym sobie zakresie działania, przywileje, uniwersały. Tutaj zaliczyć też należy pisma w celach administracyjnych sporządzane, jak metryki urodzonych, które z końcem każdego roku parochowie obowiązani byli w myśl konstytucyi z roku 1764 oddawać do grodu; lustracye królewszczyzn, taryfy podatkowe, i t. p.

2. Akta woli prywatnéj, zarówno jednostronne, jak np. testamenty (testamenta), jako też i dwustronne, mianowicie wszelkiego rodzaju kontrakty (transactiones), bez względu na to, czy dotyczyły dóbr ruchomych czy nieruchomych; te ostatnie znowu zawierane bądź to na pewien czas tylko (transactiones temporaneae), jak n. p. dożywocia (advitalitates), dzierżawy (arendae), zapisy czyli kontrakty zastawu (obligationes); bądź też wieczyście (transactiones perpetuae), n. p. kupna (emtiones), zamiany (commutationes), darowizny (donationes), ustępstwa (cessiones), zrzeczenia (resignationes), przelewy (transfusiones), układy graniczne (transactiones graniciales) i t. p.

3. Protesty i manifesty (protestationes, manifestationes) o naruszenie praw publicznych, n. p. przeciw obradom sejmowym, przedewszystkiém zaś prywatnych, lub o dokonane przestępstwo. Znaczenie protestów nie na tém polega, jakoby wdrażały postępowanie sądowe; protest nie obowiązywał sędziego do rozpoczęcia procesu; był on jednak czynnością przygotowawczą w procesie, dopiero bowiem po dokonanym proteście udawano się zazwyczaj do sędziego z prośbą o wydanie pozwu, który był pierwszym aktem procesowym. Jeżeli ktoś od pretensyj manifestem stwierdzonych odstępował, umieszczał w aktach zeznanie, zwane recesem (recessus), remanifestem (remanifestatio) albo reprotestem (reprotestatio). Tych dwu ostatnich nazw używano także na oznaczenie protestów zeznawanych przez przeciwnika przeciw protestującemu. Jeżeli z protestem łączyło się przedstawienie rzeczy spornéj przed sądem, zwano go wówczas prezentą (praesentatio), jeśli zaś następowały dokładne oględziny, wpis taki nosił nazwę obdukcyi (obductio).

Niekiedy umieszczano w aktach manifest, mimo że nie było naruszenia prawa; działo się to wtedy, jeżeli chodziło o zastrzeżenie się przeciw szkodliwym następstwom z jakiegoś faktu wyniknąć mogącym. Tak n. p. jeżeli dłużnik w terminie wypłaty nie mógł znaleźć wierzyciela, żądał wpisu w akta, że był gotów uczynić zadość swemu obowiązkowi. Tego rodzaju manifesty zwano technicznie manifestationes de diligentia.

4. Relacye dokonanych czynności sądowych i urzędowych, jak o doręczeniu pozwu (positio citationis), o dokonanych oględzinach pozasądowych (visio), o grabieży (aretum), o akcie kondescenzyi (condescensio), wwiązania (intromissio), egzekucyi (executio), o zamknięciu lub wypuszczeniu z wieży (turris ingressio lub egressio) i t. p.

Forma, w któréj można było uczynić wpis, była w ogóle dwojaka. Przedewszystkiém można było podać kancelaryi pismo, żądając dosłownego odpisania go w aktach (w indukcie); tego rodzaju wpis nazywano oblatą (oblata), odnośną zaś czynność oblatuacyą (oblatuatio). Daléj można było żądać wpisania do ksiąg jedynie treści jakiegoś aktu; na oznaczenie téj formy wpisów nie wyrobiła się żadna ogólna nazwa; nazwać ją można zeznaniem, wyraz, którego zresztą nie należy mięszać z łacińskim recognitio, ten bowiem ma zakres o wiele ściślejszy, oznaczając z reguły wpis kontraktu. Zeznanie było ustne, jeżeli strona wszystkie daty podawała ustnie, piśmienne, jeśli je przedkładała na piśmie[1]).

---

[1]) O formach wpisów panowały u nas dotąd bardzo błędne wyobrażenia. Początek dał Wittig (str. 37), a poszli za nim Bandtkie (457), Dudik (78) i Burzyński (I, 387, 428). Wittig rozróżnia trzy formy: oblaty, rekognicye i roboracye. Roboracya jest atoli jedynie umocnieniem ważności jakiegoś aktu, który dla jakichkolwiek bądź przyczyn nie miałby znaczenia prawnego. Tak n. p. jeżeli ktoś zawarł kontrakt prywatnie, powinien go był umieścić w aktach sądowych, albo jeśli zeznał akt w obcym grodzie, musiał go przenieść do własnego dla nadania mu znaczenia prawnego; czynność ta nazywała się roboracyą. Ale nie była ona nigdy formą wpisu, bo i ona odbyć się musiała w jednym z owych dwu w tekście przytoczonych sposobów. Można było n. p. żądać dosłownego pomieszczenia wypisu z obcego grodu w aktach wła-

Jakiéj z obu form wpisów używać należy przy danym akcie, o tém rozstrzygała po największéj części wola interesowanego. A zatém kontrakt naprzykład można było wpisać w formie zeznania, podając do aktów jedynie treść jego istotną, ale można go było także umieścić w formie oblaty, podając dokument jego do dosłownego przepisania. Mimo to jednak wyrobiła się w praktyce bądź to w drodze zwyczaju, bądź téż z przepisu ustawy, co do niektórych rodzajów wpisów pewna norma, która jednę tylko z tych form wskazywała jako jedynie lub głównie uzasadnioną. Tak mianowicie wszystkie pisma publiczne dla swéj wagi musiały być w księgach przepisywane dosłownie, a zatém w formie oblaty; w tenże sam sposób mieścić w nich należało pozwy sądów wyższych,

---

snego: wtedy formą roboracyi była oblata; albo można było żądać zanotowania treści aktu, powołując się na to, że go już dawniéj zeznano w innym grodzie: wtedy było to zeznanie. Chcąc mówić o rekognicyi jako o formie wpisu, trzeba ją chyba identyfikować z tém, co w tekście nazwano zeznaniem. Tak uczynił Wittig, co się da ostatecznie wytłómaczyć, gdyż pisząc po łacinie, nie miał innego wyrazu do dyspozycyi; w tém tylko zbłądził, że nie przestrzegł, jakie mu tutaj nadaje znaczenie. Oblatą wreszcie nazywa on wpisanie aktu do ksiąg publicznych, gdzieindziéj spisanego „a zatém (?) najczęściéj bez osobistego stawienia się stron w sądzie do aktu wchodzących.“ Późniejsi pisarze poszli jeszcze daléj, opuścili bowiem słówko „najczęściéj“ i zawnioskowali, że oblata dokonywała się zawsze w sądzie bez osobistego stawienia się stron. Tymczasem znamię to, podane jako istotne, odpada po przejrzeniu aktów naszych chociażby najpobieżniejszém, osobista bowiem obecność stron interesowanych przy oblatuacyi nie była wcale wykluczoną, podobnie jak znowu błędném jest twierdzenie, jakoby przy roboracyi sami kontrahenci koniecznie osobiście stawić się musieli. Zresztą przytoczona definicya oblaty stosowaćby się mogła chyba do aktów prywatnych, o co też w istocie chodziło Wittigowi, który pisał o stosunkach tabularnych, a więc miał jedynie na myśli kontrakty o nieruchomości; ale inni nasi autorowie, pisząc w ogóle o aktach, powinni byli nie zapominać, że przyjmując definicyą Wittiga pomijają tym sposobem całą grupę pism urzędowych publicznych, które najczęściéj wpisywano w formie oblaty. Cała przyczyna niestosowności podziału stąd powstała, że jednéj z form wpisów nie rozumiano należycie, drugą niewłaściwie nazwano i nazwy obojga pomięszano z trzecią, która nic nie ma z tą sprawą wspólnego.

których relacye przekazano grodom do przyjmowania, daléj akty, czyli, jakbyśmy dzisiaj nazwali, protokoły kondescenzyj i egzekucyj dokonywanych przez urzędy grodzkie. Wreszcie i strony prywatne oblatowały najczęściéj akta większéj wagi: tyczy się to mianowicie testamentów, jak niemniéj przywilejów na ich korzyść służących, oblata bowiem stanowiła autentyczny surrogat zatraconego lub zniszczonego oryginału.

W formie prostego zeznania natomiast czyniono z reguły protesty i manifesty, w ogóle akta powyżéj pod punktem trzecim wymienione. Tylko jeżeli w proteście potrzeba było podać cały szereg jakichś dat albo liczb, używano formy oblaty. Tak n. p. protesty o wyrządzone przez wojsko szkody, w których podawano całe regestry rzeczy zniszczonych (regestra damnorum), z reguły były oblatowane. Następnie używano formy zeznania przy relacyach woźnych o wszelakich czynnościach, byle nie o doręczeniu pozwów przed sądy wyższe.

Na rozgraniczu stoją wpisy kontraktów, przy których posługiwano się obiema formami. I tutaj jednak można dostrzec pewną prawidłowość; gdy bowiem kontrakty pożyczki, przy których dłużnik wystawiał prosty kwit bez wszelkich formalności, t. z. kwit ręczny (scriptum manuale) czyli membranę (membrana), z reguły oblatowano, to przy innych transakcyach, dotyczących zwłaszcza dóbr nieruchomych, trzymano się zazwyczaj formy zeznania.

O działalności kancelaryj pomocniczéj przy wykonywaniu funkcyj urzędu i sądu grodzkiego będzie mowa, dla związku, w rozdziale następującym.

IV.

Manipulacya kancelaryi grodzkiéj.

Do załatwiania wszelkich czynności manipulacyjnych właściwą była — obok ziemskiéj — kancelarya grodzka tego powiatu, w którym strona interesowana miała osiadłość. Od funkcyj włożonych na siebie z tego tytułu żadną miarą uchylać się nie była powinna; zasadę tę stwierdzono dla Litwy

wyraźnym przepisem ustawy z r. 1726, pociągając winnych urzędników kancelaryi do odpowiedzialności przed trybunałem. Z reguły także i strony interesowane wpisywały akta swe w księgi swoich powiatów (acta proprii districtus). Nie stało im jednak nic na przeszkodzie żądać załatwienia czynności kancelaryjnych, w szczególności zaś przyjmowania wpisów, także i w obcych grodach. Z prawa tego wolno im było korzystać nie tylko wtedy, jeśli kancelarya właściwa nie urzędowała wcale, jak się to działo częstokroć w prowincyach nawiedzonych wojną lub morem, nie tylko, jeśli wbrew przytoczonéj powyżéj ustawie odmówiła ona załatwienia czynności, ale i wtedy w ogóle, jeśli żadne istotne nie stały w drodze przeszkody do jéj użycia. Wszakże jeżeli w obcym powiecie dokonano wpisu do aktów, należało go pod nieważnością przenieść do własnego grodu (lub ziemstwa) w przeciągu roku i sześciu tygodni. Czynność tę nazywano p r z e n i e s i e n i e m (translatio, transductio) lub u m o c n i e n i e m (roboratio)[1]). Jedynie tylko manifesty w sprawach publicznych, zeznane w jakimkolwiek grodzie, ważne były bez roboracyi; toż samo dotyczy też manifestów prywatnych, zeznanych w obcym powiecie z powodu naruszenia przez kancelaryą powołanéj powyżéj ustawy z r. 1726.

Dla wykonywania poruczonych sobie funkcyj otwartą być miała kancelarya grodzka stale przez cały rok z wyjątkiem świąt i niedzieli. Które dni uważać należy za świąteczne, pod tym względem rozstrzygał dawniejszy zwyczaj sądowy, który się w znacznéj części utrzymał jeszcze w w. XVIII. Gdy jednak ilość feryj była zanadto wielka, postanowiono zająć się ich zmniejszeniem i polecono w tym celu rządowi na sejmie 1768 r. porozumieć się ze stolicą apostolską. Jako rezultat układów wyszły w roku 1775 indulty Piusa VI dla dyecezyj polskich, obowiązujące do święcenia — prócz niedziel — jedynie uroczystości na pamiątkę Chry-

---

1) Bandtkie, Hist. prawa pol. 457, niewłaściwie mięsza translacyą z oblatą.

stusa, Matki Boskiéj, Ducha św., daléj Wszystkich Świętych, Piotra i Pawła, tudzież patronów krajowych, gdy natomiast poprzednio obchodzono w sądach i kancelaryach jeszcze wiele innych świąt, jak mianowicie: Szczepana, Jana Ewangelisty i Chrzciciela, Michała, Wawrzyńca, Wojciecha, Marcina, Mikołaja, Katarzyny, Małgorzaty, Agnieszki i Niewiniątek. Nie wynika stąd zresztą, jakoby kancelarye grodzkie tak przed jak i po redukcyi w dniach świątecznych bezwarunkowo nie urzędowały; owszem, znajdujemy w aktach, jakkolwiek nader wyjątkowo, wpisy pod datą niedziel i innych uroczystości. O godzinach urzędowych nic nie wiadomo.

Dzień, w którym załatwiano jakąś czynność kancelaryjną, musiał być zapisany na odnośnym akcie. Ponieważ zaś akta te po największéj części wpisywano do ksiąg, przeto wystarczało jednorazowe umieszczenie daty na czele wszystkich aktów z jednego dnia, które pod nią zapisywano. Daty te przez długi czas jeszcze w wieku XVIII składano według średniowiecznego sposobu, n. p. actum feria secunda ante festum Nativitatis Domini anno etc.; gdy jednakowoż oryentowanie się w następstwie dat z tego powodu przedstawiało pewne trudności i zawikłania, w tych zwłaszcza wypadkach, gdzie podstawą ich formowania były święta ruchome, zarządzono w r. 1768, że obok daty według dawnego sposobu oznaczonéj należy też określić ją według dnia, miesiąca i roku, sposobem dzisiaj powszechnie przejętym.

Jeżeli nastąpiło bezkrólewie albo zaszła śmierć starosty, sądy grodzkie, jak wiadomo, przestawały urzędować; na kancelaryą okoliczności te wywierały wpływ tylko nieznaczny: nie zawieszały bowiem czynności jéj, lecz ograniczały ją wyłącznie tylko do samoistnego zakresu działalności. Nie było wprawdzie żadnéj ustawy ogólnéj o ważności wpisów, dokonanych podczas bezkrólewia, atoli każda konfederacya generalna, zawiązywana po śmierci króla, zastrzegała, począwszy już od pierwszego bezkrólewia r. 1572, aby akta grodzkie do przyjmowania wszelakich zapisów były otwarte, a każdy następny elekt zatwierdzał ważność zeznań podczas bezkrólewia

w nich poczynionych. Z tego powodu akta grodzkie w czasie bezkrólewia nabywały pierwszorzędnéj doniosłości; gdy bowiem za życia królów miały w téj mierze konkurencyą innych sądów, to przeciwnie w czasie bezkrólewia jedynym były organem do przyjmowania wpisów.

Język kancelaryjny nie był w całém państwie jednakowy. Na Litwie pisano akta z reguły po rusku, jakkolwiek, późniéj zwłaszcza, wprowadzono do nich także łacinę. Zresztą i w Koronie miały sobie niektóre województwa zabezpieczone prawo używania języka ruskiego, jak Wołyń, Bracław i Kijów (1569). Inne województwa koronne używać mogły w kancelaryach, w myśl statutu z r. 1543, języka łacińskiego lub polskiego. Gdy jednakowoż w czasie wyjścia tego statutu polszczyzna nie była jeszcze na tyle rozwiniętą, iżby się dała użyć zupełnie wygodnie na oddanie rozmaitych terminów prawnych, przeto nie zdołała usunąć języka łacińskiego, którego poprzednio używano powszechnie w pismach sądowych. Uzyskawszy zaś raz przewagę nad językiem polskim, nie utracił jéj łaciński nawet wtedy, kiedy polszczyzna zupełnie wygodnie mogła już była dostarczyć terminologii prawnéj. Stąd też nasze akta koronne z reguły pisane były po łacinie, a ustawa z r. 1543 tak dalece poszła w zapomnienie, że w r. 1783 można się było pytać Rady Nieustającéj, czy język polski w dekrecie użyty może być uważany za przyczynę jego nieważności; i jeżeli w księgach naszych sądowych spotykamy jakiś akt polski, to chyba jestto przysięga albo kontrowersya, które wpisywano w tym języku, w jakim się odbywały, albo oblata aktu polskiego, do któréj w tym razie zwykłą formułkę kancelaryjną dopisywano po łacinie. Inne akta wyjątkowo tylko pisano po polsku. Tymczasem łacina kancelaryjna, sformalizowana jeszcze w czasach średniowiecznych, była też w całém tego słowa znaczeniu łaciną średniowieczną; to też słusznie ci, co baczyli na czystość języka, domagali się jéj usunięcia; zresztą wyłaniające się z biegiem czasu coraz nowe stosunki prawne nie zawsze znajdowały nazwę łacińską. Konieczność reformy języka

kancelaryjnego na stanowczą korzyść polszczyzny była tedy oczywistą; mimo to jednak nie przyszła wcale do skutku.

Po tych kilku ogólnych uwagach rozważymy z kolei poszczególne kierunki manipulacyi kancelaryjnéj.

1. Wpisy.

Wpisów nie było można dokonywać nigdzie indziéj, jak tylko w urzędowym lokalu kancelaryi. Wszelkie przenoszenie ksiąg sądowych do mieszkań prywatnych w tym celu stanowczo było wzbronione według konstytucyi z r. 1550[1]). Żądający wpisu musiał się jawić osobiście (personaliter), i, jak się zwykle formułka kancelaryjna wyrażała, musiał być zdrów zarówno na ciele, jak i na umyśle (sanus mente et corpore). Pod chorobą cielesną rozumiano jednak tylko chorobę obłożną, przy któréj oczywiście z powodu niemożności pojawienia się w kancelaryi nie było można dokonać wpisu, nie zaś inną, i tak n. p. często ludzie poranieni jawili się w kancelaryi celem protestu o rany. Zresztą ustawa z r. 1550 wymaga tylko, ażeby zeznający był: sanus mente. Niekoniecznie jednak sam bezpośrednio interesowany jawić się musiał w kancelaryi; wystarczało bowiem częstokroć, jeżeli wysłał kogokolwiek, czasem nawet domownika, do uczynienia wpisu w swojém imieniu. Zastępca zeznający nie potrzebował się nawet wykazywać żadnem pełnomocnictwem; wystarczało proste oświadczenie z jego strony, że czyni wpis w imieniu innego[2]). Nad-

---

[1]) Maciejowski, Hist. praw. słow. V, 613, twierdzi, jakoby kancelarye sądowe za przyzwoleniem monarchy jeździć mogły z księgami do domu chorego, celem przyjęcia zeznania testamentu. Twierdzenie to polega na błędném zrozumieniu tekstu ustawy z r. 1550, w któréj jest mowa o kancelaryi królewskiéj, a nie sądowéj. Nawet statut litewski (R. VIII, art. 2), wymagając przy spisywaniu testamentów przyzwania urzędu grodzkiego albo ziemskiego, nie ma na myśli samego wpisu do aktów, który, jak to wynika z dalszego brzmienia tegoż artykułu, nastąpić ma dopiero późniéj, w kancelaryi. Podobnież rozstrzyga tę sprawę Korrektura pruska. (Tyt. II, § 3 i 4).

[2]) Dudik, Archive, twierdzi bez podstawy, jakoby statut z roku 1543 żądał właśnie takiego pełnomocnictwa.

użycie, którego się przy téj sposobności było można dopuścić, mianowicie zeznanie fałszywe, piętnowano jako jeden z najbardziéj zbrodniczych czynów, kładąc je w myśl statutu z r. 1538 na równi ze zbrodnią najścia domu szlacheckiego[1]).

Osobistéj obecności potrzeba było zresztą tylko przy wpisie do protokołu, nie zaś do t. z. indukty. Wiedzieć bowiem należy, iż każdy wpis umieszczonym być musiał z reguły — z wyjątkami, o których poniżéj będzie mowa — w dwóch równolegle obok siebie bieżących rodzajach ksiąg sądowych, tak iż nie bez słuszności całe to urządzenie nazwaćby można systemem aktów podwójnym. Stał on w ścisłym związku i był naturalnym wynikiem sformularyzowania prawa polskiego[2]). Jeszcze w wiekach średnich wyrobiła się w Polsce zasada, że każdy wpis do aktów sądowych, jak niemniéj pisma wychodzące od sądów, n. p. wyroki, ujmować należało w pewne formuły, które wytworzył zwyczaj. Zasada ta znakomitego doznała poparcia na sejmie 1523 r., który wytworzonemu zwyczajowi nadał sankcyą ustawniczą, ponawiając nakaz formularyzowania aktów prawnych i dołączając do swoich statutów cały szereg wzorców rozmaitych kontraktów i pozwów. A jakkolwiek ten szereg nie wyczerpywał wszelkich możliwych stosunków, to jednak i dla reszty aktów prawnych znalazły się bez trudności formuły, które wyrobił bądź to zwyczaj kancelaryjny, bądź też prywatna działalność prawników. Dość wspomnieć, że znaczna ilość dzieł naszych prawniczych, począwszy od w. XVI aż do upadku Rzpltéj z reguły mieści w sobie zbiór takich formuł. Formuły te, służąc przedewszystkiém do użytku kancelaryj sądowych, otrzymały nazwę formuł kancelaryjnych (formulae cancellariae).

---

[1]) O innych warunkach, odnoszących się do osoby zeznającego, będących już raczéj kwestyą materyalnego prawa prywatnego, jak n. p. o warunkach odpowiedniego wieku, warunku obecności męża przy rekognicyach żony itp. nie ma oczywiście przyczyny rozwodzić się na tém miejscu.

[2]) Por. prof. Bobrzyńskiego M. O dawném prawie polskiém. Warszawa, 1874.

Gdy tedy każdy wpis musiał być ujęty w pewne z góry przepisane słowa, których znaczna część zawierała tylko martwe formułki, powtarzające się stereotypowo i w innych podobnych aktach, wynikało stąd, iż samo dokonanie wpisu w kancelaryi więcéj musiało zajmować czasu, aniżeli tego istotna wymagała potrzeba. Pokąd ilość zeznań nie dochodziła do wielkiéj liczby, niedogodność stąd wynikająca nie dawała się wielce odczuwać. Ale kiedy się stosunki zmieniły, kiedy kancelarya małego nawet grodu codziennie po kilkadziesiąt musiała dokonywać wpisów, należało, wobec szczupłego zwłaszcza personału, uprawnionego do przyjmowania tychże, skrócić téż sposób, jakiego się przy tém dawniéj trzymano. Utworzono więc teraz dwojakiego rodzaju księgi: w jednych wpisywano tylko samę treść główną zeznania w obecności strony interesowanéj i te zwano p r o t o k o ł e m p o t o c z n y m, także o r y g i n a l n y m (prothocollon originale) lub najczęściéj pokrótce p r o t o k o ł e m, czynność zaś mieszczenia w nim wpisu s u s c e p t ą (suscepta); do drugich wciągano nieco późniéj akt opatrzony we wszystkie formuły: była to t. z. i n d u k t a (inducta); odnośna czynność nazywała się i n d u k c y ą (inductio). Susceptę i indukcyą nazywano też ogólnie a k t y k a c y ą lub i n g r o s s a c y ą (acticatio, ingrossatio).

Tak dokonał się rozdział aktów na dwa te równolegle obok siebie bieżące rodzaje, protokoły i induktę, już w wieku XVI i przetrwał z małemi zmianami do końca istnienia Rzpltéj. Ściśle rzecz biorąc, rozdział ten powiększył sumę czynności kancelaryj sądowych, i słusznie nasuwa się pytanie, czy — skoro już nie chciano usunąć formularyzmu — nie lepiéj było pisać od razu zeznanie ze wszystkiemi jego formułami, aniżeli streszczać je naprzód, a potém na nowo powtarzać w całéj formalnéj rozciągłości. Mimo to jednak rozdział ten miał znaczenie praktyczne zarówno dla stron jak i dla kancelaryi: dla stron, bo umożliwiał im prędsze załatwienie się z wpisem; dla kancelaryi, bo wpływał na odpowiedni rozdział pracy między wyższych i niższych jéj urzędników. Pierwsi mianowicie, którzy spisywali protokół, mieli obecnie zadanie zna-

cznie uproszczone; ujęcie zeznań w formuły i wpisanie ich do indukty było już niższym rodzajem czynności manipulacyjnych i wskutek tego powierzone być mogło palestrantom, a na Litwie nawet stronom prywatnym.

Już z tego wynika, jaki był wzajemny stosunek między protokołem a induktą, i który z obu tych rodzajów aktów uważać należy za ważniejszy. Indukta przewyższała protokół o tyle, że czyniła zadość wymogom formalnym; ale materyalnie rzecz biorąc, protokół był jedyną jéj podstawą, i jeżeli przypadkiem zaszła sprzeczność między tym samym wpisem w obu rodzajach aktów, rozstrzygającą była treść zapiski protokolarnéj. Nadto opatrzony był protokół z reguły podpisami stron zeznających, co znowu przyczyniało się do podniesienia autentyczności jego wpisów.

Wszystkie te okoliczności tłómaczą nam, dla czego tak pilną zwracano baczność na rzetelne prowadzenie protokołów. Mogły one być powierzone jedynie urzędnikom przysięgłym (1726, 1768), w grodzie mianowicie z reguły susceptantom, którzy własnoręcznie, zupełnie w myśl zeznającego, mieli w nich aktykować zeznania. Sfałszowanie wpisu protokolarnego, zwane technicznie f a b r y k a c y ą (fabricatio) aktu, naruszając całą podstawę zaufania publicznego do ksiąg sądowych, które jedynie dostarczały przeglądu najróżnorodniejszych stosunków prawnych społeczeństwa, podlegało najsurowszym karom. Tak ustawa z r. 1726 orzekła, że urzędnik kancelaryjny, zostający pod zarzutem fabrykacyi, tak długo nie może wykonywać swych funkcyj, pokąd się nie oczyści, jeżeli zaś fałszerstwo zostanie mu udowodnioném, ponosić ma karę śmierci. W r. 1768 złagodzono ten przepis o tyle, że na winnych nałożono karę tysiąca grzywien i sześciu tygodni wieży; natomiast rozszerzono ją nie tylko na samego winowajcę, ale także i na jego zwierzchników, a więc w grodach na starostów, wojewodów z jurysdykcyą starościńską, albo też pisarzów (na Mazowszu). Był to znakomity środek zapobiegający, zmuszał bowiem tychże zwierzchników do pilnéj baczności w wyborze osób, którym poruczali prowadzenie protokołu.

Jakoż w istocie, nie tyle zagrożone kary, jak raczéj środki prewencyjne, uświęcone bądź to zwyczajem, bądź też przepisami ustawy, przyczyniły się głównie do tego, iż fałszowanie protokołów było nadzwyczaj trudném i należało do nader rzadkich wypadków. Sam mianowicie sposób prowadzenia protokołów zapobiegał fabrykacyom. Do spisywania ich używano zeszytów (obvolutae), zwanych w miarę ilości arkuszy, które zawierały, kwaternionami (quaterniones), seksternami (sexterniones) i t. p. lub też w ogóle tomikami (volumina). Składały się one z kilku, zazwyczaj z sześciu arkuszy papieru (in folio), których strony przed użyciem należało opatrzyć liczbami porządkowemi. Nadto każdy zeszyt oznaczano na okładce liczbami bieżącemi, kończącemi się z upływem każdego roku. W roku 1778 zarządziła Rada Nieustająca, iż końce sznurka spajającego sekstern mają być na tylnéj okładce przytłoczone pieczęcią zwierzchnika sądowego, zapobiegając w ten sposób usunięciu kart zapisanych lub podsunięciu na ich miejsce innych niezapisanych przez zniszczenie pierwotnego zeszycia i zastąpienie go nowém. Zapisane zeszyty miały być znowu przedłożone tymże zwierzchnikom w celu rewizyi.

Wpisy protokolarne, częstokroć zresztą dosyć obszernie streszczające zeznanie strony, następowały tuż pod datą zeznania, jeden bezpośrednio za drugim, odgrodzone od siebie przedziałkami poziomemi, każdy zaś z reguły opatrzony podpisem strony zeznającéj, lub jeśli ta pisać nie umiała, znakiem krzyża i uwagą susceptanta o niepiśmienności zeznającego. Nie można jednak twierdzić, jakoby podpisy wszędzie były bezwarunkowo potrzebne; dawniéj (w wieku XVI) nie spotykamy ich wcale w protokole; w XVIII wymagano ich koniecznie, o ile przypuszczać można, przy kontraktach; mimo to jednak i inne zeznania z reguły opatrzone są podpisami.

Po ukończeniu wpisów z dnia jednego następowała zaraz data i wpisy dnia następnego bez pozostawienia jakiegokolwiek wolnego miejsca pomiędzy niemi. W ogóle było zasadą, iż w protokole nie powinny się znajdować żadne miejsca nieza-

pisane, a to dla tego, ażeby urzędnikom kancelaryjnym ująć wszelką sposobność podsunięcia jakiego fałszywego zeznania. Mimo to jednak zasady téj nie przestrzegano bezwarunkowo, dozwalając na żądanie interesowanych zatrzymania w o l n y c h m i e j s c (t. z. vacua spatia). Zdarzyć się mogło często, że stronie zależało na tém, aby pod pewną, a nie późniejszą datą zeznanie jęj umieszczoném zostało w aktach sądowych, jak n. p. jeżeli chodziło o przerwanie dawności, gdzie jednodniowa zwłoka z protestem sprowadzić mogła utratę prawa. Jeżeli tedy strona w téjże chwili nie miała pod ręką potrzebnych dokumentów albo nie posiadała dokładnéj znajomości wszystkich szczegółów, które w zeznaniu należało przytoczyć, upraszała sobie wolne miejsce w protokole, które odnośnemi datami zobowiązywała się późniéj wypełnić. Korzyść wynikała stąd taka, że wpis, jakkolwiek w istocie nastąpił późniéj, uważano za dokonany w dniu, w którym strona uprosiła vacuum. Rozumie się jednak, że należało zachować wszelkie ostrożności, ażeby usunąć sposobność zapełnienia miejsca wolnego fałszywymi wpisami. Więc przedewszystkiém strona zeznająca musiała u dołu tego miejsca umieścić swój podpis, przez co zeznanie innéj osoby nie mogło już być tamże wpisaném; następnie zaś mogło być takie miejsce tylko przez trzy dni zachowaném, poczém, jeżeli strona rzeczywiście wpisu nie dokonała, należało je zapisać wyrazem: vacuum, i to tak, ażeby głoski wypełniały całą przestrzeń pozostawioną. Takie zniszczenie miejsca wolnego zwano technicznie k a n c e l a c y ą albo l i n e a c y ą (cancellatio, lineatio). Po dokonaniu jéj nie można już było umieścić wpisu na miejscu zachowaném. Mimo to jednak sposobność do nadużyć nie była jeszcze bezwarunkowo usuniętą, bo choćby nawet strona podała w przepisanym czasie żądane daty do wpisu, można go było umieścić na mniejszéj przestrzeni pozostawionego miejsca, zachowując górną część jego do sfałszowania. Tem bardziéj zaś nadarzała się sposobność takich nadużyć wtedy, jeżeli strona w przepisanym czasie dat nie podała. Bardzo skuteczny środek obmyśliła na to powołana już powyżéj rezolucya Rady

Nieustającéj z r. 1778, stanowiąc, że wzdłuż całego pozostawionego vacuum ma być zanotowana na marginesie najogólniejsza treść przedłożyć się mających dokumentów. Wobec téj ostrożności można też było — jak to właśnie uczyniła Rada Nieustająca — przedłużyć termin zapełnienia vacuum z trzech dni na sześć tygodni.

Nieprawne postępowanie z miejscami wolnemi pociągało za sobą w myśl ustawy z r. 1768 karę 2000 grzywien i sześciotygodniowego więzienia, któréj ulegał naczelnik kancelaryi, a więc w ziemstwach pisarz, w grodach regent.

Ponieważ protokół był podstawą a zarazem przygotowaniem indukty, przeto w zapiskach jego znajdować się musiały wskazówki, w jaki sposób inducent przy wciąganiu pojedyńczych wpisów ma się zachować i gdzie ma szukać materyału i dat do stworzenia właściwego aktu ze wszystkiemi jego formułami. Wskazówki te zależały od formy, w jakiéj dokonano wpisu. Jeżeli zatém nastąpiło proste zeznanie ustne, susceptant notował w protokole: inducatur hoc loco protestatio (n. p.) generosi N. N. contra gen. M. M. ratione... poczém umieszczał treść główną samego protestu. Takie ustne zeznania jednak bez podania jakichkolwiek danych na piśmie, w w. XVIII wychodziły już z użycia, natomiast wyrobił się zwyczaj, że zeznający przynosił ze sobą pismo, w którem mieściło się całe zeznanie, ujęte nawet we wszystkie formuły prawne. Było to znakomite ułatwienie dla palestrantów, którzy przy indukowaniu nie potrzebowali mozolić się nad wtłoczeniem treści zeznania w formuły kancelaryi i najczęściéj dosłownie je przepisywali w indukcie. Mimo to jednak nie można mówić w tym razie o oblacie, bo kiedy przy téj ostatniéj jakakolwiek zmiana stylizacyi była wykluczona, pismo doręczone przy zeznaniu prostém nie wykluczało możności zmiany nie tylko w formułach, jeżeli były błędnie wypisane, ale i w samym układzie treści, byleby jéj istoty nie naruszyć. A chociaż z prawa tego wyjątkowo tylko korzystano, widoczna przecież istotna różnica między formą oblaty a zeznania piśmiennego. W tém tylko zachodziło

podobieństwo, że przy tém ostatniem susceptant, mając całą treść zeznania w akcie, mógł się ograniczyć, podobnie jak przy oblacie, na najogólniejszém jéj zanotowaniu w protokole, odsyłając inducenta do samego aktu. Ażeby zaś ten ostatni łatwiéj mógł się zoryentować w odszukaniu go pośród plików, które z takich zeznań i oblat tworzono, notował na podaném sobie piśmie przedewszystkiém nazwisko doręczającego (offerens), datę doręczenia, liczbę zeszytu protokolarnego, do którego się odnosi pismo, a wreszcie znamię (signum), t. j. jakiś wyraz, najczęściéj zostający w związku z treścią pisma, czasem zupełnie jéj obcy[1]). W wypadkach tych zapisywano w protokole: Videatur hoc loco protestatio etc... sub signo N.; cała zaś zapiska protokolarna nazywała się w tym razie widendą (videnda.)

Rozumie się jednak, że w przyjmowaniu pism do aktów należało zachować pewne ostrożności. Czasem bowiem mógł nastąpić wpis fałszywego aktu i wyniknąć stąd szkoda dla niewinnego. Pilną zatém zwracała kancelarya baczność na to, czy jéj przedkładano oryginał aktu, czy też jego odpis. Przedłożenie oryginału należało jednak do wypadków wyjątkowych, każdy bowiem wolał go zachować dla swojego prywatnego użytku. Tylko tam, gdzie posiadanie oryginału nie przedstawiało szczególnego interesu dla oferenta, jak się to działo mianowicie przy oblatach konstytucyj i pism publicznych, zostawiano je w aktach. Z reguły jednak przedkładano odpis, zwany copia parata lub ze względu na doręczenie copia porrecta. Kopia musiała być porównaną z oryginałem, który strona również zobowiązaną była przynieść do kancelaryi. Porównanie to musiało nastąpić na poczekaniu, a dokonywali go lektanci, poczém zapisywali na kopii wyrazy: lectum cum originali i opatrywali je podpisem własnoręcznym. Wtedy dopiero zachowywano kopią w aktach, a stronie zwracano oryginał. O pozostawieniu oryginału czy kopii musiał

---

[1]) Nie wiadomo, na jakiéj podstawie Burzyński całe to postępowanie z kopiami nazywa aplikacyą (applicatio).

palestrant późniéj uczynić wzmiankę przy końcu indukowanego aktu; odnośną formułkę zapisywali najczęściéj lektanci na samym akcie doręczonym, ażeby jéj przy indukcyi nie opuszczono przez zapomnienie.

Pewną zmianę w urządzeniu protokołów spowodował wprowadzony w r. 1775 system stemplowy, głównie zaś rozwijająca go bliżéj ordynacya stemplowa z roku 1776. Pod względem formy zewnętrznéj rozróżnia ona dwa rodzaje protokołów; jedne pisane na sposób dawniejszy, z tą tylko różnicą, że kopie do nich się odnoszące musiały być opatrzone przepisanym stemplem; drugie same stemplowane, ale w ten sposób urządzone, że na jednym arkuszu jedno tylko mogło być zapisane zeznanie, reszta zaś wolnego miejsca miała być przekreśloną. Jakie rodzaje wpisów należały do jednego, a jakie do drugiego rodzaju protokołów, poznamy niżéj, mówiąc o poszczególnych rodzajach ksiąg grodzkich. Tak z wyjątkiem pism publicznych, do oblaty w grodach podawanych, które Rada Nieustająca rezolucyą z r. 1777 wyjęła z pod obowiązku stempla, każdy inny akt, bądź to w kopii, bądź to w protokole musiał być ostemplowany, a urzędnicy kancelaryi grodzkiéj musieli składać przysięgę, że żadnego pisma bez stempla nie przyjmą do ksiąg swych, co gdyby nastąpiło, akt był nieważny, nie pociągając jednak żadnéj dla zeznającego kary (Rez. Rady Nieust. z r. 1784). Jakiéj atoli za to podpadali karze urzędnicy kancelaryjni, nie wiadomo. Obowiązkiem kancelaryi — po zaprowadzeniu stempla — było z końcem każdego roku sporządzić sumaryusz, t. j. spis dokonanych wpisów ostemplowanych i odsyłać go do komisyi skarbowéj; nadto mogła taż ostatnia każdego czasu wysłać swego urzędnika do kancelaryj sądowych celem przekonania się, czy przepisy stemplowe należycie są wykonywane.

Taką była czynność susceptanta, i sposób, w jaki przyjmował wpisy do protokołu. Przechodzimy teraz do omówienia i n d u k t y. Wspomniano już poprzednio, że prowadzenie jéj poruczone było palestrantom, a mianowicie inducentom, wyjątkowo feryantom; na Litwie zaś, w myśl konstytucyi z r.

1726 wolno było nawet stronom dokonywać indukcyi dla oszczędzenia sobie wydatków. Indukować należało zupełnie zgodnie z treścią protokołu, a jeśli były jeszcze i kopie, z treścią tych ostatnich.

Indukty dokonywać można było jedynie w kancelaryi; wszelkie wynoszenie protokołów i kopii w tym celu do mieszkań prywatnych stanowczo było wzbronioném. Pisano zaś induktę nie zaraz po przyjęciu wpisu do protokołu; fakt, że vacua w protokole do trzech dni, a późniéj do sześciu tygodni mogły być zapełnione, wskazuje, że co najmniéj po tym czasie dopiero można było do niéj przystąpić. Zresztą wielce prawdopodobném wydaje się, że dopiero po zapisaniu całego zeszytu protokołu indukowano go; byłoby to bowiem rzeczą wielce niedogodną, gdyby w czasie, kiedy go używał jeszcze susceptant, równocześnie miał zeń korzystać i inducent.

Zarówno jak protokoły, pisano także induktę na zeszytach, najczęściéj sześcioarkuszowych. Na górnym marginesie pierwszéj stronicy zeszytu zapisywał inducent swoje imię, jak nie mniéj liczbę porządkową zeszytu protokolarnego, do którego się odnosi indukta. Praca jednego inducenta kończyła się zwykle z odpisaniem jednego zeszytu protokołu; jeśli się zdarzyło, że w zeszycie indukty pozostały jeszcze wolne karty, zapisywał je częstokroć drobniejszymi utworami literackimi, niekiedy własnéj kompozycyi, z których niejeden ciekawe rzucić może światło na poziom wykształcenia ówczesnych urzędników kancelaryjnych, czasem nawet na panujące prądy współczesne w literaturze i polityce.

Podstawą indukty były przy zeznaniach ustnych jedynie tylko zapiski protokołu; przy piśmiennych tudzież oblatach te ostatnie wraz z kopiami lub oryginałami. Podobnie jak w protokole, tak też i w indukcie zapisywano datę, i to nie datę indukcyi, ale suscepty. Pod tą datą umieścić należało wszystkie pod nią znajdujące się zeznania w protokole, i to bez zmiany porządku, w jakim tamże następowały, zawsze jednak z tytułem, podającym najogólniejsze streszczenie sprawy, którego w protokole nie było. Nawet i o vacuum, którego

nie zapełniono, należało uczynić zapiskę w indukcie, tylko że nie był to wpis samego aktu — którego nie było — lecz jedynie manifest kancelaryi, którym się późniéj mogła zasłonić przed wszelką odpowiedzialnością, stwierdzający, że gotową była do wpisania aktu, lecz nie mogła tego uczynić dla niedostarczenia potrzebnych danych w przepisanym terminie. Podobnie jak wszelkie zeznania, któremi się zasłaniano przed odpowiedzialnością, tak też i to nazywało się manifestatio de diligentia. Jak wiemy, manifest taki opiewał zawsze na imię pisarza grodzkiego.

Dla utrzymania przeglądu obowiązany był inducent każdą zapiskę protokolarną, która przeszła do indukty, przekreślić, a u ostatniéj, którą wciągnął, własnoręcznie się podpisać na marginesie; podobnież i na każdéj wpisanéj kopii lub oryginale kładł z reguły zapiskę: inductum per N. Kopii odpisanych nie niszczono, lecz przechowywano w archiwach w osobnych plikach kopii wciągniętych (fasciculi copiarum inductarum)[1].

Po spisaniu indukty należało się przekonać o zgodności jéj z protokołem. Zadanie to poruczone było lektantom, którzy porównawszy odnośne akta, zgodność tę stwierdzali na dolnym marginesie ostatniéj strony każdego zeszytu indukty zapiską: lectum cum prothocollo et copiis i własnoręcznym podpisem.

Od zasady, że wszystkie wpisy protokołu przejść miały do indukty, zdarzały się pewne wyjątki. I tak, jeżeli kopia podana przez stronę zatraciła się w kancelaryi, nie można było indukować aktu na podstawie ogólnikowéj w takim razie

---

[1]) Nie wiadomo, czy wyrazu fasciculi używano w języku kancelaryjnym do oznaczenia plików aktowych już za czasów Rzpltej. Wprawdzie w archiwum lwowskiém na grzbietach tek, obejmujących te akta, znajdują się napisy: fasciculi copiarum, ale wiadomo, że ostateczne uporządkowanie tego archiwum nastąpiło dopiero za rządów austryackich, i być może, iż wyraz ten do tych dopiero czasów odnieść należy. Mimo to jednak wyraz ten można zatrzymać, ponieważ oddaje pojęcie i jest dzisiaj powszechnie zrozumiałym.

wzmianki protokołu; naówczas zostawiano w indukcie miejsce wolne, na którém kopia, jeśliby się przypadkiem późniéj odszukała, mogła być zapisaną; tymczasem zaś zaznaczano na marginesie pozostawionego miejsca: desideratur copia sub signo N. Daléj nie wciągano tych aktów, do których było potrzeba podpisu strony w protokole, jeśli go tam nie umieszczono. Przy takich defektownych wpisach znajduje się zapiska na marginesie protokołu: nullum, quia non subscriptum.

Wreszcie czasami nie indukowano w tych razach, gdzie prócz zapiski protokolarnéj znajdowala się jeszcze i kopia. Bo też ściśle rzecz biorąc, we wszystkich tych razach, gdzie strona podawała kopią — a działo się to, jak wiemy, najczęściéj — indukta nie była potrzebną. Zachowując samę tylko kopią w kancelaryi, miało się akt napisany ze wszystkiemi formalnościami, podczas gdy wpis do protokołu konstatował jego istnienie. Na bezużyteczności indukty w tych wypadkach poznano się już niebawem, atoli nigdy nie złamano stanowczo wiekami uświęconéj tradycyi o dawnym sposobie prowadzenia aktów. Tylko wyjątkowo, jak nie bez słuszności przypuszcza Wittig (str. 45), nie wciągano podanych kopii bądź to wskutek nawału pracy, bądź też przez zapomnienie inducentów. W ten sposób powstały nieliczne w archiwach naszych p l i k i k o p i i n i e w c i ą g n i ę t y c h (fasciculi copiarum non inductarum).

Dokonała się w ten sposób pewna modyfikacya dawnego systemu podwójnego; bo kiedy poprzednio wyrazem jego były równorzędnie obok siebie biegnące księgi protokołów i indukty, teraz na miejsce tej ostatniéj — wyjątkowo — wstępują kopie niewciągnięte. O u c h y l e n i u dawnego systemu mowy być nie może. To ostatnie nastąpić mogło dopiero z usunięciem przyczyny jego powstania, tj. z upadkiem formularyzmu w aktach prawnych. Jak wiemy, nie nastąpiło to w zupełności aż do ostatnich czasów Rzpltéj; ale wyjątkowo przecież dadzą się zanotować pewne w tym kierunku usiłowania. Po raz pierwszy występują one w ciągu w. XVII. Wtedy bowiem wprowadzono osobne protokoły do przyjmowania zeznań pełno-

mocnictw, których już wcale nie przenoszono do indukty. Zapewne, że wpisy tych protokołów były bardzo obszerne i wiele nawet mieściły pierwiastków formalistycznych, ale już sam fakt, że się formuły nie trzymano z bezwzględną ścisłością i że takiego wpisu nieformalnego nie przetapiano potém na formalny przez zamieszczenie go w indukcie, był pierwszym ciosem dawniejszego formularyzmu i systemu podwójnego. Protokoły pełnomocnictw utrzymały się także w ciągu w. XVIII, a przybyły do nich jeszcze inne na ten wzór urządzone, o czém szczegółowo mówić będziemy poniżéj. W każdym razie jednak były to tylko wyjątki.

Zbierając wszystko, co dotąd powiedziano o urządzeniu aktów grodzkich w wieku XVIII, przeznaczonych do przyjmowania wpisów, można powiedzieć: Jednolitości systemu w całém urządzeniu dopatrzyć się nie można; panującym pozostaje dawny system podwójny, reprezentowany przez protokół i induktę, którą to ostatnią zastępują w małéj części kopie niewciągnięte, obok tego pojawia się w formie wyjątkowéj system pojedyńczy.

2. *Pisma urzędu i sądu grodzkiego.*

Mniéj jeszcze jednostajném przedstawia się urządzenie tych aktów, które kancelarya spisywała w charakterze organu pomocniczego urzędu i sądu grodzkiego. Wynikało to z różnorodności funkcyj, które gród jako władza administracyjna i sądownicza przedsiębrał. O aktach w s p r a w a c h a d m i n i s t r a c y j n y c h nie wiele da się powiedzieć. Przeznaczone częstokroć do użytku innych władz, były tamże odsyłane, dla tych zaś, które pozostawały w grodzie, nie prowadzono osobnych ksiąg, lecz wciągano je zazwyczaj do ksiąg wpisowych; w takim zaś razie podlegały czynności manipulacyjne tym regułom, które podano w poprzedzającym ustępie. Dla przykładu przytoczyć można, że do téj gałęzi działalności kancelaryj należało spisywać taryfy towarów, o ile współudział w ich układzie przysługiwał starostom obok wojewodów, układać dla komisyi skarbowéj taryfy podatków i t. p.

Więcéj już zachowało się nam zabytków manipulacyjnéj działalności kancelaryi jako organu pomocniczego sądów grodzkich. W tym kierunku funkcyonowała kancelarya przez swoich urzędników nie tylko w siedzibie urzędowéj grodu, ale także, jeśli się okazała potrzeba, i gdziekolwiek indziéj w obrębie starostwa. Tak n. p. udawali się urzędnicy kancelaryjni wraz z subdelegatem lub wicesgerentem grodzkim, zjeżdżającymi na kondescenzyą lub egzekucyą, i tam spisywali przebieg (dziś powiedzielibyśmy: protokół) całego aktu. Podobnież miała się rzecz i wtedy, jeżeli na miejscu popełnionéj zbrodni należało przedsięwziąć śledztwo kryminalne (inquisitio, scrutinium), przekazane grodom do załatwienia. Pomiędzy aktami inkwizycyjnymi a kondescenzyonalnymi i egzekucyjnymi ta jednak zachodzi różnica, że te ostatnie oblatowano z reguły w księgach przeznaczonych do przyjmowania wpisów, czego nie czyniono z pierwszymi. Pisma inkwizycyjne stanowią zatém samoistną, a dla badaczów dzisiaj wielce ciekawą kategoryą aktów grodzkich, układanych w osobne pliki, podczas gdy kondescenzye i egzekucye stanowią część integralną indukty wpisów lub fascykułów kopii.

Księgi regestrów (regestra causarum), zazwyczaj przed zapisaniem już oprawiane i to w formie języczkowatéj[1]), zawierały spis spraw, mających na rokach grodzkich przyjść pod rozsądek sądowy. Było tych regestrów kilka rodzajów, o czém niżéj obszerniéj; cała zaś ich waga na tém polegała, że rozstrzygały o porządku, w jakim sprawy mają być przed sądem wywoływane. Pierwszeństwo wpisu regestrowego zależało od zgłoszenia się strony interesowanéj. Wpis do regestru starano się ująć w jak najkrótsze słowa, podawano więc tylko nazwiska przeciwników i najogólniejszą treść sprawy, o którą chodzi. Takich spraw zapisywano w regestrach w początkach jeszcze wieku XVIII po kilkanaście na jednéj stronie; późniéj liczba zmniejszała się coraz bardziéj, aż wreszcie wyrobił się

---

[1]) Folio wzdłuż na wpół złamane. Książki téj formy zwano téż dudkami.

zwyczaj, stwierdzony konstytucyą z r. 1768, że na jednéj stronie regestru wpisane być mogą tylko trzy sprawy. Na miejscach wolnych, pomiędzy pojedyńczymi wpisami pozostawionych, wpisywać należało treść zapadłych wyroków.

W regestrach znajdowały się jednak wyroki w sumarycznėm tylko streszczeniu; właściwemi do umieszczania wyroków w całéj rozciągłości były księgi dekretów (libri decretorum). Podobnie jak księgi wpisów rozpadają się one na protokoły i induktę. Protokół spisywano z reguły podczas rozprawy; indukcyi dokonywali późniéj palestranci według tych samych zasad, co przy indukcie wpisów. Pod względem treści protokół każdéj sprawy podzielić się da na dwie części: jedna zajmuje streszczenie punktów spornych i przebiegu rozprawy, czyli t. z. kontrowersyą (controversia), druga zaś wyrok ostateczny (decretum, sententia). Rozdział ten uczynić należy dla tego, że sposób traktowania obu tych części w manipulacyi kancelaryjnéj wcale był odmienny. Oczywista, że największe znaczenie miał wyrok, jako podstawa nowego stosunku prawnego między stronami; to też wpisywać go należało zaraz po wydaniu, na miejscu sądu, a wpisu dokonywać mógł tylko urzędnik przysięgły. Inaczéj miała się rzecz z kontrowersyą. Podawała ona tylko szczegóły wyjaśniające, ale nie rozstrzygające. Stąd to już od dawna praktyka kancelaryjna po macoszemu traktowała sprawę zapisywania kontrowersyj. Nie tylko, że nie żądano do tego urzędników przysięgłych, ale nawet pozostawiano tę czynność prywatnéj stron działalności. Tak mianowicie było już w wieku XVI, którego pomniki dowodzą, że strony prywatne albo ich prokuratorowie w kilka, według statutu litewskiego (R. IV, art. 103) najdaléj w trzy dni po rozprawie sądowéj doręczały kancelaryom kontrowersyj. Że upływ dwu przeszło wieków nie wiele zmienił w tym względzie, świadczy ordynacya dla kancelaryi trybunału litewskiego z roku 1726, która pozwoliła stronom wpisywać kontrowersye do protokołów, nie żądając nawet późniejszego porównania ich przez regentów. Ordynacya z r. 1764 wkłada na nich wprawdzie ten obowiązek,

ale podobnie jak dawniejsza dozwala im spisywać kontrowersye w mieszkaniu prywatném po odbyciu sesyi trybunalskiéj, przyczém oczywista o dokładności i ścisłości mowy być nie może. Tak mało ostrożności zachowywano w sądzie najwyższéj instancyi; cóż dopiero mówić o sądach niższych, do których należały i grody.

Brak sprężystego urzędowego nadzoru nad spisywaniem kontrowersyj obniżał coraz bardziéj ich doniosłość praktyczną w porównaniu z samym wyrokiem ostatecznym. Wynikała stąd przedewszystkiém niedbałość w ich zapisywaniu i redagowaniu, a częstokroć zupełne zaniechanie wpisu kontrowersyj. Jakoż przeglądając protokoły dekretów, nie często znajdujemy w nich kontrowersye. Być może, iż opuszczano je na podstawie poprzedniego porozumienia się z stronami, które oświadczały, że żądać będą tylko odpisu wyroku; trudno bowiem inną wytworzyć zasadę, którąby wytłómaczyła, dla czego jedne sprawy tylko wyroki, inne zaś mają spisane i kontrowersye. Często wreszcie zdarzało się, że kontrowersyj nie wpisywano do protokołu, lecz od razu podawano potrzebne dane indukującemu palestrantowi, który je wprost do indukty zaciągał.

Widzimy stąd, jak niejednostajnie i niesystematycznie prowadzone były protokoły dekretów, stanowiąc istne w téj mierze przeciwieństwo do protokołów wpisów. Daleko im téż było do owego znaczenia, jakiém się cieszyły te ostatnie. Przeciwnie, im daléj w czasie, tém większy widzimy upadek protokołów dekretowych, aż wreszcie dochodzi do tego, że je zastępują akta innego rodzaju. Nie stanowczo i nie powszechnie, bo potęga zwyczaju, jak we wszystkich innych stosunkach, tak też i w praktyce kancelaryjnéj tak była u nas doniosłą, że wieki pracować musiały nad zupełném jego usunięciem; zaznaczamy tylko, że w w. XVIII praca ta już się nieco posunęła naprzód. Porównując bowiem induktę dekretów z protokołami, widzimy, że tych ostatnich gdzieniegdzie zupełnie brakuje, — mimo że braku tego nie można przypisać żadnym wypadkom nadzwyczajnym, jak n. p. zniszczeniom wojennym lub pożarowym; innym razem znowu znajdujemy wprawdzie

protokoły, ale tak niedokładne w stosunku do indukty, częstokroć nawet nie zawierające wszystkich tych spraw, co ta ostatnia, że mimo woli nasuwa się pytanie, co też właściwie było podstawą indukty? Oczywista, że nie same protokoły. Obok nich lub zamiast nich wytworzył zwyczaj kancelaryjny cały szereg innego rodzaju ksiąg o rozmaitych nazwach, jak raptularze, manuały i sentencyonarze; wszystkie one zastępowały protokół, a więc i tu nie może być jeszcze mowy o przełomie systemu podwójnego; tylko że uważano je teraz w części za akta prywatne, które miały na celu ułatwić jedynie indukcyą, poczém traciły znaczenie aktu urzędowego. Stąd to pochodzi, że z reguły nie przechowywano ich w archiwach sądowych[1]).

3. *Ekstrakty.*

Zdarzyć się mogło częstokroć, iż strona potrzebowała odpisu z aktów sądowych. O wydanie takiego odpisu zgłosić się musiała do kancelaryi (requisitio), bo tylko wtedy miał on znaczenie dokumentu publicznego, jeżeli wyszedł pod jéj urzędową powagą. Odpis taki zwano e k s t r a k t e m (extractus). Nazwę tę odróżnić należy od wyrazu kopia (copia), który nigdy nie oznacza odpisu wydawanego z urzędu, a którego istotne znaczenie poznaliśmy już wyżéj.

Z reguły wszystko, cokolwiek zapisaném było w aktach, mogło być przedmiotem ekstraktu. Tylko te wpisy, które bądź to za mandatem królewskim, bądź też za wyrokiem sądu

---

[1]) Tom 1094 aktów grodz. przemyskich zawiera między innymi rodzaj raptularza. Na grzbiecie tego tomu napisano wprawdzie „regestra causarum," atoli tytuł ten, jak zresztą wiele innych przy ostatniém uporządkowaniu archiwum lwowskiego umieszczonych, jest błędnym. Właściwość urządzenia tego raptularza na tém polega, że dla każdéj kadencyi spisywano w porządku alfabetycznym wszelkie możliwe rodzaje wyroków, jakie mogą zapaść, jak contumatiae, condemnationes, deliberationes, dilationes, exemptiones, evasiones i t. p.; następnie zaś w miejscach wolnych, które pod każdém z takich słów zostawiano, zapisywano odnośne sprawy według tego, jak je osądzono.

uznano za nieistniejące, jak nie mniéj te, dla których w protokole brakowało podpisu strony, jeżeli ten podpis był koniecznym, nie mogły być wydawane w odpisach. Dla uwidocznienia téj przeszkody przekreślano taki akt, dodając na marginesie zapiskę: non extradatur, wraz z podaniem przyczyny.

Jeżeli strona nie mogła dokładnie wskazać księgi i miejsca, w których się znajdował akt żądany, następowało poszukiwanie (quaerenda) bądź to przez kancelaryą, bądź też przez stronę samę. Statut z r. 1511 zabronił kancelaryom brać jakiekolwiek opłaty od poszukiwań; wszakże w wieku XVIII, o ile się zdaje, przepis ten nie był już wykonywany. Świadczy o tém okoliczność, że częstokroć kwerendy dokonywały same strony, zapewne dla oszczędzenia wydatków. W Litwie zaś według konstytucyi z r. 1726 od samego otwarcia ksiąg, t. j. przypuszczenia do archiwum, należała się opłata. W Koronie przeciwnie zabronioném było kancelaryi wybierać jakiekolwiek należytości za dopuszczenie do aktów, mimo że nie obywało się przytém bez pewnego zużycia sił jéj urzędniczych, zawsze bowiem trzeba było mieć baczność nad poszukującymi, aby się nie dopuścili jakich nadużyć w aktach. Zresztą kwerenda wielce była utrudniona wskutek tego, że nie było żadnych regestrów do ksiąg, a spis tego rodzaju, jaki w XVII w. uczynił do ksiąg ziemskich krakowskich od r. 1397—1602 jeden z pisarzów grodzkich, był tylko czémś wyjątkowém.

Wskazany akt odpisywał z reguły palestrant, zwany ekstradentem. Nie była jednak wykluczoną także możność odpisywania przez strony. Tak przynajmniéj postanowiono ze względu na kancelaryą trybunału litewskiego w r. 1726, z tym jedynym wyjątkiem, że ekstrakty transakcyj koniecznie muszą być dokonane przez urzędników kancelaryjnych. Zresztą bez względu na osobę odpisującą należało zachować wszelkie ostrożności, ażeby ekstrakt zgadzał się z właściwym aktem. Z tego powodu musiał być po odpisaniu porównany przez lektantów z oryginałem, co nazywano lektą (lecta), a na-

stępnie przez urzędnika przysięgłego, w grodzie przez susceptanta, raz jeszcze przejrzany. To ponowne przejrzenie nazywało się korrektą (corrécta).

Pod względem formy zewnętrznéj pisano ekstrakty na osobnych arkuszach, od r. 1775 opatrzonych stemplami. Na czele extraktu umieszczano napis, z którego grodu wydany i pod jaką datą sam akt w księgach zapisany. Następował potém dosłowny odpis aktu. Ponieważ zaś od extraktów uiszczano opłatę według arkuszy, przeto prawa postanawiały kilkakrotnie, ażeby pismo było dość ścisłe (ale przytém i wyraźne). Posunięto się nawet tak dalece, że oznaczono ilość wierszy, jaka się ma mieścić na jednéj stronicy. Z wyjątkiem pierwszéj mianowicie i ostatniéj, których w téj mierze nie było można poddać ogólnemu przepisowi, wymagano na Litwie 30 wierszy na jednéj stronicy, w Koronie według konstytucyi z r. 1768, 24. Poprzednio wymagano tylko 20. Nadto margines nie mógł być szerszym nad dwa palce. Tak bez żadnych zresztą skrobań i poprawek odpisany ekstrakt podpisany być musiał przez lektanta i korrygenta, wreszcie opatrzony pieczęcią grodzką. Wybijano ją zazwyczaj na kawałku papieru, przymocowanym do ekstraktu za pomocą opłatka. Na Mazowszu używano w grodach pieczęci ziemskiéj; na Litwie, tam gdzie jurysdykcya starościńska przysługiwała wojewodzie, pieczęci tegoż ostatniego, zresztą zawsze starosty.

V.

Opłaty kancelaryjne.

Za czynności wykonywane przez kancelaryą należały się jéj z reguły pewne opłaty (salaria), zwane także dochodami kancelaryjnymi (iura cancellariae). Tylko czynności załatwiane wyłącznie w interesie urzędowym, jak sporządzanie taryf, albo publicznym, jak oblaty konstytucyj i t. p., wolne były od opłat kancelaryjnych. Podobnież nie uiszczano ich od wpisów dokonywanych w celu uzupełnienia lub zastąpienia pierwotnych aktów sądowych, zniszczonych wskutek wypadków elementarnych lub najazdu wojennego.

Wyciąganie wyższych opłat, niż je prawo przyznawało, zwało się depaktacyą albo ekstorsyą (depactatio, extorsio). Depaktacya w myśl konstytucyi z r. 1768 podlegała tym samym karom, co i fabrykacya, i tych samych dotyczyła osób: odpowiadali zatém regent kancelaryjny wraz z starostą (pisarzem na Mazowszu) przed trybunałem i ulegali w razie przekonania karze 1000 grzywien i 6 tygodni wieży.

Kwestya opłat kancelaryj grodzkich i ziemskich regulowaną była w ciągu wieku XVIII dwukrotnie: dla Litwy w r. 1726, dla Korony 1768. Ciekawém jest zestawienie obu taryf[1]):

Taryfa koronna z r. 1768.

Od wpisu kontraktu wieczystego o dobra nieruchome [rezygnacyi, donacyi, cessyi, transfuzyi] . złp. 2 gr. —
Od plenipotencyi. . „ 2 „ —

Taryfa litewska z r. 1726.

Od suscepty na rzecz podstarościego . . złp. — gr. 24
Od arkusza indukty[2])
a) pisarzowi . . . „ 1 „ —
b) regentowi . . . „ 1/2 „ —
Od lekty(?) [3]). . „ — „ 5

---

[1]) W zestawieniu tém nie zachowano porządku ani jednéj ani drugiéj taryfy. Chodziło bowiem — o ile to było możliwém — o ugrupowanie taks według związku, czego w nich nie ma. Z tego powodu pojedyncze pozycye taryf poprzestawiano. porozdzielano lub kilka ich pościągano w jednę, w miarę potrzeby. Stąd też niektórym pozycyom nadano nazwy ogólniejsze, ujmując w takim razie wyrazy taryfy w nawias kwadratowy. Cyfry ujęte w nawias zwykły nie znajdują się w taryfach, lecz uzupełnione zostały skądinąd, rozchodziło się bowiem nie tylko o zestawienie samo, ale i o możliwie najdokładniejsze podanie wysokości opłat, skądkolwiek zresztą wiadomość o nich zaczerpniętą została.

[2]) Taryfa powiada: „od każdego arkusza ekstraktu alias wpisu.“ Że słówko alias nie identyfikuje ekstraktu z wpisem. wynika już z samego znaczenia tego ostatniego wyrazu, jak nie mniéj z treści postanowienia bezpośrednio po powyższéj taksie następującego: „warując to, iż... wypisy i dokumenta do ksiąg i z ksiąg saméj stronie przepisywać... wolno będzie.“

[3]) Tak próbuję wytłómaczyć trudną zresztą inaczéj do zrozumienia pozycyą: „od sztuki kopii po gr. 5 oddawający i odbierający.“ Na lektę przypada tylko opłata oddającego; to, co płacił odbierający, było poniekąd wynagrodzeniem za ujęcie ułatwienia przy indukcyi przez odbiór kopii.

Taryfa koronna z r. 1768.		Taryfa litewska z r. 1726.	
Od jakiegokolwiek innego kontraktu, choćby nawet o dobra nieruchome [zapisów (t. j. kontraktu zastawnego, obligatio) dożywocia, kwitów]	złp. 1 gr. —	Od suscepty na rzecz podstarościego Od arkusza indukty a) pisarzowi b) regentowi Od lekty (?)	złp.—gr. 24 „ 1 „ — „ ½ „ — „ — „ 5
Od roboracyi jakiegokolwiek kontraktu lub skryptu	„ 1 „ —		
Od manifestu, obdukcyi, prezenty	„ 1 „ —		
Od wpisu zeznania woźnego:			
a) o areszcie i wizyi	„ 1 „ —		
b) o wwiązaniu	„ 1 „ —	podstarościemu	„ — „ 24
c) relacya pozwu	„ — „ 20		„ — „ 24
Od ekstraktu, za arkusz	„ (1) „ —	pisarzowi regentowi	„ 1 „ — „ ½ „ —
Od pieczęci na ekstrakt lub pozew	„ — „ 6	podstarościemu	„ — „ 15
Od wpisu sprawy (do regestru)	?		szóstak 1
Od podpisu pozwu	?		złp.—gr. 7½
Od prezenty pieniędzy	„ 2 „ —		nic
Od prezen. bydła, koni	„ 2 „ —		?
Od przeliczenia sumy (od tysiąca)	„ — „ 3		nic
Od przedłożenia [komportacyi] dokumentów w procesie	?		nic
Od przyznania zapisów, testamentów	?		nic
Od otwarcia ksiąg	(nic)		złp.—gr. 15

Już pobieżne porównanie obu taryf przekonuje nas o wielkiéj różnorodności zasad, których się trzymano przy ich układzie. Uwaga ta dotyczy przedewszystkiém kwestyi wysokości opłat. Ponieważ opłaty kancelaryjne nie były wprowadzone w celach publicznych, jak n. p. stempel, lecz — z nielicznymi wyjątkami — szły na wyłączny użytek urzędników kancelaryjnych, przeto należało je uważać jako wynagrodzenie za ich pracę i w stosunku do ilości téj pracy normować też wysokość opłaty. Stąd sama przez się wynikała zasada, że sporządzenie aktu — niezależnie od jego treści — honorować należało opłatą wyższą, jeźli był dłuższy, i na odwrót. Zasady téj trzymano się ściśle przy wydawaniu ekstraktów, stanowiąc opłaty wedle ilości arkuszy, które zajmowały. I niewątpliwie słusznie. Ale z błędnego wyszła stanowiska taryfa litewska, regulując na téj saméj zasadzie także i opłaty od wpisów. Przy panującym systemie podwójnym naturalną było rzeczą, że strona, jawiąc się osobiście przy wpisie do protokołu, wtedy także powinna była składać opłatę. Zachodzi tedy pytanie, jakim sposobem można już było wtedy obliczyć, ile zajmie miejsca akt wpisany w induktę. Przyjmując zasadę powyższą, należało się chyba wstrzymać z opłatą aż do wpisu w induktę; ale stąd wynikały niedogodności: albo dla strony, któraby dłużéj musiała czekać w rezydencyi grodu, albo dla kancelaryi, która w razie oddalenia się zeznającego nie zawsze mogła liczyć na otrzymanie należnego sobie salaryum, tém bardziéj, że żadna ustawa nie orzekała nieważności wpisu, za któryby nie uiszczono opłaty kancelaryjnéj. Ze względu na wpisy nie pozostawało więc nic innego, jak tylko porzucić tę zasadę, logicznie niewątpliwie najsłuszniejszą, ale faktycznie niedogodną, i obejrzeć się za inną. Tu nasuwała się dwojaka możliwość: można było za każdy wpis ustanowić opłatę stałą bez względu na jego treść i rozciągłość, jak to uczyniła konstytucya z r. 1588, albo też — co już było właściwszém — pomijając rozciągłość, taksować wpisy przynajmniéj według treści: na tém stanowisku stoi taryfa koronna z r. 1768. Dla czego na Litwie,

z nielicznymi tylko wyjątkami, zarzucono to stanowisko, rozstrzygnąć tém trudniéj, że już statut litewski (R. IV. art. 6) zupełnie co do zasady zgadzał się z systemem przeprowadzonym ostatecznie w Koronie.

Ważną do rozstrzygnięcia przedstawiała się następnie kwestya, czy wobec faktu, że każdy wpis wywoływał kilkoraką czynność kancelaryi, należało każdy jéj kierunek honorować osobno, czy téż za całe dokonanie wpisu płacić kwotę ryczałtową. Wiemy przecież, że osobną miał czynność susceptant, pisząc w protokole, osobną lektant, porównując kopią z oryginałami, osobną inducent, wciągając akt na podstawie protokołu i kopii do indukty. Pod tym względem taryfa litewska zasadniczo różni się od koronnéj, ta ostatnia bowiem oznacza opłatę ryczałtową, gdy przeciwnie pierwsza każdą z tych czynności wynagradza osobno. Być może, że różnica ta w ścisłym zostaje związku z kwestyą rozdziału zapłaty między susceptanta i palestrantów (co do tych ostatnich przynajmniéj w jakiejś części stosunkowéj), i jeśli przypuszczenie to jest prawdziwém, to wynika stąd, że na Litwie każdy z zajętych przy akcie urzędników otrzymywał od zwierzchnika kancelaryjnego pewne wynagrodzenie za swą czynność; co do Korony przeciwnie wiemy z pewnością, że opłaty szły tylko na rzecz urzędników wyższych, z jedynym wyjątkiem ekstradentów, którzy za ekstrakty ściągali opłaty dla siebie, i to znowu z pominięciem innych przy ekstrakcie zajętych palestrantów, n. p. lektantów. Stosunek ten niesprawiedliwy przetrwał aż do r. 1783, jak świadczy memoryał przedłożony Radzie Nieustającéj przez jednego z pisarzów grodzkich, który wykazał jego niedogodności. Zmianę zarządziła dopiero rezolucya Rady na tenże memoryał, nakazując pisarzom rozdzielać opłatę między wszystkich przy akcie zajętych palestrantów.

Widoczna daléj niezgodność obu taryf w kwestyi, które czynności podlegają opłacie, a które są od niéj wolne. Tak wymaga taryfa litewska opłaty za dopuszczenie do poszukiwania w archiwum, podczas gdy w Koronie czynności te wykonywano bezpłatnie; i znowu przeciwnie taryfa z r. 1768

stanowi dość wysoką taksę za samę prezentę pieniędzy, domagając się jeszcze opłaty od ich przeliczenia, gdy przeciwnie dla Litwy wyraźnie zastrzeżono, że żadnego za to nie należy brać wynagrodzenia. Wreszcie brak pewnego stałego stosunku obu taryf co do wysokości opłat: gdy bowiem na Litwie od wpisu intromissyi żądano 24 gr., a w Koronie 1 złp., to przeciwnie od relacyi pozwu opłata koronna (20 gr.) mniejszą była od litewskiéj (24 gr.).

Daleko zresztą obu taryfom do wyczerpującéj dokładności. Już samo porównanie niektórych pozycyj, zwłąszcza zaś umieszczone w powyższém zestawieniu pytajniki, dowodnie nas o tém przekonują. Nie mówię już o brakach wspólnych zarówno jednéj i drugiéj. Luki zapełniać musiały albo dawniejsze postanowienia, częstokroć już, ze względu zwłaszcza na zmienioną wartość pieniądza, przestarzałe, albo zwyczaj kancelaryjny, który kształtując się w różnych stronach Polski rozmaicie, stawał się źródłem szkodliwéj niejednostajności.

VI.

Poszczególne rodzaje aktów grodzkich.

Już poprzednio, mówiąc o czynnościach kancelaryi, mieliśmy sposobność wspomnieć wielokrotnie o poszczególnych rodzajach aktów grodzkich. Tutaj dla związku powtórzyć więc musimy niektóre znane szczegóły, dodając dla uzupełnienia to, o czém jeszcze poprzednio nie wspomniano.

O ścisłéj jednostajności w urządzeniu i rozgatunkowaniu aktów grodzkich na poszczególne rodzaje mówić niepodobna; dopiero w ostatnich czasach Rzpltéj urządzano tę sprawę rozporządzeniami ustawniczemi, a i tych, jak świadczy Ostrowski, nie trzymano się dokładnie[1]). Rozstrzygającym dawniéj wyłącznie, późniéj zaś głównie pozostał zwyczaj kancelaryjny, który w szczegółach tworzył rozliczne odcienia partykularne; mimo to jednak przyznać trzeba, że ogólnie

[1]) Prawo cyw. narodu pol. II, 86.

rzecz biorąc, istniała w całéj Polsce pewna zgodność co do rozdziału aktów na poszczególne grupy.

Ogół pism załatwianych i najczęściéj przechowywanych przez kancelaryą grodzką zwano aktami grodzkimi starościńskimi (acta castrensia capitanealia). Dzielą się one na dwie kategorye: jedna obejmuje pisma, które każdocześnie służyć mogły do użytku publicznego, dostarczając świadectwa o istnieniu jakiegoś stosunku prawnego: są to akta właściwe, czyli, jak je zwano współcześnie, publiczne (acta publica); do drugiéj należą te pisma, które kancelarya układała jedynie w celu ułatwienia manipulacyi wewnętrznéj; te nazwiemy aktami pomocniczymi.

A. Do kategoryi aktów publicznych należały zarówno akta wpisów, jak i te, które kancelarya spisywała w charakterze pomocniczym urzędu i sądu grodzkiego.

I. Akta wpisów według treści rozpadają się na dwa główne działy: acta inscriptionum i acta relationum. Dawniéj zapisywano je bez różnicy w jednéj księdze; rozdział dokonał się dopiero w w. XVI, i przetrwał odtąd bez zmiany aż do ostatnich czasów.

1) Libri inscriptionum, zwane także recognitionum, donationum albo resignationum, zawierały w sobie wpisy wszelkich transakcyj, czy to wieczystych, czy też czasowych, odnoszących się do posiadłości gruntowych. Konieczność utrzymania dokładnego przeglądu stanu majątkowego tych dóbr wpłynęła na wydzielenie tego rodzaju pism z pośród wszystkich innych aktów wpisów.

2) Libri relationum, zwane też niewłaściwie libri oblatarum, zawierają wszelkie inne rodzaje wpisów bez względu na treść i formę. Obfitość materyału, jaki się w nich mieścił, wpływała na to, że w niektórych grodach tworzono w nich osobne poddziały. I tak:

a) Libri genealogiarum (Gniezno)[1]) przeznaczone jedynie do umieszczania rodowodów.

---

[1]) Nazwy, ujęte w nawias, oznaczają gród, w którym odnośny rodzaj aktów się znajduje.

b) Libri oblatarum (Warszawa, Wschowa, Żydaczów), w które wpisywano akta podane w formie oblaty.

c) Libri manifestationum (Żydaczów), obejmujące manifesty i protesty.

d) Oba ostatnie rodzaje aktów łączono czasem razem w libri oblatarum et manifestationum (Poznań).

e) Libri relationum positarum citationum (Kraków) przeznaczone do przyjmowania relacyj woźnych o doręczonych pozwach.

Wszystkie dotychczas wymienione akta wpisów posiadały, jak wiemy, protokoły i induktę, lub zastępujące ją kopie. A więc rozróżniamy: prothocolla inscriptionum, inducta inscriptionum, copiae inscriptionum, prothocolla relationum, inducta relationum, copiae relationum, i t. d. Wspomnieliśmy jednak już poprzednio, że system podwójny doznał uszczerbku przez to, że tworzono pewne rodzaje protokołów, z których nie wpisywano do aktów indukty.

a) Tak już w w. XVII. wyłączono z ksiąg relationum wpisy pełnomocnictw, tworząc dla nich osobny Protokół pełnomocnictw (prothocollon plenipotentiarum).

Za tym przykładem poczęły się w w. XVIII. w poszczególnych grodach pojawiać sporadycznie inne protokoły samoistne, wydzielone z ogólnego protokołu relationum, bez odpowiedniéj dla siebie indukty. Tutaj należą:

b) Prothocolla obductarum (Sącz), do których wciągano zeznania o prezencie pieniędzy lub bydła, o oględzinach ran i t. p.

c) Prothocolla iuramentorum (Przemyśl) przeznaczone do wpisywania przysiąg o prawdziwości zeznań podatkowych.

Znaczne zmiany w urządzeniu ksiąg wpisów wprowadzać poczęło ustawodawstwo sejmowe w ostatniéj ćwierci wieku XVIII. Tak w r. 1775 postanowiono, ażeby każdy gród uformował osobny protokół długów, do którego wpisywać należało długi, zaciągnięte w obrębie własnego powiatu w formie zeznania, gdziekolwiek zaś indziéj w państwie w formie oblaty.

Jeszcze daléj posunęła się ordynacya stemplowa z r. 1776 Urządzenie protokołów relacyj pozostawiła wprawdzie bez zmiany; natomiast w miejsce dawnego protokołu inskrypcyj wprowadziła trzy nowe rodzaje protokołów.

a) Pierwszy, na papierze stemplowym, obejmować miał zapisy (t. j. kontrakty zastawne, obligationes) i t. z. kwity de pretio bonorum.

Oba inne, bez stempla, w ten sposób między sobą miały się podzielić wpisami, że:

b) do jednego, zwanego protokołem transakcyj długów, wciągać należało wszelkie pożyczki na dobra nieruchome, a prócz tego wpisywać w treści zapisy z protokołu pierwszego (a);

c) drugi, zwany protokołem transakcyj wieczystych, obejmować miał wpisy kontraktów wieczystych zawartych o dobra nieruchome; tu znowu wpisywać należało w treści kwity de pretio bonorum z protokołu pierwszego.

II. Do właściwych aktów sądowych należą przedewszystkiém:

1) Akta inkwizycyjne (acta, rotuli inquisitionum). Każdy taki akt z dwu składa się części: pierwszą stanowi t. z. kwestyonaryusz (quaestionarius), tj. zbiór pytań zadać się mających stronie; drugą spisanie właściwego przebiegu inkwizycyi.

2) Regestry spraw (regestra causarum). Zachodziła co do nich wątpliwość, czy je zaliczyć w poczet aktów publicznych, czyli tylko pomocniczych. Kwestyą tę rozstrzygnęła rezolucya Rady Nieustającéj r. 1779, przyznając im charakter aktów publicznych. Regestry, w szczególności zaś rozdział spraw pomiędzy poszczególne ich rodzaje, były w ostatnich zwłaszcza czasach przedmiotem szczególniejszéj opieki prawa. Od dawna wprawdzie określono już regestry trybunalskie; na uregulowanie grodzkich i ziemskich zwrócono uwagę dopiero po śmierci Augusta III. Poprzednio o ilości i rodzaju ich stanowił zwyczaj dość niejednostajny.

W Koronie przed rokiem 1768 istniały trzy rodzaje regestrów grodzkich:

a) Regestry spraw aresztowanych (regestra causarum arestatarum, regestra ex aresto). Chcąc zrozumieć znaczenie ich, musimy przypomnieć zasadę procesową prawa polskiego, że jeśli pozwany skazany zaocznie uczynił zadość wyrokowi kontumacyjnemu, przysługiwało mu, jeśli się czuł pokrzywdzonym, prawo wznowienia sprawy przed sądem, który nań wyrok wydał. Takie wznowienie zwano aresztowaniem kondemnaty. Do regestru tedy, o którym mówimy, należało wpisywać tego rodzaju sprawy.

b) Regestra poenalium (sc. causarum) w sprawach o grzywny i opłaty do skrzynki sądowéj.

c) Regestry proste (regestra simplicia), do których wpisywano w ogóle sprawy nieobjęte obu poprzednimi rodzajami regestrów.

Urządzenie i rodzaje regestrów (grodzkich i ziemskich) zmienione zostały stanowczo dla Litwy konstytucyami z roku 1764 i 1766, dla Korony głównie ustawą z roku 1768, do którój późniéj dodano jeszcze uzupełnienia. Ponieważ w obu prowincyach wprowadzono odmienne rodzaje regestrów, przeto o każdéj z nich z osobna mówić będziemy.

Konstytucya z r. 1768 zaprowadziła w Koronie następujące regestry:

a) Regestry remissyjne (regestra ex remissione), w których zapisywano sprawy odesłane z trybunału do rozstrzygnięcia na sądach grodzkich (lub ziemskich).

b) Regestry ordynaryjne, albo spraw cywilnych, czyli, jak się ustawa wyraża, ziemiańskich, wpisanych nie na mocy beneficium aresti.

c) Regestry taktowe (regestra terminorum tactorum) obejmować miały sprawy o gwałty pod bokiem sądu popełnione.

d) Regestra poenalium, jak wyżéj.

e) Taż ustawa, mówiąc z innéj okoliczności o stosunkach dyssydentów, przepisała dla ziemstw i grodów regestry spraw dyssydenckich (regestra causarum et iniuria-

rum pacem et tranquillitatem dissidentibus cautam laedentium), i to mianowicie dwa: jeden dla spraw dawniejszych, począwszy od roku normalnego 1717 aż do chwili wydania ustawy, drugi dla spraw zaszłych po r. 1768. Zwano te regestry także regestra mixti (sc. fori).

f) Konstytucya z r. 1784 wprowadziła jeszcze osobny regestr egzekucyjny (regestrum executionum processus), mający obejmować sprawy o egzekucyą[1]).

Na zupełnie odmiennéj zasadzie rozdzielono na Litwie sprawy pomiędzy poszczególne rodzaje regestrów. Konstytucya z r. 1764 wprowadziła ich dwa, a mianowicie:

a) Regestry ordynaryjne w sprawach cywilnych.

b) Regestry ordynaryjne spraw uczynkowych incarceratorum.

Do tych dwóch dawniejszych dodała konstytucya z r. 1766 dwa nowe, a mianowicie:

c) Regestry procesów sumarycznych (regestra summarii processus). Wpisywać tu należało sprawy, przy których się trzymano postępowania skróconego, jak: o

---

1) Ostrowski. Prawo cyw. narodu pol. II, 87 twierdzi, że ustawa wekslowa z r. 1775 wprowadziła jeszcze w grodach i ziemstwach osobny regestr spraw wekslowych. Z ustępu, na który się powołuje, bynajmniéj tego wywnioskować nie można. Brzmi on:... „komisya skarbowa sprawy wekslowe z regestru osobliwego... ekspedyować ma. Z tego regestru żadne inne sprawy sądzić się nie mają, ani żadn inne pod proces wekslowy podciągane być nie mogą tylko te, które directe o zapłacenie sumy, do wekslu winnéj... przychodzą, albo, kiedy się dłużnik obowiąże pod rygorem prawa wekslowego. Podobnież i sądy pierwszéj instancyi żadnych innych spraw pod prawo i proces wekslowy pociągać nie powinny. (V. L. VII. 198). Słówko „podobnież" odnosi się oczywiście nie do regestrów, lecz do zakazu stosowania materyalnego i formalnego prawa wekslowego w sprawach niewekslowych. — Lepiéj zrozumiał tę konstytucyą Skrzetuski, Prawo polit. narodu pol. II, 409, gdzie wyliczając regestra grodzkie, o wekslowym wcale nie wspomina.

wybicie z posiadania, o wykupno dóbr zastawnych, o zbiegłych poddanych.

d) Regestry spraw skarbowych (regestra fisci) przekazanych sądom grodzkim, tj. o miary, wagi i niezaprzysiężone dziesięciny.

e) Rezolucya Rady Nieustającéj z r. 1777 wprowadziła regestry spraw dyssydenckich (regestra mixti).

f) Regestry taktowe (regestra terminorum tactorum). Według rezolucyi Rady Nieustającéj z r. 1785 wpisywano do tych regestrów jedynie sprawy taktowe, odesłane z trybunału przed sądy grodzkie.

3) Księgi dekretów albo dekretarze (libri decretorum) składały się, podobnie jak akta wpisów, z protokołu i indukty. W wieku XVIII. zapisywano z reguły wszystkie dekrety, bez różnicy, na jakich je rokach wydawano, do wspólnéj księgi; mimo to jednak pojawiają się niekiedy:

a) osobne księgi dla dekretów starościńskich wydawanych na t. z. rokach grodzkich (libri iudiciales);

b) osobne dla dekretów na rokach skargowych (libri querelarum, officiales);

c) osobne wreszcie dla wyroków taktowych (libri decretorum in terminis tactis prolatorum).

Niemniéj też i sama treść wyroków nie wpływała na rozmieszczenie ich w poszczególnych rodzajach ksiąg, a jednak znajdujemy także osobne księgi kondemnat (libri condemnationum; Trembowla), w których wpisywano jedynie kondemnaty, nie zaś innéj treści wyroki.

W miejsce protokołów dekretów, jak wiemy, wprowadzać zaczęto inne rodzaje ksiąg, o których wspomnieliśmy powyżéj. Należą tu:

a) Raptularze (raptularia) i b) Manuały (manualia). Zawierały pierwszy rzut treści dekretów, z którego tworzono późniéj induktę.

c) Sentencyonarze (sententionaria). Wpisywano do nich zdania sędziów.

Osobnym rodzajem ksiąg dekretów były t. z. R e g e s t r y z ł o d z i e j ó w (regestra furum), w których zapisywano przebieg procesu i wyroki wydane przeciw złodziejom, najczęściéj zaś ich zeznania czynione na torturach, czyli t. z. t e s t a m e n t y (testamenta). Podobny rodzaj aktów pod nazwą K s i ę g i c z a r n é j przepisuje dla grodów litewskich statut litewski (R. XIV art. 12). Regestra takie dochowały się jednak tylko z wieku XVI i XVII (Sanok); czy były utrzymywane także w wieku XVIII, nie wiadomo.

B. Rzecz o k s i ę g a c h p o m o c n i c z y c h nie da się wyczerpnąć dokładnie. Dla małéj ich wagi ledwo gdzie wspomniano o nich w konstytucyach, pozostawiając całą sprawę woli kancelaryi, która ją urządzała według własnego uznania. Zresztą książki te wyjątkowo tylko przechowywano w archiwum, przez co usuwa się najgłówniejsza podstawa do wszelakich spostrzeżeń. W archiwum lwowskiém znajdują się następujące rodzaje tych aktów:

1. S e r y a r z e (seriaria), zwane także s u m a r y u s z a m i. Są to spisy poszczególnych wpisów według ich tytułów w indukcie przywiedzionych. Nie zdarzyło nam się spotkać seryarza do ksiąg inskrypcyj, natomiast widzieliśmy seryarze do ksiąg relacyj (seriaria relationum), albo do kopii w ogóle (seriaria copiarum), albo w szczególności do kopii pozwów (seriaria querelarum).

2. F e r y a r z e (feriaria). Wpisywali w nie ekstradenci tytuł wydanego ekstraktu, obok niego swe imię, jak niemniéj i uwagę o pokwitowaniu należytości kancelaryjnéj.

3. S y g i l l a r z e (sigillaria). Urządzone zupełnie na wzór feryarzów, obejmowały zapiski o uiszczeniu opłat od pieczęci.

VII.

Przechowywanie aktów. Archiwa.

Jeszcze w wieku XV, w którym, jak wiemy, nie istniała zasada wieczności grodów, uważano akta grodzkie za prywatną własność starosty, którą mógł dowolnie rozporządzać i która

w spadku przechodziła na jego rodzinę. Ponieważ jednak akta te, mimo że nie miały trwałéj mocy dowodowéj, przecież nie były bez zupełnego znaczenia dla ogółu, przeto stosunek taki wielce był niedogodnym dla stron interesowanych, przedewszystkiém dla tego, że przystęp do aktów wielkie nastręczał trudności, powtóre stąd, że w opłatach za wyciągi zdane były zupełnie na dyskrecyą właścicieli prywatnych. Już więc w końcu wieku XV przed uznaniem jeszcze zasady wieczności grodów zastrzeżono postanowieniami statutów, że akta grodzkie są własnością publiczną, że zatém starosta nie może nimi rozrządzać dowolnie, i że ze śmiercią jego pozostawać mają nadal w grodzie, nie zaś przechodzić na prywatną własność.

Odtąd téż, głównie zaś od czasu wprowadzenia wieczności grodów, przechowywanie i straż, (reservatio et conservatio) aktów grodzkich, podobnie jak już od dawna ziemskich, gorliwéj były poruczone pieczołowitości naprzód wszystkich członków sądu, późniéj zaś naczelników kancelaryi. Rozumie się jednak, że obowiązek ten odnosił się tylko do aktów właściwych, t. j. takich, które każdocześnie miały znaczenie dokumentu publicznego, nie zaś do aktów pomocniczych. Ta okoliczność tłómaczy nam, dla czego ilość tych ostatnich w archiwach naszych jest tak małą i przypadkową tylko.

Jako właściwy sposób konserwacyi aktów uznano już wcześnie konieczność oprawiania ich w księgi. Z tych jedne oprawiano jeszcze przed użyciem, jak regestry i akta pomocnicze, inne dopiero po zapisaniu zeszytów, jak prawie wszystkie inne rodzaje aktów publicznych. Z reguły postępowano w ten sposób, że zeszyty każdego rodzaju aktów z jednego roku oprawiano w osobne tomy, co zresztą nie wykluczało możliwości, że jeśli liczba ich była nie wielką, oprawiano je razem z lat kilku, jeśli zaś nader wielką, rozdzielano je na kilka tomów.

Oprawiając induktę, nie wszywano do niéj kopij chociażby niewciągniętych, natomiast z reguły w wieku XVIII oryginały wszelkich dokumentów publicznych drukowanych. Dziś też przeglądając induktę relationum, natrafiamy wielo-

krotnie na wszyty jakiś dokument publiczny, czasem bardzo rzadki, czasem nawet nieznany. Jeżeli akt podany do oblaty zajmował zanadto wielką objętość, oprawiano go w osobny tom. Tak spotykamy w archiwach osobne tomy lustracyj, taryf podatkowych i t. p.

Odkąd rozszerzył się zwyczaj dokonywania wpisów przez podawanie kopij, których oczywista nie podobna było oprawiać, bo pisano je na papierze rozmaitego formatu, okazała się potrzeba układania ich w osobne zbiory nieoprawione, które w ciągu niniejszej pracy zwaliliśmy plikami lub fascykułami. W takie fascykuły układano także akta inkwizycyjne.

Miejsce przeznaczone do składu zapisanych aktów grodzkich nazywało się archiwum (archivum). Nie same jednak tylko przechowywano w niém akta własnego grodu; jeżeli w starostwie znajdowała się podległa mu susepta, przewożono z niéj zazwyczaj po skończeniu roku akta do przechowywania w główném archiwum. Nadto umieszczano w niém z reguły miejscowe akta innych sądów niższéj instancyi, bądź to zwyczajnych, bądź też nadzwyczajnych. Dotyczy to w szczególności aktów ziemskich; prócz tego przechowywano w nich — zwyczaj jednak pod tym względem był niejednostajny — akta innych sądów, jako to zwyczajnych: podkomorskich, podwojewodzińskich, i nadzwyczajnych, jak: sądów kapturowych, komisarskich i t. p.

Rozumie się, że archiwum znajdowało się najczęściéj w samym grodzie na zamku starościńskim. Czasem jednak rozkład budynku nie był tego rodzaju, iżby się w nim dało pomieścić. Nie pozostawało wtedy nic innego, jak szukać dlań pomieszczenia gdzieindziéj w miejscu. Udzielały mu go czasem kościoły lub klasztory. Jeżeli i w tym kierunku nie udało się nic uzyskać, trzeba było stawiać osobne budynki archiwalne. Budowę zarządzało osobne laudum wojewódzkie, a potwierdzała najczęściéj uchwała sejmowa. Że zaś w utrzymaniu archiwów główny miała interes szlachta odnośnego po-

wiatu lub téż województwa, przeto też do niéj należał z reguły obowiązek pokrywania kosztów budowy. Lauda stanowiły w takim razie osobny, zresztą zazwyczaj drobny podatek. Zdarzały sie wypadki, że nawet ze skarbu publicznego udzielano w tym celu pewnéj zapomogi. Starosta miał z reguły odstąpić bezpłatnie potrzebne miejsce pod budowlę. Zresztą spotykamy już i dawniéj wypadki, że wyjątkowo wkładano też na niego obowiązek ponoszenia wszystkich kosztów budowy, aż ustawa z r. 1768 wyjątek ten uogólniła, zagrażając opieszałym karą odsądzenia od starostwa. O prawdopodobnéj zmianie tego obowiązku z reformą emfiteutyczną starostw była już poprzednio mowa. Budynki archiwalne wolne były, jak w ogóle budynki publiczne, od podatku.

Dozór nad archiwum zlecony był naczelnikom kancelaryi, a więc dawniéj pisarzowi, późniéj regentowi. Za brak nadzoru w myśl konstytucyi z r. 1613 pociągniętym mógł on być przez kogokolwiek do odpowiedzialności przed trybunałem. Nie ulega wątpliwości, że i sam starosta odpowiadał w tym razie, jak to wynika z postanowienia konstytucyi z r. 1661 o „generalnéj rewizyi ksiąg sądowych.“ W czynnościach nadzorczych nad archiwum wyręczali się zresztą starostowie i regenci urzędnikami podrzędnymi z pośród palestrantów, którym powierzali nawet klucz od archiwum, skąd też powstała nazwa klawierów. Główném ich zadaniem było nadzorować strony korzystające z archiwum.

Mimo głębokiego jednakże przekonania, jakie w społeczeństwie naszém panowało o ważności aktów, mimo przepisów o odpowiedzialności, jakie stanowiono za brak dozoru, nie należy sądzić, jakoby zarząd archiwalny był u nas sprężysty i odpowiadał w zupełności swemu zadaniu. Przeciwnie, spotykamy częste skargi na opieszałość pisarzów, dowiadujemy się, że aktów nie porządkują, że ich w swoim czasie oprawiać nie każą. Wyjątkowo zresztą tylko sporządzano sumaryusze archiwalne, tak, że w razie zatracenia się aktów nie było nawet podstawy, aby winnego pociągnąć do odpowie-

dzialności, brak tém dotkliwiéj czuć się dający, że właśnie ta opieszałość w niemałéj części przyczyniła się do zatraty aktów[1].

Nie była to jednak przyczyna wyłączna zniszczenia wielu ksiąg sądowych. Działały w tym kierunku inne jeszcze okoliczności. Tak przedewszystkiém niewłaściwe pomieszczenie archiwów. Gdziekolwiek je zakładano, w zamkach czy klasztorach, przeznaczano dla nich zazwyczaj miejsca najgorsze, ciemnice wilgotne, ledwo że nie piwnice czasem. A i tam, gdzie budowano osobne budynki na archiwa, nie były to budowle ani trwałe, ani też ochronne od wpływów atmosferycznych, zapewne często z drzewa tylko, skoro dopiero w r. 1764 konstytucye litewskie zarządziły, że archiwa powinny być murowane[2]. Tak więc akta sądowe, pisane zresztą na nietrwałym papierze, nie przewietrzane, wystawione na zmienne wpływy powietrza, przedewszystkiém zaś wilgoci, od kilku leżące wieków, butwiały lub wypełzały. To znowu ulegały zniszczeniu wskutek pożarów, a nie były to wypadki rzadkie, bo budynki archiwalne, jak widzieliśmy, częstokroć były drewniane. Najwięcéj wreszcie cierpiały podczas napadów nieprzyjacielskich; znaną jest rzeczą, że Szwedzi podczas najazdów swoich używali aktów sądowych za podściółki pod konie.

Rzecz prosta, że wobec tak licznych żywiołów, sprzysięgłych na zatratę aktów, pojawiać się musiały dążności usunięcia ich wpływów. A więc jeśli akta pełzły lub butwiały, należało je wczas jeszcze przepisać; jeśli je zniszczył ogień lub nieprzyjaciel, albo pisarz złą poroztrząsał gospodarką, trzeba było pozbierać resztki, o ile pozostały, trzeba było uporządkować to, co się znajdowało w nieporządku. Czynności tego rodzaju nie było można poruczać ludziom prywatnym, ani nawet pojedyńczym urzędnikom, bo jeśli kiedy, to wtenczas przedewszystkiém nadarzała się sposobność największych a bezkarnych nadużyć przez podsunięcie aktów sfałszowanych a usunięcie niedogodnych. Zadanie uporządkowa-

---

[1]) Por. Maciejowski Hist. praw. słow. V. 614.

[2]) Staszyc, Uwagi nad życiem Zamoyskiego, wyd. Turow. 58 dobitnie przedstawia opłakany stan budynków archiwalnych.

nia, czyli, jak się współcześnie wyrażano, rewizyi aktów (revisio actorum), poruczano zatém z reguły bądź to całym sądom, bądź też osobnym komisyom, wyznaczonym przez sejmiki lub sejmy. W skład tych komisyj wchodzili najczęściéj naczelnicy odnośnych kancelaryj, czasem nawet inni jéj członkowie, nadto ludzie zażywający powagi w swoim powiecie lub województwie, zwykle urzędnicy ziemscy. Koszta rewizyi ponosiło województwo, stanowiąc na się osobne w tym celu podatki. Gdy jednak nagroda dla komisarzów była zazwyczaj szczupła, komisye te wobec upadającego u nas poczucia obowiązków publicznych często nie dochodziły do skutku. Tak n. p. ustanowiona jeszcze z końcem wieku XVI. komisya do rewizyi ksiąg łuckich, mimo ponownych zarządzeń sejmów w latach 1601, 1609 i 1616, nie wywiązała się z swego zadania, tak, że w r. 1631 potrzeba ją było złożyć na nowo, a i tu jeszcze sprawdzićby należało, czy w istocie zadaniu swemu uczyniła zadość. Podobnież rzecz miała się z księgami wyszogrodzkiemi, dla których ustanowiono komisyą jeszcze r. 1678, a przypomniano sobie o potrzebie ponownego jéj złożenia dopiero 1766 r. W r. 1598 zarządzono przepisanie ksiąg ziemskich bełskich, co jednakowoż wcale nie nastąpiło.

Komisya przeznaczona do przepisania ksiąg baczną miała zwracać uwagę, ażeby przy téj sposobności nie zaszły jakiekolwiek nadużycia. Z tego powodu zastrzegano czasami, że w razie pojawienia się jakich wtrętów w księgach zrewidowanych, sejmowi lub królowi przysługiwać ma prawo kazać je wymazać. Zazwyczaj stanowiono, że po dokonanéj rewizyi spisany ma być sumaryusz do ksiąg zrewidowanych, opatrzony podpisami członków komisyi i wraz z samemi księgami odpisanemi podany do oblaty w odnośnym grodzie lub ziemstwie. Dla usunięcia zawikłań postanawiano czasem, jak województwo podolskie r. 1775, iż księgi oryginalne, które przepisano, tracą wagę dokumentów publicznych, a uzyskują ją dokonane i uwierzytelnione przez komisyą odpisy.

Odmienny nieco sposób postępowania przestrzegany był w tym razie, jeżeli akta zostały zniszczone przez pożar lub

przez nieprzyjaciela. Najdokładniéj opisano go w konstytucyi z r. 1766 z okoliczności zgorzenia ksiąg rawskich; że to jednak nie był tylko przepis wyjątkowy, świadczy okoliczność, że go późniéj zastosowano przy zgorzeniu ksiąg pyzdrskich, i zgodność jego w główniejszych punktach z dawniejszemi konstytucyami w téj saméj sprawie wydanemi w latach 1654 i 1658. Według tego przepisu obowiązani byli interesowani wszystkie swe dokumenty oryginalne lub ekstrakty, przemawiające za istnieniem jakiegoś prawa, najdaléj w przeciągu roku od wydania konstytucyi przedłożyć pod rygorem nieważności na jakiejkolwiek kadencyi sądu ziemskiego lub grodzkiego. Dokument przedłożony sąd miał przejrzeć dokładnie, badając lektę, korrektę i pieczęć, a jeśli go uznał za autentyczny, miał go własnoręcznie podpisać i kancelaryi do oblaty podać, przyczém za oblatę w tym razie nic się nie należało. Dla uniknięcia ogromu pracy, dokumentów tych nie przepisywano osobno w księgi, lecz tworzono takowe z przedłożonych sobie aktów. Należało je układać systematycznie według nazwy posiadłości, do których się odnoszą, lub imion osób, którym służą, następnie zaś chronologicznie według dat, pod któremi wydane zostały. Jeśliby dokument jaki wielce był zdarty albo zbutwiały, należało go odpisać i wierność kopii z oryginałem w tenże sam, jak powyżéj, sposób potwierdzić. Dla utrzymania dowodów szlachectwa obowiązany był każdy interesowany przedłożyć sądowi do wpisu genealogią swą począwszy od dziada, popartą dokumentami autentycznymi, lub jeśli mu te zaginęły, świadectwem krewnych, a wpis taki, jeśliby go przez lat sześć nie zakwestyonowano, nabywał znaczenia dowodu urzędowego. Jeżeli po zniszczeniu pozostały jakie szczątki protokołów, sądy miały je przejrzeć na najbliższéj kadencyi, pozapisywać brzegi i miejsca wolne, któreby podawały sposobność do fałszerstw, strony ich policzbować, ilość wpisów policzyć, przy końcu podpisami opatrzyć, do każdego wreszcie protokołu uczynić osobny sumaryusz i wprawić go przy tymże protokole.

KONIEC.

Omyłki druku.

Str. 7 w. 9 z dołu *zam.*: tymi nieudałemi doświadczeniami *czyt.*: temi nieudałemi doświadczeniami
„ 34 „ 8 z dołu *zam.*: nasuwasię *czyt.*: nasuwa się
„ 51 „ 4 z góry „ początki *czyt.*: początki.
„ 52 „ 8 z góry „ dwa narody, *czyt.*: dwóch narodów,
„ 53 „ 5 z dołu *po słowach*: na nieruchomościach, *dodaj*: a hypoteka pojawia się w Niemczech wcześniéj, aniżeli w Polsce.
„ 59 „ 13 z dołu *zam.*: przedstawia- *czyt.*: przedstawia
„ 61 „ 15 z góry „ kwestyi herbowych *czyt.*: kwestyj herbowych
„ 77 „ 5 z dołu „ wyjątki *czyt.*: wyjątków
„ 82 „ 2 z góry „ który *czyt.*: które
„ 99 „ 1 z dołu „ siln m *czyt.*: silném
„ 120 „ 5 z dołu „ wiadomość, tę *czyt.*: wiadomość tę,
„ 133 „ 14 z góry „ bezprzedmiotowe. *czyt.*: bezprzedmiotowych.
„ 144 „ 13 z góry „ duchońństw a *czyt.*: duchowieństwa
„ 145 „ 16 z dołu „ krakowskié *czyt.*: krakowskiéj
„ 145 „ 10 z dołu „ Brakowalo *czyt.*: Brakowało
„ 146 „ 14 z góry „ w roku 1435, *czyt.*: z roku 1435,
„ 146 „ 7 z dołu „ powiedz eć, *czyt.*: powiedzieć,
„ 148 „ 13 z góry „ przynamniéj *czyt.*: przynajmniéj
„ 200 „ 12 z dołu „ dochodów królewskich i tenut *czyt.*: dochodów z dóbr królewskich i tenut
„ 221 „ 8 z dołu *zam.*: stnieje *czyt.*: istnieje
„ 224 „ 19 z dołu „ cho *czyt.*: choć
„ 224 „ 18 z dołu „ nieć *czyt.*: nie
„ 242 „ 18 z góry „ zapracowanemi *czyt.*: zapracowanymi.
„ 275 „ 14 z góry „ urządzeniem *czyt.*: urządzeniom
„ 283 „ 1 z dołu „ dla zabezpieczenia *czyt.*: do zabezpieczenia.
„ 297 „ 16 z góry „ oznaczono *czyt.*: oznaczano
„ 303 „ 17 z góry „ od którego *czyt.*: do którego

Niektóre wydawnictwa

KSIĘGARNI J. K. ŻUPAŃSKIEGO (DR. CELICHOWSKI)

w Poznaniu

Stary Rynek (Pałac Działyńskich.)

Anglia i Polska (St. Koźmian). 1862. 2 tomy. Zam. 15,00 mrk. — 7,50 mrk.

Au Juliusz dr. Socyalizm jako objaw choroby społecznéj. 1878 . . . . 3,00 mrk.

Bank mobilizacyjny (Golański) czyli projekt nowego systemu kredytu wolnego z zastósowaniem do wolności handlowéj między narodami. 1852. Zam. 1,00 mrk. — 0,50 mrk.

Bastiata Fryd. Harmonie ekonomiczne, tłumacz. przez Ewelinę Ahrens. 6 zeszytów. 1867—71. Zam. 6,00 — 3,00 mrk.

Borkowski Leszek. Sejm ustawodawczy rakuski ze szczególniejszą uwagą na poselstwo polskie. 2 tomy. 1840—50. . . . . Zam. 6,50 mrk. — 3,00 mrk.

Chotomski B. Rzecz o towarzystwach zabezpieczeń od ognia i zabezpieczeń bytu. 1868. Zam. 1,00 mrk. — 0,50 mrk.

Głos szlachcica do swych współbraci o wolności i o równości kmiecéj. 1859. . . . Zam. 3,00 mrk. — 1,00 mrk.

Gołuchowski Józef. Rozbiór kwestyi włościańskiéj w Polsce i w Rosyi. 1851. . . Zam. 9,00 mrk. — 3,00 mrk.

Jackowski M. Rzut oka na nasze zasady, sprawy i potrzeby. 1870. . . . . Zam. 1,00 mrk. — 0,50 mrk.

Tegoż: Ułomności nasze narodowe i społeczne oraz środki ku sprostowaniu tychże. 1871. Zam. 4,00 mrk. — 1,50 mrk.

Jak Austrya ocalić się może. 1868. Zam. 1,00 mrk. — 0,50 mrk.

Krzyżtopor Adam (Potocki tłomacz.) O urządzeniu stosunków rolniczych w Polsce. 1858. Zam. 9,00 mrk. — 3,00 mrk.

Tegoż: Poranki Karlsbadzkie. 1858. Zam. 7,50mrk. — 3,00 mrk.

Lelewel. Początkowe prawodawstwo polskie cywilne i kryminalne. 1859. . . Zam. 15,00 mrk. — 7,50 mrk.

Meciszewski Hilary. Listy galicyjskie czyli rozbiór krytyczny ustawy zaprowadzającéj w Galicyi wschodniéj galicyjski stanowy instytut kredytowy. Poszyt I. 1843. . . . . Zam. 4,00 mrk. — 1,00 mrk.

Mittelstaedt. Zasady ekonomii politycznéj zgodne z religią chrześcijańską. 1859. . Zam. 2,50 mrk. — 1,00 mrk.

Morzycki A. M. Fundamenta budowy społecznéj zastósowane do narodu polskiego. 2 t. 1852/53. Zam. 9,00 mrk. — 4,50 mrk.

Olendzki W. Historya nauk politycznych od wieku XVI do najnowszych czasów. Cz. I. 1873. Zam. 4,50 mrk. — 2,00 mrk.

Szymański Roman dr.: O siłach moralnych w ustroju społecznym. 1870. . . Zam. 1,50 mrk. — 0,50 mrk.